

AGATA
PRZYBYŁEK

*Nieszczęścia
chodzą
stadami*



seria z babeczką



*Nieszczęścia
chodzą
stadami*

AGATA
PRZYBYŁEK

*Nieszczęścia
chodzą
stadami*

Miłość to przyjaźń, pod którą podłożono ogień
Jeremy Tylor

Kasi,
za jej słabość do imienia Andrzej

– *Jak to dobrze*, że Sosenki nie gubią igieł na zimę – zwykła mawiać metaforycznie Michalina, gdy lato dobiegało końca i mimo słonecznej pogody czuć było już w kościach zbliżające się nieuchronnie chłodniejsze powietrze oraz inne zawirowania pogodowe. Była gosposią w domu starszych państwa już od lat, a okno w kuchni nadal pozostawało jej ulubionym miejscem na całym bożym świecie.

– Tak. U nas ciągle jest słońce – odpowiadała wtedy jej przełożona, pani Halina, uśmiechając się lekko pod nosem, i patrzyła w zamyśleniu na sad, który aż uginał się od nadmiaru dojrzałych śliwek i jabłek.

Ale w tym roku było zupełnie inaczej.

Kiedy nastąpiła jesień, a córka pani Haliny, Iwona, mężczyzna jej życia, Jaruś i czwórka dzieciaków, synowa, trzy psy oraz kot przeprowadzili się do siedliska na Mazurach (pomimo próśb, błagań oraz złowieszczych gróźb pani Haliny), życie tej ostatniej stało się zupełnie puste i pozbawione blasku, a przynajmniej tak się starszej pani zdawało. Może to wina jesiennej chandry, kolejnego skoku hormonów (albo tego, co w jej wieku po nich jeszcze zostało), żółknących powoli liści, a może po prostu przenikliwej, wręcz bolesnej pustki w domu, w którym przez całe wakacje aż tętniło życiem. A nawet kilkoma zyciami.

Niezależnie od tego, czym owa depresja i załamanie nerwowe, których przez ponad dwa tygodnie doświadczała uporczywie pani Halina, były spowodowane, nie pozostały one bez echa, jeśli chodzi o jej relacje z mężem, gospodynią, a nawet całymi Sosenkami, o Kole Gospodyń Wiejskich nie zapominając.

Starsza pani chodziła więc ze spuszczoną głową po ogródku. Wylewała słone łzy na zieloną jeszcze trawę, z posępnym wzrokiem karmiła pływające w oczku wodnym kolorowe rybki i zupełnie bez życia snuła się po domu, nie czerpiąc przyjemności nawet z tego, że Michalina wróciła szczęśliwie z wesela siostry. Nie cieszyły jej spacerów pośród uginających się od nadmiaru owoców jesiennych odmian jabłoni, kwitnące w najlepsze wrzosy i marcinki, a nawet ich słodkawy aromat roznoszący się po ogrodzie niczym delikatna mgiełka. Życie pani Haliny, mimo ostatnich słonecznych chwil tej jesieni, w jeden dzień zostało zupełnie pozbawione energii. A wszystko to przez jej wyrodną córkę, a raczej kogoś, kogo w przeszłości pani Halina zwykła nazywać córką, bo teraz to Iwona w ogóle na to nie zasługiwała!

Na jej zmartwienia nie pomagały też ciepłe herbatki z imbirem parzone wielkodusznie przez zaniepokojonego męża, wizyty wnucząt, a nawet wyjątkowo udany wyjazd do teatru, na który porwali się razem z Henrykiem, ponieważ dostali od jednej z wdzięcznych za opiekę nad dzieckiem sąsiadek bilety na „Upiora w operze”. Życie pani Haliny straciło cały blask, a ona sama nie starała się tego nawet ukrywać.

– Ale czego ty się załamujesz, Halinko! – podczas jednego z zebrań Koła Gospodyń Wiejskich próbowała ją pocieszać grubawa Miecia ubrana w kwiecistą sukienkę, która mogła pamiętać jeszcze czasy wojny. – Przecież siedlisko jest raptem czterdzieści minut drogi stąd, Iwona pracuje w Oddziale Przedszkolnym w Sosenkach i zagląda do ciebie naprawdę często, o tym, że spędza u ciebie z dziećmi co drugi weekend nie wspominając! Przecież to tak, jakby oni wszyscy wcale się od ciebie nie wyprowadzili, a ty czyściej masz i spokojniej!

– No właśnie kochana, właśnie! – gdy pani Halina uroniła pierwszą, pełną rozpaczony łzę, nachyliła się

do niej jeszcze owinięta fartuchem Bronka. – Młoda jesteś, ładna! Męża masz takiego, że każda z nas ci zazdrości. Może to czas, żeby przeżyć w końcu tę swoją trzecią młodość, co? Sama mówiłaś w wakacje, że w domu taki barłóg i hałas, że wytrzymać się tego nie da!

– Może i się nie dało, ale tej ciszy, która teraz w nim panuje, to już w ogóle się nie da! – odezwała się w końcu pani Halina siedząca w centrum tego żałobnego wianuszka. – Czy wy wiecie, że ja wczoraj wieczorem, leżąc w sypialni, cykanie świerszczy słyszałam?! Świerszczy! W swoim własnym domu! – zapłakała i schowała twarz w dłoniach.

Gospodynie Wiejskie popatrzyły po sobie, z niedowierzaniem kręcąc głowami.

– Nie może być! – wyrwało się jednej z nich.

– No właśnie! Zabrała mi dzieci, to tak, jakby mi życie odebrała. Serce z piersi. Rozum z głowy. Całe siły i zapał. Ostatnie tchnienie młodych płuc falujących w piersi niemrawo. Wszystko! – pani Halina teatralnie opadła do tyłu, nawet nie kryjąc swojego wzburzenia. – A mi za wiele życia nie pozostało! Umrę może dziś, może jutro i nic po mnie na tym świecie nie zostanie. Wnuków nawet nie pożegnam. Magdy, co mi prawnuka pod sercem nosi...

– Halinka, ale przecież ty na nic chora nie jesteś i jeszcze raczej pożyjesz!

– Taki ten ziemski padół okrutny, że po tylu latach wychowywania, trosk i nieprzespanych nocy przychodzi człowiekowi umierać w samotności – nie zważając na niczyje uwagi, pokręciła tylko głową, po czym, nie dbając o to, że do omówienia jest jeszcze sprawa wiejskiego festynu, który rokrocznie w październiku odbywał się w Sosenkach, wyszła na powietrze. Mimo krzyków Gospodyń, ruszyła do wielkiego, bijącego pustką domu, który od kilkudziesięciu lat dzieliła z mężem, a niegdyś i dziećmi, wnukami oraz całą chmarą zwierząt.

– Jesteś w końcu! – już od progu powitał ją przejmujący się jej spadkiem nastroju Henryk.

Pani Halina popatrzyła na niego ponuro i głośno wzdychając, pchnęła drzwi do ich potężnego domostwa.

– Jestem. Ale to nic nie zmienia. Powiedz Michalinie, niech nie czeka na mnie z obiadem. Nie będę dziś jadła.

– Znowu?! Wczoraj też nie jadłaś obiadu!

– I co z tego?! Może chociaż z głodu umrę. Lepsze to będzie niż całe moje przyszłe życie w samotności!

– Halka, ja ci mówię, ty się w końcu opamiętaj, bo ta twoja depresja może się źle skończyć! – nie wytrzymał w końcu Henryk. – Chcesz wylądować w szpitalu albo innym wariatkowie? No chcesz?

– Źle?! Od kilku lat mi trujesz głowę, żebym schudła. To może w końcu schudnę! – ryknęła na niego rozdrażniona pani Halina, po czym powłócząc nogami, powędrowała do sypialni i rzuciła się na wielkie, dębowe łóżko zasłane pościelą w delikatne kwiatki.

Henryk natomiast pokręcił głową i udał się do kuchni, w której, kołysząc się na boki w rytm nuconej przez siebie, starej piosenki, urzędowała przy garach rozentuzjasmowana Michalina.

– Podawać już? – popatrzyła tylko w stronę starszego pana, nie odkładając przy tym trzymanej w ręku łyżki wazowej.

– Podawać – mruknął.

– W jadalni?

– Może być tutaj. Halina nie będzie jadła – powiedział posepnie, odsunął sobie jeden z taboretów stojących przy kuchennym stole i usiadł na nim, opierając łokcie o kraciastą ceratę.

– Iwonka już trzy tygodnie temu się wyprowadziła, a jej jeszcze nie przeszło! Żeby to się w jaką chorobę głębszą nie przerodziło, bo kaplica jak nic. Młoda taka przecież, energiczna. A nagle... bach! Jakby całe życie z niej uszło – wzdychając smutno, spuściła wzrok Michalina.

– Może by posłać po doktora, co?

– Doktora? A co on tu pomoże? Konował jeden z dala od ludzi powinien się trzymać. To już lepiej po zielarkę. Ziółek tylko jakich przepisze i pożytek z tego jakiś będzie. Dzisiejsza medycyna to tylko dobić człowieka potrafi, a nie pomagać... – Michalina pokręciła głową i oparła się o kuchenny blat.

– To może po księdza?

Gospodyni zamyśliła się, patrząc w uchylone okno, przez które wpadał do kuchni ciepły, jesienny wietrzyk i miarowo poruszał koronkową firanką.

– Ale tak z ostatnim namaszczeniem? Nie za szybko?

– Jakim ostatnim! Żeby porozmawiał z nią tylko...

– A... – zamyśliła się Michalina. – No to proboszcz nie zaszkodzi, ale ja bym miała lepszy pomysł! – podginając rękawy, powiedziała po chwili i podeszła do stołu, przy którym siedział Henryk.

Starszy pan popatrzył na nią z zaciekawieniem i pochylił się nieco do przodu. Jego kraciasta koszula zafalowała lekko i utworzyła niedużą fałdę wokół brzucha, ale ani myślał to poprawiać. Każdy sposób, żeby wyrwać żonę z marazmu, był dla niego teraz na wagę złota i jeśli Michalina miała jakiś pomysł, aby uratować jego kochaną, aczkolwiek momentami nieznośną Halinkę, to musiał, po prostu musiał z tego skorzystać.

– Nowego zajęcia jej trzeba. Ot co! – biorąc się pod boki, wypaliła triumfalnie Michalina.

Henryk jednak nie do końca podzielał jej entuzjazm.

– A to Michalina wymyśliła... – mruknął. – Bo ja o tym nie wiem? Ale drugiej córki nie mam, żeby ją tu ściągnąć! Zuzkę, córkę mojej siostry, ewentualnie by można, ale ona w Jaszczurkach mieszka, to po co by się miała przeprowadzać, skoro jest miejscowa? A domu, żeby się do Iwony wyprowadzić, też nie sprzedam. Nie na to całe życie harowałem, żeby teraz, na ostatnie lata... Starych drzew się przecież nie przesadza.

– Ja wiem, ja wiem! – Michalina uspokajająco machnęła ręką i przysunęła się bliżej, konspiracyjnie ścisząc głos.

Starszy pan popatrzył na nią z zaciekawieniem.

– Na wsi plotkują, że Martusia z Londynu przyjeżdża!

– Nie może być! – zdziwił się i przejechał dłonią po nieogolonej brodzie. Nie widział Martusi przez dobrych pięć, a może nawet sześć lat, a tu taka niespodzianka!

– Ano tak! Dom po Czeremchowej odłogiem stoi kilkadziesiąt lat, odkąd staruszka w samotności umarła, to i dziewczyna zatrzymać się nie będzie miała gdzie.

– Nie może być! – ponownie z niedowierzaniem wyszeptał Henryk.

– A komu bardziej wypada ją pod dach przyjąć, jak nie matce chrzestnej, co?!

– No komu?

– No nikomu! – Michalina uderzyła dłonią w stół.

Starszy pan o mało się nie przewrócił, kołysząc się niebezpiecznie na taborecie.

Skąd te wszystkie kobiety w tym domu miały tyle energii?

– Ba, to wy jako pierwsi powinniście się dowiedzieć, kiedy ona tu dokładnie przyjeżdża, i dla niej pokój przyszykować – kontynuowała natomiast Michalina.

– No pewnie, że my! – zrozumiał nareszcie. – W końcu Halka to jej matka chrzestna, no tak czy nie?

– Ale to nie wszystko! – gospoia rozejrzała się dookoła i pochyliła jeszcze bardziej. – Na wsi mówią, że ona nie sama przyjeżdża!

– Wyszła za męża? – zdziwił się jeszcze bardziej. – No nie może być...

– Podobno nie z mężem – Michalina nie dała zbić się z tropu.

– A z kim?

– Ponoć w ciąży w tej Anglii zaszła i z dzieckiem wraca.

- Przecież ona z Marysią to jeszcze w Polsce zaciążyła!
- Ale urodziła w Anglii. Tak czy nie? – próbowała udowodnić swoje.
- No tak, tak. A więc mówisz, Michalino, że ona teraz panna z dzieckiem i to bez domu...
- Ano z dzieckiem i bez dachu nad głową – powtórzyła pokornie.

Henryk popatrzył na nią wyczekująco.

– I bez męża?

– No tego nie wiadomo! Ale sam pan przyzna, panie Henryku, że dla nas to idealna okazja, żeby panią Halinkę wyrwać z tej depresji. Wprawdzie to nie taka wielka gromada jak u Iwonki, ale serce okazać trzeba. No nie mam racji?

Starszy pan uśmiechnął się lekko i spojrzał w otwarte okno.

– A no masz, Michalinko, świętą rację! – zaklasnął w końcu w ręce zupełnie rozpromieniony. – A teraz nalej mi zupy, bo z tej radości zgłodniałem jak wilk.

– Wiedziałam, że dziś czeka nas jakaś dobra informacja, wiedziałam! – gospośnia uśmiechnęła się ciepło i wstała z miejsca. – Ptaki od rana mi w oknie świergoliły, to sobie, jak tylko oczy otworzyłam, pomyślałam, że Pan nam dziś jakąś dobrą nowinę ześle! – dodała i podśpiewując pod nosem „Kiedy ranne wstają zorze”, wyjęła z szafki talerz i nalała Henrykowi zupy.

– Smacznego. Niech panu Bóg błogosławi! – powiedziała, stawiając przed nim pełen talerz. – Ale po tę zielarkę toby pan mógł posłać. Nie zaszkodzi, a pomoc pomoże – dodała jeszcze zadowolona i oddaliła się na piętro, żeby zabrać się za pranie, pozostawiając uszczęśliwionego Henryka samego z obiadem, który dzisiaj wyjątkowo mu smakował.

– Jak ta zupa? – gdy Henryk kończył drugie danie, zjawiła się w kuchni pani Halina.

– Jak to zupa. Smaczna – odpowiedział.

– To dobrze.

– Nalać ci? – zaproponował usłużnie.

Żona spojrzała na niego jak na wariata.

– Nie będę jadła. Po nóż tylko przyszłam.

– Nóż?

– Mówię przecież.

Henryk zerwał się na równe nogi, o mały włos nie przewracając przy tym krzesła.

– Ale na co ci ten nóż, kochanie?!

– Sznurek sobie idę uciąć!

– Jaki sznurek, Matko Boska, po co?! – przeraził się nie na żarty.

– Wieszac się będę! – z rozpaczą obwieściła pani Halina, ściskając w ręce największy nóż kuchenny, jaki mieli. – Nic mi innego w tej sytuacji nie pozostało jak stryczek! I to przez rodzoną córkę, do tegośmy dopuścili, że po tylu latach wychowywania i nadszyczenia tak nam się odpłaca. Niewdzięcznica!

Henryk poczuł, jak z jego twarzy odpływa krew i robi się z chwili na chwilę coraz bledszy. Znał swoją żonę aż nazbyt dobrze, żeby wiedzieć, że z kim jak kim, ale z nią nie ma żartów.

– Nigdzie nie pójdziesz! – rzucił się więc ku drzwiom i stanął w nich, wyciągając ręce, żeby uniemożliwić jej wyjście i realizację tego diabelskiego planu. – Czyś ty na rozum upadła?!

– Może i upadłam! Ale sensu życia nie widzę i tyle!

– Halinka, wierząca jesteś, katoliczka, samobójstwo przecież...

– Widać nie zasłużyłam na niebo! – pani Halina krzyknęła w jego stronę, zanosząc się łzami.

– Nie będziesz się wieszac! Po moim trupie!

– Ach tak?! To masz, weź ten nóż, weź go – agresywnie podeszła do męża i wyciągnęła nóż w jego stronę. – I dźgnij mnie, bo ja tego życia dłużej nie wytrzymam! – wcisnęła mu w dłoń nóż i uniosła swój

beżowy sweterek, odsłaniając białą bluzkę spod spodu.

Henryk odrzucił nóż na szafkę i podszedł do żony.

– Uspokój się kobieto!

– Nie mam po co żyć! – zapłakała z goryczą.

– Właśnie, że masz! – rzucił dość agresywnie, jak na niego. – Martusia przyjeżdża, a ty zabijać się chcesz! – wyłożył jej prostu z mostu, cały się trzęsąc przez te gwałtowne emocje, i wziął ją w ramiona.

Wyraz twarzy pani Haliny zmienił się natychmiast.

– Nasza Martusia? Czeremchówna?!

– A jaka inna? Dom po Czeremchowej odłogiem stoi, to do kogo ona tu przyjedzie, jak nie do nas?! – powtórzył słowa Michaliny zadowolony z siebie Henryk. Udało mu się w końcu zainteresować czymś żonę.

– No racja! My teraz jesteśmy przecież jej najbliższą rodziną... – zamyśliła się pani Halina. – Wypada ją zaprosić w takiej sytuacji. Nawet trzeba.

Henryk popatrzył na nią, próbując ukryć uśmiech.

– Ale żeby to ja o tym nie wiedziała? Ja?! – rzuciła w jego stronę pani Halina, robiąc wielkie oczy.

– Przez tę depresję z domu nie wychodziłaś, to cię ominęła taka świeżynka. Ponoć cała wieś trąbi o tym, że Martusia z dzieckiem do Sosenek przyjeżdża.

– Ano masz rację... – pokręciła głową. – Nie może być! – powiedziała jeszcze do męża i dziarsko ruszyła ku drzwiom.

– Dokąd idziesz? A obiad? – zawołał za nią Henryk.

– Na co mi obiad, jak ja do wsi iść muszę dowiedzieć się wszystkiego?! Nie czekajcie na mnie z kolacją! – rzuciła z typową dla siebie energią i wyszła z kuchni, a Henryk pomyślał, że z jego serca spadł właśnie ogromny kamień, i od razu poczuł się o dziesięć kilo lżejszy.

– Udało się! – powiedział sam do siebie i zasiadł na miękkiej kanapie przed telewizorem, moszcząc się w kolorowych, haftowanych poduszkach, a potem postanowił obejrzyć mecz. Nic nie poprawiało mu humoru tak, jak uszczęśliwienie swojej specyficznej żony i dobry futbol w telewizji, a do jego nozdrzy, razem z ciepłym wietrzykiem wpadającym do salonu przez uchylone okno, dolatywał aromat dojrzewających, jesiennych jabłek, od których uginał się cały sad rozpościerający się z tyłu posiadłości.

– I co? – zajrzała do salonu, trzymająca pod pachą kosz ze świeżo wypranymi ubraniami, Michalina. – Zadziałała ta wiadomość o przyjeździe Martusi?

– Zadziałała, kochana, oj zadziałała! Halinka już na wieś pobiegła więcej szczegółów się dowiedzieć. Powinienem ci na kolanach dziękować za tę informację!

– Nie trzeba, nie trzeba! – zachnęła się Michalina, wokół której unosił się kwiatowy zapach płynu do płukania tkanin. – Ale do zielarki zajdę zaraz i tak, bo znów mi w stawach strzyka. A pani Halince na wszelki wypadek ziółka wezmę. Przecież z tymi chorobskami to nigdy nic nie wiadomo.

– No nie wiadomo – przytaknął Henryk.

– Rozwieszę tylko pranie i idę. Sznurki sobie przewiesiłam bliżej wrzosów i marcinków, to może ich zapachem ubrania przejdą. Niby kupuje się te pachnące środki, ale nic się nie może równać z zapachem dojrzałych śliwek i wrzosowiska. O tej porze to najchętniej z ogrodu bym nie wychodziła!

– Skarb jesteś, Michalinko. Po prostu nasz anioł na ziemi!

Gospoia zaśmiała się i machnęła wolną ręką.

– Głupstwa pan gada, oj głupstwa. Ale nie przeszkadzam! – powiedziała tylko rozbawionym głosem i wyszła na ganek, na którym od razu owionął ją niesamowity, słodkawy zapach niesiony przez jesienny wietrzyk.

– Poezja – szepnęła tylko pod nosem Michalina i zabrała się za rozwieszanie prania. Potem, uzbrojona

w wiklinowy koszyk, polną drogą wijącą się przez las udała się do chatki mieszczącej na uboczu zielarki, żeby ta przybyła z pomocą jej obolałym stawom i umysłowi pani Haliny, który wydawał się gosposi w dużo gorszym stanie niż jej trzeszczące kości.

Las o tej porze roku był miejscem co najmniej baśniowym. Wpadające przez puste przestrzenie w koronach drzew promienie popołudniowego słońca oświetlały mięciuchne kępki zielonych jeszcze mchów, rzucały cienie na prężące się dumnie drzewa, a przede wszystkim potęgowały niesamowitą, bijącą po oczach feerię barw, którą mieniły się niewysokie kępki wrzosów rosnące tuż przy dróżce. Z oddali słyhać było głośne trele rozświergotanych ptaków, a także rozentuzjasmowane głosy mieszkańców Sosenek i okolicznych Jaszczurek, którzy o tej porze roku wyjątkowo chętnie zabierali całe swoje rodziny i udawali się na jesienne grzybobranie.

– Hej, hej! – zamachała do Michaliny jedna z mieszkanek Sosenek. Szła z naprzeciwka i prowadziła za ramę rower.

– Dzień dobry! – odpowiedziała jej i zatrzymała się na chwilę.

– Na grzybki?

Michalina uśmiechnęła się i popatrzyła na trzymany na ramieniu koszyk, a potem energicznie potrząsnęła głową.

– Nie, nie! Idę do zielarki.

– A co, stało się coś?! – podekscytowała się żywo jej rozmówczyni.

Mieszkańcy Sosenek uwielbiali plotki. Wyprawa do zielarki oznaczała zwykle jakąś poważniejszą chorobę albo przynajmniej niewyjaśnioną alergię lub trudne do wyleczenia przeziębienie. Tutaj, w małej, lokalnej społeczności, każdy chciał wiedzieć, co dzieje się ze współmieszkańcami, nawet jeśli od lat byli ze sobą pokłóceni i żyli w niezgodzie. Ot, wiejska solidarność.

– Nic specjalnego. W stawach mnie tylko strzyka ostatnio mocniej niż zwykle, to mówię, trzeba się wybrać po jakieś ziółka i maści. Pogoda się zmienia, ciśnienie szaleje, a kości już nie te, co dawniej, i wszystko to człowiek czuje od razu.

– Ano ma rację Michalina, ma rację – rozmówczyni pokiwała głową i oparła się mocniej o rower, którego koła coraz bardziej grzęzły w wysuszonej na wiór leśnej drodze, a raczej jaśniutkim piasku, z którego gdzieniegdzie przebijały pojedyncze kępki leśnych traw albo krzaczki jagód.

– Także widzisz kochana sama, że wybrać się trzeba.

– Zielarka na polanie jakieś zioła ucierała. Widziałam, bo byłam na łące za lasem krowy dojrzeć. Ze dwie godziny jeszcze albo trzy i synów będę musiała po nie posłać. Lato nam się kończy w zawrotnym tempie.

– Ano kończy, kończy. Ale pogoda jeszcze ładna.

– Oby słońce jak najdłużej było, bo jak się rozpada, to na całego! – podekscytowała się rozmówczyni gosposi i nachyliła do niej nieco bardziej. – Na wsi słyszałam, że Martusia Czeremchówna do wsi przyjeżdża. Prawda to czy nie?

– Ano prawda.

– Wiadomo już, do kogo i na ile?

Michalina odchrząknęła cicho i poprawiła wiklinowy koszyk przewieszony przez ramię.

– Ja tam jeszcze nic nie wiem.

– Pewnie do was, bo kogo ona teraz ma tu innego? Stara Czeremchowa tyle lat temu umarła, że już się nie doliczy, dom odłogiem stoi i próchnieje, a nikogo więcej ona tu nie ma. Nie wspominała Halina jeszcze nic? Hę? – chciała wiedzieć jak najwięcej opierająca się o rower kobiecina.

– Jeszcze nic nie wiem – Michalina powtórzyła zgodnie z prawdą.

Kobieta łypnęła na nią wzrokiem, starając się wyszukać w jej pomarszczonej twarzy oznak prawdy

albo kłamstwa.

– Oj, ciężka sprawa, co? – pokręciła w końcu głową i wróciła do swojej pierwotnej pozycji. – Z takich powrotów po latach to nigdy nic dobrego nie wynika, tym bardziej że ona ponoć z dzieckiem wraca. I panna! – rzuciła na odchodne, a potem wsiadła na rower i odjechała bez słowa pożegnania, chwając się na boki i zagrzebując w leśnej dróżce.

Michalina patrzyła w ślad za nią przez chwilę, a potem zniesmaczona pokręciła głową i ruszyła w stronę chatki zielarki. Trzeba się cieszyć, że Martusia z tej obcej ziemi powraca, a że panna i z dzieckiem, to trudno. Dzieci mieć nie grzech! Nawet konserwatywna w swoich poglądach gospoia doskonale to wiedziała. Bo co takie dziecko komu winne, no co?

Drewniana chatka wioskowej zielarki znajdowała się na skraju polany położonej w północnej części lasu, do której mało kto, nie znając drogi, się zapuszczał. Zbudowana z podłużnie ułożonych, grubych bali, pokryta strzechą i nie dochodził do niej prąd, pomimo że miejscowa ludność skrzyknęła się kilka lat temu i gotowa była kable energetyczne tu doprowadzić.

– Niedoczekanie wasze! Ja się na to nie narodziłam, żeby iść z duchem czasu, ale leczyć! – krzychała na wielkodusznych mieszkańców zielarka i skutecznie przepędzała ich ze swojego domostwa, do tego stopnia, że w końcu, jak jeden mąż, poddali się i pozwolili żyć kobiecie na łonie natury, doglądając jej od tamtej pory skwapliwie i pilnując, czy tylko czegoś nie potrzeba. Zielarka, jak to zwykle w takich wioskach bywa, była ceniona przez mieszkańców Sosenek bardziej niż okoliczny lekarz, a raczej niezaradny konował, i gdyby tylko coś jej się stało, odbiłoby się to na zdrowiu ich wszystkich. A raczej jego braku.

Zimą więc zaprzęgali konie i przedzierali się przez hałdy śniegu, a kiedy się nie dało, wkładali grube futra i grzęznąc po kolana, donosili jej żywność. Latem natomiast sprzątali dookoła las, żeby nic nie zapaliło się przypadkiem od porzuconej butelki albo papierka, a jesienią przynosili domowe konfitury przyrządzane z zapałem przez Koło Gospodyń Wiejskich albo po prostu przychodzili usiąść i porozmawiać. Stara zielarka była jak dobry duch Sosenek i wszyscy liczyli się z jej zdaniem.

– Witam Michalinę! – powitała gospoie zielarka, stojąc przy zbitym z drewnianych bali stoliku i trąc coś w moździerz. – A co to ją do mnie sprowadza, co?

Zielarka miała bowiem w zwyczaju zwracać się do każdego w trzeciej osobie, nawet jeśli rozmówca stał do niej twarzą w twarz.

– Pogoda się zmienia, zima idzie, to i w stawach łupie bardziej niż zawsze.

– A no łupie, łupie. Mnie samą wszystkie kosteczki bolą i muszę sobie, dla uśmierzania bólu, pięty mydlić na noc, bo inaczej to bym chyba nie wytrzymała! – odpowiedziała, nie przerywając pracy. – Michalina siada! – wskazała gestem dłoni drewniany zydelek.

Gospoia usiadła posłusznie.

Zielarka popatrzyła na nią posepnie, odkładając w końcu moździerz, i wytarła ręce w leżącą na stole kraciatą ściereczkę.

– Widzę, że niejedno zmartwienie jej się po głowie pałęta.

– Może i ma pani rację – westchnęła Michalina. – O panią Halinę się martwię. Chodzi ostatnio jak struta. Odkąd Iwonka z dzieciakami wyprowadziła się do siedliska, to życia w niej mniej z każdym kolejnym dniem. Marnieje mi w oczach i nie wiem, co radzić.

– Oj życie, życie – pokręciła głową zielarka. – Ciasta chce? Hubertowa mi przyniosła, bo jej dziecko z kolki wyleczyłam, a sama nie zjem.

– Jak dla towarzystwa, to poproszę.

– Może wejdzie do środka? – spojrzała na gospoie spođe łba.

Michalina pokiwała twierdząco głową i podniosła się, ruszając do środka drewnianej chatki, od której

aż było zapachem suszonych ziół, aromatami świeżych jabłek i śliwek, a przede wszystkim ponadczasową, wszechobecną żywicą.

– Ludzie na wsi mówią, że Martusia Czeremchówna z Londynu powraca. Prawda to? – zielarka zapytała bez cienia nieśmiałości, ciężko opadając na krzesło przy stojącym na środku pokoju stoliku, który nakryty był ręcznie dzierganym obrusem.

– Ano prawda. Pani Halina chce ją pod dach przygarnąć.

– Ponoć ona panna i z dzieckiem?

Michalina skinęła głową, biorąc w dłonie kawałek drożdżowego ciasta przesyconego rodzynekami. Było tak pulchne, że aż rozpływało jej się w ustach.

– Ano podobno tak.

– Będą na wsi gadali jeszcze bardziej niż teraz, oj będą.

– O Iwonie też gadali, że rozwódka.

– Ale chociaż męża miała!

– Taki mąż to nie mąż. Może na jej miejscu lepiej by było nie mieć.

– Głupoty Michalina gada. Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. Tak czy nie?

– A wiadomo, czy w tej Anglii Martusia sobie jakiegoś nie przygruchała? Może jaki gołąbek ją tam zechciał i nie tylko z dzieckiem wróci, ale i z chłopem?

– Niezbadane są wyroki boskie, niezbadane – zielarka pokręciła głową, po czym wstała i sięgnęła po porcelanowy kubek stojący na kaflowym piecyku ogrzewającym izbę. – Z fusów powrózę. Mówią, że lepszy znany wróg niż obcy!

– Jaki tam Martusia wróg, skoro ona nasza, z Sosenek.

– Może i nasza, ale wokół jej rodziny od wieków same nieszczęścia!

Michalina westchnęła ciężko, słysząc słowa zielarki, i zapatrzyła się na to, jak starsza pani zalewa fusy wrzątkiem, czeka kilka chwil, a potem zlewa wodę do stojącej obok miseczki. Co jak co, ale rację to zielarka miała, oj miała.

– I co? – gosposia w końcu nie wytrzymała i łypnęła na starszą panią. – Widać coś?

– Niedobrze – pokręciła głową w odpowiedzi tamta. Z jej twarzy zdawała się odpływać krew.

– Niech zielarka mówi, co widzi! – zaniepokoiła się Michalina.

– Czarno ten przyjazd widzę, oj czarno! – powiedziała tylko i odstawiła kubek z fusami na bok.

Wzdłuż kręgosłupa Michaliny przebiegł zimny dreszcz.

– Niech zielarka powie coś więcej!

– Com miała powiedzieć, powiedziała! Idę po ziółka. Na stawy i spadek nastroju. Ale po tym, co zem zobaczyła, to lepiej i na serce przyniosę, bo niejeden na zawał padnie z wrażenia, jak Martusia powróci, oj padnie.

Zielarka wyszła z izby i oddaliła się na moment, pozostawiając Michalinę z mętlikiem w głowie, co też owo „czarne widzenie” w przypadku Martusi Czeremchówny mogłoby oznaczać.

– Dla Haliny dam miksturę olejową z ruty polnej – oznajmiła, wracając do pomieszczenia z dwoma słoiczkami i małym, płóciennym woreczkiem. – Już w starych pismach na kłopoty z głową polecali, zawsze pomaga. Złe myśli odgania, sen spokojny przyniesie i nerwów zszarganych ukojenie, a i na jelita nie zaszkodzi. Do ośmiu tygodni niech zażywa, nie dłużej! Szyszki z chmielu do tego niech wrzątkiem zalewa. Co wieczór albo co dwa. Uspokajają i wrażliwość uśmierzają. Na krótko, bo krótko, ale z zaśnieciem pomogą. Rozumie?

– Tak – skinęła głową Michalina.

– A to na stawy. Ta sama maść co zwykle.

Wzięła do ręki słoiczek z maścią i powąchała.

– Olej Kręgowy.

– Goździki w niej są, co ból uśmierzają, olejek z rozmarynu, mięty i arnika. Na bóleści pomogą, ale na zmartwienia, które wam los niesie, zielarki nic nie mają.

Michalina popatrzyła na starszą panią, chcąc kolejny raz dowiedzieć się, co też ma na myśli, ale ta nic więcej już nie powiedziała. Gospośia włożyła więc otrzymane preparaty do koszyka, zostawiła na stoliku słoik konfitury różanej i ruszyła ku drzwiom wyjściowym.

– Niech wam Bóg błogosławi – zielarka powiedziała jeszcze na pożegnanie i po uściśnięciu przedramienia Michaliny wróciła do pozostawionego na stoliku moździerza, w którym ucierała mieszankę ziół dla jednej z mieszkanek Sosenek. Pani Grażynka od lat cierpiała na nawracającą co kilka dni niestrawność i była jej stałą klientką.

Gospośia natomiast ruszyła w drogę powrotną przez las, który tonął już w zachodzącym słońcu, ale nawet piękno nienaruszonego przez człowieka krajobrazu nie odgoniło niepokoju, który zasiała w jej głowie zielarka.

– Czarno to widzę, oj czarno – wracały do niej prorocze słowa, których za nic w świecie nie potrafiła zrozumieć.

W noc poprzedzającą przyjazd Martusi pani Halina nie mogła spać i nie pomagały na to nawet ziółka zielarki. Sypialnia, ku wielkiej rozpaczy Henryka, który zaprotełstował w końcu i trzęsąc się z zimna, wyniósł się na dół, została przez nią wywietrzona trzy i pół razy, bo ten czwarty zakończył się wpadnięciem do środka wielkiej, czarnej ćmy. A ćma, jak to one mają w zwyczajn, zaczęła uderzać skrzydełkami o świecącą żarówkę, czym jeszcze bardziej utrudniała starszej pani zaśnięcie.

– No masz, jaka natrętna! – złościła się tylko pani Halina.

W końcu jednak poddała się i podążyła na dół z nadzieją, że znajdzie tam coś, co ukoi jej nerwy.

Była jednak w błędn. Na jej bezsenność nie pomogło również opróżnienie całej butelki mleka stojącej w lodówce ani potarcie nosa cytryną, co zwykła radzić na problemy ze snem świętej pamięci mama pani Haliny. Nawet wpadający do środka przez uchylone okno słodkawy zapach niesiony przez wiatr od strony sadu, zamiast usypiać, prowokował ją do przemyśleń. A było o czym dumać, oj było, bo dzień wcześniej pani Halina, poza nowościami, które przyniosła od zielarki Michalina, odbyła bardzo interesującą rozmowę w sklepie spożywczym, miejscowym centrum życia towarzyskiego.

– O, Halinka! – ucieszyła się na widok swojej ulubionej klientki grubaśna sklepowa, kończąc obsługiwać mieszkającą w sąsiedniej wsi blondyneczkę.

– Dzień dobry kochana, dzień dobry! – starsza pani podeszła do lady z typowym dla siebie impetem. Rzuciła przy tym okiem na kłębiące się za ladą świeże pieczywo, którego zapach przypomniiał jej dzieciństwo i mamę piekącą chleb w kuchennym piecyku.

– Coś podać?

– Nie, nie! – otrząsnęła się natychmiast z wspomnień pani Halina. – Porozmawiać przyszłam, jesteś zajęta?

Sklepowa uśmiechnęła się z przekąsem, ciesząc się, że szykuje się na ploteczki, i pospiesznie podeszła do okna.

– Pijaki tylko – obwieściła głośno, spoglądając przez koronkową firankę, która przez lata wiszenia w tym samym oknie zdążyła już nieco pożółknąć. – Jak na godzinkę zamknę, to nic się nie stanie! – dodała, po czym stukając o drewnianą podłogę swoimi ciężkimi butami, podeszła do drzwi, zaciągnęła wiszącą w nich żaluzję, ze zgrzytem przekręciła kluczyk, a potem wróciła do swojego gościa. – Herbatki?

– Bardzo chętnie.

– To chodź na zaplecze, kochaniutka, będzie nam cieplej. Okna są tam od południa, to się zdążyło nagrzać, a tutaj już ciągnie po nogach. Niby jest słońce, ale jesień idzie wielkimi krokami, nie można nie zauważyć.

– Kolejna jesień życia. Nam to już tylko zima została – pani Halina westchnęła ciężko, czując ostatnie napływające fale depresji, a potem podążyła za sklepową, która zdążyła już zniknąć za ladą i zabrać się za nalewanie wody do elektrycznego czajnika stojącego na kamiennym parapecie.

– Siadaj kochana, siadaj! Zaraz te gazety uprzątnę, nic się nie bój – powiedziała do swojego gościa, wskazując na pokryty czerwoną ceratą stolik, i nastawiła wodę. – Co cię do mnie sprowadza?

– Dawno nie byłam, to mówię, wpadnę przyjaciółkę odwiedzić – opadając ciężko na krzesło, oznajmiła pani Halina i kątem oka spojrzała na leżące na stoliku wydanie lokalnej gazety sprzed tygodnia.

– Pisali coś ciekawego? – zapytała sklepową, wskazując na pismo, bo przez swoją depresję zupełnie zapomniała o tym, żeby przeczytać najnowszy numer.

– Tyle tylko, że staremu Mietkowi ciągnik w nocy ukraść próbowali, ale że napici jak pekaesy, to daleko nie ujechali, bo nie zauważyli, że bak na paliwo ma otwarty i się ulało.

– Bogu dziękować, że nie ukradli.

– Ależ ukradli!

– No mówisz przecież, że daleko nie ujechali! – ośmieliła się zauważyć.

Sklepowa popatrzyła na nią, jakby była niespełna rozumu.

– Bo nie – wzruszyła ramionami. – Ciągnik w nocy porzucili. Stary Mietek wstał rano i zobaczył go w polach, zgłosił na policję. Przyjechali, zobaczyli, ale że on sam zbyt trzeźwy nie był, bo to po niedzieli się zdarzyło, to nie pojechał po paliwo i go nie przyprowadził. Złodzieje przyszli na drugą noc, ciągnik stał, gdzie go zostawili, to nalali kanister benzyny i Mietkowi zwędzili. Co se mieli żałować?

– No tak... – wyrwało się pani Halinie.

– A czym on pole teraz obrobi, jak wykopów jeszcze nie skończył? No czym?!

Starsza pani w zadumie pokręciła głową.

– Trudna sprawa.

– Ba, że trudna. Po całej okolicy szukają tego ciągnika, ale przepadł jak kamień w wodę, Halinka, jak kamień w wodę.

– Może mu kto pożyczy ciągnik na wykopki.

– A kto, jak wszyscy wiedzą, że on pijak nie z tej ziemi?

– Dzieci małe ma, to ktoś powinien!

– Ty nie jesteś rolnikiem, Halka. Mieszkasz kawałek poza wsią, to może nie wiesz, że nikt o zdrowych zmysłach mu tego traktora nie pożyczy. Już prędzej dzieci z motykami w pole wyjdą, niż on ten ciągnik zobaczy. Zresztą, jego wina. Zamiast przyciągnąć go na podwórze, to sam go złodziejom w polu zostawił. Niech się teraz martwi! – sklepowa założyła rękę na rękę i oparła się o szafkę za plecami dokładnie w momencie, w którym przycisk w czajniku pstryknął, dając znak, że woda się zagotowała. – Co pijesz? – zwróciła się ponownie do swojego gościa.

– Herbatkę. W moim wieku to już kawy raczej nie powinnam. Chociaż ja w te wszystkie medykamenty i medycynę nie do końca wierzę, to magnez mam z organizmu wypłukany i teraz została mi już tylko herbata.

– Uuu, niedobrze.

– Ano niedobrze. Zielarka już któryś raz mi ziółka przepisuje, ale nic nie dają.

– Ja nie o tym! – machnęła ręką sklepowa, nie zwracając uwagi na lamenty pani Haliny. – Herbaty żadnej otwartej nie mam. Tylko kawa – pokazała starszej pani puste pudełko po aroniowej herbacie,

a potem, na oczach rozmówczyni wyrzuciła je do stojącego w kącie pomieszczenia kosza.

– To jakiś problem? Sklep masz pełen herbaty, to jakąś przynieś!

– No tak, no tak. Rzeczywiście kochana, przyniosę – skarcona władczym tonem pani Haliny sklepowa zatrzęsała się jak baranek i pobiegła do sklepu czym prędzej, żeby przynieść swojej rozmówczynie herbatę.

– Mam taką dobrą jaśminową – krzyknęła z sąsiedniego pomieszczenia. – Może być?

– A dawaj i jaśminową. Najwyżej od niej tu umrę, żadnej straty nie będzie – odpowiedziała jej podniesionym tonem pani Halina, dopowiadając sobie w myślach, że przecież jej córce i tak to różnicy nie robi i może i lepiej, że w tym sklepie wypije jakąś truciznę. Skoro samobójstwa jej popełniać nie dają i wszystkie próby, jakie podejmowała w tym kierunku, zostały przez Henryka paskudnie sabotowane, zostało jej już tylko żyć nadzieją na jakiś nieszczęśliwy wypadek. A wiadomo przecież nie od dziś, że wynalazki, w tym podejrzanego pochodzenia jaśminowe herbatki, okazywały się nieraz zabójcze. Taki na przykład dynamit. Prawda?

– No, to jestem! – sklepowa zjawiała się znowu i podsunęła pani Halinie pod nos rozpakowane pudełeczko jaśminowej herbaty. – Ładnie pachnie, co?

Starsza pani przysunęła twarz do równo poukładanych torebeczek herbaty i wzięła delikatny wdech. Jej nozdrza od razu wypełnił słodkawy zapach białych kwiatów, a potem razem z powietrzem rozniósł się po płucach i podrażniając pęcherzyki, przedostał się do krwiobiegu. Przywołał jej na myśl beztróskie dzieciństwo i chwile, gdy brała z domu swoją jedyną lalkę i biegła bawić się z koleżankami między jaśminowymi krzewami.

– Idealnie – mruknęła zadowolona i odchyliła się do tyłu na niewysokim zydelku.

– Słodzisz?

– Nie, nie. Henryk mi się każe odchudzać.

Sklepowa odwróciła się w stronę swojego gościa i zlustrowała tęgawą sylwetkę przyjaciółki pełnym empatii spojrzeniem.

– Żeby było z czego – prychnęła i wróciła do parzenia herbaty.

– Ja tam się sobie podobam, ale wiesz, jak to jest, jak chłop się na co uprze. Na rowerze mi każe jeździć, dasz wiarę? Po okolicy! A co to ja jestem, pierwsza łatwiejsza, żeby sobie przejażdżki po lesie urządzać? Nie pamiętasz, jak to było ze starą Hubertową, jak się z chłopem w zagajniku potajemnie spotykała?

– Ano pamiętam – sklepowa pokiwała głową na wspomnienie najbardziej burzliwego romansu, jaki kiedykolwiek zrodził się w Sosenkach. Jej sklep był wtedy pierwszym punktem informacji na ten temat, a sprzedaż rosła w zawrotnym tempie. Wiadomo przecież, że jak kto pogadać przyjdzie, to zawsze sobie o czymś przypomni i kupi.

– No to widzisz. Mój mąż chce ze mnie robić kurtyzanę, dasz wiarę?

– No nie może być – ponownie pokiwała głową i stawiając szklanki z herbatą na krzaciastej ceracie, podsunęła sobie drugi zydelek, po czym przysiadła się do pani Haliny.

– A tak!

– Że Henryk taki nowoczesny i wolne związki uznaje, to ja w życiu bym nie pomyślała!

– Sama słyszysz. Mówię zgodnie z prawdą. Do lasu na rowerze mi każe pedałowac jak pierwszej lepszej. Na oczach całej wsi!

– Oj Halinka, wszyscy wiedzą, że ty porządna kobieta jesteś.

– Ano jestem! Ale wiadomo, co sobie kto może pomyśleć? – zasępiła się starsza pani i upiła pierwszy łyk jaśminowej herbaty. Słodko-gorzka esencja przyjemnie podrażniła jej zmysły.

– Na wsi mówią, że Martusia Czeremchówna jutro już przyjeżdża – sklepowa zaczęła po chwili ciszy nowy temat i z uwagą przyjrzała się twarzy swojego gościa.

Pani Halina ożywiła się wewnątrz, bo przecież właśnie po to przyszła do sklepu. Jej priorytetowym celem było teraz dowiedzieć się, co też ludzie na wsi gadają, i wy badać grunt. Michalina przecież już kilka dni temu przyniosła od zielarki złe wieści i lepiej było upewnić się, czy też nikt w Sosenkach nie szykuje z powodu powrotu Martusi żadnej wielkiej afery. O tym, że ludzie potrafią być mściwi, pani Halina wiedziała nie od dziś. A bywali tacy, zwłaszcza jeśli chodzi o międzypokoleniowe krzywdy wyrządzone w przeszłości. Powrót Czeremchówny do wsi był więc idealnym momentem, żeby zgotować z tego powodu jakieś lokalne piekiełko. Kto jak kto, ale ona powinna być na to przygotowana.

– Przyjedzie w okolicach południa, ale musimy wstać z Henrykiem skoro świt. Trzeba się przecież będzie przyszykować. Taki gość to nie byle kto – starsza pani z kamienną twarzą odpowiedziała na pytanie rozmówczyni, której od razu rozbłyły oczy.

– A sama ona w końcu przyjeżdża czy z kimś?

– Z dzieckiem – odpowiedziała pani Halina, chociaż tak naprawdę sama nie do końca знаła odpowiedź na to pytanie. Martusia powiedziała jej przez telefon tylko, że przyjeżdża i bardzo się cieszy, że znalazł się w Sosenkach ktoś, u kogo będzie się mogła zatrzymać.

Starsza pani musiała przyznać, że asertywna to ta dziewczyna była jak mało kto, w przeciwieństwie do Iwonki, która żaliła się jej ze wszystkiego i zawsze. Podczas ich rozmowy telefonicznej Martusia rzuciła bowiem tylko suchymi faktami i rozłączyła się, pozostawiając rozemocjonowaną ciotkę w poznawczej niepewności, którą wyładowała na swoim mężu. No dobrze, może nawet nie tyle na Henryku, ile na stojącym akurat pod ręką serwisie z porcelany, który od tamtej pory stał się uboższy o jedną śliczną filiżankę.

– A mąż, a mąż? Spotyka się tam ona z kim w tej Anglii? W końcu parę dobrych latek tam siedziała, to może i jaki do niej przygruchał, co? – sklepowa chciała wiedzieć jak najwięcej, co bardzo nie spodobało się pani Halinie.

– Co ty myślisz, że ja ją za język ciągnęłam przez telefon? Przyjedzie, to się dowiem, czy ślubne to dziecko, czy nie.

– Jakie ono tam ślubne, jak ona z Polski panną wyjeżdżała.

– Jak się ożeniła w tej Anglii, to przecież już ślubne!

– No tak, no tak – widząc nieugiętą minę pani Haliny, sklepowa potaknęła potulnie. Wiedziała, że jedynie będąc miłą, dowie się jak najwięcej.

– Ty mi lepiej powiedz, co ludzie na wsi gadają – rzuciła bez ogródek starsza pani, opierając się łokciem o stół. – Martusia przyjeżdża, to mi żadnego skandalu nie potrzeba. Mówił ci co kto? Są jakieś zadry z przeszłości?

Sklepowa rozejrzała się dookoła konspiracyjnie, a potem nachyliła bardziej do starszej pani i ściszyła głos.

– Ano powiem ci, Halinka, że martwić cię nie chcę, ale są... – szepnęła tylko.

Kiedy po chwili zobaczyła blednącą coraz bardziej twarz starszej pani, aż zrobiło jej się przyjaciółki szkoda. Ludzie na wsi potrafili być pamiętliwi, a krzywdy wyrządzone w przeszłości uwielbiały zstępować z pokolenia na pokolenie. Na wsi zemsta i zawiść między rodami była jak chleb powszedni i tak sklepowa, jak i pani Halina wiedziały o tym aż za dobrze.

To właśnie dlatego ta druga nie mogła tej nocy spać i okrywając się szczerze szlafrokiem, wstawiała z łóżka tylko po to, żeby za moment znów się do niego położyć, i tak w kółko.

– Dałabyś w końcu spokój i poszła już spać! – gdy po raz kolejny weszła do salonu, zganił ją w końcu rozdrażniony Henryk, który ułożył się na kanapie, by w spokoju zasnąć.

– Śpisz tylko i śpisz, a ja się naprawdę martwię – nie zważając na rozżłoszczoną minę niewyspanego męża, usiadła obok niego na kanapie i zapatrzyła się w dal.

Księżyc świecił dziś wyjątkowo mocno. Oświetlał cały sad, a jego wątłe światło odbijało się od błyszczących, czerwonych jak szkarłat jabłek i purpurowych śliweczek.

Henryk szarpnął kocem, który ściągnęła z niego żona.

– Nie ma o co się martwić, ile razy mam ci powtarzać? Zielarka może źle w fussy spojrzała, a ty nie dajesz mi przez to spać.

Pani Halina popatrzyła na niego surowo i kręcąc głową, ponownie spojrzała w okno.

– Zielarka się nie myli. To tak, jakby się ksiądz pomylił.

– Ksiądz też człowiek, ma prawo się mylić, a teraz idź w końcu spać, bo trzeba wstać skoro świt. Do miasteczka daleka droga! Nie mówiąc o tym, że zanim ty się wybierzesz...

– Słyszałeś kiedyś, żeby nasz ksiądz się pomylił? – zignorowała jego słowa. – No właśnie. Ja czuję, że z tego przyjazdu to więcej złego będzie, niż ta cała nasza radość była warta.

– Idź te swoje czarnowidztwo uprawiać gdzie indziej, bo ja chcę się wyspać! Wróżka od siedmiu boleści. I to czarna! – przekręcił się w końcu na drugi bok Henryk i już po chwili do uszu pani Haliny dobiegło tylko jego lekkie pochrapywanie.

Starsza pani posiedziała przy nim jeszcze przez chwilę, a potem, wsuwając nogi w miękkie kapcie, które sąsiadka przywiozła jej kiedyś z gór, wstała i podeszła do okna.

Sad spał w najlepsze. Ciężkie, uginające się od nadmiaru owoców śliwy i jabłonie otulone zielonymi kołdrami liści oddychały lekko, roztaczając dookoła kojący zapach. Pani Halina patrząc na nie, nie mogła się doczekać przyszłego weekendu, na kiedy to zaplanowała już wielkie robienie kompotów, dżemów, przecierów i konfitur, których słodkawą wonią co roku okadzała dom na pożegnanie jesieni.

Przygnębiona starsza pani westchnęła ciężko po kilku minutach stania w bezruchu, a potem poszła do kuchni i wykręcając numer Iwonki, łudziła się, że chociaż córka wesprze ją w tak trudnej dla nich wszystkich chwili.

– Matko kochana, stało się coś?! – po dwóch sygnałach rozległ się w telefonie zaspany, a zarazem podenerwowany głos Iwonki.

– Co? – huknęła do telefonu Halina.

– Coś z tatą? Źle się czuje?!

– Nie! Ojciec ma się dobrze.

– Kamień z serca – w słuchawce rozległ się głośny, ciężki oddech, a potem stłumiony głos zaniepokojonego Jarusia. – Cicho, cicho. Śpij. To tylko mama dzwoni – powiedziała do niego Iwonka, a jej amant mruknął coś w odpowiedzi i zamilkł. – Co się stało, mam? Jest środek nocy! – rzuciła natomiast do telefonu Iwonka wyrwana z błogiego snu.

– Martwię się.

– O co?

– Martusia jutro przyjeżdża.

– Matko kochana, na litość boską! Wiem o tym przecież. Budzisz mnie w środku nocy, żeby mi to powiedzieć? Czy ty wiesz chociaż, która jest godzina?! – ryknęła na zmartwioną panią Halinę jej rodzona córka.

Starsza pani popatrzyła na zegarek. Było wpół do trzeciej.

– Ale Iwonka...

– Czy to coś ważnego?! – nieco zbyt obsesowo weszło w słowa matki jej dorosłe, aczkolwiek wcale niewychowane dziecko.

– Mówię, przecież, że... – zaczęła ponownie pani Halina.

W słuchawce rozległo się tylko głośne pip, pip, pip... Abonent zakończył rozmowę.

Pani Halina patrzyła jeszcze przez chwilę na słuchawkę, a potem wstała od kuchennego stołu i zaczęła

spacerować po kuchni i sąsiednich pomieszczeniach, budząc przy tym po raz kolejny rozdrażnionego do granic możliwości Henryka.

– Idź w końcu spać kobieto! – ryknął na nią jeszcze, po czym zerwał się z kanapy na równe nogi i razem z kocem i poduszką powędrował na piętro, żeby ulokować się w jednym z gościnnych pokoi, skoro nie dane było mu wyspać się we własnej sypialni, a nawet salonie.

– Takie są właśnie skutki mieszkania pod jednym dachem z paranoiczką! – krzyknął, tupiąc głośno na schodach, a potem zniknął jej z oczu.

Odrzucona przez męża i dziecko starsza pani snuła się więc tylko po oświetlonym przez poświatę księżycy domu i ściskając w rękę drewniane paciorki, odmawiała różaniec za różańcem, błagając Boga, żeby ten przyjazd Martusi nie okazał się jednak tak czarny, jak przewidziała zielarka. Bóg mógłby przecież oszczędzić jej rodzinę, prawda? Zabrał jej wnuki, to powinno mu starczyć. Na co mu jeszcze satysfakcja, że u nich pod dachem zgorszenie i wstyd? No na co?

Bo chociaż pani Halina nie wiedziała jeszcze, co też przyniesie jej los, była pewna, że nie będzie to nic dobrego. Zielarka nie myliła się nigdy i całe Sosenki wielokrotnie już tego doświadczyły. Jej przecucia były pewniakami zawsze, ale to zawsze. Wiele starszych kobiet sądziło nawet, że prędzej sam Bóg by się pomylił niż zielarka, ale pani Halina taką heretyczką jeszcze nie była. Po prostu czuła w kościach zbliżające się nieszczęście, a niepewność, czego dokładnie będzie ono dotyczyć, frustrowała ją coraz bardziej.

– Panie Boże, ja cię proszę, żeby ta przyszłość nie okazała się jednak taka czarna, bardzo cię proszę – szeptała więc tylko, zaczynając kolejne zdrowaśki.

Nie zmrużyła oka do samego ranka, kiedy to w końcu zszedł z góry zaspany Henryk i obudziła się Michalina.

– A pani Halinka co, chodziła tu tak całą noc? – rzuciła do niej gospoia, dostrzegając pierwsze oznaki niewyspania na pomarszczonej twarzy swojej chlebobawczyni.

– Na rozum coś jej padło i spać nie mogła, pomijając fakt, że i mnie się wyspać nie dała! – burknął w odpowiedzi Henryk. Właśnie siadał do stołu w jadalni ubrany w niebieską piżamę w poprzeczne paski, która nie miała już kilku guzików pod szyją i na piersi.

– Pacierz mówiłam, za dobry przyjazd Martusi.

– Podobnie jak ja. Też zasnąć nie mogłam i modliłam się żarliwie jak mało kiedy, żeby ta czarność z fusów chociaż się nieco dla Martusi rozjaśniła.

– Następna! – mruknął starszy pan, komentując to ich paranoiczne zachowanie.

– Też byś się mógł pomodlić, bezbożniku jeden!

– Już ty się do mojej wiary lepiej nie wtrącaj! Wierność ci ślubowałem i uczciwość, o wierze ani słowa nie było!

Pani Halina popatrzyła na męża spode łba i zamiast kłócić się dalej, postanowiła pomóc Michalinie nosić śniadanie z kuchni do jadalni.

Tym oto sposobem na stół trafiły wielobarwne półmiski, o które zadbała z należytą starannością wczoraj wspaniałomyślna gospoia. Równiutko poukładane szyneczki, pomidorki i przeróżne sery piętrzyły się na białej porcelanie. Przyozdobione powycinanymi z rzodkiewek kwiatkami zachęcały do jedzenia, nie wspominając już o niesamowitym zapachu, jaki roztaczały dookoła rzeczony półmiski.

– Umarł ktoś, że takie śniadanie? – zdziwił się na ich widok Henryk.

– Martusia dzisiaj przyjeżdża! – wyjaśniła mu natychmiast Michalina.

Henryk jęknął boleśnie. Jak gdyby dane mu było od kilku dni chociaż na moment o tym zapomnieć! Jego żona, gdy tylko dowiedziała się o tej nowinie, wpadła w prawdziwy szał sprzątanego i urządzanego pokoju gościnnego, ciągnąc go do miasteczka wte i wewte!

– No ale przecież na obiad! Oficjalne powitanie zaplanowałaś na kolację, nie wspominając o tym, że zaprosiłaś Iwonę z dziećmi, a nawet tego jej Jarusia.

– I co z tego?! Mieszkają ze sobą, to chyba trzeba było zaprosić – spojrzała na niego podenerwowana pani Halina i nalała sobie herbaty.

– Konkubinat wspierasz w ten sposób, a taka niby święta.

– A od kiedy ty taki konserwatywny jesteś?!

– Oj baby, baby – pokręcił tylko głową starszy pan i postanowił zamilknąć chociaż do końca śniadania, bo w sporze, gdy po jednej stronie stał on, a po drugiej jego żona, najzwyczajniej w świecie nie miał szans na wygraną, czego nauczyło go wieloletnie doświadczenie.

Śniadanie zniknęło z talerzy szybko, co ucieszyło zarówno Michalinę, jak i właścicielkę posesji.

– No, Henryk! Na górę! Wyprasowany garnitur czeka w garderobie! – wstając od stołu, rzuciła do męża gardłowym głosem pani Halina i ściągnęła przy tym lekko wykrochmalony przez Michalinę świąteczny obrus, od którego aż bił zapach kwiatowego płynu do płukania tkanin.

– Chyba naprawdę zgłupiałaś – mąż popatrzył na nią, jak gdyby była co najmniej zielona. – Spodnie wkładam i sweter. To nie pogrzeb. Ani wesele!

– Martusi tyle lat nie było, a ty, dziadzie jeden, w swetrze chcesz jechać? Wstyd i kwintesencja. Tfu! Kompromitacja!

– Nie będę z siebie robił pajaca. Może jeszcze kwiaty jej kupiłaś na powitanie?! I tabliczkę zrobiłaś, żeby z nią stanąć na peronie jak w filmach?

Pani Halina przyjrzała się mu niepewnie, a potem natychmiast zganiła się w myślach za to, że sama nie wpadła na ten genialny pomysł. Na szczęście przy dworcu była przecież mała, kameralna kwiaciarnia. Henryk wyjątkowo miał rację. Kwiatki wypadało Martusi kupić i powitać w rodzinie po tylu latach przebywania na zsyłce.

Dobrze, że teraz młodzi emigrowali do Anglii, a nie na Sybir, jak to było za czasów młodości pani Haliny.

– No, bardzo ładnie z tym krawatem, bardzo! – siedząc na materacu podwójnego łóżka, zaklasnęła w dłonie po pełnej napięcia chwili oczekiwania, aż mąż ukaże jej się w świeżo wyprasowanym garniturze.

– Taa – wymruczał Henryk i zapatrzył się na swoje skarpetki.

– Nie garb się tak! – podeszła do niego i łupnęła go w plecy z całej siły, aż po sypialni rozległ się stępiony odgłos uderzenia.

Henryk był pewien, że pod ubraniem, na jego przygarbionych łopatkach odcisnęła się właśnie czerwona ręka pani Haliny.

– Jaka ty jesteś... delikatna – wycedził więc, patrząc z wyrzutem na małżonkę, po czym zszedł na dół, nie zważając na to, że biegła za nim z flakonikiem perfum, którymi usilnie chciała go spryskać. Chwycił leżące na swoim stałym miejscu kluczyki do samochodu i wyszedł na podjazd, żeby jak najszybciej mieć tę wycieczkę za sobą. Jazda samochodem denerwowała go ostatnio tak samo, jak mieszkanie pod jednym dachem z żoną wariatką.

Może ona rzeczywiście cierpiała na jakieś zaburzenia nastroju? Raz depresja, raz mania. Jak to było nazwane w tym filmie dokumentalnym, który oglądał kilka dni temu? Choroba dwugłowa? Dwubiegunowa?

Nieważne. Rozmyślania Henryka zostały brutalnie przerwane przez pojawienie się w samochodzie jego wypacykowanej, od stóp do głów ubranej na różowo żony. Unosiła się wokół niej przytłaczająca, dusząca woń zdecydowanie zbyt słodkich perfum.

– Otwórz okno – powiedział na powitanie starszy pan.

– Co? – pani Halina popatrzyła na niego tępo, rzucając do tyłu swoją torebkę.

– Okno otwórz, jeśli chcesz, żebym przeżył tę podróż – powtórzył spokojnie, wiedząc, że niedźwiedzia się nie drażni, zwłaszcza jeśli wciela się w skórę jego żony. A może był to raczej lew?

Pani Halina przez chwilę mierzyła go spojrzeniem, ale w końcu otworzyła okno.

– No jedźmy już! – ponagliła. – Musimy jeszcze przecież te kwiatki Martusi kupić w kwiaciarni na dworcu – poinformowała i zapięła pasy.

Henryk westchnął ciężko w odpowiedzi i przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Muszę chyba iść do zielarki, bo ta twoja astma ostatnio jest jakaś taka bardziej wyraźna... – skomentowała jego zachowanie, po czym przeżegnała się i wyciągnęła z kieszeni różowego płaszcza drewniany różaniec. Ucałowała go pośpiesznie, a potem zaczęła się modlić, nie zwracając przy tym uwagi na męża aż do końca podróży.

– Zgłupiała – szepnął natomiast pod nosem Henryk, kątem oka zerkając na przerażoną minę małżonki, i skupił się na jeździe. Do miasteczka było około godziny drogi, jeśli nie trafiło się na żadne korki.

Starszy pan popatrzył na zamontowany w desce rozdzielczej elektroniczny zegarek. Powinni zdążyć akurat na przyjazd pociągu.

Kiedy starsi państwo jechali do miasteczka swoją niebieską, siedmioosobową mazdą, Martusia Czeremchówna siedziała w przedziale pociągu, do którego wsiadła kilka godzin temu w Warszawie. Zrobiła to zaraz po tym, jak razem z całym bagażem, i nie tylko nim, pośpiesznie wygramoliła się z taksówki.

– Taka pani ładniutka, to może pomóc? – zaproponował jej nawet taksówkarz, co dziewczyna skomentowała jedynie zawstydzonym uśmiechem.

Martusia rzeczywiście była ładna. Z pewnością opisałby ją tym zdaniem każdy, z kim kiedykolwiek miała kontakt. No chyba, że byłby ślepy albo niedowidział. Choć nie była klasyczną pięknoscią, na jakie retuszuje się gwiazdy i gwiazdeczki, nim opublikuje się ich zdjęcia na pierwszych stronach gazet, w jej rysach, a przede wszystkim fiołkowych oczach było coś magnetycznego, co sprawiało, że ludzi aż korciło, by zbliżyć się do niej i lepiej ją poznać. Sam fiołek oznacza przecież w tłumaczeniu sekretnego języka kwiatów „skromną wartość”, a to określenie pasowało do opisu dziewczyny doskonale. Jej hipnotyzujące, niespotykane tęczówki kryły w sobie niejedną wartość i tajemnicę, nadając tym samym jej osobie niesamowitego uroku i owiewając ją baśniową aurą.

Martusia miała kasztanowe włosy ścięte na długość mniej więcej do ucha. Były minimalnie dłuższe z prawej strony. Posiadała też mocno zarysowane kości policzkowe. Kiedy chodziła jeszcze do liceum, jej polonista zwykł mawiać do niej Angelina, bo podobno przypominała mu znaną z czerwonego dywanu gwiazdę. Ale chociaż Martusia usilnie przyglądała się sobie potem w lustrze w poszukiwaniu owego podobieństwa, jeszcze nigdy nie udało jej się go dostrzec.

– Przecież ja jestem od niej o wiele brzydsza – mawiała wtedy, a potem opadała na łóżko i wbijała wzrok w sufit.

Nie ulegało jednak niczyjej wątpliwości, że gdyby żyła w dawnych czasach, kiedy to kobiety paradowały po brukowanych alejkach w wielkich sukniach i z parasolkami, rysy Martusi uchodziłyby co najmniej za szlacheckie i niejedno serce by wtedy złamała. No dobrze, to ostatnie udawało jej się doskonale mimo aktualnej epoki i kultury, ale czy miało to jakieś większe znaczenie?

Dziewczyna skończyła w tym roku dwadzieścia sześć lat, ale pomimo swojego wieku nadal wyglądała na nastolatkę. Być może dlatego, że była kobietą niezwykle drobną. Jej szczupłutka sylwetka odbijała się

teraz w szybie pociągu, za którą rozpościerał się polski krajobraz. Martusia zdążyła się za nim stęsknić przez lata przebywania na emigracji.

Lasy, przez które jechał pociąg, mieniły się we wschodzącym słońcu jak oszalałe, niemalże krzycząc, żeby przerwała podróż i tak, jak zwykła w dzieciństwie, nie zważając na szyszki i patyki, zdjęła buty, a potem przespacerowała się po mięciutkim mchu. Drzewa wyginające swoje gałęzie ku światłu też zdawały się zachęcać do zabawy. Martusia do tej pory nie mogła zapomnieć, jak będąc małą dziewczynką, zostawiła po szkole tornister u jednej z koleżanek, a potem, zanim zdążyło się ściemnić, biegła do lasu, żeby powspinać się na rozłożyste drzewa i szeptać koleżance na ucho jakieś niestworzone historie.

Martusia przymknęła oczy na samą myśl o dzieciństwie i głośno westchnęła. Chociaż tęskniła za Sosenkami, od bardzo dawna starała się do tego etapu nie wracać. Wszystko, co kojarzyło jej się z beztroskimi latami, a potem wielką tragedią, wywoływało nieustające pieczenie w okolicach klatki piersiowej i trudności z oddychaniem. Niejeden z psychologów z pewnością nazwałby te dolegliwości pozostałościami po traumie, ale Martusia była zbyt twarda i silna, żeby przyznać się do nich komuś innemu niż sobie, i nigdy z żadnym psychologiem o tym nie rozmawiała. A nawet jeśli rzeczywiście nie była twardzielką, to przynajmniej chciała o sobie w ten sposób myśleć. Czuła wtedy, że ma kontrolę nad własnym życiem i nikt jej nigdy nie skrzywdzi. A przecież niczego bardziej nie pragnęła.

Nastawiając pozbawioną makijażu twarz do ciepłego, jesiennego słońca, Martusia zatrzymała się na chwilę przy swojej ostatniej myśli i zaśmiała się gorzko, gdy ta tupnęła nogą głośno w jej głowie, pociągając za sobą sznur wspomnień. Obietnica, że nikomu już nigdy nie da się skrzywdzić, którą złożyła sobie po ucieczce z ojczyzny, wydawała się Martusi w tym momencie śmieszna, a nawet trochę żenująca. Widać należała do tych kobiet, które z grupy stu mężczyzn zawsze wybiorą tego nieodpowiedniego.

– Przepraszam – wyrwał ją z zamyślenia głos starszej kobiety siedzącej razem z nią w przedziale. – Dziecko się pani obudziło.

Dziewczyna natychmiast odwróciła twarz od słońca i otworzyła oczy.

– Ach tak, bardzo pani dziękuję – uśmiechnęła się blado do kobiety i popatrzyła na siedzącą obok córeczkę, która właśnie obudziła się ze snu. Ku uciesze Martusi dziewczynka zasnęła, gdy tylko wsiadły do pociągu, przez co podróż nie była taka zła, jak się tego wcześniej obawiała.

– Mamusiu – Marysia powiedziała rozespanym głosem i przesunęła się, by oprzeć głowę o ramię mamy. Przez fakt, że obudziła się w obcym miejscu, poczuła się zagubiona.

– Jestem, jestem – znając córkę na wylot, Martusia pogładziła ją po głowie. – Wyspałaś się chociaż trochę? – zapytała.

– Trochę tak – dziewczynka skinęła głową i podkuliła nogi, kładąc bose stopy na siedzenie. – Chce mi się pić.

– Zaraz coś na to zaradzimy.

– Ale nie chcę już wody.

Martusia uśmiechnęła się, słysząc protest córki, i nachyliła się do stojącego pod jej nogami plecaka, a potem wyciągnęła z niego niedużą buteleczkę soku.

– Może być?

Dziewczynka pokiwała głową i bez wahania chwyciła napój.

– Tak – rzuciła tylko, a potem łapczywie zaczęła pić.

– Dzieci – skomentowała całe zachowanie starsza pani siedząca razem z nimi w przedziale, a potem pochyliła się w stronę Martusi. – Moje też były kiedyś takie małe. Jak ten czas szybko leci, co? Teraz są już po studiach.

Martusia uśmiechnęła się ciepło w odpowiedzi.

– Ale córka w ciąży chodzi, wie pani? Niedługo mi urodzi taką śliczną wnusię, jak ta pani córunia. Oczu tylko takich pięknych pewnie nie będzie miała, bo u mnie w rodzinie od pokoleń brązowe, a pani i córki niespotykane takie... z mojej perspektywy to nawet fiołkowe!

– Tak mówią. Nieraz jeszcze słyszę, że są w kolorze lawendy – zarumieniła się, nie bardzo wiedząc, jak powinna zareagować na komplement starszej pani.

– Gdzie tam lawendy! Obca jakaś, francuska, a fiołki nasze, polskie. Oczy są fiołkowe i już – zarządziła starsza pani, nachylając się bardziej w jej stronę. Podróż zdążyła wyjątkowo ją wynudzić i potrzebowała przetrenować swój rozgadany na co dzień język. Porządnie już jej w ustach zaschło przez ten dłużący się czas milczenia.

Martusia zamyśliła się nad jej słowami. Według sekretnego języka kwiatów lawenda oznaczała nieufność i może łatwiej by było, gdyby jej tęczówki wyglądały właśnie na takie? Może to uchroniłoby ją przed tymi wszystkimi życiowymi niepowodzeniami, na jakie trafiała na swojej krętej drodze?

– A pani dokąd jedzie? – staruszka nie dała jej jednak dłużej o tym rozmyślać.

– Do Sosenek! – wtrąciła się żywo do rozmowy, ośmielona bijącym od starszej pani ciepłem, dziewczynka.

– To jakoś pod miasteczkiem, co?

– Tak. To jeszcze ponad godzina drogi – Martusia skinęła głową i zabrawszy od córeczki butelkę z pićm, postawiła ją na rozkładanym stoliku wiszącym pod oknem.

– Dalej czym pani będzie jechać? Autobusem? Z tobołami to nieprzyjemnie. Taki kawał drogi!

– Nie, nie. Wyjedzie po nas ciotka z mężem. To moja matka chrzestna.

– Dobrze mieć rodzinę, co? Ja to do siostry jadę, bo chora, ale to tylko do miasteczka.

– Przykra sprawa.

– Lata lecą, to i się człowiek sypie – starsza pani uśmiechnęła się i roztarła obolałe kolana. – Pani jeszcze młoda, dzieci małe, to i nie wie, ale na starość, o pani! Same nieszczęścia, oj same. Jak nie kręgosłup, to biodro, jak nie biodro, to stawy, i tak w koło Macieju i dalej! A ciotka z wujem, co po panią wyjadą, to zdrowi?

Martusia zamyśliła się na chwilę.

– Prawdę powiedziawszy, sama nie wiem. Nie byłam w Sosenkach przez kilka lat, to się pewnie postarzeli przez ten czas.

– Daleko gdzieś pani mieszka, że tyle czasu nie była?

– Przez ostatnich pięć lat mieszkałam w Londynie, w Anglii.

– Aaa – pokiwała głową starsza pani. – Pewnie za pracą pani pojechała, co?

– I tak, i nie – uśmiechnęła się Martusia. Nie chciała zdradzać swojej rozmówczyni prawdziwych przyczyn wyjazdu z kraju.

– Tęskno pani pewnie było, co? Bez powodu przecież nie zachciałoby się pani do nas wracać. Bieda u nas, że aż pizczy.

Martusia zapatrzyła się w okno. Nie powiedziała by, że to tęsknota była głównym powodem, dla którego zdecydowała się na powrót, a może nawet i nie była żadnym podrzędnym. Przez wzgląd na swoje doświadczenia miała wrażenie, że nigdzie nie poczuje się jak w prawdziwym domu, i po kilku nieudanych próbach tworzenia go w końcu się poddała. Pogodziła się z tym, że do końca życia może w pewien sposób pozostać bezdomna, i nie zamierzała już więcej próbować szukać sobie nowego miejsca na ziemi. Czuła tylko żal, że na przykład jej córka nigdy nie zasmakuje, co to jest prawdziwy, pachnący chlebem, przepełniony ciepłem dom. Ale życia przecież się nie wybiera.

– A prawda to chociaż, że tam lepiej niż u nas płacą? – po raz kolejny oderwała ją od nieprzyjemnych myśli towarzyszka podróży.

– Jeśliby porównać, to pewnie. U nas człowiek żyje za tysiąc złotych przez miesiąc i modli się, żeby dotrzeć do pierwszego, a tam płacą trzy i to na dzień dobry. Różnica jest, ale i życie inne. Nie zawsze ten, kto za pracą pojedzie, znajdzie, czego szuka. Znam dużo młodych, którzy pojechali i po miesiącu czy dwóch musieli wracać.

– Ano tak to właśnie jest, prawda, że w dzisiejszych czasach nie ma nic pewnego.

– *Panta rhei* – zacytowała Martusia.

– Pani jakaś uczona, co? – zapytała z uśmiechem starsza pani.

– Z wykształcenia byłabym psychologiem, ale przerwałam studia i zostałam florystką.

– To te fiołkowe oczy pasują do pani jak brak!

Martusia kolejny raz się zarumieniła.

– Może pomyślę, żeby tak nazwać swoją przyszłą kwiaciarnię? Fiołkowa? – zaśmiała się.

– Pięknie by było. Jak już pani otworzy, to proszę mi dać znać. Bardzo chętnie panią wtedy odwiedzę.

– Mam nadzieję, że kiedyś mi się to uda.

– Takim ludziom jak pani to musi się udawać! Młoda pani, ale porozmawiać z nią można, a to się wśród dzisiejszej młodzieży tak rzadko zdarza – zmieniając ton, pokręciła głową starsza pani.

– Nie jest tak źle.

– O, pani! Może i nie jest. Za naszych czasów większe się szaleństwa robiło, to prawda. Trzepaki kradło, na dyskoteki co sobotę jeździło, ale tałatajstwa takiego nie było jak dziś. Biorą te narkotyki, piją na umór. Rodzina za nic, kultura za nic... Ja nie wiem – pokręciła głową starsza pani.

Widać Martusia trafiła w jej ulubiony temat.

– Kto nieporządny, ten pije, ma pani rację. Ale jak komuś zależy na przyszłości, to o siebie dba.

Starsza pani zasępiła się na chwilę. Jej posiwiała głowa opadła lekko na jedno z ramion.

– Może i ma pani rację. Ale w dobrą stronę to ten nasz świat nie idzie, oj nie idzie. Ja to się nieraz zastanawiam, czy my nie żyjemy już w czasach ostatecznych, bo dokoła tyle zła! – podsumowała całą rozmowę i zamilkła, wracając do leżącej na jej kolanach książki, którą czytała przez większość podróży.

Martusia patrzyła na nią przez chwilę, a potem ponownie wyjrzała przez okno. Nie sposób nie zgodzić się ze słowami starszej kobiety. W świecie było coraz więcej zła, czego boleśnie doświadczała na własnej skórze przez ostatnich kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt tygodni. Wyjeżdżała do Anglii z nadzieją na lepsze życie i chociaż miała tam dobrą pracę i mieszkanie, czuła, że wraca teraz do ojczyzny nie z tarczą, ale na tarczy. Życie kolejny raz spletało jej figła i Martusia była trochę na to życie obrażona.

Czy jej pula nie została wyczerpana już w czasach, kiedy była samotnym dzieckiem, a potem, przez wzgląd na tragedię z przeszłości, nastolatką, wytykaną przez wieś palcami?

Westchnęła cicho, gdy poczuła na ramieniu dłoń córki, a potem uśmiechnęła się i lekko pogładziła ją po lśniących, mięciutkich włosach. Zapach ulubionego szamponu do włosów od razu owionął jej zmysły i przyniósł chwilowe ukojenie. Kojarzył jej się z wieczornymi kąpielami, kiedy to podśpiewując wesoło, sadzała córeczkę do pełnej piany wanny, nakładała jej na głowę specjalny, wodochronny kapelusz z dużym rondem i zabierała się do szorowania jej długich, kasztanowych włosów. Wieczory spędzane w ten sposób były ulubioną częścią każdego weekendu, zarówno przez córkę, jak i mamusię. Ubierały się potem w grube, puszyste szlafroki, robiły sobie kakao i siadały w sypialni, przykrywając się szczelnie kocem, opowiadając sobie nawzajem bajki i puszczać wodze wyobraźni, dopóki tej mniejszej z nich nie zaczęły ciężać powieki i nie zapadła w błogi sen.

– Długo jeszcze? – zapytała zmęczona całą podróżą dziewczynka, odrywając Martusią od tych pełnych ciepła wspomnień.

– Już niedaleko.

– To znaczy ile?

– Pół godziny drogi. To już naprawdę bardzo blisko, a potem przyjedzie po nas wujek i już samochodem pojedziemy do Sosenek na pyszny obiad.

– Tak! – ucieszyła się dziewczynka. – A co będzie?

– Tego nie wiem – zaśmiała się. – Może pierogi?

– Pani w przedszkolu nam kiedyś mówiła, że najlepsze pierogi pochodzą z Polski!

Martusia zaśmiała się znowu.

– Zobaczymy. Może ciocia zrobi nam pierogi i będziemy mogły się przekonać – odpowiedziała córeczce i ponownie spojrzała przez okno. Teraz nie jechali już przez las, ale w oddali majaczyły tradycyjne, małe wioski, od których zdążyła odwyknąć przez lata mieszkania w dużym mieście.

– Mamo, a jak właściwie jest w tych Sosenkach? – pociągnęła ją za rękaw spragniona rozmowy Marysia.

– Jak to na wsi. Malowniczo i pięknie – odpowiedziała jej rozmarzonym głosem, wspominając rodzinną wieś.

– Są tam konie i krowy?

– O, w to nie wątpię! Jest tam tyle krów, że jeszcze będziesz miała ich dosyć! – ze śmiechem roztrzepała włosy leżącej na jej kolanach córeczce.

– Super! A kury i kaczki? Ja nigdy nie widziałam kaczki! One naprawdę kwaczą?

Starsza pani przysłuchująca się ich rozmowie wybuchła głośnym śmiechem.

– Oj ty mój mały mieszczychu. Pewnie, że kwaczą! W Sosenkach na pewno są i kaczki, to posłuchasz ich sobie nieraz.

– Ale ekstra! – zaklasnęła w dłonie dziewczynka. – Daleko jeszcze?

Martusia popatrzyła na zegarek. Jeśli pociąg nie będzie miał opóźnienia, powinien dojechać do miasteczka za niecałymi piętnaście minut.

– Jeszcze tylko chwileczka. Właściwie mogłabyś już znaleźć swoje buty i powoli zacząć je wkładać.

– Hura. W końcu! – ucieszyła się dziewczynka i ześliznęła z fotela na podłogę w poszukiwaniu różowych pantofelków, które zrzuciła, żeby móc sobie wygodniej spać.

Martusia natomiast zabrała się za pakowanie porozkładanego dookoła jedzenia i gazet, a potem jej wzrok padł na stojące na przeciwległym siedzeniu niebiesko-czarne, dziecięce nosidło.

– Znalazłam! – dziewczynka ogłosiła wszem i wobec, podskakując na podłodze.

– Świetnie. Włóż proszę te buciki, a potem jeszcze na moment usiądź spokojnie, żebyś się nie przewróciła, jak pociąg będzie hamował.

Martusia popatrzyła na nią z nieco mniejszym entuzjazmem. W jej sercu powoli zaczynał rodzić się niepokój. A jeśli w Sosenkach ludzie nie przyjmą ich życzliwie? Co, jeśli nie znajdzie tam spokoju i będzie zmuszona dalej bez celu szwendać się po świecie?

Jej myśli zaczynały wirować coraz szybciej i szybciej, rozmywając stworzone dotychczas sielankowe wyobrażenie rodzinnej wsi. W Anglii nie było jej najlepiej, ale czy to oznacza, że w Sosenkach musi być dobrze?

Los bywał przewrotny i ta myśl sprawiła, że serce Martusi niemalże wyskoczyło z piersi, kiedy niski głos konduktora ogłosił, że dojechali do miasteczka i pasażerowie proszeni są o opuszczenie pociągu.

– Jesteśmy na miejscu! – ucieszyła się dziewczynka, podskakując z niecierpliwością, zrywając się z siedzenia jak poparzona i udając się w stronę drzwi.

– Wspaniale – bez entuzjazmu odpowiedziała jej Martusia, zarzucając na plecy wypchany po brzegi plecak, zakładając na głowę czarne, przeciwsłoneczne okulary, które idealnie nadawały się na spotkanie z jesiennym słońcem, a potem nachyliła się i wzięła stojące na siedzeniu nosidło, poprawiła nakrywający

je cieplutki kocyk i razem z córką udała się do drzwi.

– Pospiesz się mamo, bo pociąg odjedzie, zanim wysiadziemy! – ciągnąc ją za rękę z całych sił, ekscytowała się dziewczynka. Jej błyszczące, zdrowe włosy związane były w luźny warkocz i połyskiwały we wpadającym do pociągu słońcu, tworząc wokół małej jakąś magiczną aurę i kołysząc się niedbale przy każdym ruchu jej niedużego ciała.

– Nie odjedzie, nie odjedzie – odpowiedziała jej starsza pani. – Konduktor wie, że jedziecie do cici do Sosenek, i na pewno poczeka, aż się tu wszyscy wygramolimy, żebyście mogły dojechać tam spokojnie. Musisz przecież zobaczyć kaczkę, prawda?

– Pani jest bardzo miła, nigdy o pani nie zapomnę! – dziewczynka uścisnęła dłoń kobiety, a potem przytuliła się do niej całym ciałkiem.

– Ty też jesteś fantastyczna. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy! – z takim samym entuzjazmem przygarnęła ją do siebie starsza pani.

Martusia uśmiechnęła się, widząc zachowanie Marysi i ten drobny, czuły gest, który w wykonaniu dziewczynki był co najmniej niespotykany. Jej córeczka nie należała do osób wylewnych, a wręcz przeciwnie. Była raczej skryta i zamknięta w sobie, ale w ich sytuacji to nic dziwnego. Widok tulącej się do obcej kobiety małej naprawdę ją rozczulił. Może to był pierwszy dobry znak będący dowodem na to, że dobrze zrobiła, wracając do Polski?

– Wsiadamy! – Marysia obwieściła wesoło, wyskakując z pociągu na kamienny peron dworca.

Martusia przymknęła oczy i zrobiła głęboki wdech.

– No to czas rozdrapać stare rany – pomyślała, robiąc krok za dzieckiem, i od razu poraziło ją bijące po oczach jesienne słońce.

Nosidło przewieszane przez ramię zakołysało się, przeważając jej ciało na prawą stronę.

Kiedy Martusia jechała pociągiem, bijąc się z myślami, stanowiący specyficzny duet powitalny starsi państwo udawali się właśnie w stronę znajdującej się przy dworcu kwiaciarni.

– Darowałyabyś sobie te kwiaty. Wieńce to się na pogrzeb kupuje, a nie na dzień dobry przy spotkaniu po latach – próbował jeszcze wyperswadować żonie ten pomysł podenerwowany Henryk.

– Nie żadne wieńce, ale elegancki bukiet – pani Halina pozostawała jednak nieugięta.

– Ślubny może od razu, skoro ona panna i z dzieckiem. Może zawczasu kup wiązankę i już zacznij ją swatać. A do tego pierścionek! Że też ty nie wpadłaś na pomysł, żeby z jakimś kawalerem na nią tu czekać, tak jak w Jarka ramiona wepchnęłaś Iwonkę!

– Na swatanie Martusi przyjdzie jeszcze czas! – łapiąc za białe drzwi wejściowe do kwiaciarni, odparowała pani Halina. – A Iwony nigdzie nie pchałam. Sama wlaźła, córka marnotrawna! – oburzyła się na samą myśl o swojej wyrodnej córce i pociągnęła drzwi do siebie, ignorując dalsze wytyki poirytowanego wyprawą męża. Może on się nawąchał czego przed wyjazdem czy co, bo zdawał się pani Halinie co najmniej nie do wytrzymania. A tu takie święto!

Kwiaciarnia była malutka i kameralna, a pierwszym, co rzucało się w oczy zaraz po przekroczeniu jej progu, była niesamowita, stylizowana na starą, lada. Z przepychem zastawiono ją bukietami i wiązkami na każdą okazję. Wśród kwiatowego zapachu unoszącego się w powietrzu królowały głównie róże, goździki, gerbery i lewkonie, zaś w najwyższych wazonach stojących nieco z tyłu piętrzyły się różnobarwne frezje. Wokół lady naustawiano natomiast doniczki z przeróżnymi odmianami kwitnących jak szalone wrzosów. Sprawiały one, że cała ta kompozycja cieszyła nie tylko wzrok, ale pobudzała do działania wszystkie zmysły. Nawet ściany pomalowane fioletową farbą, wbrew

oczekiwaniom zagląających do środka klientów, nie ochładzały, ale wręcz ocieplały to przytulne miejsce wypełnione drobnymi przyjemnościami dla duszy i ciała.

– Ależ tu pięknie – wyrwało się pani Halinie, gdy podeszła do lady i owionęła ją słodkawa, kwiatowa woń.

– To te frezje tak pachną. Cieszę się, że się pani podoba – odpowiedziała stojąca za ladą florystka. Misternie tworzyła właśnie kolejny, delikatny bukiet. Tym razem skomponowany z żółtych tulipanów i różowych goździków.

– W czym mogę pomóc? – zapytała, odrywając wzrok od swojej najnowszej kompozycji.

– Potrzebujemy bukietu dla kobiety, która dawno nas nie odwiedzała. Moja chrześniaczka przyjeżdża po kilku latach emigracji i wypadałoby miło ją powitać. Szukamy czegoś delikatnego, ale z klasą – płynnie odpowiedziała pani Halina, co Henryk natomiast skomentował głośnym kasznięciem. Cała ta kwiatowa woń coraz bardziej drażniła jego nozdrza i płuca.

Obie kobiety natychmiast spojrzały w jego kierunku.

– Mąż ma problemy z gardłem – powiedziała z sarkazmem pani Halina i ledwo zauważalnie pokręciła głową. Że też musiała kiedyś powiedzieć sakramentalne tak właśnie takiemu dziwakowi jak Henryk!

Kwiaciarka posłała starszemu panu pełne litości spojrzenie:

– Oj, to bardzo niedobrze – jęknęła.

Henryk zmieszał się, słysząc jej słowa, i nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– Poczekam na zewnątrz – burknął w odpowiedzi.

– Idź, idź. Samochodu popilnuj. Taki nowoczesny, to żeby nie ukradli – z ironią krzyknęła za nim starsza pani, a potem obróciła się na pięcie i wróciła do zdezorientowanej florystki.

– Może goździki? – kobieta zaproponowała natychmiast, widząc zainteresowanie w oczach klientki. – Dziś rano zrobiłam bukiet z ciemnoczerwonych i herbacianych – dodała, wskazując na jesienny bukiet stojący na samym brzegu lady.

Pani Halina przyjrzała mu się uważnie. Kompozycja barw cieszyła oko, a przede wszystkim była elegancka. Tak jak chciała. Pomarańczowe włosie, które wplątano między nieduże kwiaty, dodawało całości nieco ciepła i charakteru. Aż chciało się wziąć ten bukiet do ręki.

– Idealny – uśmiechnęła się po chwili kontemplacji.

– Bardzo się cieszę.

– Ile płacę? – sięgnęła do torebki po portfel.

– Trzydzieści złotych. Chyba że życzy sobie pani, żeby go bardziej przyozdobić.

Pani Halina ponownie popatrzyła na zgrabniutki bukiet otoczony ciemną zielenią. Kwiaty zdawały się mrugać do niej wesoło i zachęcająco. Nieco uspokajały panujący w jej głowie niepokój.

– Nie, dziękuję. Nie lubię przesady – odpowiedziała po chwili milczenia i podała kwiaciarce banknoty.

– Bardzo proszę – kobieta sięgnęła po bukiet i otarła go z wody.

Pasował do ręki pani Haliny idealnie.

– Mam nadzieję, że będzie się podobał.

Pani Halina uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi i ściskając w dłoni gruby pęk skrzętnie poukładanych kwiatów, ruszyła do drzwi.

– No, idziemy! – po wyjściu z kwiaciarni oznajmiła czekającemu przy barierce mężowi i dumnie niosąc przed sobą bukiet, ruszyła w stronę peronu, na którym wysiąść miała Martusia z dzieckiem.

Starszy pan popatrzył na paradującą z podniesioną głową żonę i kolejny raz zrobiło mu się żal samego siebie. Kochał tę kobietę nad życie, ale kiedy działo się coś, co uznawała za ważne, jej władczość i pewność siebie przyprawiały go o prawdziwy ból głowy. Na kimś musiała przecież wyładowywać

szalejące w jej wnętrzu emocje, a poza nim nikt nie był w stanie na dłuższą metę tego znieść.

– Pospiesz się! Wleczesz się jak osioł. Albo i dwa! – pani Halina ponagliła go, odwracając się przez ramię. Biegając przed siebie, rytmicznie uderzała o kostkę brukową cieniuchnymi obcasikami.

– Za to ty pędzisz jak gazela i w całej okolicy słysząc te twoje kopyta – mruknął pod nosem, ale posłusznie dołączył w końcu do żony.

Gdyby zobaczył ich teraz ktoś znajomy, pewnie parsknąłby śmiechem na widok podekscytowanej miny pani Haliny i wlekącego się u jej boku strutego męża. Istna komedia pędząca w stronę dworca. Różowa dama i zmęczony życiem pan snujący się ospale za nią. Takie widoki powinno uwiecznić się na zdjęciach dla przyszłych pokoleń, a potem wysyłać znajomym na święta.

– Stańże prosto! – gdy znaleźli się w końcu na dworcu, pani Halina kolejny raz szarpnęła męża. Stanęli jako komitet powitalny pod jednym z podtrzymujących daszek słupów i wbili wyczekujące spojrzenia w tory.

– Stoję przecież – Henryk obruszył się urażony.

– Zgarbiony jak wieprz!

– Wieprze się nie garbią, to czworonogi – odparował czerwony ze złości, nie mogąc doczekać się przybycia Martusi. Wierzył, że jego małżonka skupi wtedy całą uwagę na dziewczynie, a on będzie miał w końcu chwilę spokoju.

– I co z tego?! Za to ty nadrabiasz i za nie! – starsza pani nie pozostała mu dłużna i stanęła w końcu obok niego. Nerwowo wyglądała teraz swoją różową garsonkę. – Dobrze wyglądam? – zapytała z przejęciem.

– Dobrze.

– Poważnie pytam, a ty sobie żarty stroisz. I to w takim momencie!

Starszy pan poczuł, jak z jego uszu powoli zaczyna ulatniać się gorące powietrze pod wysokim ciśnieniem.

– Nie żartuję – odpowiedział ze stoickim spokojem.

– Phi. Jasne! Już ja cię znam – pani Halina mruknęła ze złością, słysząc jego opanowany ton, i zapatrzyła się w dal.

– Jada! – krzyknęła po chwili ciszy, podskakując na tych swoich wysokich szpileczkach jak pięciolatka.

Henryk popatrzył na nią i obrzucił ją karcącym spojrzeniem.

– Nie gap się tak, tylko uśmiechnij – upomniała go kolejny raz. – Martusia przyjeżdża, a ty wyglądasz jak mruk. Cieszyć się trzeba! – wykrzyknęła i popędziła bliżej wjeżdżającego na peron pociągu, pozostawiając Henryka samego.

Jej zmieszana z podenerwowaniem radość już nawet go nie drażniła, ale po prostu doprowadzała do szału.

Ale co tam, machnął w końcu na to ręką. Niech się Halina cieszy, skoro jest z czego, pomyślał tylko i podszedł do niej, żeby towarzyszyć żonie w tym wielkim szczęściu. Taka okazja mogła się nie zdarzyć ponownie przez najbliższych kilka lat, a on był przecież dobrym mężem i przez cały czas trwania ich małżeństwa zdążył się już nawet nauczyć, że najlepiej ustawiać się u boku małżonki, i to nie tylko do zdjęć. Na tym zwykle wychodził najlepiej, bo jego żona miała przedziwny dar przyciągania do siebie ludzi, czego on, nawet jeśli usilnie chciał, po prostu nie potrafił zrozumieć.

– Są! – krzyknęła w końcu po dłużej się w nieskończoność chwili oczekiwania, gdy dostrzegła idącą w ich stronę Martusią taszczącą na przedramieniu wielkie, dziecięce nosidło.

– Ja myślałam, że te dziecko to jest jakieś większe – pani Halina szturchnęła w ramię stojącego obok męża, nie odklejając od twarzy uśmiechu.

– No rzeczywiście. Dziwna sprawa – Henryk pokiwał głową, gdy Martusia razem z nosidłem powoli

się do nich zbliżała.

– Może chore? – zdążyła powiedzieć jeszcze tylko pani Halina, bo dziewczyna rozpoznała ich w końcu w tłumie i natychmiast do nich podeszła.

– Ciocia, wujek! – krzyczała już z daleka, rozchylając usta w szerokim uśmiechu. – Ależ ja się za wami stęskniłam! – dodała i rzuciła się w ich stronę, by serdecznie uściskać dawno niewidzianą rodzinę.

– Witaj kochana, witaj – cmokała ją w policzki pani Halina, ściskając w dłoni bukiet goździków. – Ciebie też dobrze widzieć.

– Witaj na polskiej ziemi! – wkroczył do tego ściskania również i Henryk i zaraz to on został otoczony przez ramię Martusi.

– Cześć wujku – uśmiechnęła się do niego i ucałowała jego gładko ogolony policzek. – A to jest Marysia – odsunęła się w końcu od wujostwa na kilkanaście centymetrów, popychając w ich stronę lekko zdezorientowane dziecko.

Starsza pani popatrzyła na dziewczynkę zainteresowana, a potem pochyliła się do niej i wyciągnęła w jej stronę pomarszczoną rękę.

– Marysiu, przywitaj się z ciocią – Martusia ponagliła cicho swoją córeczkę, która ociągając się nieco, podała w końcu starszej pani rękę.

– Maria – przedstawiła się z elegancją.

– Halina – odpowiedziała starsza pani. – Jak ci minęła podróż? – zapytała dziewczynkę.

– Trochę długo jechaliśmy.

– Ano masz, kawał drogi w końcu! – dołączył do żony Henryk, na co mina Marysi zrzędła natychmiast i dziewczynka zrobiła krok w tył, chowając się za drobnym ciałem mamusi.

Starsi państwo popatrzyli po sobie.

– Marysia reaguje lękiem na obce osoby – pospieszyła im z wyjaśnieniami Martusia. Nie zamierzała od razu podawać wujostwu prawdziwej przyczyny zachowania Marysi. Dawno się przecież nie widzieli i któreś z nich mogło być chore na serce. Jej tajemnica z Londynu niejednego staruszka przyprawiłaby o zawał. Woląta więc być ostrożna.

Pani Halina pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Iwona w młodości bała się mężczyzn z wąsami, więc znamy to doskonale, prawda Henryku? – zwróciła się do męża.

– Tak – pokiwał głową również starszy pan.

– Ach, to dla ciebie, Martusiu! – puknęła się natomiast w głowę starsza pani, uprzytomniając sobie, że nadal ściska w dłoni przepiękny, jesienny bukiet.

Martusia uśmiechnęła się lekko, widząc bukiet z goździków, i zakłopotała się nieco.

– Ależ nie trzeba było...

– A nie mówiłem! – wypalił Henryk.

– Trzeba było, oj trzeba. Wracasz do nas, to musimy cię należycie przywitać! – zaśmiała się natomiast głośno pani Halina, spojrzała karcąco na męża i wręczyła Martusi prezencik.

– Marysiu, mogłabyś... – Marta wyciągnęła kwiaty w stronę kryjącej się za jej plecami dziewczynki. Ta popatrzyła na matkę niepewnie, ale wzięła w końcu wiązankę i zanurzyła w niej swój mały nosek.

– Słabo pachną – skomentowała kwiaty. – Ale za to są śliczne – dodała, a twarz pani Haliny natychmiast się rozpromieniła.

Henryk poprawił natomiast ciasno zawiązany pod szyją krawat i westchnął ciężko, widząc rozpromienioną twarz pani Haliny. Nikt nie był tak łasy na komplementy jak jego żona. A przynajmniej on, w swoim kilkudziesięcioletnim życiu nie spotkał jeszcze takiego człowieka.

– No, ale powiedz Martusiu, co ty masz w tym nosidle?! – po chwili milczenia zapytała w końcu

starsza pani, nie ukrywając nawet, że wcale nie jest ciekawa, co też ukryła w tym dziwnym środku transportu jej córka chrzestna.

Martusia spuściła wzrok i głośno nabrała w płuca powietrza.

– Bo widzisz ciociu, nas to właściwie jest trójka – powiedziała niepewnie, patrząc na minę starszej pani i szykując się na najgorsze.

– Ale jak to, trójka? – zamruwała powiekami pani Halina.

– Mam dwójkę dzieci.

Starsi państwo kolejny raz popatrzyli po sobie.

– Tak – odchrząknął w końcu Henryk.

– Wspaniale – zmusiła się do uśmiechu pani Halina. – A mąż?

Martusia poczuła, że oddychanie sprawia jej coraz większą trudność, a serce zaczyna bić szybciej.

– Nie mam męża – odpowiedziała zgodnie z prawdą, starając się brzmieć jak najbardziej spokojnie.

– Aha – pani Halina pokiwała głową i na chwilę zapanowała niezręczna cisza.

No bo co też ludzie we wsi powiedzą? Nie dość, że z brzuchem wyjeżdżała, to wraca z dwójką! W dodatku nadal panna!

– A to chłopiec czy dziewczynka? – przerwał po chwili nieprzyjemne napięcie pan Henryk, zerkając ukradkiem na Marysię, która nadal nie odrywała nosa od kwiatów i gładziła paluszkami ich delikatne płatki.

– Chłopiec.

– Och, czyli parka! – zaklasnęła w dłonie pani Halina.

Martusia uśmiechnęła się blado. Nosidło zaczynało powoli ciążyć jej na ręce.

– A jak ma na imię?

– Krzyś.

– Polsko i wspaniale! – kolejny raz zmusiła się do uśmiechu starsza pani, snując już w głowie scenariusze, co też ona we wsi powie, jak ludzie zaczną plotkować, że wpuszcza pod swój dach puszczałską srokę razem z dwójką nieślubnych dzieci. Gdyby to chociaż narzeczony był, to już lepiej by to wszystko wyglądało...

– A ojciec Krzysia? – zapytała popychana nadzieją, że może chociaż Martusia ma w tej Anglii narzeczonego, bo wiadomo, że wtedy przynajmniej byłby mniejszy wstyd.

Dziewczyna nerwowo przełknęła ślinę i przestąpiła z nogi na nogę. Jej serce kolejny raz uderzyło mocniej, a oddech ponownie stał się płytszy.

– Nie jesteśmy już razem – przyznała zgodnie z prawdą, starając się zdradzać i tak zdenerwowanemu wujostwu jak najmniej szczegółów ze swojego życia. Przecież zaraz i tak mieli przeżyć kolejny duży szok. A nawet największy!

– Bardzo niedobrze, oj bardzo – pokręciła głową pani Halina. – Pijak jakiś pewnie, co?

– Halina! – wyratował Martusię z opresji Henryk. – Będzie czas, to się dowiemy! Teraz chodźmy może już z tego peronu, bo widzisz, że dziewczynie z dzieckiem i bagażami ciężko.

Martusia popatrzyła na wujka z wdzięcznością, pomimo że nadal paraliżował ją strach.

– Może ci pomóc z tym nosidłem? – zaproponował Henryk.

– Nie, nie. Dam sobie radę...

– Ty głupot nie gadaj! – wtrąciła się pani Halina i z typowym dla siebie impetem zrobiła krok w kierunku Martusi. – Daj tego Krzysia natychmiast! Widać, że zmęczona jesteś podróżą, a Henryk da sobie radę. Swoją drogą, mogłabyś nam pokazać tego maluszka... – uśmiechnęła się w końcu i ku przerażeniu Martusi zaglądając do nosidła, odsłoniła niebieski kocyk.

– O matko i córko.... – wyszeptała tylko, odskakując od Martusi jak poparzona, a potem natychmiast

się przeżegnała. Jej źrenice w jednej chwili stały się naprawdę ogromne.

Henryk popatrzył na żonę zaniepokojony, a młodej dziewczynie zakręciło się w głowie. Spodziewała się, że będzie źle, ale nie myślała, że ciotka zareaguje aż tak.

– O matko kochana – powtórzyła pani Halina, łapiąc męża za ramię, gdy uświadomiła sobie, że jej cała reputacja na wsi w jednym momencie legła w gruzach.

– Halka kochanie, co się stało? – zapytał Henryk, podtrzymując słaniającą się na nogach żonę.

– Zajrzyj do nosidła – wydusiła słabo i opadła na stojącą obok nich ławkę, dysząc ciężko.

Starszy pan popatrzył to na żonę, to na nosidło, ale podszedł w końcu do Martusi. Dziewczyna przekreśliła nosidełko bardziej w jego stronę, ukazując mu śpiącego Krzysia, a potem wstrzymała oddech.

– O Matko Boska Częstochowska! – natychmiast odskoczył od dziecka, łapiąc się za serce. – I co my teraz zrobimy?! – zwrócił się z przerażoną miną do siedzącej na ławce w przedzawałowym stanie Haliny i złapał się za głowę.

– A to nas Bóg pokarał... – szepnęła tylko pani Halina i zamrugła gwałtownie, chcąc pozbyć się widoku dziecka sprzed oczu.

– Co im się stało? – odrywając się w końcu od kwiatków, zapytała natomiast mamusię zdezorientowana Marysia.

– Wujek z ciotką trochę źle się poczuli – wyjaśniła jej zaniepokojona nie na żarty Martusia i wolną ręką pogłaskała miękkie włosy córeczki.

– Aha.

– Przepraszam na moment, ale muszę zadzwonić – rzuciła nagle pani Halina, zrywając się z ławki. – A ty zakryj jakoś to dziecko – powiedziała do Martusi, siląc się na uprzejmość. – Jeszcze się przeiębi. I idźcie lepiej z Henrykiem do samochodu.

Starszy pan spojrział na żonę porozumiewawczo, a potem skinął głową.

– Tak. Krzys jeszcze mały, a pogoda u nas niepewna. Nie ma co ryzykować – powiedział i zupełnie ignorując Martusię, zakrył nosidło kocykiem i ruszył w stronę auta. Wziął bagaż, który przywiozły ze sobą emigrantki, a potem sprawnie wyminał rozmawiającą przez telefon żonę i poprowadził gości do samochodu. Przez cały czas bacznie rozglądał się, czy też nikt znajomy ich razem nie widział.

– Iwona! – rzuciła natomiast do telefonu starsza pani, kuląc się przy jednej z peronowych ławek. Jednocześnie obserwowała, czy nie ma dookoła niej żadnych przechodniów.

– Coś się stało? – rozległ się po drugiej stronie słuchawki zaniepokojony głos Iwonki.

– Matko kochana, córeczko, Bóg nas pokarał. Ja nie wiem, co mam robić... – na jednym tchu wydusiła starsza pani, wykrzywiając przy tym twarz w bolesnym grymasie.

– Boże mammo, o co chodzi?!

– Martusia wróciła.

– To wiem.

– Nie z jednym dzieckiem, ale dwójką – powiedziała z rozpaczą starsza pani, nadal mając przed oczyma ten straszny widok, który wymalował się przed nią chwilę temu.

– Aha. Bez męża?

– Bez.

– Panna z dwójką dzieci... – zamyśliła się przez chwilę Iwonka. – Nie no mammo, nie jest tak źle, mogło być przecież gorzej, nie panikuj. Pogadają na wsi, pogadają, ale w końcu im się znudzi. W dwudziestym pierwszym wieku panna z dzieckiem to już nie taki wielki skandal...

– Boże Iwonka – pani Halina zapłakała do słuchawki, przerywając córcę. – Ale to nie o to chodzi. Dwójka dzieci, no trudno, dziecko Bogu ducha winne.

– To o co?! – na nowo podekscytowała się Iwona.

– Chodzi o to, że to dziecko jest... – szepnęła rozpaczliwie starsza pani z bijącym sercem, rozglądając się na boki.

– Jakie jest mammo?! Chore?!

– Gdzie tam chore... – ponownie zapłakała do słuchawki. – Ono jest... – wzięła głęboki oddech. – Iwona, to dziecko jest czarne! – wydusiła w końcu i zaczęła zalewać się łzami.

– Jak to czarne?! – Iwonka nie zdołała ukryć zdziwienia.

– Normalnie. Czarne jak heban, kawa, bezksiężycowa noc!

– Oż cholera... – zakłęła.

– No właśnie... – zapłakała pani Halina. – I co ja mam teraz robić?! Do wsi ją wieźć? Taki wstyd, taki wstyd – zaczęła lamentować, kuląc się na ławce jeszcze bardziej.

– Nie no, coś trzeba będzie wymyślić... – spróbowała uspokoić matkę równie rozemocjonowana Iwona. Takich rzeczy to jeszcze w Sosenkach nie było!

– Ale co? Obiecałam ją pod dach przyjąć, to jej przecież nie zostawię!

Iwonka zamyśliła się na chwilę.

– Wiem! – wykrzyknęła w końcu do słuchawki.

– Mówże córeczko, mów. Każdy pomysł będzie w tej sytuacji dobry.

– A po co ona ma z tym dzieckiem na wieś wychodzić, skoro wszyscy myślą, że z jednym przyjechała?

Starsza pani wyprostowała się lekko.

– Niech tak zostanie – kontynuowała natomiast Iwonka. – O drugim będziemy wiedzieli tylko my. Trzeba je ukryć w domu do czasu, aż nie znajdziemy lepszego rozwiązania. My się będziemy zastanawiać, co zrobić, na wsi temat Martusi umilknie, a potem...

– Co potem, no co?!

– Nie wiem, mammo, może ona wcale nie będzie chciała zostać w tych Sosenkach. Tyle lat mieszkała w mieście, to ją może tam ciągnąć, nie uważasz? Na co jej ta zabita dechami wieś?

Starsza pani uśmiechnęła się pod nosem.

– A gdyby jej tak pokazać, że u nas średniowiecze, życie ciężkie, luksusów nie ma i obrzydzić jej tę wieś? – mówiła dalej Iwona.

Pani Halina uśmiechnęła się jeszcze bardziej.

– Dziecko kochane, za kim ty taka mądra. Tak! – natychmiast się wyprostowała. – No przecież! Sosenki taka dziura, że nikt by tu na dłuższą metę nie wytrzymał. Na co naszej Martusi z Londynu taka wieś, masz rację!

– No właśnie – przytaknęła tylko Iwona. – Tylko dowieźć ich jakoś musisz po kryjomu, żeby nikt nie widział tego dziecka, bo wiesz...

– Masz rację kochanie, masz rację – starsza pani zaczęła w końcu ponownie myśleć trzeźwo. – Ciemną nocą się ich dowiezie. Że niby Henryk zabłądził albo inne takie. Na wycieczkę może ich zabierzemy. O, wiem! Na piknik do lasu. Z dala od ludzi.

– Bardzo dobry pomysł, bardzo. Nie ma co afiszować się w dzień. Goście zmęczeni po podróży i...

– Dobrze, Iwona, to ja idę do ojca i każę mu jeździć po okolicy bez celu, a ty zadzwoń do Michaliny i ją uprzedź. Nie! – krzyknęła głośnie. – Ty tam Iwona lepiej jedź, bo ona ma serce słabe i może tego nie wytrzymać. I usuńcie z domu różne luksusy. Koniecznie internet! Niech Martusia nie myśli, że nam się przelewa. U nas w Sosenkach bieda aż piszczy i bardzo, ale to bardzo jest źle – powiedziała z przekąsem, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Dobrze – przytaknęła matce Iwonka.

– Szykuj się i natychmiast jedź. I bądź pod telefonem! – zarządziła jeszcze starsza pani i rozłączyła się, nadal nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie się stało.

Czarne dziecko, cholera jasna. W Sosenkach?! Przecież jeśli to się wyda, to jej życie legnie w gruzach, o pozycji w hierarchii społecznej nie wspominając. Będzie stracona. Wszyscy będą. Cała rodzina! Z pokolenia na pokolenie ciążyć będzie nad nimi to czarne widmo i krążyć nad ich głowami jak śmiertcionośny sęp, który, notabene, żywi się przecież padliną, ale to nic! Nic, tylko stryczek na szyję albo kula w tył głowy. Ludzie ze wsi i tak będą mieli problem z tym, że panna z dzieckiem przyjechała, a co dopiero, gdy dowiedzieliby się, że...

Nie! Te słowa nie chciały przejść pani Halinie ponownie przez gardło.

– Taki wstyd, Panie Boże, taki wstyd – szepnęła więc tylko sama do siebie i nie ciesząc się jesiennym słońcem, ruszyła do zaparkowanej mazdy, żeby jak najszybciej zabrać Martusię i tego jej Krzysia z miasteczka, a potem ukryć gdzieś i wrócić do domu dopiero pod osłoną nocy.

– A to się porobiło, co? – gdy dotarła do samochodu, nachylił się do niej Henryk.

Zacząła objaśniać mu swój diaboliczny plan.

– No ale nie ma chyba innego wyjścia – skomentował to wszystko blady jak ściana mąż, a potem posłusznie wsiadł do samochodu i zaczął jeździć po okolicy bez celu, starając się być jak najbardziej niezauważalnym, niemalże przez cały dzień.

– W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... – modliła się natomiast nieustannie w myślach pani Halina, gdy na zmianę to napływała, to odpływała z jej twarzy krew. Taki wstyd jeszcze żadnej rodziny w Sosenkach nie spotkał. A nawet w całym powiecie!

Phi. Jeśli by zastanowić się nad tym głębiej, to pewnie i w całym województwie biała panna z czarnym dzieckiem do domu z Anglii nie wróciła. O, co to, to na pewno nie!

Po kilkugodzinnym jeźdzeniu bez celu załodze z niebieskiej mazdy udało się w końcu dotrzeć do Sosenek. Nastroje w samochodzie panowały przeróżne. Od zupełnego wyczerpania w wykonaniu zmęczonej podróży Marysi, po niepokój i przerażenie wyglądanie przez okno pani Haliny, aż do zupełnej obojętności Martusi, która próbowała zrozumieć, dlaczego wujostwo ciągało ją po lasach i okolicznych łąkach. Bo przecież na pewno nie po to, żeby pokazać piękno rodzimych krajobrazów, jak uparcie twierdziła ciotka.

– Ale ciociu, ja zupełnie nie widzę sensu w chodzeniu teraz po tych polach – spróbowała nawet zaprotestować podczas jednej z wędrówek. – Nie zapomniałam, jak wyglądają łąki i rżyska. Naprawdę.

– Oj dziecko, dziecko. Ty może pamiętasz, ale Marysia na pewno nigdy Polski nie widziała i trzeba jej wszystko dokładnie pokazać! – z niespotykanym entuzjazmem oznajmiła ciotka.

Martusia popatrzyła na swoją zmęczoną córeczkę.

– Nogi mnie bołą, mamusiu. Możemy już jechać? – dziewczynka zapytała z niezłomną nadzieją i przetarła dłońmi rozspane oczy. Cała ta Polska nie do końca jej się podobała. – Błoto tu tylko i trawa. Nic pięknego – ośmieliła się nawet powiedzieć na głos.

– O, kochana. Co to, to nie! – natychmiast podchwyciła temat pani Halina. – Polska jest wspaniała, nawet jesienią. Popatrz na te wszystkie krajobrazy, które rozciągają się przed tobą, i pomyśl, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu ludzie umierali, żeby należały do nas! Pod naszą kapliczką we wsi pochowano nawet kiedyś kilku powstańców, a każdy z nich tak był zmasakrowany, że żadnego poznać nie mogli przy pochówku!

– Ciociu! – zaprotestowała Martusia. – Nie powinnaś chyba opowiadać o tak tragicznych rzeczach kilkuletniej dziewczynce!

– A czemu nie? Patriotyzm powinno się kształtować już od wczesnego dzieciństwa! Niech Marysia

wie, że to nie są jakieś tam zwykłe krajobrazy. To historia!

– Ale tutaj jest tylko trawa i lasy. Chciałabym zobaczyć jakieś inne... – marudziła dalej dziewczynka. – Te już mi się znudziły. Wiem już, jak wyglądają łąki. Nie ma w nich nic nadzwyczajnego.

– Zaraz inne! Może morze albo góry od razu! Albo jakieś inne tropiki! Nie bredź, Marysiu, nie bredź! Polska wieś jest tak piękna, że nic piękniejszego od niej nie ma i bez dyskusji! – obruszyła się w końcu pani Halina. – Idziemy dalej! – pogoniła ociągające się w spacerowaniu towarzystwo, machając w ich stronę pomarszczoną dłonią. – Dużo jeszcze mamy do oglądania.

– Mamusiu... – spróbowała jeszcze Marysia.

– Co ja mogę dziecko? No co ja mogę... – szepnęła do niej tylko Martusia i bezsilnie rozłożyła ręce, a potem wzięła córeczkę w ramiona i niosła ją aż do momentu, w którym starsza pani nie zarządziła postoju, bo użądliła ją osa. Natychmiast zaczęła puchnąć jej kostka.

– Może to znak, że powinniśmy wracać? – Martusia popatrzyła na ciotkę.

– O nie! Musimy was należycie powitać na rodzimej ziemi – starsza pani natychmiast zerwała się na nogi, nie zważając na pulsujący ból w kostce.

Krew zagotowała się w Martusi, gdy usłyszała te słowa, i poczuła, że ma ochotę udusić ciotkę gołym rękoma, a potem zostawić jej martwe zwłoki gdzieś na tej pięknej, rodzimej ziemi. Co ona sobie wyobraża? Normalni ludzie po całodobowej podróży zabierają swoich gości do spokojnego domu, żeby mogli odespać zmęczenie i odpocząć, a ciotka? Istny wulkan energii. Pamiętała jeszcze z dzieciństwa, że matka chrestna od zawsze była energiczna i pomysłowa, ale tym razem zdawała się po prostu przesadzać.

– No, jesteśmy w końcu na miejscu! – po ponadgodzinnej podróży do Sosenek, podczas której udało się zabłądzić Henrykowi aż trzy razy (co młodej kobiecie wydało się po prostu śmieszne), dotarli w końcu na imponujących rozmiarów posesję wujostwa.

– Hura – bez entuzjazmu powiedziała Marysia, podnosząc głowę z kolan Martusi, na których leżała większość drogi, starając się zasnąć. – Będziemy mogli iść spać? – zapytała z nadzieją.

– Zaraz spać! – natychmiast odpowiedziała jej ciotka Halina. – Najpierw kolacja! Michalina na pewno upichciła dla was coś wspaniałego, a z Mazur przyjechała z tej okazji Iwonka z dziećmi. Wiesz, Marysiu, gdzie w ogóle są Mazury i co tam jest?

Dziewczynka pokręciła głową, a Martusia miała ochotę od razu nią potrząsnąć. Jeszcze szalona ciotka gotowa była wykorzystać tę niewiedzę i wywieźć ich gdzieś na Mazury, każąc szwendać się dla odmiany brzegami jezior, przedzierać przez szuwary i zachwycać łódkami.

– Będziemy musieli to kiedyś nadrobić – ku wielkiej uldze Martusi powiedziała jednak ciotka.

– Dzięki Bogu – westchnęła.

– Co?

– Nie, nic ciociu. Mówiłam tylko, że Krzys zrobił się głodny.

Mina starszej pani od razu zrzędnęła na myśl o tym małym dziecku.

– Ty go nakryj szczelnie kocem, zanim wysiądziesz! – odwróciła się do tyłu, o mało nie skręcając sobie karku. – Zimno o tej porze. Żeby nie zachorował, bo u nas służby zdrowia to praktycznie nie ma.

– Jak to nie ma? Była tu przecież kiedyś przychodnia.

– Ano była, ale już nie ma – skłamała z premedytacją, zatajając przed Martusią fakt, że jest w wiosce jeden internista, a raczej, jak to się w Sosenkach na niego mawiało, konował pierwszego kontaktu. Od lat nie pracował jednak w Narodowym Funduszu Zdrowia, ale przyjmował prywatnie.

– I co teraz? Do miasteczka trzeba jeździć?

– Ano trzeba. A tam takie kolejki, że matko kochana – odpowiedziała, wysiadając w końcu z samochodu. – Ale na szczęście mamy w lesie zielarkę.

– Kogo?

– Zielarkę. Nie wiesz, kto to?

– Wiem, kto to jest zielarka. Po prostu trudno mi uwierzyć, że ludzie w dwudziestym pierwszym wieku korzystają z usług znachorki.

– O, wypraszam sobie! Żadna ona znachorka. Ziółkami leczy. Medycyna naturalna od wieków najzdrowsza, każdy profesor ci to powie!

Dziewczyna popatrzyła na nią skonsternowana. To, czego się dowiedziała, było co najmniej... dziwne? Przerazające? Martusia nie umiała znaleźć dobrego słowa, by określić swoje odczucia, ale jak się okazało, nie miało to większego znaczenia. Gdy tylko postawiła nogi na brukowej kostce i ruszyła w stronę drzwi wejściowych za ciotką, do jej nozdrzy dotarł słodki aromat.

– Co tak ładnie pachnie? – zapytała, niosąc na ramieniu niebieskie nosidełko z wiercącym się Krzysiem, i rozkoszowała się przyjemnym zapachem.

– Jabłka, a co innego! – burknęła ciotka. – Z sadu zalatuje, bo wiatr ciągnie z tamtej strony, to pachnie.

Martusia skinęła głową. Popatrzyła w stronę sadu i uginających się pod ciężarem owoców drzewek.

– Piękne – szepnęła i spojrzała na jaśniejący na niebie księżyc. Dzięki owocowej woni pierwszy raz od powrotu do kraju poczuła, że wróciła do domu. Zapach przypominał jej beztroskie dzieciństwo, gdy razem z okolicznymi dziećmi przybiegała do pełnego jabłek sadu i wskakiwała na chylące się do ziemi gałęzie, a potem zajadała jabłka, dopóki nie rozbolał jej brzuch.

– No chodźże w końcu do środka! – ciotka ponagliła ją nerwowo, rozglądając się dookoła, czy też nikt z sąsiadów nie zauważył, że Martusia nie przyjechała z jednym dzieckiem, ale z dwojgiem.

– Tak, ciociu. Już idę – oderwała wzrok od sadu i niechętnie weszła do środka domu, gdzie, dla odmiany, natychmiast uderzył ją zapach pieczonego mięsa i duszących, zdecydowanie zbyt ciężkich, kwiatowych perfum, jakimi pryskała się namiętnie starsza kobieta stojąca przed lustrem.

– O, jesteście! – odezwała się na widok zmęczonej całodziennym chodzeniem po łąkach procesji i odstawiła na szafkę pod lustrem fikuśny flakonik. – Jestem Michalina, gosposia! – dziarskim krokiem podeszła do Martusi. Dziewczyna znalazła się w jej objęciach, robiąc wielkie oczy z obawy przed uduszeniem.

– Tak. Panią też miło poznać – powiedziała w końcu, wyswobodzając się z ramion starszej kobiety.

– A tam, miło. Ja tu tylko o dom dbam! – machnęła ręką Michalina i ku przerażeniu Martusi rzuciła się w stronę przejętej nową sytuacją Marysi.

– Tylko niech pani tak mocno jej nie ściska... – szepnęła młoda mama i z niepokojem spojrzała na kaszlącą od duszącego zapachu córeczkę, której oczy zdawały się aż prosić o ratunek.

– To może my pójdziemy się odświeżyć. Mogłaby nas pani zaprowadzić?

– Na górę i prosto, korytarzem do końca. Tam dla was przyszykowałam pokój i łazienkę.

– Wspaniale.

– Zanieść walizkę? – zaoferowała się gosposia.

Martusia popatrzyła to na bagaż, to na jej wątłe ciało. Dźwiganie go przez Michalinę nie wydało jej się dobrym pomysłem.

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie – zdążyła powiedzieć tylko w tym samym momencie, w którym starsza pani zasadziła się na plecak.

– Iwona miała cięższe – obwieściła jedynie Michalina i poprowadziła zmęczonych podróżnych na górę.

Dziewczyna pokręciła tylko głową, niedowierzając w to, co zobaczyła, i dźwigając nosidło z wiercącym się Krzysiem, ruszyła pospiesznie na górę. Nie marzyła o niczym innym, jak tylko o chwili spokoju z dala od zwariowanej ciotki i momencie odpoczynku. Podobnie zresztą, jak jej pobladła

z niewyspania córeczka i wyczerpany dniem synek, którego natychmiast trzeba było przewinąć.

Kiedy Martusia szła z dziećmi na górę, w kuchni rozgorzała prawdziwa dyskusja, której uczestnikami, chcąc nie chcąc, stali się pani Halina, Henryk, Jaruś, Iwonka oraz jej córka Agatka, ponieważ reszta młodzieży, ze względu na coraz bardziej ciężarny stan Magdy (przyszłej synowej Iwony), postanowiła zostać w siedlisku.

– I co, i co? – ocierając z czoła kilka kropelek potu, wpadła do kuchni zziębiona po całej wyprawie pani Halina.

– O co pytasz, mam? – spojrzała na nią Iwonka. W ręce trzymała widelec, którym przed chwilą sprawdzała, czy ziemniaki już się ugotowały. – To raczej my powinniśmy was o to zapytać. Coście robili z Martusią i dziećmi przez cały dzień?

– Matko, Iwona, jaka ty głupia jesteś! Pytam, czy luksusy z domu pousuwałaś, a ty swoje. Są sprawy ważne i ważniejsze!

Iwonka popatrzyła na matkę pełnym wyrzutu wzrokiem i już otwierała usta, żeby coś powiedzieć gdy...

– Pousuwała, pousuwała! – chcąc zapobiec wiszącej w powietrzu awanturze, wkroczył do rozmowy Jarek.

Odkąd Iwona z dziećmi wyprowadzili się z Sosenek, kłótnie między tą pierwszą a jej matką stały się chlebem powszednim i cała rodzina doświadczała ostatnio ich brzemiennych skutków w postaci niekontrolowanych napadów płaczu Iwonki albo przenoszenia przez nią złości na domowników siedliska.

– Chociaż tyle. Internet odłączyłaś?

– Tak mam! Jak prosiłaś! – nieco zbyt ostro odpowiedziała Iwonka.

– Chociaż jedno, po tym jak mi dzieci zabrałaś! – nie wytrzymała w końcu pani Halina. – Jednak do czegoś się nadajesz!

– No chyba sobie żartujesz! – odcięła jej się Iwonka, powstrzymana gestem dłoni przez Jarusia.

– Ja nie wiem, za co mnie to życie tak karze. Nie dość, że córkę mam wyrodną, to jeszcze dziecko czarne do domu mi przywożą – zwróciła się natomiast do męża pani Halina.

– Boże... Babciu, dałabyś już spokój z tą wyprowadzką.

– Nie pyskuj mi, Agatka. I ty przeciwko mnie? Od zawsze wiedziałam, że wdałaś się w matkę! Widać to po oczach!

– Halinka, kochanie, no ale co ty gadasz...

Iwonka poirytowała się nie na żarty, stając w obronie swojej córki niczym lwica.

– Niech gada, proszę bardzo, ale niech nie liczy na to, że jej to ujdzie na sucho! Co innego obrażać mnie, a co innego moje dzieci! Taką się zrobiła histeryczką, że nie ma się co zastanawiać, dlaczego Bóg na was zesłał takie nieszczęście. Widać nie mógł już patrzeć na to, co ona odstawia! Każdy ma swoją cierpliwość. Nawet Trójca Święta!

– Że co proszę?! – doskoczyła do córki pani Halina.

– Ale Halinka, proszę cię...

– Nie odzywaj się! – ryknęła na męża. – A tobie jak tak źle, to proszę bardzo. Fora ze dwora, nie musisz mnie słuchać! – zwróciła się do Iwony, wskazując na nią palcem.

– I bardzo dobrze, bo nie mam już do tego siły. Ojca to powinni świętym zrobić od razu za to, że to znosi. Każdy inny na jego miejscu toby się pochlastał! Idziemy! – krzyknęła na cały głos Iwonka i paradnie wymaszerowała z kuchni, pozostawiając resztę rodziny w zupełnej konsternacji.

– No co tak stoicie? Idźcie za nią, bo jeszcze z tej złości sobie coś zrobi! – warknęła na Jarusia i Agatkę pani Halina. Ci dwoje popatrzyli po sobie przez chwilę, ale w końcu posłusznie opuścili głowy i również wyszli z kuchni.

– To by było na tyle... – gdy zostali z żoną sami, westchnął Henryk.

– Mówiłeś coś? – warknęła i na niego.

– Nie, nie! – pokręcił głową.

– I dobrze. Prąd idź lepiej wyłącz, korek wyciągnij! Powie się Martusi, że u nas na noc w ramach oszczędności wyłączają.

– Ale Halinka, czy ty aby nie przesadzasz?

– Rób, co mówię! Mało ci jeszcze, że córka się na mnie wyżywa? Mało!?

– Nie no, skąd.

– To rusz się, co tak stoisz! – zarządziła pani Halina i opadła ciężko na stojący pod oknem taboret.

Henryk patrzył na nią jeszcze przez chwilę, ale w końcu i on się poddał i postanowił spełnić prośbę żony. Jak to mówią, lwa się nie drażni, czy jakoś tak. A z lwicą pokroju pani Haliny lepiej było nie dyskutować. Cała rodzina wiedziała to nie od dziś i tylko Iwonka miała tyle wewnętrznej odwagi, żeby przeciwstawić się władczej matce. Jak zresztą widać, niezwykle skutecznie.

– No i masz! – wciągając w płuca powietrze, w którym czuć było coś dziwnego, westchnęła jeszcze pani Halina. – Przypaliła mi ziemniaki! – powiedziała sama do siebie po chwili zastanowienia i zerwała się ze stołka, żeby uratować chociaż garnek.

– To by było tyle, jeśli chodzi o kolację – dodała sobie w myślach. – Ale może to i dobrze? Nie ma co przekarmiać Martusi, żeby na stałe w Sosenkach nie osiadła – pomyślała, zalewając garnek wodą dokładnie w momencie, w którym zgasło światło.

Henryk wyłączył prąd.

– Prądu nie ma! – rozległo się natychmiast z góry wołanie zmieniającej pościel w sypialni dla Martusi Michaliny.

– No przecież jak zawsze – zbliżając się do schodów, odkrzyknęła jej pani Halina i skarciła się w duchu, że nie uprzedziła o swoim ostatnim pomysle gospodyni. Przez tę niewdzięcznicę, Iwonkę, nawet to wyleciało jej z głowy.

A może to z powodu Martusi? Teraz to już pani Halina sama nie wiedziała, dlaczego właściwie jest zdenerwowana.

– Co?! – Michalina chyba nie usłyszała przełożonej, bo ponownie rozległ się po domu jej głos.

– Idę już, idę – starsza pani pokręciła głową i po omacku ruszyła na górę, żeby już za moment znaleźć się obok zapracowanej Michaliny tonącej samotnie w ciemności. – Gdzie Martusia?

– W łazience, Marysię kąpie. Na szczęście pozapalałam jej do kąpieli świeczki. Co z tym prądem?

– Henryk wyłączył – szepnęła konspiracyjnie, nachylając się do swojej gosposi.

– Ale jak to? Po co?

– Oj! Żeby Martusi za bardzo się u nas nie spodobało.

Michalina zamyśliła się na chwilę, ale w końcu pokiwała twierdząco głową.

– Ach, tak. Rozumiem. To część planu.

– No właśnie – pani Halina niedyskretnie rozejrzała się dookoła. – Ty też jej tu za wygodnie nie ściel. Nie ma co przesadzać.

– Może jej ziarnko grochu pod materac wsadzić? – próbując ukryć uśmiech, zaproponowała Michalina.

– A wiesz... to by było niegłupie – powiedziała po chwili milczenia pani Halina zupełnie poważnie, zaskakując tym samym swoją pracownicę. – Ale skąd ja po ciemku wezmę groch? W życiu go w kuchni nie znajdę.

Gospościa popatrzyła na przełożoną nieufnie. Cisnęło jej się na usta, żeby powiedzieć, że to przecież nieludzkie. Jednocześnie wiedziała, że w pewnych sytuacjach lepiej ugryźć się w język, a każda z rozmów z panią Haliną była właśnie taką chwilą.

– Nie ma prądu – mało odkrywczo wyratowała Michalinę z opresji Martusia. Zjawiła się

w najmniejszej z sypialni razem z ubraną w piżamkę Marysią oraz zawiniętym w ręcznik Krzysiem, na którego widok gospościa przeraziła się nie na żarty i aż się przeżegnała.

– Matko kochana, zielarka prawdę mówiła – szepnęła, robiąc krok w tył.

Pani Halina popatrzyła na nią, walcząc ze swoim zdegustowaniem, którego nadal doświadczała na samą myśl o młodszym dziecku Martusi. Nie pomagało jej nawet powtarzanie sobie, że przecież ono nie jest niczemu winne.

– Słucham? – zapytała natomiast Martusia.

– Nie, nic – pokręciła głową jej ciotka. – U nas tego prądu to praktycznie co wieczór nie ma. Wieś z dala od miasta, to i odłączają, kiedy im się podoba. Nic nie można na to poradzić.

– Ale jak to?

– No, tak to kochana. Nie na wszystko mamy wpływ, ot co. Na szczęście zanim ludzkość wynalazła prąd, powstały jeszcze świece. Chodź ze mną na dół, to ci dam ze dwie – odpowiedziała jak gdyby nigdy nic.

– Mam dzieci zostawić same po ciemku?

Starsza pani popatrzyła w końcu na przerażoną Marysię tulącą się do nogi mamy i westchnęła zrezygnowana:

– No dobrze. Sama ci przyniosę – powiedziała, okazując chociaż odrobinę serca. Powłócząc nogami, zeszała na dół, pozostawiając Michalinę samą z Martusią i dziećmi.

– Źle się pani czuje? – zapytała gospość dziewczyna, odkładając Krzysia na świeżo pościelone łóżko.

– Co?

– Pytam, czy źle się pani czuje.

– Nie, nie. W moim wieku to normalne. Serce mocniej zabiło i tyle – Michalina wycofała się w stronę drzwi, kołysząc się przy tym niepewnie. – Pójdę sobie jakiś ziółek lepiej zrobić, to mi przejdzie – dodała, po czym wypadła z sypialni jak z procy i pobiegła na dół do starszej pani podzielić się swoimi przemyśleniami odnośnie do przepowiedni zielarki, a raczej tego, co kilka dni temu zobaczyła w fusach.

– Idziemy spać? – ścisnęła natomiast rękę matki zmęczona, pachnąca szamponem do włosów, Marysia.

Martusia popatrzyła na nią łagodnie. Sama miała porządnie dość całego tego chaosu, który stworzyła dzisiaj ciotka Halina. Odeszła jej już nawet chęć na kolację, marzyła tylko o śnie.

– Tak kochanie. Wskakuj do łóżka – powiedziała do Marysi.

– A ty?

– Nakarmię jeszcze Krzysia i też będę się kładła.

– Aha – dziewczynka rozumnie skinęła głową i usiadła na łóżku, a potem przesunęła się w górę, położyła i naciągnęła kołdrę pod samą szyję. Tak jak to miała w zwyczaju co wieczór.

– Dobrej nocy, kochanie.

– Dobrej nocy, mamusiu. Obudź mnie rano!

– No pewnie, że obudzę – Martusia uśmiechnęła się do niej czule i pogłaskała po główce małego Krzysia.

– Przyniosłam wam te świece – bez uprzedzenia wparowała do sypialni ciotka Halina i postawiła dwie woskowe kule na drewnianej etażerze przy łóżku.

– Dziękuję.

– Potrzeba wam jeszcze czegoś?

– Nie, dziękuję – Martusia potrząsnęła głową. – To był ciężki dzień. Myślę, że jedyne, czego nam wszystkim potrzeba, to długi, spokojny sen.

– No pewnie. Musicie porządnie odpocząć. W takim razie zostawiam was już. Dobrej nocy.

– Wzajemnie ciociu. Dziękuję za wszystko.

Starsza pani skinęła tylko głową, gdy jej sumienie drgnęło, widząc prawdziwą do bólu szczerość we fiołkowych oczach Martusi, a potem zostawiła dziewczynę samą i przymknęła drzwi. Sypialnia natychmiast zatonała w zupełnej ciemności, którą przeszywała jedynie wątła poświata księżyca wpadająca do środka przez niezastłonięte okno.

Martusia wzięła na ręce leżącego na łóżku chłopca. Kręcił się niespokojnie, więc lekko pogładziła go po jego przetartych włoskach na głowie i wbiła wzrok w świecący jasno księżyc. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie powrót do Sosenek. Wieś kojarzyła jej się z ciszą i spokojem. Gościnnością i otwartością, a nie jawnym rasizmem, którego nie potrafiła ukryć jej ciotka czy gosposia.

Ech. Przytuliła Krzysia trochę mocniej i lekko go ukołysała. Jakoś będą musieli znieść to całe prześladowanie. O ile dobrze pamiętała, zaletą mieszkańców wsi było to, że pogadają, pogadają, ale w końcu się znudzą.

– Ciekawe tylko, ile całe to gadanie będzie trwało – szepnęła sama do siebie, a jej myśli poszybowały w zupełnie inną stronę.

– Szkoda mi trochę tej dziewczyny – siadając na kanapie w salonie, powiedział natomiast do żony Henryk.

Starsza pani popatrzyła na niego niepewnie.

– Może by ją chociaż zapytać, jak doszło do tego, że pojawia się u nas z czarnym dzieckiem, a nie od razu oceniać?

– Matko kochana! – opadła na siedzenie obok niego. – Wiadomo przecież nie od dziś, skąd się biorą dzieci. Przespała się z jakimś obcokrajowcem i jest.

– Ja to osobiście nic do koloru skóry tego dziecka nie mam. Bardziej mnie martwi opinia naszej wsi, która znana jest w okolicy raczej z dość konserwatywnych poglądów.

– To żeś powiedział.

– No co? A nie mam racji? – Henryk zrobił zdziwioną minę. – Dziecko, jak dziecko. Kochać je trzeba i już, nieważne, czy ono czarne, czy zielone.

Pani Halina spojrzała na niego z ukosa. Może i było w jego słowach coś mądrego. W końcu człowiek nie ma wpływu na to, gdzie i jaki się urodził. Ale jak ona mogła tego dziecka nie oceniać? No jak?!

– Lepiej się z tymi poglądami nie afiszować – powiedziała jednak po chwili.

– No niestety... – westchnął ciężko Henryk.

– Ukrywać go na razie przed wsią będzie trzeba, a później coś się wymyśli.

– Obawiam się, że po tym, co ty sobie wymyśliłaś, to tego później wcale nie będzie, bo ona się stąd wyprowadzi szybciej, niż nam się zdaje. Wyłączanie prądu na noc? No to nie jest do końca poważne, Halinko.

– A miałaś jakiś lepszy pomysł?! – uniosła głos pani Halina i agresywnie popatrzyła na ośmielającego się podważyć jej słowa męża. Co też ten Henryk sobie wyobrażał? Że ona jest jakaś głupia?

– Nie, nie. Zastanawiam się tylko, czy to...

– Nie martw się – mruknęła uspokajająco. – Głodzić jej nie będę – zawahała się. – A przynajmniej nie długo... Pokażę jej tylko, że na wsi wcale nie jest tak kolorowo, jak jej się wydaje.

– No tak właśnie myślałem... – szepnął jeszcze Henryk i spuścił wzrok. Determinacja i upór jego żony momentami go przerażały. A w młodości była taka łagodna!

Pani Halina ścisnęła jego rękę i pochyliła się lekko do przodu.

– Idziesz spać? – zapytała.

– Tak, tak. Nie będę przecież po ciemku siedział, a skoro prądu nie ma, to...

– Widzisz! Jeszcze na zdrowie nam cały ten brak prądu wyjdzie. Nie będziemy siedzieć po nocach, tylko się wysypiać! A może przeżyjemy dzięki temu jakąś drugą młodość? – ucieszyła się w końcu

i zrywając się z kanapy, pociągnęła męża ze sobą na górę, a potem oboje zapadli w sen, mocno się do siebie przytulając, jak to od początku małżeństwa mieli w zwyczaju.

Co jak co, ale romantyzmu to w ich związku nigdy nie brakowało. No, może poza momentami, kiedy starsza pani dostawała bzika i wyprowadzała się do sąsiadki. Wtedy biedny Henryk musiał sypiać sam. Tylko wiecie co? Mimo że zdarzało mu się na nią okropnie narzekać, to kiedy się wyprowadzała i mógł od niej bezkarnie odpoczywać, wcale nie było to takie przyjemne, jakby się tego spodziewał. Miłość i przyzwyczajenie robiły swoje. Niestety.

Martusia obudziła się w pierwszy weekend października w łóżku, do którego zdążyła się już przez kilka ostatnich dni przyzwyczaić, i od razu doleciał do niej wyjątkowy słodki zapach, a potem usłyszała głośne dudnienie, jak gdyby coś ciężkiego spadło na ziemię. Właściwie, to może było na odwrót? Może najpierw usłyszała, a potem poczuła? Jakkolwiek by było, natychmiast postanowiła zejść na dół i sprawdzić, co też tam się dzieje. Znając jej ciotkę, mogło się przecież wydarzyć wszystko.

– Mamo... – hałas obudził też Marysię, która spojrzała na Martę zaniepokojonym wzrokiem.

– Śpij, śpij kochanie – pogładziła ją tylko po policzku i wsunęła stopy w zimne kapcie stojące tuż przy łóżku. Kątem oka zerknęła też na Krzysia, dla którego hałas okazał się jednak niestraszny. No, albo przynajmniej nie tak, żeby od razu go budzić.

– O, Martusia! – przywitała ją stojąca na dole schodów ubrana w czerwony fartuszek ciotka. Na rękach miała wściekle różowe, lateksowe rękawiczki, a na nogach kwieciste kalosze, w które wepchnęła swoje spodnie.

– Co się dzieje?! – zapytała, szczerzej otulając się szlafrokiem, ponieważ drzwi wejściowe do domu wujostwa były otwarte na oścież i ciągle wchodzili przez nie jacyś obcy ludzie wnoszący do środka drewniane skrzynki pełne śliwek i jabłek.

– Zbiory mamy!

Martusia popatrzyła na ciotkę mało przytomnie.

– Nie rozumiem.

– Oj miastowa jesteś, to nie wiesz! Późne odmiany jabłek i śliwek trzeba przed zimą zebrać, najwyższa pora. Zaraz przyjdą mrozy!

– O tak! – dołączył do rozmowy wchodzący do domu Henryk, ubrany w spodnie na szelki i czarny golf.

– Mrozy przyjdą albo na drzewach przegnią i wszystko to trafił szlag!

– Ach tak... – westchnęła Martusia. Z doświadczenia wiedziała, że nie było sensu przypominać ciotce o tym, że chwilowo trwały jeszcze ostatnie tego roku upały. Temperatura od kilku dni nie spadała bowiem poniżej dwudziestu stopni.

– No, ale ty dziecko tak nie stój. W kuchni nam pomożesz! – szturchnęła ją zadziornie ciotka Halina.

Martusia zakołysała się niepewnie i chwyciła barierki, żeby uchronić się przed upadkiem.

– Ja?

– No a kto?!

– Znaczy ja nie mam nic przeciwko, nawet chętnie. Ale kto się dziećmi zajmie? – zdziwiła się.

Ciotka popatrzyła na nią jak na głupią.

– No chyba na razie śpią – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

Cóż, jakby się tak nad tym zastanowić, to właściwie nawet miała rację.

– Śpią – skinęła głową Marta.

– No to wspaniale! Przebierz się w coś, bo szlafroka szkoda, i do roboty! – w odpowiedzi zaklasnęła

w ręce ciotka i w przestrzeni rozległ się głośny, lateksowy plask.

Martusia zamruwała kilka razy powiekami, ale jedno spojrzenie na wujka Henryka starczyło, żeby zrozumiała, iż z ciotką nie ma sensu dyskutować.

– Tylko wracaj szybciotko! Robota czeka! – krzyknęła za nią jeszcze tylko pani Halina, zerkając przy tym na męża. – No chyba nie przesadziłam?

Starszy pan popatrzył na nią dość pusto.

– Nie, nie. No skąd.

– Wspaniale! To nie stój tak! Idź dopilnuj, żeby w składziku wszystko ładnie poukładali, bo potem bałagan się zrobi i trzeba będzie te skrzynki jeszcze raz ustawiać!

– No tak, tak kochanie. Już idę.

– I powiedz im, żeby jabłek już nie nosili. Wystarczy.

– Dobrze – posłusznie skinął głową Henryk i wkładając na głowę czapkę z daszkiem, ruszył w stronę sadu, w którym robotnicy urządzili prawdziwe zamieszanie, targając owoce wte i wewte. Do skrzynek. Do domu. Do składziku. I tak w kółko.

– Ale wspaniale, co? – z uśmiechem wparowała natomiast do kuchni rozanielona pani Halina, podekscytowana domową, choć iście masową produkcją dżemów jabłkowych, konfitur i powideł.

– Ano wspaniale – odpowiedziała jej drylująca kolejną michę śliwek Michalina. – Ale słoików nam z hurtowni nie przywieźli. I co teraz?

– Jak to co? Ktoś musi po nie jechać!

– Pana Henryka poprosić?

Starsza pani zamyśliła się przez chwilę, a potem na jej usta wypłynął triumfujący uśmiezek.

– Gdzie tam Henryka. Martusię się wyśle!

– Ale jak to? Ona w ogóle ma prawo jazdy? – zdziwiła się gospodyni.

– No pewnie.

– Ona tu tyle lat nie była. Pewnie nawet nie wie, gdzie to – pokręciła głową. – Szybciej będzie, jak...

– Wcale nie będzie szybciej – stanowczo weszła jej w słowa pani Halina. – Ja Martusi wszystko wytłumaczę tak, że trafi.

Michalina patrzyła jeszcze przez chwilę na podstępny minę swojej pracodawczyni i choć na usta cisnęło jej się wiele pełnych wyrzutu słów, po prostu to przemilczała.

– A z dziećmi co? – nie wytrzymała w końcu i odłożyła na bok trzymaną w ręku śliwkę.

– Śpią przecież.

– No ale jak pani ją chce zgubić, to jej powrót trochę potrwa i raczej się zdążą obudzić, prawda? No i co wtedy?

– Oj co wtedy, co wtedy – pani Halina pokręciła głową. – Zajmę się nimi i tyle. Iwonę odchowalam, potem jej dzieci. To przecież wcale nie jest takie trudne.

– No tak – Michalina westchnęła tylko i pokornie spuściła wzrok. A zrobiła to dokładnie w tym samym momencie, kiedy do pełnej owoców kuchni weszła Martusia.

– Mówiłam przecież, żebyś się jakoś ubrała – natychmiast skrytykowała jej wygląd ciotka.

Dziewczyna popatrzyła na swoje stopy, a potem na pewną siebie ciotkę. Strój Marty wcale nie pozostawiał wiele do życzenia. Wciągnęła na nogi swoje najgorsze, poprzecierane dzinsy, które co prawda nadal podkreślały jej pełne krągłości, ale zdążyły już nieco stracić na uroku. Do tego włożyła kraciatą koszulę i przewiązała włosy ciemną chustką, zbierając je u góry w maleńką kiteczkę. W swoim mniemaniu wyglądała jak rodowita mieszkanka Sosenek. A nawet lepiej.

– Co jest ze mną nie tak? – zapytała w końcu, widząc nieustępliwą minę ciotki.

– Odstroiłaś się jak na jakąś imprezę – wypaliła pani Halina.

Martusia uśmiechnęła się lekko i musiała bardzo się wysilić, żeby nie parsknąć śmiechem. Może i w Sosenkach tak właśnie chodziło się na potańcówki, ale w normalnym, cywilizowanym świecie...

– Ale może to i dobrze! – przerwała jej strumień myśli ciotka. – Do hurtowni pojedziesz.

– Jak to? – zdziwiła się Martusia i podeszła do stołu, przy którym siedziała Michalina, drylując śliwki. Lśniące we wpadającym przez okno słońcu owoce wyglądały naprawdę apetycznie i pięknie.

Martusia miała ochotę wziąć jedną ze śliwek do ręki i posmakować, ale w porę się pohamowała. Za bardzo bała się reakcji ciotki.

– Słoików nam nie przywieźli – odpowiedziała natomiast na jej pytanie pani Halina. – Ktoś musi po nie pojechać.

– A wujek?

– Zajęty. Robotników trzeba pilnować, bo to złote chłopaki, ale do butelki to oni pierwsi.

– Ach tak... – westchnęła Martusia. Czyli sprawa była już przesądzona.

– Ale nie bój się kochanie, ja ci tak wszystko wytłumaczę, że ty bez problemu trafisz.

– No, skoro ciocia tak mówi...

– Ja nie mówię dziecko, ale to wiem. Do hurtowni prosta droga.

– Ale co z moim dziećmi? Przecież Krzys się zaraz obudzi i będzie trzeba go nakarmić...

– No jak to co?! – popatrzyła na nią ciotka. – Zajmę się nimi, jak się obudzą. Przecież to nie problem.

– Tak, tylko... – zdołała jeszcze zaprotestować, ale widząc jej minę, w końcu się poddała. – To niech ciocia powie mi, jak do tej hurtowni dojechać... – zrezygnowana usiadła przy stole i starając się zrozumieć, co mówi ciotka, zabrała się za stojące na blacie, przygotowane specjalnie dla niej śniadanie. To znaczy przesuszoną bułkę z masłem i szklankę mleka, bo według pani Haliny to idealny posiłek dla karmiącej jeszcze matki.

Droga do hurtowni, którą nakreśliła Martusi pani Halina, okazała się wcale nie taka prosta, jak starsza pani zapewniała, i dziewczyna przekonała się o tym już w momencie, kiedy zostawiając za sobą nieduży mostek, dojechała do drugiego skrzyżowania polnych dróg przecinających się gdzieś między oddalonymi od wsi łąkami. Minęła już dwie kapliczki, jakiś polny krzyż, psa z kulawą nogą, a nawet potrąciła jaskółkę, o mało nie wjeżdżając przy tym na zdziwionego rowerzystę.

– No i co teraz? – mruknęła sama do siebie, gasząc na moment silnik, i rozejrzała się dookoła. W oddali nie widziała niczego poza łąkami i zaoranymi polami, z których wiatr zwiewał w stronę samochodu ciemny pył, a i polna droga, którą jechała, za chwilę się kończyła.

Choć piękno tego krajobrazu, co za wszelką cenę udowadniała jej ciotka w dniu powrotu do ojczyzny, zdecydowanie było aż porażające, dziewczyna nie miała zbyt wiele czasu, żeby kontemplować widoki, i postanowiła od razu wyciągnąć z torebki rzuconej na siedzenie pasażera telefon. Natychmiast wybrała numer telefonu ciotki.

– Halo?! – już po jednym sygnale rozległ się w słuchawce znajomy głos.

– Ciociu, chyba się zgubiłam – przyznała bez owijania w bawełnę.

– Gdzie?!

– No nie wiem. Gdybym wiedziała gdzie, to przecież wcale bym się nie zgubiła.

Ciotka westchnęła głośno do telefonu.

– Opisz mi chociaż, gdzie dokładnie jesteś.

– W polach gdzieś.

– Dziecko, oj dziecko. Dookoła Sosenek same pola!

– Ach, tak... – Martusia zamyśliła się, rozglądając dookoła. – Jestem na drugim skrzyżowaniu. Tłumaczyła mi ciocia, że jak przejadę przez rzekę, to...

– Zaraz! Ja ci przez żadną rzekę nie kazałam przejeżdżać.

– Jak to?

Przecież głowę by dała, że ciotka mówiła coś o mostku, który musi przejechać i...

– Nie wiem, co ty sobie uroiłaś. Myślałam, że chociaż mnie słuchałaś, skoro od roboty się migasz.

Martusia zmarszczyła brwi.

– No przecież to ciocia mi kazała jechać do hurtowni, jak ja chciałam w kuchni pomagać – postanowiła zaprotestować.

– Bo przyszłaś do tej kuchni odwalona jak mało kto! Poza tym twoja mina wszystko mi zdradzała, wszystko!

– Ale jaka mina, ciociu?

– Ty mi oczu nie mydl, tylko jedź w końcu po te słoiki, bo tu trwa produkcja i zaraz będzie trzeba rozkładać! – huknęła na nią jeszcze tylko, brnąc w zaparte, ciotka, i rozłączyła się bezczelnie, pozostawiając Martusię samą sobie.

Dziewczyna rozejrzała się jeszcze raz i postanowiła w końcu zawrócić. Skoro nie musiała przejeżdżać przez mostek, to postanowiła cofnąć się do niego i na poprzednim skrzyżowaniu nie skręcać w prawo, lecz w lewo.

Zadowolona sunęła więc siedmioosobową mazdą, słuchając radia, gdzieś między polami aż do rzeczki, a raczej mostu, który, o losie, torował właśnie jakiś samotnie stojący ciągnik.

– Halo, jest tu ktoś? – zawołała na całe gardło, wysiadając z samochodu w poszukiwaniu właściciela pojazdu.

– Ja jestem! – dał się słyszeć po chwili dobiegający spod traktora męski głos.

Martusia skinęła głową i zbliżyła się do pojazdu

– Aha. Stało się coś?

– Niestety, ale stało. Coś się zepsuło, ale jeszcze nie wiem co – odpowiedział jej głos.

Martusia zrobiła pochmurną minę i przestąpiła z nogi na nogę.

– Może mogę jakoś panu pomóc, bo prawdę powiedziawszy, to chciałabym przez ten most przejechać – powiedziała dość niepewnie, drapiąc się przy tym po policzku, na którym usiadła jej jakaś zabłąkana mucha.

Głos, a raczej jego tajemniczy właściciel wysunął się spod ciągnika i siadając, przyjrzał się dokładnie dziewczynie. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu był to dość młody mężczyzna o wyjątkowo wyraźnych rysach twarzy i łagodnych oczach.

– Pani to chyba nietutejsza, co? – zapytał bez ogródek.

Martusia uśmiechnęła się lekko, widząc jego zaciekawione spojrzenie. Jej fiołkowe oczy rozblęły w jesiennym słońcu, przez co ich kolor stał się jeszcze bardziej intensywny.

– Wychowywałam się tutaj.

– W Sosenkach?

– Aha – skinęła. – Ale potem musiałam wyjechać.

– Od razu widać, że pani miastowa – mężczyzna jeszcze raz zlustrował ją wzrokiem. Czarna koszulka, w którą był ubrany, napięła się lekko na jego bicepsach, gdy pochylił się do przodu.

– Co ze mną nie tak? – czując na sobie jego spojrzenie, zaśmiała się Martusia.

– Te ciuchy... u nas się tak nie ubiera – powiedział.

Martusia uśmiechnęła się sama do siebie, mając w myślach komentarz ciotki. Nadal nie mogła zrozumieć, co też w jej stroju było wyjątkowego, ale stwierdziła w końcu, że lepiej zbyt długo o tym nie myśleć, bo mogłaby jeszcze dojść do jakichś wyjątkowych wniosków. Może tutaj po prostu nie ubiera się tak na co dzień?

– No ale wracając do tego, że blokuje pan mostek...

– Dzwoniłem już do ojca – mężczyzna wpadł jej w słowa. – Weźmie drugi i przyjedzie mnie ściągnąć, bez obaw. To kolejny powód, dla którego widać, że nie jest pani stąd. U nas ciągniki ciągle się psują.

– Rozumiem – skinęła głową, nieco rozbawiona szczerością swojego rozmówcy. – A wie pan, ile to potrwa?

– Ojciec w polu pod Jaszczurkami robi, to z dwadzieścia minut przynajmniej. A co, bardzo się pani śpieszy?

Martusia zaśmiała się kolejny raz.

– Najwyżej stracę za to głowę – powiedziała i mrużąc oczy, odsunęła się nieco dalej od mężczyzny. – Poczekam w takim razie w samochodzie.

– Niech się pani nie wygłupia i siada obok mnie. Jak już jesteśmy skazani na czekanie, to nie ma co się oszukiwać, w towarzystwie będzie nam raźniej. No, chyba że ma pani coś ważniejszego w tym aucie do roboty. Ale to może mógłbym pomóc? Trochę się na mechanice znam.

Martusia przyjrzała mu się uważniej. Z bliska wydawał się dużo bardziej przystojny niż na pierwszy rzut oka. Jego blond włosy mieniły się w słońcu tysiącami odcieni żółci i złota, a opalona karnacja dodawała mu chłopięcego uroku, o zielonych, przenikliwych oczach nie wspominając.

– Właściwie to nie mam nic lepszego do roboty. Chętnie tu z panem poczekam – stwierdziła po chwili milczenia, zakładając za ucho kosmyk włosów, który wyrwał się spod jarzma chusteczki i niesforne zaplątał w okolicach oczu.

– Siada pani? – poklepał ziemię obok, nie odrywając wzroku od jej skrzającej się w słońcu buzi, gdy odgarniała z czoła włosy.

Wahała się przez chwilę, ale w końcu uśmiechnęła się ciepło i usiadła obok niego. Ziemia była nagrzana od słońca, a przede wszystkim niezwykle sucha. Miękka trawa od razu poślaskotała jej palce.

– Marta jestem – gdy już nacieszyła się miękkością trawy, wyciągnęła w jego stronę rękę.

Od razu owionął ją jego zapach. Urocza kompozycja mydła i jakiś męskich perfum, których nie знаła.

– Andrzej – ujął jej dłoń i lekko zacisnął na niej swoje palce.

Ręka mężczyzny wydała się Martusi szorstka i spracowana, a jego oczy wyjątkowo odbijały świecące nad ich głowami słońce. W rysach jego twarzy było coś, co przykuwało wzrok. Jakaś przewyższająca wiek dojrzałość, a przynajmniej takie odniosła wrażenie. Jak gdyby on też wiele już w życiu wycierpiał.

– Dokąd właściwie jechałaś? – zapytał, kiedy już przyjrzeni się sobie dokładnie.

– Zabłądziłam. Szukam hurtowni „Adamek”, w której ciotka zamówiła słoiki. Ktoś musi je odebrać i padło na mnie.

Słyszając jej słowa, Andrzej parsknął śmiechem.

– Szukałaś hurtowni w polach?

Martusia popatrzyła na niego niepewnie, robiąc przy tym komiczną minę. Słońce padające na jej zarumienioną twarz sprawiało, że wyglądała na dużo bardziej opaloną, niż była w rzeczywistości. Skąpiana w złocistych promieniach wydawała się Andrzejowi naprawdę pociągająca. Kto by pomyślał, że można spotkać taką dziewczynę wśród łąk i pól?

– Ciotka wytłumaczyła mi, że mam przejechać przez mostek, a potem... nie wiem – bezradnie rozłożyła ręce. – Widocznie coś pomyliłam.

– No nie da się ukryć. Do hurtowni jedzie się w drugą stronę.

Wbiła wzrok w jego rozbawione tęczówki.

– Ach, tak – westchnęła z uśmiechem, a w jej policzkach pojawiły się małe dołeczki. Sprawiały, że wyglądała jeszcze bardziej dziewczęco i niewinnie.

– Może lepiej ja ci to wytłumaczę, bo widzę, że ciotunia nie jest zbyt zorientowana w terenie. Ona też nietutejsza?

– Co?! Ciotka?! Ona mieszka w Sosenkach przez całe swoje życie.

– Aha – tym razem to on się roześmiał. – No to wybacz, ale nie potrafię tego wyjaśnić.

– Moja ciotka jest dość specyficzna. Lepiej zbyt dużo się nie zastanawiać nad nią i jej motywami, bo można dojść do jakichś szalonych wniosków, naprawdę.

– No, skoro tak mówisz – wzruszył ramionami i odchylił się do tyłu, opierając dłonie za plecami tak, żeby móc lepiej widzieć rozpromienioną twarz Martusi.

– A ty skąd jesteś? – zapytała go po chwili milczenia.

– Z Sosenek.

– No tak. To by wiele wyjaśniało. I zajmujesz się rolnictwem?

– Mało odkrywczą jesteś – popatrzył na nią ożywiony. – Skończyłem studia, ale nie mogłem nigdzie znaleźć pracy, to wróciłem do ojca. Gospodarkę, wbrew publicznej opinii ludzi z miasta, też można polubić.

– Nie no, ja przecież nic nie mówię. Co studio-wałeś?

– Mam inżyniera z chemii.

– Och, to wiele wyjaśnia – spojrzała na niego, mrużąc oczy.

– Masz fiołkowe tęczówki – powiedział bez ogródek, ignorując jej stwierdzenie, i przyjrzał jej się jeszcze uważniej. Wydawała się przez to wyjątkowo zagadkowa, a on lubił zagadki. Zawsze prowadzą do niespodzianek, a te uwielbiał najbardziej.

Martusia uśmiechnęła się lekko w odpowiedzi na jego komplement.

– Tak mówią – przyznała.

– Ładne – pochwalił jej oczy raz jeszcze.

– Dziękuję. A twoje jakie są? – przechyliła głowę, żeby lepiej zobaczyć ich kolor.

– Zielone.

– W słońcu błyszczą się trochę jak miodowe bursztyny.

Powietrze przeszył jego gardłowy śmiech, a wzrokowi Martusi nie umknął fakt, że koszulka kolejny raz znacząco napięła się na jego bicepsach.

– Naprawdę?! Jeszcze nikt nigdy tak o nich nie powiedział. Żyłem w przekonaniu, że są po prostu nudne i zielone.

– Człowiek uczy się przez całe życie... – odpowiedziała nieco tajemniczo.

Przez jego głowę przemknęła myśl, że ma w sobie coś z romantyczki.

– Mówisz jak jakaś artystka.

– Dlaczego wszyscy ostatnio mi to powtarzają?! – zachnęła się, przypominając sobie rozmowę ze starszą panią z pociągu.

– Nie wiem, co masz na myśli.

Roześmiała się.

– Nieważne. Jestem florystką.

– Czyli układasz kwiaty?

– Aha – pokiwała głową. – Punkt dla ciebie.

– Ej! Jestem ze wsi, ale znam kilka trudnych słów – udał urażonego.

– Tak? Na przykład jakie?

– No nie wiem... Transcendencja i takie inne.

Martusia parsknęła głośnym śmiechem. Widząc jego minę, zaczęła dziękować losowi za to, że utknęła z nim tu, na tym moście, zamiast użerać się z ciotką podczas robienia dżemów. Już ostatnie kilka dni spędzonych w jej towarzystwie były dla Martusi prawdziwym koszmarem. Poza tym, nie czarujmy się, była przecież matką, a one rzadko miewają tak beztrudne chwile jak ta.

Martusia należała do tego typu kobiet, które, gdy takie momenty już się zdarzają, starają się w pełni je wykorzystać.

– W każdym razie z daleka czuć, że jesteś artystką. Układanie kwiatów to też przecież sztuka – wrócił do tematu Andrzej.

– Jeśli mam być szczerą, to w pewnym sensie tak właśnie jest. Nie znam żadnej florystki, która nie miałaby wewnętrznego poczucia estetyki. Ludziom wydaje się, że po prostu bierzesz kilka kwiatów i owijasz je folią. To wszystko nie jest takie łatwe, na jakie wygląda.

– Też hoduję w ogródku kwiaty – postanowił zaimponować jej chłopak.

Roześmiała się, słysząc jego pełen dumy ton.

– Och! Naprawdę?!

– No na przykład róże. Albo pelargonie.

– Pelargonie – powtórzyła bezgłośnie dziewczyna, zerkając pod słońce. „Prawdziwa przyjaźń”.

– Lubisz je?

– Tak, tak. Ale bukietów to się z nich raczej nie robi, chociaż pięknie kwitną.

– I śmierdzą.

Martusia kolejny raz wybuchnęła śmiechem.

– No co? – spojrzał na nią z ukosa. – Przecież taka jest prawda.

– Powiedział ci ktoś kiedyś, że jesteś dość bezpośredni?

Znowu popatrzył w jej fiołkowe oczy mieniące się w słońcu. Za tamą, którą skutecznie odgradzała się od świata, dostrzegł cienie niewielkich chochlików.

– Ludzie raczej tego nie lubią.

Zdziwiła się.

– Co? Przecież to urocze! – odchyliła się do tyłu. Nie do końca mogła zrozumieć, dlaczego czuła się przy Andrzeju tak bardzo naturalnie i pozwalała sobie na tak dużą bezpośredniość w rozmowie z nowo poznanym mężczyzną. Może to siedzenie gdzieś w polach, wsłuchiwanie się w szum rzeczki i miękka trawa pod palcami tak na nią działały? Ciotka pewnie powiedziałaby jednak, że to za dużo słońca, ale ona czuła się, jak gdyby wróciły czasy liceum, kiedy to razem z przyjaciółmi zrywali się wcześniej z lekcji i urządzali sobie pikniki.

– Cieszę się, że ci się podoba. Wybacz, że zmienię temat, ale na długo przyjechałaś do Sosenek?

– Jeszcze nie wiem – przyznała zgodnie z prawdą. – Na pewno na jakiś czas. Mam tu kilka spraw do załatwienia, to może trochę potrwać.

– Rozumiem – pokiwał głową. – Gdybyś czegoś potrzebowała, to wiesz, daj znać. Musi ci być przykro wracać, w pewnym sensie, do obcych ludzi.

– Jestem takim człowiekiem, który raczej nigdzie nie potrafi na dłużej zagrać miejsca, ale płynie z tego jedna korzyść: bardzo szybko nawiązuję relacje. One są raczej niezbędne.

– Żeby przetrwać. Jednak człowiek to zwierzę stadne. Coś o tym wiem.

– Tak? – wykorzystała ten moment, żeby zmienić temat.

– Oj, u nas jest dużo stadnych zwierząt! Konie, krowy, świnie. Nawet kury w pewien sposób są stadne, nie? Leżą za kogutem gdzie popadnie!

Uśmiechnęła się szeroko. Od czasu, kiedy mieszkała na wsi, minęło tyle lat, że wspomnienia życia na gospodarstwie zdążyły już wyblaknąć w jej pamięci. Zwierzęta nigdy jej raczej nie interesowały. Nawet te domowe trzymały się od niej na dystans. W Anglii próbowała nawet z kotem, ale zwiął gdzie pieprz rośnie już po kilku dniach i tyle go widzieli.

Ach, były też świnki morskie! Z tym że jedną zostawiła kiedyś w południe na słońcu i zdechła, a drugą trzymała zimą w klatce przy oknie i dostała paraliżu nóg, bo okna były nieszczelne.

Martusia uśmiechnęła się sama do siebie. Dobrze, że z dziećmi radziła sobie lepiej niż ze zwierzętami.

– Ładnie się uśmiesz – oderwał ją od tych myśli Andrzej. – Robią ci się fajne dołeczki.

Zawstydzila się i odgarnęła opadające na policzki włosy.

– Dzięki. Zazwyczaj ludzie mówią to o mojej córce.

– Masz córkę? – zapytał zaskoczony.

Pokiwała głową.

– Tak, kilkuletnią.

Andrzej zrobił krótką pauzę i kątem oka spojrzał na serdeczny palec dziewczyny. Nie zauważył obrączki. Jednak miała dziecko. Przez jego głowę przemknęła myśl, czy nie zapytać o jej stan cywilny, ale darował to sobie. Przecież dopiero co się poznali i chociaż w tym momencie bardzo go to interesowało, odpuścił.

– A więc odziedziczyła to po tobie? – wrócił więc do poprzedniego tematu.

– Marysia? Nie, chyba nie. Jeśli chodzi o wygląd, to poza kolorem włosów nie jesteśmy do siebie zbyt podobne. Wdała się w ojca.

– Masz z nim jakiś kontakt? Z tym ojcem? – zagadnął najzwyczajniej w świecie, chociaż gdy pytał, coś w środku w nim zadrżało. Czyżby się bał, że odpowie twierdząco?

– Och, nie! – Martusia machnęła ręką. – To tak stara historia, że już prawie udało mi się o nim zapomnieć.

Odetchnął z ulgą.

Marta potrząsnęła głową.

– Ale wiesz co, nie rozmawiajmy o tym, dobrze? – spojrzała mu w oczy. – Jest zbyt piękny dzień, żeby go sobie psuć takimi wspomnieniami.

– Z tym masz rację! Tylko że dla mnie, jako rolnika, te upały nie są takie znów przyjemne. Kto to słyszał, żeby w październiku aż tak świeciło?! Kompletna anomalia. Zwykle, jak tak jest, to i zima przychodzi szybko i siarczyście. Zresztą... trawa schnie i nie ma gdzie wypasać bydła, a jeszcze by można.

– No tak. Rozumiem. Z twojej perspektywy to raczej dramat.

– I to jaki – powiedział i zamyślił się, a potem przerwał tę chwilę milczenia głośnym okrzykiem: – O, jedzie mój ojciec! – i podrywając się z ziemi, skrętnie otrzepał swoje spodnie.

– To ja może pójdę do samochodu – złapała jego wyciągniętą rękę Martusia i również stanęła na nogi, a potem przejechała dłonią po dzinsach i zrzuciła z nich kilka zabłąkanych źdźbeł trawy i maleńkiego pajęczka.

– Dziękuję za towarzystwo – stanowczo zbyt długo przytrzymał jej rękę Andrzej, wpatrując się przy tym w jej oczy.

Poczuła, że rumieni się jeszcze bardziej niż zwykle.

– No tak. Ja też.

– Czy to jest ten moment, w którym powinienem poprosić cię o numer telefonu, a ty mi go dasz? – zapytał bez ogródek, ukazując swoje idealnie śnieżnobiałe zęby.

Martusia popatrzyła na niego spode łba. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio ktoś podrywał ją w tak bezpośredni sposób albo chociaż podrywał w ogóle. Nie wspominając już o fakcie, że nigdy nie myślała, że pozna kogoś, błędząc gdzieś w polach i siedząc na jakimś porzuconym moście. I to w Sosenkach, na samiuchnym końcu świata!

Wahała się przez chwilę. Andrzej był naprawdę zabawny i uprzejmy. Idealny kandydat na przyjaciela. Tak jak na to wskazywały te jego pelargonie. Nie miała tu przecież jeszcze żadnych przyjaciół, a on z pewnością nie wyglądał na żadnego krwi złoczyńcę.

– Cóż... No. Tak – skinęła w końcu głową, krygując się przy tym jak mała dziewczynka.

Andrzej roześmiał się, widząc jej skrępowanie, i wyjął z kieszeni telefon. Natychmiast podyktowała mu swój numer.

– Zadzwoń na pewno.

– W takim razie do usłyszenia – popatrzyła na niego jeszcze raz i ruszyła w stronę samochodu, aby ukrycia obserwować akcję ściągnięcia ciągnika z mostku, gdy nagle rozdzwonił się jej telefon.

Odebrała niemalże natychmiast.

– Słucham?

– Gdzie ty jesteś, na litość boską? – w słuchawce natychmiast dał się słyszeć rozemocjonowany głos jej ciotki.

– Stoję na polu i czekam, aż ściągną z mostku ciągnik, który się zepsuł.

– Gdzie?! – zapytała z niedowierzaniem, uderzając przy tym łokciem stojącego obok Henryka. Martusia usłyszała w telefonie jego cichy jęk.

– No tam, gdzie się zgubiłam... Mówiłam o tym cioci – wyjątkowo spokojnie zignorowała jej pełen wściekłości ton.

– Wiesz co, dziecko? Skoro tyle czasu nie potrafiłaś tych słoików przywieźć, to lepiej wróc do domu – poddała się w końcu pani Halina. – Ja tam wyślę jednego z robotników, a ty przyjeżdżaj, bo maleństwo ci płacze. Obudziło się i głodne – dodała tylko, a potem rozłączyła się bez pożegnania, jak to miała w zwyczaju.

Martusia roześmiała się głośno, kończąc rozmowę. Cała ta sytuacja powoli zaczynała robić się dla niej raczej śmieszna i groteskowa, niż jak uważała na początku – przerażająca i irytująca. Kreatywność i labilność emocjonalna ciotki przechodziły jej najśmielsze wyobrażenia, pomyślała, w momencie kiedy do niebieskiej mazdy podbiegł Andrzej i zapukał w uchylone okienko od strony kierowcy.

– No, możesz już jechać!

Martusia spojrzała mu prosto w oczy, nie przestając się śmiać.

– Miłego dnia! – pożegnała się jeszcze tylko i odjechała, nie wyjaśniając mu swojego rozbawienia.

– Kto to był? – zapytał natomiast Andrzeja jego ojciec, wycierając w kawałek szmatki brudne od smaru rękę.

– Dziewczyna taka. Zgubiła się w polach i nie mogła przejechać – odpowiedział jak gdyby nigdy nic, mrużąc oczy.

– Tutejsza? – ojciec popatrzył na niego niepewnie.

– Pochodzi z Sosenek, ale potem mieszkała w Anglii.

– Wnuczka Czeremchowej... – szepnął tylko ojciec, a z jego twarzy natychmiast odpłynęła krew.

– Kto?

– Trzymaj się od tej dziewczyny lepiej z daleka. Z ich rodziną od zawsze były same kłopoty... – powiedział tylko cicho i odwrócił się na pięcie, wracając do naprawiania ściągniętego z mostku ciągnika, który nadal nie chciał zapalić.

Gdy jego emocje opadły i doszedł do siebie, krzyknął głośno do syna, który nadal stał nieruchomo, patrząc w dal w ślad za niebieskim samochodem.

– Rusz się w końcu, a nie stoisz jak posąg!

Andrzej pokręcił tylko głową i westchnął ciężko. Mimo ostrzeżenia ojca nie miał zamiaru trzymać się od niej z daleka. Martusia oczarowała go nie na żarty. Była tak inna od wszystkich kobiet, które zwykle spotykał. Pomijając fakt, że w jej oczach zauważył coś niemalże magnetycznego, umiała cieszyć się życiem i głośno się śmiać. Mimo że spędził z nią zaledwie chwilę, miał wrażenie, że zawsze i wszędzie potrafiła być sobą. Naturalną i nieskrępowaną, co we współczesnym świecie zdarzało się niezwykle

rzadko.

I te jej fiołkowe oczy... Czy to możliwe, żeby zdążył przepaść w nich przez tak krótki czas?

Andrzej kopnął leżący na ziemi kamyk i ruszył w końcu w kierunku ojca. W oczach Martusi poza niezwykłym kolorem było coś jeszcze. Jakaś bolesna, skrywana tajemnica, i chociaż jej radość i lekkość starały się temu zaprzeczać, on wyczuł ją od razu. Sam przecież nosił w sercu ból po stracie matki, z którym, choć zdążył się przez te wszystkie lata oswoić, na pewno nadal się nie pogodził.

Martusia natomiast dojechała do Sosenek, kiedy w kuchni aż wrzało z napięcia między Michaliną a ciotką Haliną. Każda z nich wolała bowiem zajmować się przetwórstwem owocowym niż dwójką małych dzieci i liczyła na to, że uda jej się przekrzyczeć tę drugą.

– Ja ostatnio narzekałam na stawy. W kuchni chociaż sobie usiądę, a ty idź. Nie chcesz chyba, żeby mi do końca padły. Kto ci wtedy będzie sprzątał i prał, no kto? – nie zauważając stojącej w drzwiach Martusi, powiedziała Michalina. Teatralnie rozcierając kolana, usiadła na stołeczku przy wielkiej misce przetworzonych owoców czekających na rozłożenie do słoików.

– Ach tak. Widzę, że jak się migać, to ty od razu! Mowy nie ma. Ja idę do sklepu po żelatynę, a ty zajmujesz się dziećmi i postanowione. Za coś chyba ci płacimy, tak?

– Nie miałam w umowie, że moja praca obejmuje opiekę nad dziećmi!

– No to teraz już masz.

Michalina z całej siły rzuciła ścierką o ziemię.

– Tak? W takim razie ja bardzo dziękuję za taką robotę.

– No i świetnie! Nie dość, że z czarnym dzieckiem zostanę, to i bez gospodyni. Taka to wdzięczność Pańska na stare lata mnie spotkała. A ja tyle różańców w kościele zmówiłam!

– Przepraszam... – wtrąciła się w końcu nieśmiało Martusia, obawiając się, że ta rozmowa nie zmierza w zbyt dobrym kierunku.

– Czego?! – odwróciła się do niej dynamicznie ciotka Halina. – Ach, to ty. No w końcu.

– Przepraszam, że tak długo... – zaczęła się tłumaczyć i przestąpiła z nogi na nogę.

– Ano pewnie, że długo! – natychmiast naskoczyła na nią ciotka. – My tu już dawno zrobiliśmy jabłka, a ty się wozisz po wsi w najlepsze!

– Raczej po polach – śmiała zauważyć.

– A do tego pyskata! Czy ty to słyszysz, Michalina? Słyszysz, jak ona się do mnie odzywa?

Gosposia skinęła tylko głową i zaczęła mieszać dżem jabłkowy. Nie za bardzo chciała wtrącać się do tej wymiany zdań, żeby nie zostać wrobioną w opiekę nad dziećmi. Lata pracy u starszych państwa nauczyły ją, że czasem powściągliwość jest lepsza od faszyzmu, czy jakoś tak, a lwa, zwłaszcza takiego jak jej przełożona, nie ma co drażnić.

– Głowę dam, że ty tam sobie jakiegoś Romea przygruchałaś i dlatego cię nie było! – kontynuowała natomiast pani Halina. – A ja głupia, przed całą wsią oczami świeciłam, jak gadali, że panna i z dzieckiem. Własną pierś cię broniłam, a ty co? Nie no, ja się chyba zastrzelę...

– Trochę ciocia przesadza – z typowym dla siebie, stoickim spokojem skomentowała jej zachowanie Martusia. – Ja rozumiem, że ciocia ma ze mną jakiś problem, ale mogłaby wyrażać swoje poglądy jakoś bardziej dyskretnie.

Starsza pani zmieszała się, słysząc odważne słowa chrześniaczki. Ona tu będzie morały jej prawić?

– Lepiej do sklepu jedź, a nie mi prawisz kazania. Tego to chyba jeszcze świat nie widział, żeby ogon rządził kotem!

– Chyba to ciocia miała iść, bo nie chce zajmować się dziećmi.

– Zmieniłam plany, nie muszę ci się ze wszystkiego spowiadać! Zajmę się nimi, a ty jedź i kup kilka paczek żelatyny.

– Do jakiego sklepu?

Pani Halina popatrzyła na nią jak na głupią.

– No naszego. W Sosenkach.

– Aha – skinęła głową Martusia i mimo wszystko odwróciła się posłusznie w stronę drzwi.

– Tylko wróć przed ciemną nocą, bo jak znowu gdzieś utkniesz, to zupełnie stracę cierpliwość – myśląc że dziewczyna tego nie słyszy, wymamrotała pod nosem starsza pani.

– Mówiła ciocia coś? – słysząc jej słowa, Martusia obróciła się na pięcie. – Bo o ile mnie pamięć nie myli, to ciocia sama źle mi wytłumaczyła drogę.

– Ja? Źle?! – pani Halina zrobiła minę niewiniątka i teatralnie zatrzepotała rzęsami. – No gdzieżby.

– Mam nadzieję – dziewczyna skomentowała jej zachowanie i pojechała do sklepu, ciesząc się z tego, że tym razem nie musi przejeżdżać przez żaden zablokowany mostek. Sklep bowiem mieścił się mniej więcej w centrum wsi.

– Cztery paczki żelatyny poproszę – powiedziała, stając przy ladzie wiejskiego sklepiku, w którym pachniało przywiezionym rano chlebem, a jednocześnie jakimiś chemikaliami.

– Chwilę, chwilę – sprzedawczyni popatrzyła na nią, robiąc krok w tył, i przechyliła głowę na bok. – A pani to chociaż tutejsza?

Martusia kilka razy zamrugła powiekami.

– Nie rozumiem.

– Pytam, co za jedna, bo jeszcze jej u nas nie widziałam. No to chyba nie jest takie trudne.

– Ach, tak. Jestem Marta. Wychowywałam się w Sosenkach.

– Ano proszę, sławna Martusia Czeremchówna we własnej osobie, co to jej przybycie zielarka czarno przepowiadała.

– Słucham? – zainteresowała się dziewczyna. O czym ta kobieta mówiła? Ona i sława? Martusia nic z tego nie rozumiała.

– Nic, nic – sklepowa nie podjęła jednak tematu. – Ciotka cię po żelatynę przysłała?

– Tak.

– No to przykro mi, ale nie mam – wypaliła mało inteligentnie, opierając się o drewnianą ladę na wyprostowanych dłoniach. Martusia mogłaby dać głowę, że w jej oczach zapaliły się jakieś złowieszcze światełka.

– Ale nie ma pani w ogóle czy dla mnie nie ma? – złapała w mig.

– Dla nikogo nie mam, chyba mówię!

– A tam na półce co stoi? – wskazała na pudełko z żelatyną, coraz bardziej sfrustrowana całym tym dniem.

– Co? – sprzedawczyni odwróciła się na chwilę. – A to. Przeteterminowana. Po terminie sprzedawać nie można chyba, co? – rzuciła agresywnie w stronę swojej klientki, aż tej zrobiło się gorąco.

– No nie można – mruknęła tylko. – Dziękuję – dodała nieco głośniejszym głosem i wyszła ze sklepu.

– To się jeszcze okaże, czy jest za co dziękować! – usłyszała za sobą donośny głos sklepowej, ale postanowiła to zignorować.

Wychodząc ze sklepu, wpadła wprost w ramiona mężczyzny w wyjątkowo kwiecistym stroju, z okularami przeciwsłonecznymi na nosie.

– Przepraszam – bąknęła tylko, chcąc uniknąć zamieszania, i zrobiła krok do przodu, gdy nagle poczuła na swoim przedramieniu męską rękę.

– A dokąd pani tak spieszo, co? – zagadnął ją z zainteresowaniem i zlustrował od stóp do głów.

– Proszę mnie puścić i to natychmiast! – fuknęła. – Nie mam czasu na pogaduszki z nieznanymi. Do widzenia – postanowiła zbyć go jednak poirytowana i wyrwała mu rękę, dając w ten sposób upust swojej

całodobowej frustracji.

– A ja bym raczej wolał usłyszeć od pani „dzień dobry”.

– A to niby czemu?

Rzucił jej łobuzerskie spojrzenie.

– Bo sam jestem dobry w wielu dziedzinach.

– Sorry, ale nie jestem zainteresowana – mruknęła wściekle i nie zważając na jego reakcję, odwróciła się na pięcie, ruszając w stronę samochodu.

– Z charakterem. Lubię takie! – krzyknął za nią jeszcze dyrektor Zespołu Szkół w Sosenkach i pogwizdując cicho, odprowadził ją wzrokiem w stronę samochodu. Chociaż może bardziej trafnie byłoby powiedzieć, że odprowadził jej kołyszący się na boki tyłek, który w tych spodniach wyglądał o wiele lepiej, niż mógł się spodziewać.

– Palant – Martusia powiedziała sama do siebie i wsiadając do samochodu, głośno trzasnęła drzwiami.

– Niezła, nie? – dyrektor rzucił natomiast do sklepowej, która pojawiła się w drzwiach. Chociaż na jego ustach malował się głupiutki uśmiezek, kobieta musiała przyznać, że nadal wyglądał jak Adonis, za którym uganiało się pół żeńskiej części Sosenek. A to z tego powodu tylko pół, rzecz jasna, że ta druga była „mężata”.

– Ładna to może i ona jest, ale inteligencją nie grzeszy – prychnęła jednak pogardliwie. – Podać coś?

– Adres zamieszkania tej pani – zaśmiał się, odsłaniając swoje równiutkie zęby.

Sklepowa natychmiast spiorunowała go wzrokiem.

– Głupie toto jak osioł, ale co się dziwić, jak w nim testosteron szaleje.

– Dobrze, oj dobrze. Mleko poproszę... – ignorując jej kąśliwą uwagę, zaczął w końcu robić zakupy, podczas gdy Martusia właśnie odjeżdżała samochodem sprzed sklepu.

– Wsi mi się zachciało! – mówiła ze złości sama do siebie, zastanawiając się, co też powinna teraz zrobić. Głowę by sobie dała uciąć, że to ciotka uprzedziła o jej wizycie sklepową i zabroniła jej sprzedawać Martusi cokolwiek, żeby znów wróciła do domu z pustymi rękami.

Ale nie będzie tak dobrze! Drugi raz się na to nie nabierze. Co to, to nie!

Zawracając w pierwszym lepszym wjeździe na czyjeś podwórko, postanowiła jechać prosto przed siebie aż do pobliskiej wsi, w której, jak się tego spodziewała, nikt nie robił jej najmniejszych problemów ze sprzedaniem żelatyny.

– I co, masz?! – powitała ją już na ganku ubrana w fartuszek pani Halina, rzucając jej przy tym wyzywające spojrzenie.

– Sklepowa w Sosenkach nie chciała niczego mi sprzedać.

– No masz. Ty się nawet do zakupów nie nadajesz! – starsza pani wyrzuciła w górę ręce. – Dzieci same zostawiasz, gubisz się gdzieś w polach, a teraz jeszcze i to. Jak ty sobie w tym Londynie, sieroto, radziłaś? No jak?

– Kupiłam cioci tę żelatynę – ze spokojem oznajmiła rewelacyjną nowinę i triumfująco wyciągnęła w jej stronę reklamówkę z niebieskimi paczuszkami. – Proszę.

Mina pani Haliny zrzędała natychmiast.

– Ale jak...

– Pojechałam do sąsiedniej wsi – weszła jej w słowa Martusia. – A teraz mogę już iść do dzieci czy jeszcze jakieś atrakcje mi ciocia wymyśli?

– Nie no, jakie atrakcje... – starsza pani wzięła od niej reklamówkę.

– No to świetnie. Wybacz ciocia, ale tyle się dziś nadenerwowałam, że aż muszę się wykąpać dla relaksu – wyminęła ją, zostawiając gdzieś daleko swoje dobre maniery, i ruszyła schodami na górę, gdzie Michalina opiekowała się jej dziećmi. Raptem kilka dni w towarzystwie ciotki sprawiło, że odżyły

w Martusi wszystkie cechy kojarzące się z zawziętością i agresją, bo chociaż była silną i zaradną życiowo kobietą, ceniła sobie też to, że umiała być grzeczna.

Widać jednak, że nie w odniesieniu do wszystkich ta jej grzeczność miała moc sprawczą.

Ściągając z włosów ciemną chustkę, Martusia ruszyła do łazienki, w której czekały na nią świeże ręczniki, wanna pełna piany oraz, o losie, ktoś jeszcze, kto odważył się zakłócić jej ulubioną, wyęsknioną chwilę relaksu, o której marzyła przez cały dzień.

– Aaa! – wrzasnęła, gdy po jej ciele przebiegł dreszcz pełen obrzydzenia i wstrętu i czym prędzej wskoczyła na zamkniętą deskę sedesową, dygocąc z przerażenia.

– Matko kochana, co się stało?! – z nie mniejszym krzykiem przyleciała do łazienki Michalina.

– Niech pani to stąd zabierze! – zaczęła trząść się jeszcze bardziej Martusia i roztarła dłońmi pokryte gęsią skórką ramiona. – Niech pani to weźmie! – pisnęła i wskazała ręką na wielkiego, obślizgłego żółwia przechadzającego się w najlepsze po łazienkowych płytkach.

– No ale to przecież tylko żółw... – popatrzyła na nią ze zdziwieniem starsza pani oraz pojawiająca się w drzwiach ciotka, która bez wahania wypaliła:

– A co ona się tak drze?

– Żółwia się boi – wzruszyła ramionami Michalina, zerkając na ohydne zwierzę podejrzliwie łypiące wzrokiem w stronę obezwładnionej strachem Martusi.

– Głupia – skomentowała zachowanie dziewczyny ciotka.

– Zabierzcie to stąd! – w odpowiedzi pisnęła ponownie Martusia.

– Dobrze już, dobrze. O co tyle krzyku. Na dwór się go wyniesie i tyle. Henryk pewnie z rzeki wyłowił i przyniósł.

– Weź, weź Michalinko. Te miastowe to strasznie wrażliwe – pokręciła głową pani Halina i oddaliła się z łazienki, uśmiechając pod nosem. To ona podłożyła do łazienki żółwia, pamiętając, że w dzieciństwie Martusia bała się żab i podobnych zwierząt.

Michalina podążyła za nią, trzymając w rękach paskudnego gada.

Martusia zadygotała jeszcze i potarła mocniej swoje drżące przedramiona. Tak strasznie bała się płazów i gadów, że momentami przechodziło to ludzkie pojęcie. Widok potwornego żółwia maszerującego na swoich ohydnych łapach w miejscu, które miało służyć do relaksu, wstrząsnął nią tak bardzo, że zamiast długiej kąpieli wzięła tylko szybki prysznic.

Ciepła woda spłukała z niej powierzchownie zmęczenie i Martusia zawinęła się grubym ręcznikiem. Nadal nie mogła się pozbyć z głowy obrazu wyłupiastych, świdrujących oczu wielkiego żółwia, dlatego na boso czym prędzej uciekła z łazienki i na resztę dnia zaszyła się w bezpiecznej, przytulnej sypialni. Pomieszczenie pachniało kosmetykami do pielęgnacji małych dzieci, co trochę ukoilo jej nerwy. Do wieczora siedziała w nim razem z układającą puzzle Marysią i marudzącym Krzysiem. To zdecydowanie nie był przyjemny dzień, o ile nie liczyć chwili relaksu w towarzystwie Andrzeja, rzecz jasna. Chociaż wiedziała, że jej ciotka jest nieco... męcząca, nie miała pojęcia, że aż tak. No bo co miało znaczyć wyprowadzenie jej gdzieś w pola, nastawienie przeciw niej sklepowej, wszystkie te złośliwe docinki, a na sam koniec żółw, który, jak zdawało się Martusi, nie znalazł się w łazience przez przypadek?

No i masz! W dodatku o dwudziestej pierwszej zgasło światło.

– Uroki polskiej wsi – jęknęła tylko i położyła się do łóżka razem z dwójką dzieci, chcąc znaleźć ukojenie chociaż we śnie. – Po prostu wspaniale.

W domu wujostwa Martusi przez następne kilka dni pachniało dżemami i konfiturami. Słodka woń

wdzierała się w każde zakamarki i wesoło penetrowała otwarte przestrzenie, sprawiając, że domownicy czuli się, jak gdyby nieustannie spacerowali po jesiennym sadzie, a dziewczynie wyjątkowo przypominały się czasy dzieciństwa. Właściwie to Martusia zastanawiała się nawet, czy całe Sosenki nie przeszły tym wyjątkowym zapachem, bo gdy tylko wychodziła na balkon czy podwórze, czuć było nutki słodkawego aromatu.

– Co tak stoisz, Martusiu? – zagadnął dziewczynę Henryk, który pojawił się nagle, gdy w samym szlafroku i kapciach stała na ganku z kubkiem herbaty w dłoni.

– Tak sobie patrzę, wujku, i myślę o tym, kiedy byłam mała i przychodziłam do was na jabłka albo pomęczyć o coś Iwonkę – powiedziała, patrząc rozmarzonym wzrokiem na podwórze.

– Mimo różnicy wieku byłyście kiedyś nierozłączne – Henryk uśmiechnął się ciepło, opierając się o balustradę tak jak ona. – Pamiętam ten uroczy widok, kiedy Iwonka woziła cię w wózku albo prowadziła za rękę. A pamiętasz, jak uczyła cię jeździć na dwukołowym rowerze?

Zaśmiała się głośno.

– Pamiętam. Blizna na łokciu do tej pory mi o tym przypomina.

– Albo jak o mały włos nie spaliłyście nam domu.

– O nie, wypraszam sobie – udała naburmuszoną minę. – To akurat była sprawka Iwonki. Ile ja wtedy mogłam mieć lat? Ze cztery?

– Z tego, co pamiętam, to ty ją namawiałaś do zabawy w dom.

– Ale to nie ja postawiłam żelazko na drewnianej podłodze przodem do domu, żeby jego kabel udawał ścianę, i to nie ja wsadziłam wtyczkę do kontaktu.

– Oj dziewczyno, dziewczyno – Henryk pokręcił głową z pełnym rozbawienia uśmiechem. – Do tej pory pamiętam krzyk, jaki wyrwał się Halinie, kiedy zobaczyła te smugi dymu unoszące się znad żelazka. Czarna pamiętka na podłodze straszy do tej pory.

– To były czasy, prawda? – tęskno popatrzyła na wujka Martusia.

– Trochę nam zdążyłyście podrosnąć, nie ma co. Iwonka jest przed czterdziestką, a tobie niedługo... Ile ty już masz właściwie lat, bo chyba straciłem rachubę.

– Dwadzieścia sześć.

– Nie może być! W takim razie dobrze mówiłem, że dom Czeremchowej kilkadziesiąt lat odłogiem stoi. Przecież to już prawie dwadzieścia!

– Wujku! Nie jestem taka znów stara, wypraszam sobie! – roześmiała się, widząc jego zdziwioną minę.

– Dzieci rosną, lata lecą...

– A wy z cicią ciągle młodzi! – weszła mu w słowo.

– Duchem owszem, kochanie, duchem owszem. Ale to już nie to samo. No ale wracając do sedna. Nadal nie powiedziałaś mi, czemu tak sobie tu stoisz skoro świt.

– Dzieci śpią, a ja całą noc kręciłam się w łóżku. To pomyślałam, że zdążę się przewietrzyć, zanim wstaną.

– Trzeba było zejść na dół i ziółek sobie zaparzyć. Zielarka ostatnio obficie nas w nie wyposażyła – powiedział Henryk, nie afiszując się z tym, że jego żona jeszcze kilkanaście dni temu cierpiała na chroniczną depresję spowodowaną brakiem sensu życia.

– Następnym razem pewnie tak zrobię.

– No i o czym sobie tu tak rozmyślasz, lecząc bezsenność, co?

– Chciałabym odwiedzić dom babci. Jestem tu już kilka dni, a jeszcze nie zdążyłam tego zrobić, chociaż to właśnie po to przyjechałam z dziećmi do Sosenek – powiedziała, obracając w dłoniach ciepły kubek. – Mógłby tam wujek ze mną podjechać?

– No tak myślałem, że ty jakiś cel w tym przyjeździe do Sosenek to masz. Zastanawialiśmy się nawet

z ciotką, czy zamierzasz tu zostać na stałe.

– Sama jeszcze nie zdecydowałam. U was na pewno nie zamierzam gościć na zawsze, o to nie musi się wujek martwić. Zobaczę dom i zastanowię się, co dalej. Albo zostanę i go wyremontuję, albo po prostu sprzedam i kupię jakieś mieszkanie w mieście.

– Nie powinnaś robić sobie zbyt wielu nadziei odnośnie do tej babcinej posesji. Dom raczej urodą nie grzeszy, tak samo jak swoim stanem. Tyle lat stał odłogiem, to wszystko popróchniało. Z rur woda na pewno nie poleci, pomijając fakt, że prąd na wszelki wypadek odłączyli kilkanaście lat temu, żeby do jakiegoś zwarcia nie doszło, bo kto by to ugasił?

– Rozumiem – pokiwała głową Martusia, trawiąc w spokoju słowa wujka. – Ale i tak chciałabym go zobaczyć.

– Chętnie z tobą tam pojedę. Jak ostatnio przejeżdżałem, to widziałem, że tak wszystko zarosło, że pewnie kosę będzie trzeba ze sobą zabrać, żeby chociaż dostać się do środka.

– A dokąd to chcesz się dostawać, Henryku? – weszła w słowa męża wyłaniająca się z wnętrza domu ciotka Halina, ubrana w swój kraciasty fartuszek.

– Martusia chce zobaczyć dom Czeremchowej, to zaproponowałem, że z nią pojedę.

– Nie widzę w tym sensu. Tam przecież nie ma czego oglądać. Stara ruina, co ledwo stoi – machnęła ręką, wyrażając swoją dezaprobatę dla tego pomysłu.

– Mimo wszystko mam zamiar go obejrzeć – twardo postawiła na swoim Martusia.

Ciotka popatrzyła na nią lekceważąco.

– No jak koniecznie musisz, to jedź. A teraz rusz się lepiej, zamiast tak stać bez sensu i myśleć nad jakąś ruiną. Krzysiek się obudził i płacze.

Martusia jeszcze przez chwilę mierzyła ciotkę wzrokiem, a potem wyminęła ją bez słowa i ruszyła na górę do chłopca, którego nie zdołała uspokoić nawet trzymająca go na rękach Michalina.

– No a ty co tak stoisz? – zwróciła się natomiast do męża pani Halina. – Przeziębisz się jeszcze i tyle z tego będzie.

– Jesteś dla niej stanowczo za surowa – spokojnie popatrzył na żonę Henryk. – Ona nic ci nie zrobiła, a ty na każdym kroku robisz wszystko przeciwko niej.

– Nie twoja sprawa, prawda?

– Może i nie moja. Ale to ty zachowujesz się jak stara, złośliwa kwoka – uniósł w górę głowę starszy pan i nie zważając na zdezorientowaną minę żony, ruszył do jadalni, gdzie czekało na niego na stole wyjątkowo obfite śniadanie. Tak dla odmiany, po tym, jak jego żona przez kilka dni starała się pokazywać Martusi, że na wsi żyje się dość biednie, i faszerowała ją kanapkami, mlekiem, a czasem nawet i samym chlebem ze smalcem, co, według starszego pana, nie do końca współgrało z ich wielką posesją i statusem społecznym. Ale co on tam stary mógł wiedzieć?

Gdy Henryk w świętym spokoju delektował się śniadaniem, u góry rozpętało się prawdziwe, zbiorowe płkanie, które rozpoczął głodny Krzyś. Michalina zaczęła skakać z nim jak szalona po pokoju, niechcący potrąciwszy ulubioną figurkę Marysi stojącą zawsze przy łóżku dziewczynki, przez co ta zaczęła płakać jeszcze głośniej niż chłopiec. Na szczęście w centrum tego wszystkiego pojawiła się w końcu wracająca z dworu Martusia.

– Matko kochana, a co tutaj się dzieje? – powiedziała, podchodząc do Michaliny, i odebrała od niej wygłodniałego chłopca. Jej oczom nie umknął oczywiście widok rozbitej pamiątki Marysi i zapłakanej dziewczynki.

– Ciocia mi zbiła – wyjaśniła jej, zanosząc się szlochom córeczka.

– Nie rusz tego Marysiu, bo jeszcze sobie rączki pokaleczysz! – pociągnęła dziewczynkę lekko do tyłu, chcąc odciągnąć ją od potłuczonego szkła.

– Niechcący mi spadło. Z Krzysiem chodziłam po pokoju i musiałam ręką zawadzić albo... – zaczęła się natomiast tłumaczyć Michalina, stojąc ze spuszczoną głową.

– Nic się przecież nie stało.

– Zbiło się! – zapłakała jeszcze głośniej Marysia.

– Kochanie, możemy kupić nową figurkę.

– Ale ta była moja ulubiona... – pociągnęła nosem, sadowiąc się w końcu na łóżku obok matki.

Martusia popatrzyła na gosposię, która natychmiast skinęła twierdząco głową.

– Na pewno gdzieś tutaj dostaniemy podobną, prawda?

– Pewnie, że tak. W sklepie mają takich figurek od groma i jeszcze więcej.

Marysia popatrzyła na gosposię z zainteresowaniem, ocierając łzy.

– Naprawdę?

– No pewnie! Jak chcesz, to pójdziemy po śniadaniu i jakąś sobie wybierzesz!

– I co, już lepiej? – popatrzyła na twarz dziewczynki, na której po słowach Michaliny natychmiast wymalował się uśmiech.

– Tak.

– No to idź prędko na śniadanie z ciocią Michaliną, a ja zaraz do was dołączę.

Dziewczynka spojrzała tylko na mamę i posłusznie zeskoczyła z łóżka, wyciągając rękę w stronę gosposi.

– A tym rozbitym niech się Martusia nie martwi. Ja tu zaraz wszystko posprzątam – rzuciła do niej Michalina, nim razem z dziewczynką wyszły z sypialni.

Martusia skinęła jej tylko głową i zabrała się za karmienie Krzysia, uśmiechając się pod nosem. Chociaż marzyły jej się spokojne poranki, musiała przyznać, że w tych pełnych zamieszania też było coś wyjątkowego.

Kiedy wszyscy domownicy zjedli w końcu śniadanie, każde z nich postanowiło rozejść się w swoją stronę. Michalina, tak jak obiecała, postanowiła zabrać Marysię do sklepu w Sosenkach po nową figurkę. Martusia ubrała więc córeczkę w różową spódniczkę i niebieski płaszczyk, nie zapominając przy okazji o Krzysiu.

– A dokąd ty się z nim wybierasz? – zagadnęła ją niby beztróska pani Halina, kiedy Marysia z gosposią wyszły już do sklepu, a ona zjawiała się z niebieskim nosidłem na dole.

– No przecież mam podjechać z wujkiem zobaczyć dom po babci.

– Ale tak z dzieckiem?! – ożywiła się natychmiast starsza pani.

– Przewietrzy się, to dobrze mu to zrobi.

– No tak, no tak... – starając się nie pokazywać paniki, zaczęła kiwać głową pani Halina.

Martusi znów zachciało się śmiać, gdy uświadomiła sobie wysiłki ciotki.

– Ale zimno jest!

– Nie jest jeszcze tak zimno. Okryję go szczelnie kocykiem i nic mu się nie stanie – nakładając czapkę na głowę synka, nawet nie zerknęła na wręcz wychodzącą z siebie starszą panią.

– Wieje. Nic mu ta czapka i kocyk nie pomogą. Zostawiłabyś go w domu, ja bym się nim zajęła, a za jakiś czas wpadnie tutaj Agatka, bo dziś kończy wcześniej lekcje. Lepiej mu z nami będzie! A ty chcesz dziecko ciągać po jakiś ruinach.

Martusia uśmiechnęła się pod nosem.

– Nie wiedziałam, że ciocia jest taka chętna do opieki nad Krzysiem – rzuciła z przekąsem, nie chowając urazy do ciotki i jej konserwatywnych poglądów.

Starsza pani przestąpiła nerwowo z nogi na nogę, czując, że została przez chrześniaczkę postawiona pod ścianą.

– Szok przeżyłam, to i zareagowałam w taki sposób. Nie powinnaś mnie winić.

– Ależ ja cioci nie winię – powiedziała tylko Martusia i ruszyła z nosidłem w stronę drzwi, ponieważ na zewnątrz czekał już na nią gotowy do wyprawy pan Henryk.

Pani Halina przez chwilę wahała się, co zrobić, aż w końcu rzuciła się ku drzwiom, stanęła w nich w rozkroku, zasłaniając je całą sobą, i wyciągnęła na boki ręce.

– Co ciocia robi? – skomentowała jej szaleńcze zachowanie Martusia, stając jak wryta. Nie wiedziała, czy ma zacząć się śmiać, czy obawiać ciotki furiatki.

– Ja? Stoję sobie tylko – pani Halina wzruszyła ramionami i zerknęła na nią niewinnie.

– Nie może ciocia gdzieś obok? Chciałabym wyjść.

Starsza pani rozejrzała się nerwowo, szukając pomocy, ale z racji tego, że Henryk był przecież na zewnątrz, a Michalina w sklepie, musiała działać w pojedynkę.

– Komary go potną w tej głuszy. Krzaczorów tam pełno i drzew.

– To go sprayem jakimś psiknę od komarów.

– A kleszcze?!

– I od kleszczy. Przepuści mnie ciocia czy nie? – Martusia zrobiła w końcu krok do przodu.

– Nie mogę! – wykrzyknęła ciotka, jeszcze mocniej przyciskając się do zamkniętych drzwi.

– Nie rozumiem.

– Ja to dla twojego dobra robię, Martusia, a ty się zachowujesz jak dziecko!

– Nie bardzo wiem, co ciotka ma na myśli. Ja nie wnikam w czyjeś rasistowskie poglądy, ale...

– Jakie rasistowskie! Koloru skóry się nie wybiera, ja do Krzysia nic nie mam. Chronić was tylko chcę!

– Ach tak? A przed czym?

– A przed gadaniem na wsi! Nie było cię, to nie wiesz, jak plotkowali, że jako panna z Marysią wracasz. A tu proszę. Drugie dziecko, w dodatku czarne. My sobie możemy Krzysia kochać, ile wlezie, ale ludzie w Sosenkach nie są tacy tolerancyjni i życ nam potem nie dadzą! – ciotka popatrzyła na nią z rozpaczą.

Martusia zamyśliła się na chwilę.

– Czyli nie chodzi cioci prywatnie o kolor skóry Krzysia? – spojrzała na ciotkę z ukosa.

– Boże broń! Zdrowy chłopaczek, piękny. Ja się tylko martwię. Chronić was chcę! – pani Halina opuściła w końcu ręce i wbiła błagalny wzrok we fiołkowe oczy Martusi.

– No dobrze – czując na sobie jej wzrok, poddała się w końcu. – Ale niech ciocia dba o niego jak o własne dziecko!

– Matko kochana, no przecież, że będę! – ucieszyła się w końcu pani Halina i odetchnęła z ulgą.

– O dwunastej niech go ciocia nakarmi. A jak będzie płakał, to i wcześniej – Martusia podała jej nosidło, nadal nie będąc do końca pewna, czy robi dobrze.

– Nakarmię, nakarmię. Tyle wnuków odchowałam, to i z Krzysiem sobie poradzę.

– Ale gdyby się coś działo, niech ciocia natychmiast do mnie dzwoni, dobrze?

Pani Halina skinęła głową i ruszyła w stronę kanapy, żeby postawić na niej nosidło, a potem zaczęła rozbierać rozspanego Krzysia z kurteczki i czapki.

– Wrócimy niedługo – powiedziała Martusia, wycofując się niepewnie do drzwi.

– Dobrze, dobrze! – pani Halina machnęła w jej stronę, zajęta Krzysiem. – Aha! – oderwała się nagle od dziecka. – Powiedz Henrykowi, że syn Witolda dzwonił! Wpadnie do nas wieczorem, by pomóc segregować jabłka przed oddaniem do skupu.

– Syn Witolda. Jabłka – powtórzyła na głos Martusia i poprawiła przewieszoną przez ramię torebkę. – No to idę – spojrzała jeszcze raz w stronę ciotki i uśmiechnęła się szeroko, widząc, z jaką czułością

starsza pani bierze w ramiona małe dziecko.

– Z Bogiem, z Bogiem! – rzuciła w jej stronę ciotka i Martusia wyszła na zewnątrz, gdzie czekał już na nią gotowy do drogi Henryk, ubrany w kraciastą koszulę i kapelusz z niedużym rondem.

– I jak, jedziemy? – zapytał, otwierając przed nią drzwi od strony pasażera.

– Tak, tak – uśmiechnęła się ciepło. – Ciocia kazała wujkowi przekazać, że wpadnie wieczorem syn jakiegoś Witolda, żeby pomóc z jabłkami.

– O, to bardzo dobra wiadomość! – ucieszył się starszy pan i zamknął za nią drzwi. – Lata już nie te, to każda pomoc się przyda – dodał, sadowiąc się za kierownicą.

– Gdyby ta pomoc była bardzo potrzebna, to ja też...

Henryk popatrzył na nią rozbawiony.

– Nie gniewaj się, Martunia, ale ty ani mięśni nie masz, ani chłopakiem nie jesteś, a to męska robota. Ruszamy?

– Tak – kiwnęła głową i zapięła pas, a potem rozkoszowała się jazdą do babcinego domu, w którym nie była od dawna. Wpatrywała się też z uporem maniaczki w mijane domy i ogródki wiejskich posesji.

– Strasznie dużo zmieniło się w tej wsi, odkąd wyjechałam – stwierdziła rozmarzonym głosem, gdy już prawie dojeżdżali na miejsce i gęsta sieć zabudowań stała się nieco rzadsza, a przy drodze zaczęły dominować dzikie krzewy i drzewa.

– Odkąd poszłaś na studia, do nas nie przyjeżdżałaś. Czas wyciska swoje piętno wszędzie. Nawet w naszych Sosenkach – odpowiedział jej Henryk, zwalniając nieco przed wjazdem na zarośnięte podwórze wokół opuszczonego domu Czeremchowej. – Chociaż tutaj zdecydowanie płynie wolniej – dodał nieco filozoficznie.

– O jeny – wyrwało się natomiast Martusi, mimo wszystko entuzjastycznie, gdy zaparkował samochód przed bramą wjazdową, za którą rozpościerała się prawdziwa dzika łąka, a raczej zaniedbany park, na którego końcu majaczył niewyraźnie mały, chylący się w jedną stronę drewniany domek pokryty szczelnie strzechą. Tak jak pamiętała, z jednej strony nadal porośnięty był dzikim bluszczem, który teraz oplatał też sporą część dachu i obdrapane z farby okiennice.

– Uprzedzaliśmy cię z Halinką, że szaku to tutaj nie ma.

– Nie o to chodzi! – powiedziała, czując, jak jej oczy powoli szklą się pełnymi wzruszenia łzami, i podeszła do drewnianej furtki, która zdążyła już porządnie spróchnieć.

Gdy tylko jej palce zacisnęły się na porośniętym mchem drewnie, wszystkie wspomnienia z dzieciństwa zawirowały jej przed oczami do tego stopnia, że o mały włos nie zakreśliło się w głowie.

– Dobrze się czujesz? – widząc jej reakcję, zapytał Henryk.

– Tak, tak – pokręciła głową i spróbowała pchnąć do przodu doskonale znaną furtkę do świata pachnącego jej dzieciństwem, ale ona nie chciała jednak nawet drgnąć pod naporem nieumięśnionych rąk.

– Nie, nie. Zostaw. Musimy wejść główną bramą. Tu trzeba by wszystko wcześniej porządnie wykarczować, bo za furtką też jakieś krzaczory porosły – wytłumaczył jej pobieżnie Henryk i otworzył wiszącą na zamkniętej bramie kłódkę, a potem razem z Martusią weszli na teren posesji jej babci, ostrożnie stąpając wśród bylin, traw i zarośli.

– Ale tu się pozmieniało – wyrwało się Martusi, gdy szła, rozglądając się dookoła wokół gęsto porośniętej dzikimi roślinami dróżki, która kiedyś była piaszczystą, zadbaną alejką.

Owady bzycały żywo wokół głów zapuszczających się w dzikie tereny gości, a ptaki świergoliły wesoło, ganiając się w koronach drzew, w których uwiły sobie gniazda, dodając temu zdziżiałemu miejscu magii i wyjątkowego klimatu. Wśród niewielu mniej zagęszczonych obszarów udało się Martusi dostrzec dzikie, kwitnące jeszcze na purpurowo jeżówki, które podczas pracy w Londynie bardzo często wykorzystywała do swoich bukietów. Przez jej głowę natychmiast przemknęła myśl, że te cieszące wzrok

kwiatki wyjątkowo dobrze prezentowałyby się w otoczeni bujnie kwitnących marcinków w ogrodzie ciotki Haliny.

– Idziesz? – wyrwał ją z zamyślenia donośny głos wujka Henryka, który stał już na progu drewnianej posesji.

– Tak, tak! – odrzyknęła mu tylko i uważając, by się nie potknąć o jakiś wystający z dróżki pęd czy patyk, pobiegła w jego stronę, kolejny raz tego dnia czując się jak mała dziewczynka.

– Wchodzimy?

– Pewnie! – odgoniła latające wokół siebie komary i roztarła wychłodzone ramiona. Przez całe te zarośla do środka ogrodu docierała naprawdę minimalna liczba promieni słonecznych.

– Jak chcesz, to w samochodzie jest jeszcze jedna kurtka – widząc ten gest, zaproponował Henryk.

– Nie, nie trzeba! Nic mi nie będzie.

– Wierzę ci na słowo – spojrzał na nią raz jeszcze, a potem przekręcił klucz w zardzewiałym zamku i pchnął do środka ciężkie, wejściowe drzwi, które powitały Martusię zgrzytem i trzaskiem. Z wnętrza domu dobiegł do jej nozdrzy zapach będący mieszaniną kurzu i wyschniętych na wiór ziół wiszących w pozwiązywanych kępkach na ścianie za drzwiami. Pierwsza z desek skrzypnęła głośno, gdy razem z Henrykiem weszli do środka.

– Czy to jest w ogóle bezpieczne? – zapytała, rozglądając się dookoła po ciemnym wnętrzu z szeroko otwartymi oczyma.

– Nie mam pojęcia. Nikt nie sprawdzał tych stropów od lat, dlatego zobacz, co masz zobaczyć szybko, i wychodzimy.

– Dobrze – skinęła głową i zrobiła kilka kroków do przodu, niepewnie stawiając nogi na zakurzonej podłodze tak, że stała teraz przy kafłowym piecyku łączącym maleńką kuchnię z przedpokojem.

– Chcesz, żebym poczekał na zewnątrz? – Henryk odezwał się cicho, widząc, z jaką czcią wodzi palcem po zabrudzonych kafelkach.

– Nie, nie. Jest dobrze – szepnęła w odpowiedzi i przymykając oczy, nabrała w płuca pełnego kurzu powietrza, którym oddychała w dzieciństwie. Pod jej zamkniętymi powiekami wymalował się niesamowity obraz, jaki przez lata nosiła głęboko w pamięci.

Był wtedy środek lata i przez otwarte okno do słonecznej kuchni w babcinej chatce wpadały złociste promienie słońca, którym dosłownie ułamek sekundy wcześniej udało się trącić drżące na wietrze gałęzie drzew. Martusia miała wtedy może cztery, a może pięć lat, tego nie umiała sobie przypomnieć, a popołudnie było ciężkie i duszne, chociaż poranek wydawał się wyjątkowo rześki i wietrzny. Ubrana w koronkową, przymałą już sukienkę siedziała na wysokim, ciężkim krześle przy czteroosobowym stole, a babcia postawiła przed nią jeszcze ciepły kawałek dyniowego placka.

– Wcinaj na zdrowie, kochanie – powiedziała przy tym z rozkosznym uśmiechem, jaki miewają tylko ukochane babcie.

Martusia obrzuciła ją szybkim spojrzeniem i natychmiast złapała w rękę mięciutki kawałek ciasta.

– Pycha! – wyrwało jej się, gdy głośno mlaszcząc, zaczęła przeżuwać pierwszy kęs.

Babcia uśmiechnęła się ciepło i przysiadła na krześle stojącym naprzeciwko dziewczynki, a potem zapatrzyła się w otwarte na oścież okno za jej plecami.

– Chyba idzie na burzę.

Martusia spojrzała na nią pytająco z policzkami nabrzmiętymi od nadmiaru ciasta.

– Wyglądasz dzisiaj jak mała laleczka, wiesz? – dla odmiany przyjrzała się jej babcia, ciężko wdychając parne powietrze.

Martusia zachichotała cichutko, słysząc jej słowa, i zatopiła zęby w zmniejszającym się kawałku

ciasta.

– Kiedy wróci mama? – zapytała, beztrąsko machając nogami.

– Twoi rodzice powinni wrócić lada chwila – babcia zbyła ją, wstając z krzeselka. – A ty nie gadaj gadułko, tylko jedz. Chudzinka z ciebie, że aż przykro patrzeć. Tej porcelanowej buźce przydałoby się chociaż trochę kolorków.

Martusia otworzyła gwałtownie oczy, przypominając sobie dalszy bieg wydarzeń podczas tamtego wieczoru, i musiała przytrzymać się kafelkowego piecyka, żeby nie upaść. To, od czego uciekała przez większą część swojego krótkiego życia, dopadło ją niczym przyczajona pantera z niesamowitą siłą. Westchnęła ciężko i przytuliła głowę do zimnych kafelków. Mimo że przez ostatnie lata nauczyła się, jak być twardą, zapłakała głośno, a jej ciałem wstrząsnął bolesny szloch.

– Już dobrze – podszedł do niej powoli Henryk i przygarął do siebie rozbitą emocjonalnie Martusię.

– Czuję, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj.

– Wiem kochanie. Takie rzeczy nigdy nie przestają boleć – przeszył przerażającą ciszę pełen bólu głos Henryka.

– Po prostu ja nadal nie potrafię zrozumieć, dlaczego to spotkało właśnie ich – zaszlochała, a potem oboje zamilkli na jakiś czas, napawając się pełną bolesnych wspomnień atmosferą tego miejsca. Każde przeżywało wizytę w drewnianym domu na swój własny sposób.

– Chyba będziemy się zbierać, co? – przerwał w końcu milczenie Henryk.

Martusia uniosła głowę z jego klatki piersiowej i głośno pociągnęła nosem.

– Zajrzę jeszcze tylko do sypialni babci, dobrze?

– Nie wiem, czy to bezpieczne. Stropy w tamtym miejscu zawsze wydawały mi się wyjątkowo słabe.

– Tylko na chwilę – otarła dłońmi policzki i wysiliła się na uśmiech.

O ile dobrze pamiętała, babcia trzymała pod łóżkiem pełną najróżniejszych listów i zdjęć szkatułkę, którą odkryła kiedyś podczas niewinnej zabawy. Babcia nigdy nie pozwalała jej do niej zaglądać i zganiła ją wtedy wyjątkowo mocno, ale na nią ta kara prawie wcale nie podziałała.

Szkatułka, a raczej myśli krążące wokół niej, towarzyszyła jej w każdym okresie życia, ponieważ leżały w niej jedyne zdjęcia rodziców, jakie kiedykolwiek widziała. Chociaż nigdy nie miała odwagi poprosić o nie babcię, a w pewnym momencie stało się na to już za późno, zawsze pragnęła je mieć i teraz, kiedy nadarzyła się w końcu okazja, bez zastanowienia ruszyła w kierunku ciasnej sypialni, uchylając się przed pajęczynami.

– Tylko uważaj na siebie! – dobiegł ją jeszcze ściszony głos wujka, ale Martusia zupełnie go zignorowała i uchylając drzwi do osamotnionego pomieszczenia wciśniętego w sam kąt niewielkiej chatki, weszła do środka. Zbliżyła się do drewnianego łóżka, na którym mimo upływu czasu leżała znajoma pościel, a potem padła na kolana i zajrzała pod łóżko.

– Jest – szepnęła sama do siebie, dostrzegając błyszczące, pokryte powłoką pajęczyn sreberko, i wsunęła ręce pod łóżko, by wyciągnąć magiczną skrzyneczkę.

Nie chcąc denerwować wujka, sprawnym ruchem odgarnęła z niej kurzowe koty, a potem uchyliła leciuchno i z należytą czcią zajrzała do środka. Szkatułka zatrzeszczała i chwilę potrwało, zanim dała się do końca otworzyć, ale tak jak Martusia zapamiętała, mieściła w sobie stare zdjęcia i listy.

– Są – przejechała dłonią po delikatnym, pożółkłym papierze, który leżał schowany pod łóżkiem przez ponad dwadzieścia lat. Poczwała, że zrobił się wyjątkowo miękki i kruchy. Czas wycisnął swoje piętno również na nim.

– Wszystko w porządku? – dobiegł do uszu dziewczyny niespokojny głos czekającego u wejścia do chaty Henryka.

– Tak, tak – odkrzyknęła, podnosząc się z kolan.

Zamykając szkatułkę z metalowym wieczkiem, nie mogła doczekać się momentu, w którym usiadzie spokojnie gdzieś na skraju podwórza wujostwa i zagłębi się w pamiętki czasu skrzętnie przechowywane przez babcię. Jej twarz wyrażała z tego powodu mieszankę uczuć. Od zachwyty i radości po ogromny smutek i ból.

– Wyjdźmy stąd już, bo czuję, że zaraz od tego kurzu się uduszę – trzymając pomarszczoną dłoń gdzieś w okolicach swojego gardła, powiedział na widok powoli wyłaniającej się z ciemności Martusi Henryk.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością za to, że postanowił tu z nią przyjechać, a potem jeszcze raz obrzuciła wzrokiem ciemne, zakurzone miejsce i skierowała się do wyjścia.

– Chciałabym przejść się jeszcze dookoła domu – stwierdziła, kiedy znaleźli się już na zewnątrz.

Henryk spojrział w górę. Niebo zasnuwało się coraz większą ilością chmur.

– Dobrze, ale szybko, bo mam wrażenie, że pogoda będzie się zmieniać. Meteorolodzy zapowiadali, że w tym tygodniu zacznie padać i może być burzowo.

– Skończy nam się ładna pogoda? – zapytała, ruszając niewyraźnie zarysowaną między trawami alejką, po której biegała niegdyś razem z nastoletnią Iwonką.

– Najwidoczniej. Ale co się dziwić, mamy październik. O ile dobrze pamiętam, to w tym roku zima ma przyjść do nas wyjątkowo wcześnie.

– Bardzo niedobrze – pokręciła głową, wsuwając szkatułkę do przewieszanej przez ramię torebki.

– Ano niedobrze. Ale na szczęście już mamy po zbiorach – odpowiedział jej Henryk i wsadził ręce do kieszeni, sentymentalnie spoglądając na dom Czeremchowej. – I co o nim myślisz?

– Zdecydowanie nie nadaje się do zamieszkania.

– No nie nadaje.

– Remont też raczej nie wchodzi w grę.

– Taniej byłoby go zburzyć i postawić od nowa.

– No właśnie – skinęła głową, rozglądając się po zaroślach, które zdawały się czaić na nią niebezpiecznie. – W takim razie powinnam rozejrzeć się za jakimś kupcem.

– Chcesz sprzedać ziemię po babce?

Martusia westchnęła ciężko i kopnęła leżący jej na przeszkodzie kamień.

– To miejsce już chyba zawsze będzie kojarzyło mi się tylko z tamtym wieczorem – wyznała cicho, a potem odgarnęła opadające na twarz kosmyki włosów.

Henryk odetchnął głośno i zapatrzył się gdzieś w przestrzeń. Starał się zrozumieć, co przeżywała chrześniaczka jego żony, i choć nie było go wtedy w Sosenkach, pamiętał z opowiadań każdy detal tamtego głośnego wypadku, w którym zginęli rodzice Martusi.

– I co będzie dalej?

– Mam odłożone trochę pieniędzy, na życie w najbliższych miesiącach mi starczy – wyznała nie do końca zgodnie z prawdą. – Sprzedam tę ziemię i kupię mieszkanie gdzieś w mieście. Odwykłam od wsi i chociaż jest tutaj po prostu pięknie, przez wszystkie te lata w Warszawie, a potem Londynie, stałam się prawdziwym mieszczuchem.

Henryk przystanął na moment, słysząc te słowa, i popatrzył w jej fiołkowe oczy.

– Pamiętaj, że zawsze możesz liczyć na mnie i na ciotkę. Może to, co ona cuduje, wydaje ci się trochę szalone, ale robi to wszystko dla twojego dobra.

– Ja wiem, wujku, wiem – uśmiechnęła się do niego i ścisnęła lekko jego przedramię. – Dziękuję, że jesteście.

– Ależ nie ma za co, kochanie! Wracamy?

– Tak. Trochę zmarzłam. Poza tym w domu czekają na mnie małe dzieci. Ciocia nie ma już dwudziestu

lat i nie powinnam narażać ją na tak długotrwałe stresy.

– Co? – roześmiał się Henryk na wspomnienie depresji cierpiącej z samotności żony. – Gwarantuję ci, że Halinka jest po prostu wniebowzięta, że coś się w jej życiu dzieje. Tym powodem zupełnie nie powinnaś się martwić.

Martusia popatrzyła na niego, nie kryjąc zaskoczenia, ale nic nie odpowiedziała. Stąpali zarośniętą ścieżką do bramy wjazdowej w milczeniu i patrzyli pod nogi. Dopiero gdy znaleźli się za bramą posesji, Martusia zdobyła się na odwagę i odwróciła się jeszcze raz w stronę domku babci. Przez jej głowę przemknęła wizja tego miejsca z czasów jego świetności i oczami wyobraźni zobaczyła trzymających się za ręce rodziców stojących na ganku.

– Jedźmy już – westchnęła ciężko, odganiając te mgliste wspomnienie, i wsiadła do samochodu, zapinając następnie pasy.

– To co, do domu, czy masz jeszcze coś do załatwienia?

– Nie, nie. Do domu – powiedziała, czując napływające do oczu łzy. Cała ta wizyta, wbrew temu, czego się spodziewała, wyjątkowo mocno rozbiła ją emocjonalnie. Na tysiące drobnych kawałeczków, pomyślała, przymykając oczy. Miała jednak świadomość, że jest na takim etapie swojego życia, w którym rozklejanie się i rozdrapywanie starych ran nie było wskazane, a wręcz zabronione. Nie wspominając o powodach, dla których uciekła z Londynu.

– Jesteście w końcu! – gdy tylko wrócili do domu, rzuciła się w jej ramiona wesolutka Marysia. W dłoni ścisnęła nową figurkę.

– Pokaż no to cudencko – nie omieszkała zainteresować się nią Marta i ukucnęła obok dziewczynki, oglądając nowy nabytek z nieudawanym zainteresowaniem. – Piękna!

– No wiem. Michalina pomogła mi wybierać.

– To wspaniale! Musisz ją teraz postawić przy łóżku i uważać, żeby i ona się nie zbiła.

Marysia pokiwała głową, dumnie obracając porcelanową figurkę w dłoniach.

– No właśnie.

– A gdzie Krzyś?

– Śpi razem z ciocią. Ze mną bawiła się Agatka.

– Super.

Martusia potargała jeszcze włosy córeczki i ruszyła w stronę domu, a potem przejęła stery nad rozespanym Krzysiem i aż do wieczora nie wychodziła ze swojej sypialni, podczas gdy jej córeczka wesoło biegała po dworze z Agatą.

– Nie potrzeba ci czegoś? – zajrzała do niej ciotka, gdy, mimo wczesnej pory, niebo zaczęło zasnuwać się coraz cięższymi chmurami zwiastującymi burzę.

Martusia popatrzyła na nią, gładząc po twarzy marudzącego synka.

– Właściwie, gdyby to nie był problem, chciałabym się trochę przejść. Musi być coś chyba nie tak z ciśnieniem, bo strasznie rozbolała mnie głowa.

Starsza pani popatrzyła na dziewczynę z wyjątkową troską. Widać po porannej rozmowie postanowiła zacząć zwracać się do niej trochę bardziej łagodnie, skoro wytłumaczyły sobie pewne istotne sprawy.

– Może ziółek ci zrobić, co?

– Nie, dziękuję. Po prostu się przejdę.

– Za dużo wspomnień jak na jeden dzień?

Martusia uśmiechnęła się blado.

– A żeby ciocia wiedziała. To co, zerknie ciocia na niego?

– A pewnie, że zerknę. Co bym miała nie! – z zapalem odpowiedziała jej pani Halina i wzięła na ręce kręcącego się niespokojnie Krzysia. – Tylko nie odchodź za daleko, bo idzie na burzę. Jak spotkasz na

zewnątrz Henryka i syna Witolda, to też im powiedz, niech już wracają. Pogoda jest zmienna, a z burzą nie ma żartów.

– Powiem – skinęła w odpowiedzi. – A gdzie dziewczynki?

– W pokoju, który w wakacje należał do Agatki. Oglądają jakieś kreskówki.

– Aha – powiedziała jeszcze tylko i zeszła na dół, zabierając ze sobą leżącą na szafce pod lustrem torebkę, do której włożyła przed południem pełną pamiętek srebrną szkatułkę. Postanowiła udać się na skraj posesji wujostwa, który kończył się niedużą skarpą rozciągającą się nad brzegiem rzeki.

Ciężkie, wilgotne powietrze wypełniało jej płuca za każdym razem, gdy tylko wzięła głęboki wdech, a niesforne włosy, które dziś rano tak skrzętnie wyprostowała, rozsypały się lekko wokół jej zaróżowionej jeszcze przez letnie słońce skóry. Mimo popołudniowej pory było parno i duszno i wydawało jej się, że zawartość tlenu we wdychanym powietrzu spadła niemalże do minimum. Jej zmysły drażnił też wyraźny zapach przepływającej obok wody, którego nuty unosiły się w powietrzu, potęgując jedynie łzawienie jej fiołkowych oczu.

Martusia usiadła na jednym ze sporych kamieni, które zdobiły linię kończącą podwórko wujostwa. Opierając łokcie na kolanach, pochyłona lekko do przodu, wsłuchiwała się przez chwilę w piski uciekających przed zbliżającą się burzą ptaków. Jej wyjątkowe tęczęwki mierzyły wzrokiem niewielkie prądy rzeczne rozbijające się o kamienie i porywane przez wodę strzępki wodorostów.

Patrząc na wodę i ściskając w dłoniach szkatułkę, musiała przyznać, że pływanie zawsze uspokajało jej rozszalałe zmysły i emocje. Uwielbiała ten stan, gdy sama nie wiedziała, czy po twarzy spływają jej łzy, czy są to jedynie krople wody kapiące bezładnie z jej włosów. Pewnie gdyby nie jesienna pogoda i nadciągająca burza, zdjęłaby teraz wierzchnie ubrania i wskoczyła do wody.

Siedząc na chłodnych już kamieniach, zaczęła wpatrywać się w pierwsze błyskawice majaczące gdzieś w oddali, które rozświetlały niebo coraz częściej. Dochodzące do jej uszu grzmoty sprawiały, że na jej drobnych ramionach pojawiała się lekka gęsia skórka. Jednak spędzanie burzy w samotności wcale jej nie odstraszało, a nawet wręcz przeciwnie. Ten szalejący w oddali żywioł zdawał się wyciszać jej emocje i uspokajał bijące szybko serce, bo Martusia przywykła do tego, że powinna być twarda.

Oddychając ciężko, starała się jeszcze raz odtworzyć w myślach przebieg dzisiejszych wydarzeń, które sprawiły, że jej mały, spokojny świat, w którym posprzątała doszczętnie jakiś czas temu, teraz zakołysał się lekko, wypychając z kątów wszystkie upchnięte tam niegdyś obawy. Z bólem serca patrzyła na wywrócony, porcelanowy serwis stojący na stoliku w centrum jej własnego ja, z którego na podłogę teraźniejszości kapały kropelki bólu, samotności, tęsknoty, a przede wszystkim odżywającego powoli lęku, które los zgotował dla niej kilkanaście lat temu.

Pociągając lekko nosem, otarła z policzków kilka samotnych łez, zabłąkanych jeszcze w kącikach jej oczu, i otworzyła w końcu szkatułkę, biorąc do rąk pierwsze z leżących w niej czarno-białych zdjęć. Czuła się jak bohaterka nędznej historii, która powtarza się kolejny raz, pomimo że tak bardzo starała się do tego nie dopuścić. Ale nie to bolało ją najbardziej.

– Mamo... – przejechała palcem po zakurzonym zdjęciu i wbiła wzrok w niedużą postać uśmiechającą się do obiektywu.

Pod wpływem tej cichutkiej myśli strumienie fiołkowych łez popłynęły z jej oczu, a już po chwili poczuła na ramionach pierwsze krople nadchodzącego deszczu. Jej rozpalone ciało przeszedł chłodny dreszcz, jednak nie ruszyła się z miejsca ani nie oderwała wzroku od fotografii. Każde wspomnienie matki zaczęło odzywać w niej na skutek widoku postaci ze zdjęcia. Mama w fartuchu uśmiechająca się do niej znad kuchni, mama odbierająca ją ze szkoły i pieląca kwiaty.

Dziewczyna pociągnęła nosem. Jej życie mogłoby przecież nadal być tak idealne. Zamiast tułać się bez celu po świecie, żyłaby sobie spokojnie u boku kochającej się rodziny. niesprawiedliwość całej tej

sytuacji w chwilach załamania po prostu przygniatała ją, a to był właśnie ten moment.

„Twoi rodzice nie żyją” – pojawił się w głowie Martusi cichy głos, który sprawił, że mimo iż życie zmuszało ją do bycia twardą, rozpląkała się teraz tak samo jak tej nocy, kiedy miała zaledwie kilka lat. Przez chwilę znowu poczuła się jak mała dziewczynka siedząca w kuchni babci i zaczęła płakać.

– Marta! – usłyszała nagle krzyk dobiegający gdzieś zza jej pleców. Natychmiast przeniósł ją znów do rzeczywistości. – Marta, gdzie jesteś?!

Jej serce zabiło szybciej pod wpływem narastającego odgłosu zbliżających się do niej kroków i chwilę potrwało, zanim rozpoznała znajomy głos, a w załzawionych oczach wymalowało się zdziwienie. Co on tu robił?

– Tu jesteś! Szukam cię wszędzie...

Głos Andrzeja brzmiał niezwykle miękko i doskonale kontrastował z otaczającą ich pustką.

– Marta, zbliża się burza, co ty tu robisz? Chodź do domu, twoja ciotka wszędzie cię szuka!

Nie ruszając się z miejsca, pozwoliła, by Andrzej zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki. Jego ruchy były spokojne, ale wydało jej się, że bił od niego niepokój. To, że się o nią martwił, nie wywołało w niej jednak żadnych emocji. Jej umysł był kompletnie z nich wypłukany przez coraz bardziej spienione fale wspomnień niesione przez wodę, a to, co działo się dookoła, zdawało jej się czymś zupełnie nierealnym. Czuła, że częstką siebie nadal jest tam. W kuchni babci. Kończyła wcinać dyniowy placek, gdy do ich domu wpadł jakiś mężczyzna i odciągnął starszą panią na bok. Jej twarz natychmiast pobladła.

– Marta, chodź, zaraz naprawdę rozpęta się burza... – powtórzył Andrzej, dotykając jej przedramienia.

Uniosła wzrok, chcąc spojrzeć na jego opaloną twarz, i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że powinna cofnąć rękę... i tak też zrobiła.

– Chcesz, żeby coś ci się stało? Spędzanie burzy nad rzeką nie jest do końca bezpieczne.

Jego wzrok przeniknął jej błyszczące tęczęwki, sprawiając, że zadrżała.

Do oczu Marty napłynęły kolejne łzy, które spływając po wyznaczonych przez poprzednie ścieżkach, rozbłysły w świetle kolejnej błyskawicy przeszywającej niebo. Tak bardzo chciała spojrzeć na niego pustym wzrokiem, przekazać mu, żeby dał jej spokój, ale po prostu nie mogła tego zrobić. Fiołkowe oczy wypełnione były wszystkimi emocjami, które szarpały jej duszą od przeszło paru godzin, a na twarzy malowała się gorzycz.

– Co tu robisz? – zapytała po pełnej ciszy chwili, gdy odzyskała mowę.

– Pomagałem twojemu wujkowi z jabłkami. Nie wracałaś długo, więc pani Halina kazała mi cię odszukać – szepnął, patrząc, jak walczy sama ze sobą, i wyciągnął dłoń, chcąc znów dotknąć jej przedramienia.

– Więc to ty jesteś synem Witolda? – zapytała, starając się opanować głos i drżenie rąk, a potem otarła ostatnie łzy spływające po policzkach.

– Tak – skinął głową naprawdę zaniepokojony stanem, w jakim zastał tę roześmianą kilka dni temu dziewczynę. – Ale to nie jest takie istotne. Stało cię coś, że płakałaś?

Martusia patrzyła na niego przez chwilę, walcząc sama ze sobą, ale potem wyciągnęła w jego stronę czarno-białe zdjęcie. Sama właściwie nie wiedziała, dlaczego dzieli się z nim swoim bolesnym sekretem, ale poczuła nagle usilną potrzebę, żeby to zrobić.

– Znalazłam w mieszkaniu babci zdjęcia rodziców. Nie widziałam ich od lat. Po prostu... Strasznie to wszystko przeżyłam. Weszłam do tego domu i... – jej głos ponownie zaczął się łamać.

Andrzej wahał się przez chwilę, ale w końcu zrobił krok w jej kierunku. Nie zważając na coraz cięższe krople wody spadające z nieba, wziął ją w ramiona i mocno przytulił do siebie. Dokładnie wiedział, co w tej chwili odczuwała.

Dziewczyna bez zastanowienia wtuliła się w jego mocno zbudowane ramiona i wsłuchując się w bicie

jego serca, zaczęła płakać. Tak bardzo chciałyby teraz móc przytulić się do mamy albo taty, a nie do prawie obcego faceta. Mimo że miała ponad dwadzieścia lat, odebrane, szczęśliwe dzieciństwo nadal odbijało się od niej gromkim echem, zaburzając jej poczucie bezpieczeństwa i uderzając w każde kolejne próby budowania jakiegokolwiek związku.

– Chodźmy już, bo zaraz przemokniemy tutaj do suchej nitki – Andrzej przerwał jej płacz i zrobił krok do tyłu. – Lepiej? – zapytał, zerkając na jej zaczerwienione powieki i policzki.

Uniosła wzrok, by spojrzeć mu w oczy, odgarnęła z twarzy posklejane kosmyki włosów i spróbowała blado się uśmiechnąć.

– Tak – powiedziała po chwili i zapatrzyła się, jak Andrzej pochyła się i podnosi z ziemi upuszczoną przez nią torebkę.

– Na pewno?

– Tak, dziękuję. Możemy wracać.

– Wspaniale, bo burza wisi już rzeczywiście nad nami. Twoja ciotka na pewno od zmysłów odchodzi – zagadnął ją, siląc się na beztroski ton. Doskonale wiedział, że rozgrzebywanie przeszłości to nie najlepsze rozwiązanie i nie powinien ciągnąć Martusi za język.

Dziewczyna popatrzyła na niego z wdzięcznością. Wyczuła taktowność Andrzeja i zamknęła trzymaną w dłoni szkatułkę.

– Nie wiedziałam, że pracujesz u mojego wujka – powiedziała, chcąc przerwać ciszę, gdy ruszyli w stronę domu.

– Pomagam mu z załatwianiem spraw ze skupami jabłek.

– Rozumiem.

– A ja nie wiedziałem, że jesteś chrześniaczką pani Haliny.

– Nie wiem, czy jest się czym chwalić – ostatni raz pociągnęła nosem.

– Też nie wiem, ale każdy ją tutaj zna. Właściwie to mogłem domyślić się po tym, jak powiedziałaś, że wyprowadziła cię w pola. Każdy w okolicy wie, że ona nie ma orientacji w terenie.

Mimo wilgotnych jeszcze śladów łez, słysząc komentarz Andrzeja, wybuchnęła śmiechem.

– Naprawdę?

– Oj moja droga. Twoja ciotka to prawdziwy ewenement! Można powiedzieć, że na skalę światową. W każdym razie naprawdę dobrze znowu cię widzieć, chociaż zdecydowanie bardziej wolałem cię w roześmianej odsłonie.

Martusia zmrużyła oczy i popatrzyła na jego opaloną twarz.

– Tak, ja też wolałam się w tamtej wersji – przyznała zgodnie z prawdą.

– Jeśli będziesz chciała kiedyś porozmawiać o tym... o twoich rodzicach...

– Dziękuję – uścisnęła jego dłoń.

– Nie wiedziałem też, że masz jeszcze synka...

– Ciotka pozwoliła ci go zobaczyć? – zrobiła zdziwioną minę, trochę bojąc się reakcji Andrzeja. Skoro jednak przyszedł po nią mimo deszczu, to nie było chyba tak źle, prawda?

– Nie od razu. Ale kiedy usłyszałem z góry płacz dziecka, nie miała wyjścia. Całkiem przyjemny brzdąc.

Martusia uśmiechnęła się do niego i już w ciszy dotarli na ganek, chowając się pod daszkiem przed coraz bardziej rześmianym deszczem.

– No, nareszcie! – skomentowała ich pojawienie się wyglądająca przez okno ciotka. – Już myślałam, że gdzieś przepadłaś.

– Byłam się przejąć. Mówiłam cioci, że boli mnie głowa.

– Oj dziecko, dziecko – patrząc na przemokniętą Martusią, pokręciła głową pani Halina. – Chodźcie

wy lepiej na gorące ziółka i herbatę. Oboje porządnie zmokliście, a to nie jest już pora do takich wygłupów! – ponagliła ich jeszcze i zatrzasnęła okno.

Andrzej z Martusią popatrzyli po sobie rozbawieni.

– Miałeś rację – szepnęła cicho, gdy otworzył przed nią drzwi do domu wujostwa. – Moja ciotunia jest wręcz niezastąpiona – dodała i weszli do środka, żeby przebrać się i wypić ciepłą herbatę.

– No cóż, będę się zbierał – oznajmił Andrzej po kilkudziesięciu minutach siedzenia na kanapie w salonie, unosząc się z niej powoli. – Mam jeszcze do ogarnięcia kilka spraw w gospodarstwie.

– No pewnie, nie musisz się nam tłumaczyć – powiedziała do niego pani Halina.

– W takim razie ja cię odprowadzę – zaoferowała się natomiast Martusia.

– Tylko nie przepadaj już nigdzie na tak długo, bo się nam zaziębisz, a kto ci wtedy pomoże? Bo ten nasz konował to raczej nie! – ostrzegła ją jeszcze tylko ciotka.

– A jeszcze kilka dni temu mówiła ciocia, że nie ma tutaj żadnego lekarza!

Pani Halina zrobiła minę niewiniątka i spojrzała na Andrzeja.

– Ja tak mówiłam? – ponownie zwróciła się do Martusi. – Coś ci się musiało pomylić – mruknęła i zbierając ze stołu filiżanki, odniosła je do kuchni, a potem powędrowała na górę do Michaliny, która zajmowała się dziećmi.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziała natomiast Martusia, stając z Andrzejem na zadaszonym ganku. Dookoła nich padał deszcz i przechodziła burza. Powietrze wyjątkowo mocno pachniało ozonem.

– Przestań, nie masz za co – zachnął się, stając z nią twarzą w twarz. Nie mógł się oprzeć usilnej chęci zatopienia spojrzenia w jej fiołkowych oczach.

– Jesteś pierwszą osobą od bardzo wielu lat, która zastała mnie w takiej rozsypce, i pierwszą od niepamiętnych czasów, której powiedziałam o tym, że boli mnie to, że moi rodzice nie żyją – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Sam widzisz, że w takim wypadku jest za co dziękować – dodała, widząc jego wyraz twarzy.

– Gdybyś kiedyś chciała o tym pogadać nieco dłużej i...

Martusia uśmiechnęła się ciepło. Dostrzegła szczerłość malującą się na jego chłopięcej twarzy.

– Będę o tym pamiętać – szepnęła cicho. Miała wrażenie, że jej słowa zagłusza bębniący o dach ganku i parapety deszcz.

– Ja też będę – odpowiedział i zmusił się w końcu do oderwania wzroku od jej magicznych tęczywek.

– No ale teraz naprawdę muszę się zbierać. Zobaczymy się jeszcze?

– Skoro pomagasz mojemu wujkowi, to przecież na pewno. Nigdzie się stąd na razie nie ruszam – uśmiechnęła się.

Chłopak również uniósł kąciki ust, chociaż nie do końca był usatysfakcjonowany jej odpowiedzią.

– Trzymaj się – powiedział więc tylko, robiąc krok do tyłu.

– Ty też – uściśnęła jego przedramię i wsłuchując się w nieprzerwany szum deszczu oraz rozkoszując jego świeżym zapachem, stała na ganku jeszcze przez chwilę. Aż do momentu, w którym Andrzej zszedł po schodkach i ruszył w stronę podjazdu, a z domu wybiegła za nim pani Halina.

– Andrzej! – krzyknęła donośnym głosem i pognęła w jego stronę, nie zważając na deszcz. Udało jej się złapać chłopaka dopiero za ramię.

– Coś się stało? – widząc podenerwowaną minę pani Haliny, spytał zaskoczony Andrzej.

– Jeszcze nie, ale zaraz się stanie! – rzuciła do niego zdawkowo i nie rozglądając się dookoła, złapała chłopaka za bluzkę, a potem pchnęła na ścianę i sprawnym ruchem do niej przyparła.

Na twarzy Andrzeja wymalowało się niedowierzanie.

– Ale pani Halino, o co pani chodzi... – bąknął cicho, nie mogąc uwolnić się z jej mocnego uchwytu.

– Ja ci powiem mój drogi, o co chodzi, oj już ja ci powiem – pani Halina przysunęła do niego swoją

twarz i jeszcze mocniej przyparła go do ściany. – Jeśli komukolwiek, na wsi czy poza wsią wygadasz, co dzisiaj u nas widziałeś, to życia tutaj już nie masz i od razu możesz pakować swoje manatki!

– Ale pani Halino... Nie rozumiem! Przecież ja nic nie widziałem!

– Mądry taki niby, a nie rozumie! – kobieta ściszyła głos i zrobiła jeszcze bardziej złowrogą minę. – Powiedz komukolwiek tylko słowo o czarnoskórym dziecku Marty, a osobiście cię zabiję. Tymi rękami! – wysyczała, puszczając go gwałtownie, i dla potwierdzenia słów uniosła w górę rękę. – Teraz rozumiesz?!

Andrzej zrobił głęboki wdech i pokiwał głową. Nadal był niezwykle zdziwiony całym tym zajściem. Chyba nawet bardziej niż kolorem skóry synka Marty, bo mieszkając w Warszawie, niejedno już widział. Ale żeby zastraszała go staruszka? No tego to w życiu się nie spodziewał!

Pani Halina uśmiechnęła się natomiast triumfalnie i wygładziła swoją bluzeczkę.

– No. I bardzo dobrze – powiedziała niezwykle miłym głosem, wpatrując się w oniemiałego Andrzeja. – Cieszę się, że się dogadaliśmy. A teraz idź już Jędrus, idź, bo pada. Żebyś się nie zaziębił, bo chory to temu mojemu biednemu Henrykowi w niczym nie pomożesz! – dodała zadowolona z siebie i odwracając się na pięcie, ruszyła w stronę Martusi.

– I co? – zagadnęła ją, wchodząc na ganek. – Co tak stoisz?

Martusia pokiwała głową, przenosząc na nią wzrok.

– Nic ciociu.

– Jesteś wyjątkowo smutna. Stało się coś?

– Chyba zbyt wiele wspomnień – odpowiedziała jej zdawkowo Martusia i nie zważając na ciotkę, wróciła do domu.

Kładąc się niedługo później do łóżka i wsłuchując się w dźwięki grzmotów, patrzyła na śpiącą Marysię i łóżeczko, w którym wiercił się Krzyś. Duchy przeszłości miały się po jej głowie jak szalone, chociaż, co samą ją dziwiło, wyjątkowo nie odczuwała z tego powodu jakiegoś ogromnego ciężaru.

– Dobrze, że wy macie chociaż mnie – szepnęła niemalże bezgłośnie, gładząc maleńką główkę córeczki po raz ostatni tego wieczoru, i w końcu położyła się spać. Musiała przyznać sama przed sobą, że dzięki Andrzejowi zasypiała tego dnia w nie tak bardzo depresyjnym nastroju, jakiego się spodziewała. Chociaż jego obecność nie wpłynęła w żaden sposób na wspomnienia i szalejące w niej wielobarwne emocje, uświadomiła jej, że nie jest już w tym wszystkim sama. Martusia od zawsze marzyła o powierniku swojego bólu i czającej się w głowie przeszłości. W końcu powiedziała komuś na głos o tym, co bolało ją przez większość jej życia. O czymś, przed czym starała się usilnie uciekać, chociaż niewiele jej z tego wychodziło.

To wszystko przez te pelargonie, pomyślała, zamykając oczy i szykując się do snu. Kwiaty pięknej przyjaźni. To musiał być znak. Sekretny język kwiatów przecież nie kłamie.

Może powrót do Sosenek miał być dla niej jej prywatnym katharsis?

Pani Halina stała przed domem ubrana w swój ulubiony płaszcz i chociaż zza chmur nie wyglądało słońce, wydawała się bardzo szczęśliwa. Wróciła właśnie z zebrania Koła Gospodyń Wiejskich, któremu przewodniczyła, i udało jej się nastawić większość wsi przeciw Martusi. Właściwie to nie było w tej lokalnej niechęci do Martusi za wiele jej zasługi, bo kobiety, mając w głowie, że to panna z dzieckiem, nastawiły się wrogo same, ale pani Halina uważała to za swój wielki sukces. Co więcej, wszystkie gospodynie, jak jeden mąż, stwierdziły, że tak wspaniałych powideł ze śliwek, jakie udało jej się przyrzadzić w tym roku, po prostu jeszcze nie jadły.

– Ale nie chwalcie mnie tak, już nie chwalcie! – wysilała się na skromność, chociaż powszechnie

wiadomo było, że drugiej tak łasej kobiety na komplementy nie ma w Sosenkach ani nawet ich okolicach.

– Oj Halinka! Palce lizać. Po prostu palce lizać! – łały na jej serce miód przyjaciółki, nakładając sobie na maślane bułeczki kolejną porcję powideł.

– No ale ty mów lepiej, jak Martusia Czeremchówna się u ciebie zadomowiła. Na wsi jej wcale nie widać. Może coś ukrywa?

– Ona, ukrywa? Domatorka po prostu.

– Nie może być! Taka miastowa, a domatorka?

– Różne dziwadła chodzą po tym świecie, kochana. Jeszcze powidełek? – skutecznie odwracała kota ogonem pani Halina, chcąc unikać tematu dziecka Martusi. Chociaż uwielbiała przejawiać rzeczywistość, kłamstwo na dłuższą metę po prostu ją brzydziło.

– Ale jak wam się razem mieszka? – chciały jednak wiedzieć więcej gospodynie i z niecierpliwością pochylały się w stronę starszej pani zasiadającej na końcu stołu niczym prawdziwa władczyni.

– Ma swoje fanaberie, wiadomo – mimo wszystko nie chciała oczerniać dziewczyny. – Ale nie jest tak źle.

– Na długo zostaje? Wiesz już coś? Podobno ktoś ją ostatnio widział w okolicach domu Czeremchowej.

– Ano prawda. Była z Henrykiem zobaczyć, co i jak...

– Lepiej by było, żeby ona sprzedała to w cholere i stąd wyjechała – weszła w słowo pani Halinie gruba kobietka przepasana kolorową chustką. – Na wsi aż huczy od plotek, że wiadomo kto chce się na niej mścić. Nigdy nie przewidzisz Halinko, co takiemu do głowy strzeli. A strzelić może!

– A ja słyszałam, że ona z Andrzejem naszym się prowadzi. I dyrektor ma na nią oko. Jeszcze chłopom w głowach namąci, zabierze którego ze sobą, a potem my się martwić będziemy, że przyrost naturalny we wsi spada.

– Co to, to prawda! – dołączyła się do przeciwniczek Martusi nieduża blondyneczka. – Dziewczyna jak malowana, a jakie ma zamiary, nikt nie wie. Żeby tylko z tego nieszczęścia nie było! Ty jej tu nie trzymaj Halinka za długo, bo to się odbije na życiu całej wsi, ja ci mówię.

– Chłopy do takich to się rwą jak ślepy do sera.

– Albo jak myszy!

– Co?

– No jak myszy do sera!

– Aaa...

Pani Halina oparła się o barierkę i aż sama się do siebie zaśmiała. Myślała, że będzie musiała bardziej napracować się nad zniechęcaniem Sosenek do Martusi, a wszystko poszło aż nader łatwo. Cóż za piękny dzień! Kobiety nie pały do Marty sympatią, a mężczyźni na pewno ostatecznie będą słuchać żon.

Widać jednak, nie wszyscy.

– Dzień dobry! – pani Halina usłyszała bowiem męski głos dobiegający gdzieś z okolic podjazdu. Już po chwili ukazał jej się znany w całej wsi pijaczyna, pan Bronek, odstrojony jak na pogrzeb. Albo chociaż ślub.

– Dobry – skinęła głową starsza pani. – Stało się coś?

Pijaczyna zrobił niezbyt rozumną minę.

– Co?

– Pytam, co się stało, że pan tak odświętnie ubrany! – powiedziała nieco głośnie, odwracając się w stronę gościa trzymającego za plecami coś dziwnego, czego w pierwszej chwili nie mogła rozpoznać.

– A co to za krzyki? – słysząc jej głos, wyleciała na dwór ubrana w fartuszek Michalina.

– W odwiedzinie przyszedłem – odpowiedział, zbliżając się jeszcze bardziej, pan Bronek. Jego oddech

niejednego osiłka położyłby na ziemię. Pomijając oczywiście fakt, że z ogniem to lepiej było do niego nie podchodzić.

– A do kogo, co? – wzięła się pod boki starsza pani. – Jakoś nigdy cię u nas nie było widać.

– A no bo... – mężczyzna niepewnie przestąpił z nogi na nogę. – Sprawę mam!

– Dobrze sobie. Do nas?

– Raczej do Martusi Czeremchówny.

– A czego ty możesz chcieć od naszej Martusi, pijaczyno jeden?! – naskoczyła na niego pani Halina.

– No... – widząc jej przerażającą minę, zawahał się pan Bronek.

– No co?

– Oświadczyć się chciałem – wypalił i na wszelki wypadek zrobił unik.

Gospościa z panią Haliną parsknęły głośnym śmiechem.

– Ty? Naszej Martusi? A z jakiej to racji?

– No, ona sama podobno i z dzieckiem... Mówią, że razem raźniej. Ja tam swój kapitał mam...

– A jaki ty możesz mieć kapitał, co? W domu u matki mieszkasz, pieniędzy żadnych nie zarabiasz i żłopiesz to piwsko pod sklepem jak jakiś opój!

– O wypraszam sobie! Po pierwsze nie piwsko, ale wino, i to za cztery pięćdziesiąt, a po drugie kapitał mam. Sześćset złotych renty co miesiąc. Ona swoje dołoży i jakoś sobie we trójkę poradzimy. Razem łatwiej.

– No tak... – zlustrowała pana Bronka wzrokiem starsza pani i z zainteresowaniem uniosła brew. – Więc mówisz, że chcesz się oświadczać naszej Martusi... – powtórzyła z przekąsem i popatrzyła na gospodynię.

– Ależ Halinka, przecież nie... – zaprotestowała Michalina, słysząc jakąś dziwną nutkę w głosie pracodawczyni. Ten ton nigdy nie zwiastował nic dobrego.

– Ale co nie? Co nie? Pan Bronek rentę ma, a razem raźniej.

– I to sześćset złotych! – ożywił się natychmiast czerwony jak burak mężczyzna.

Pani Halina uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– No właśnie. I to niemałą rentę.

– Mam wołać Henryka?

– A gdzie tam Henryka? On by pana Bronka tu zaraz z siekierą pogonił i tyle by było. Ty idź lepiej Martusię tu sprowadź.

– Martusię?! A na co ona? Chyba nie traktujesz tego poważnie... – jeszcze raz popatrzyła na nią gospościa.

– Ale czemu nie? Pan Bronek tutaj przychodzi w bardzo poważnej sprawie. Nie można go odprawić z kwitkiem. A moje błogosławieństwo w tej sprawie ma. Idź po Martusię i to już.

– Ale...

– Idź, mówię! – starsza pani huknęła na nią najgłośniejszym głosem, jak umiała.

Michalina popatrzyła na nią z jakimś dziwnym niesmakiem, ale poddała się w końcu i powędrowała na górę, podczas gdy pan Bronek niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę.

– Tylko żeby to za długo nie trwało, bo mi się do sklepu spieszy – powiedział, gdy Martusia przez kilka chwil nie przychodziła.

– Nie bój nic – uspokoiła go pani Halina. – W dzisiejszym świecie z kobietami trzeba krótko.

– A – skinął głową. – No to dobrze.

Martusia zjawiała się na ganku w towarzystwie gospodyni. Trzeba przyznać, że była bardzo przerażona faktem, iż kobieta niemalże siłą wyciągnęła ją z błękitnej sypialni.

– Coś się stało? – zapytała niepewnie, zerkając w stronę ciotki, która stała oparta o barierkę schodów

i patrzyła gdzieś w dal, ignorując przy tym zupełnie ubranego w garnitur mężczyznę. Gość musiał przed przyjściem do nich chlapać sobie sporą ilość jakiegoś taniego trunku albo i dwóch.

– Pan Bronek ma do ciebie sprawę. Prawda, panie Bronku?

– No mam.

Mężczyzna zlustrował Martusię wzrokiem od góry do dołu, mrużąc przy tym oczy. Następnie wyciągnął w jej stronę bukiet polnych kwiatów, a raczej trawy i chwastów, które jakimś cudem jeszcze nie przekwitły, nie zapominając przy tym o podaniu ich swojej wybrance serca razem z korzeniami.

– E... – popatrzyła na pokaźny pęk zieleniny, czując się trochę jak dokarmiany królik, a potem przeniosła wzrok na ciotkę.

– No śmiało, niech pan mówi! – zachęciła pana Bronka starsza pani, gdy nastąpiła między nimi chwila niezręcznej ciszy.

– Oświadczyć się chciałem – ogłosił dumnie pan Bronek.

– Przepraszam bardzo, ale komu? – Martusia zrobiła zdziwioną minę.

Pan Bronek niepewnie popatrzył na panią Halinę.

– No pani, a komu! – wypalił, widząc jej zadowolone spojrzenie.

Martusia poczuła, że robi jej się gorąco.

– Pan?

– No. Nawet kwiaty przyniosłem – błysnął uśmiechem podchmielony pan Bronek i jeszcze mocniej wyciągnął pęk zielska w stronę dziewczyny.

Martusia popatrzyła na niego niepewnie, ale chcąc zachować klasę, w końcu sięgnęła po tę wyjątkową wiązanekę.

– To znaczy tak? – pod wpływem tego drobnego gestu pijaczyna ożywił się jeszcze bardziej.

– Ale co tak?

– No wyjdzie pani za mnie? Ja sześćset złotych renty mam, u mojej matki zamieszkamy, ona i tak niedługo na tamten świat się wybiera, a we dwoje zawsze różnie!

– No tak... – przytaknęła, nie mogąc już dłużej tamować wypływającego na jej usta uśmiechu. – A co ciocia na to?

– Ona się zgadza! – pan Bronek nie dał wypowiedzieć się starszej pani.

Martusia nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Naprawdę?! Zgadza się ciocia? – przeniosła wzrok na starszą panią, która tylko odchrząknęła w odpowiedzi i oddaliła się do kuchni, żeby obserwować dalszy rozwój wydarzeń zza firanki.

– To jak? Bo mi się trochę spieszy – nalegał na jak najszybszą decyzję pan Bronek. Widać popęd do alkoholu był znacznie silniejszy niż żywione do Martusi uczucie.

– Wie pan co, to chyba nie jest najlepszy pomysł – Martusia popatrzyła na niego niepewnie.

– Nie?

– No tak mi się wydaje.

– Ale czemu, przecież ja sześćset złotych renty mam. To już jakiś kapitał, nie? Pani swoje dołoży i na życie nam starczy! Nawet sobie łazienkę wyremontujemy, jak dobrze pójdzie, bo ja odkładam na to już kilka lat, ale co odłożę, to zawsze przepiję – nie dowierzając jej słowom, popatrzył na nią zdezorientowany pan Bronek.

– Tak, to wspaniale, ale wie pan... Mnie nie chodzi o pieniądze.

– A o co? Alkohol? Jak pani to przeszkadza, to ja mogę nawet przestać pić! – zaczął machać rękami, sprawiając, że Martusia mało nie zaczęła się śmiać.

– Naprawdę?

– No dobra, może nie tak do końca. Ale raz w tygodniu mogę być trzeźwy. I to zupełnie! – zaznaczył,

wymachując w jej stronę palcem wskazującym.

– Ach tak... Tylko mnie nie chodzi nawet o alkohol.

– To o co? – widać to już było dla pana Bronka za dużo.

– O miłość – wzruszyła ramionami. – Wydaje mi się, że w dzisiejszych czasach ludzie pobierają się z miłości – powiedziała wyjątkowo lekko, widać nie przykładając uwagi do rangi sytuacji, w jakiej się znajdowała.

– Ta? – podrapał się po głowie pan Bronek. – A nie dla pieniędzy?

Martusia zaśmiała się głośno, nie mogąc już dłużej tłumić śmiechu.

– Ja chyba nie jestem z tych.

– Ach tak. No cóż... – popatrzył na nią uważnie. – No to trudno.

– Niech się pan nie gniewa, ja po prostu chyba nie jestem jeszcze gotowa na małżeństwo.

– Mam przyjść we wtorek?

Martusia kolejny raz się zaśmiała.

– Nie, to raczej nie będzie konieczne. Nawet we wtorek moja odpowiedź będzie brzmiała: nie.

– No dobra – zrozumiał w końcu pan Bronek. – To komu w drogę, temu czas. Ale kwiaty to od pani wezmę. Mam do obskoczenia jeszcze dwie wdowy, może któraś z nich się zgodzi.

Martusia popatrzyła na niego, już niemalże wewnątrz skręcając się ze śmiechu, ale oddała mu w końcu okazałej wielkości pęk chwastów i traw.

– Dziękuję – ukłonił jej się z wdzięcznością pan Bronek. Jak na dżentelmena przystało, pocałował ją w rękę i pobiegł do kolejnej wybranki, licząc na to, że tym razem będzie miał więcej szczęścia.

Martusia natomiast stała na ganku jeszcze chwilę i patrzyła za nim, głowiąc się, czy to był pomysł. Czy tego przepitego pijaczyny, czy raczej żadnej ofiar ciotki, która już wielokrotnie od przyjazdu dziewczyny do Sosenek udowodniła jej, że ma sporo asów w rękawie i może naprawdę dużo.

– A co on tu chciał? Odpicowany jak stróż w Boże Ciało! – zjawił się po chwili u boku Martusi wracający z sadu wuj Henryk. Pachniało od niego wiatrem.

– Przyszedł z propozycją matrymonialną.

– Do Michaliny? Przecież każdy wie, że jej do zamążpójścia nie spieszo. Swoje w życiu wycierpiała.

Martusia poczuła, jak na jej usta wypływa kolejny szeroki uśmiešek.

– Nie, nie. Niech wujek będzie spokojny. On nie do Michaliny, ale do mnie.

– Do ciebie? A z jakiej racji on do ciebie?

– Mówił, że sześćset złotych renty ma, to już jakiś kapitał, i jak ja swoje dołożę, to razem będzie nam łatwiej.

– Biznesmen z Sosenek, no proszę. Tego to tu jeszcze nie grali – zaśmiał się gardłowo wuj Henryk. – To przyjęłaś te szalone oświadczyń czy nie?

– Muszę wujkowi przyznać, że mocno się wahałam, ale po głębszym namyśle musiałam mu odmówić.

– A on co na to?

– Zabrał mi „kwiaty” i pobiegł do jakiejś wdowy. Ponoć miał jeszcze dziś odwiedzić dwie.

– No proszę, jaki to naród kochliwy! Chodź lepiej dziecko do domu, napijemy się herbaty. Stoisz tu sama, marzniesz. Po takich wrażeniach należy ci się coś ciepłego – otoczył Martusię ramieniem roześmiany wuj Henryk i razem udali się do kuchni.

Plusem całych tych oświadczyń był na pewno fakt, że na kilka dni miała spokój od szalonych pomysłów swojej ciotki, na którą widać wuj Henryk musiał mocno nakrzyczeć po tym komicznym zdarzeniu.

No dobrze, może właściwie stosowniej byłoby powiedzieć, że ciotce udało się nieco z tymi swoimi szalonymi pomysłami przystopować, bo dopóki decyzja, że Martusia wyjeżdża z Sosenek kategorycznie nie zapadła, całkowicie przecież z nich zrezygnować nie mogła. Oświadczyń pana Bronka jednak i do

tej decyzji nieco Martusię przybliżyły, bo z nerwów po tym jakże romantycznym numerze wywiniętym przez ciotkę, wieczorem włączyła laptop i zaczęła przeglądać oferty mieszkań do wynajęcia w sąsiednim miasteczku oraz Warszawie, z którą zdążyła się zżyć przez okres studiów.

- Co robisz? – zagadnęła ją smutno Marysia, podczas gdy Marta buszowała po stronach internetowych.
- Szukam dla nas mieszkania – popatrzyła na córeczkę znad ekranu.
- Po co? Przecież mamy.
- No tak córciu, na tę chwilę owszem, ale nie możemy cały czas mieszkać u cioci Halinki.
- Jak to nie? – zdziwiła się dziewczynka. – Wracamy do Anglii?
- Co? Nie. Do Anglii to nie. Szukamy domu gdzieś tutaj, w Polsce. A co?
- A nic. Bo słyszałam, jak ciocia mówiła przez telefon, że teraz to już na pewno w diabli do tej Anglii wrócimy, i po prostu chciałam zapytać.

– Ciocia tak mówiła?

– Aha. No ale jak nie wracamy, to idę się bawić dalej. Ma dzisiaj mnie odwiedzić Agatka! – ogłosiła o wiele weselej Marysia, a potem wybiegła z pokoju, zostawiając skonsternowaną Martusię samą.

A więc pan Bronek i jego okazały pęk zielska był jednak sprawą ciotki. No cóż, Martusia westchnęła ciężko. W tej sytuacji nie miała zbyt dużego pola manewru. Znając ciotkę, a raczej jej bujne życie wewnętrzne, wiedziała, że jeszcze niejednego mogła się po niej spodziewać, dlatego czym prędzej wróciła do najbardziej interesującego ją ogłoszenia, a potem wysłała do właściciela prośbę o więcej szczegółów i zdjęć.

Skoro ciotka aż tak bardzo pragnęła wykurzyć ją z Sosenek, Martusia zamierzała się temu podporządkować.

– Wszędzie dobrze, ale nie tam, gdzie nas nie chcą – szepnęła sobie jeszcze tylko pod nosem, a potem zajęła się małym Krzysiem, który zdążył się właśnie na dobre rozbudzić, gdy zajrzał do niej wuj Henryk.

– Mogę?

– Zapraszam – skinęła w jego stronę.

– Przyniosłem ci trochę ciasta.

– Ciasta? A po co?

– No wiesz, Halina tutaj niemalże cię głodziła, ty wciąż karmisz dziecko, to pomyślałem, że przyda ci się dla odmiany coś słodkiego. Raptem przyjechałaś, a w moich oczach już schudłaś.

Dziewczyna patrzyła skonsternowana na wyciągającego w jej stronę jedzenie Henryka.

– Bardzo dziękuję. To miłe z wujka strony.

– Mogę na chwilę usiąść? – Henryk wymownie popatrzył na łóżko.

Martusia przesunęła się lekko.

– Tak, proszę – skinęła.

– Wiesz... Przyszedłem ci powiedzieć, że Halina to w głębi duszy dobra kobieta jest. Jak każdy, ma swoje za uszami, ale co złego, to nie ona.

– Co wujek nie powie... Gubi mnie w polach, na zakupy muszę przez nią do sąsiedniej wsi jeździć, a moje dziecko zapomniało już, jak pachnie świeże powietrze. Ja wiele rozumiem, naprawdę. To wyłączenie internetu i prądu, ale sytuacja z dzisiaj była po prostu przegięciem! Wie wujek, jak ja się poczułam?

– Ech... – westchnął ciężko pan Henryk.

– Ja mam tego już dość. Mogła mnie od razu uprzedzić, że nie chce, żebym do was przyjeżdżała, a nie bawić się w jakieś podchody. Nie mam już pięciu lat, wujku.

Henryk popatrzył na nią smutno. Od pewnego czasu było mu jej naprawdę szkoda. Tylko co on biedny mógł zrobić? Nikt jeszcze z jego żoną nie wygrał.

Martusia obudziła się wyjątkowo zmęczona. Był środek października i jesień zdążyła zadomowić się w Sosenkach na dobre. Liście żółkły i czerwieniały na potęgę, nie wspominając już o niskich temperaturach, przez które trzeba było wyciągnąć z szaf ciepłe kurtki.

Martusia obudziła się zmęczona, a na dodatek bolała ją głowa, dlatego moment wstawania z łóżka w jej wykonaniu trwał tego ranka zdecydowanie dłużej niż zwykle. Starając się nie obudzić śpiących w najlepsze dzieciaków, Martusia usiadła lekko na materacu, wsunęła stopy w czekające przy łóżku kapcie, a potem podeszła do okna. Na drewnianym parapecie stała metalowa szkatułka przywieziona z domu babci i dziewczyna nie mogła oprzeć się pragnieniu przejechania wierzchem dłoni po jej zimnym, zardzewiałym zamknięciu.

Za oknem zaczynało świtać. Martusia patrzyła na okolicę przez chwilę. Kolejny raz biła się z myślami. Robiła to nieustannie, odkąd odwiedziła razem z wujkiem chylący się ku zupełnej ruinie dom babci.

– Może to właśnie znak, żeby pozwolić się zawalić temu, co stare i spróchniałe, zostawić to z tyłu i dać mu w końcu upaść? – zastanawiała się, patrząc w dal.

Kiedy Martusia stała w oknie sypialni, na taborecie przy kuchennym stole rozsiadła się starsza pani i pijając łyk gorącej herbaty, otworzyła kupioną wczoraj gazetę. Odkąd Iwonka przed laty poszła do szkoły, pani Halina niemalże każdy poranek rozpoczynała właśnie w ten sposób. Herbatą i lekturą jakichś ciekawych artykułów.

Czytała o życiu gwiazd show-biznesu i o polityce. O najnowszych trendach naukowych i modzie też. Właściwie, to można powiedzieć, że o wszystkim, co tylko wpadło jej w ręce i nie kłóciło się zbytnio z prezentowanym przez nią światopoglądem. Ta wiedza z najróżniejszych dziedzin życia przydawała jej się często przy rozwiązywaniu krzyżówek. No i dzięki niej kobiety ze wsi miały ją za erudytkę. A ona przecież uwielbiała czuć się lepsza od innych.

Pani Halina przerzuciła następną stronę gazety. Dzisiaj wybrała do lektury najnowszy numer swojego ulubionego magazynu o gwiazdach, dlatego z przyjemnością wpatrywała się w wyretuszowane, znane z ekranu telewizora twarze. Dziennikarze pisali w tym numerze przede wszystkim o ślubie jakiegoś znanego piosenkarza, który podobno oświadczył się swojej nowej małżonce tylko z powodu ciąży.

– Chociaż jeden porządny – kończąc czytać relację ze ślubu, mruknęła sama do siebie. Była zdania, że dzieci powinny mieć ojca. Nawet takiego showmana z wygoloną do połowy głową. W końcu lepszy rydz niż nic.

I kiedy pani Halina zaczęła rozodzić się w myślach nad coraz mniej bezwstydnymi młodymi ludźmi, którzy żyją ze sobą na kocią łapę, jej wzrok przykuło niewielkie zdjęcie jednej z aktorek. Znała tę twarz bardzo dobrze, bo kobieta występowała w jej ulubionym serialu już od ponad dziesięciu lat, ale nie w tym rzecz. Obok roześmianej gwiazdy stało bowiem kilkuletnie dziecko, które było... Tak, chociaż pani Halina nie mogła w to uwierzyć, to dziecko było czarne! Jak noc, heban albo cały ten Martusiny Krzyś!

– No nie może być! – wyrwało jej się z przejęciem i czym prędzej zaczęła wczytywać się w treść artykułu, przy którym znajdowało się owe zdjęcie. Podobno wspomniana aktorka zaadoptowała dziecko z Afryki kilka tygodni temu, bo UWAGA (to spodobało się pani Halinie najbardziej): czarnoskóre dzieci stawały się w środowisku celebrytów ostatnio modne!

– A to ci dopiero heca! – po kuchni rozszedł się rozentuzjasmowany okrzyk pani Haliny. Przecież to rozwiąże cały jej problem z Krzysiem! Skoro adoptowanie dzieci o innych kolorach skóry było modne (choć dziennikarka nie ujęła tego wprost i pani Halina wydedukowała to z artykułu sama), no to nie

muszą już ukrywać przed całą wsią Krzysia! Nawet przeciwnie! Mogą wyjść z maluchem na świat i jeszcze szczić się dookoła, że jako pierwsi w Sosenkach poszli z duchem czasu! Zamiast wyganiać więc od siebie Martusię, mogą się nią zacząć chwalić! No piękniejszej wiadomości na początek dnia to pani Halina po prostu nie mogła sobie wyobrazić!

I kiedy starsza pani o mały włos nie zerwała się z taboretu, żeby zacząć skakać z radości, do kuchni weszła rozespana Martusia.

– Nie śpisz już? – powitała ją i starając się ukryć swoje zadowolenie, zlustrowała wzrokiem drobne ciało dziewczyny.

Martusia pokiwała głową. Kuchnia pachniała zapachem świeżo kupionego chleba leżącego obok staromodnej krajalnicy.

Z kryształowego wazonu stojącego na parapecie zerkały na Martusię niepewnie kolorowe marcinki.

– Miałam ciężką noc – odpowiedziała na pytanie ciotki i odrywając się od kwiatów, nalała sobie do kubka aromatycznej esencji zaparzonej w czajniczku stojącym na blacie. Potem przysiadła się do stołu, szurając niewysokim taboretym.

– To tak samo jak ja. Cierpię ostatnio na bezsenność – przyznała się starsza pani.

– Ostatnio, to znaczy, odkąd przyjechałam do was z dziećmi? To przez mój powrót do Sosenek?

Pani Halina uśmiechnęła się do chrześniaczki wyjątkowo ciepło i pogładziła palcami kraciatą ceratę leżącą na stole.

– To nie przez ciebie Martusiu. Może to już po prostu starość i zmniejszona potrzeba snu? A ty dlaczego nie mogłaś spać?

– Chyba podjęłam w końcu decyzję, ciociu – Martusia powiedziała po chwili milczenia i podniosła wzrok.

Pani Halina popatrzyła na nią wyczekująco.

– Co masz na myśli? – zapytała.

Marta nabrała w płuca powietrza i spojrzała wprost w oczy ciotki.

– Nie chcę mieszkać w Sosenkach. Chcę sprzedać ziemię babci.

– Ale...

– Bardzo długo nad tym myślałam – nie pozwoliła pani Halinie na zwerbalizowanie wątpliwości. – Chociaż bardzo was kocham i chciałabym być blisko was, Sosenki kojarzą mi się tylko z cierpieniem, a nie z radosnym dzieciństwem. Mam wrażenie, że w życiu tutaj przeważało w znacznej mierze to pierwsze. Ciągle myślę o tamtym wypadku. Ciągle mi się to śni... – wyznała, właściwie zgodnie z prawdą, pomijając jednak jeden istotny powód.

– Co w takim razie zamierzasz? – westchnęła pani Halina. Słyszając szczere słowa Martusi, pochyliła się do przodu i z uwagą przyjrzała się jej przemęczonej twarzy. Nie dało się ukryć, że pobyt w Sosenkach emocjonalnie ją wykańczał.

– Pomyślałam, że jeśli nie chcecie mnie jeszcze wyrzucić, zostanę u was do wiosny. Mam nadzieję, że do tego czasu znajdzie się uczciwy kupiec na dom i ziemię, a ja będę miała wtedy pieniądze i kupię mieszkanie. W miasteczku albo w Warszawie. Gdziekolwiek.

– Oj dziecko... Nie masz ty swojego miejsca na tym świecie.

Martusia uśmiechnęła się blado na wspomnienie wszystkich jego nieudolnych poszukiwań i ucisnęła lekko pomarszczoną rękę starszej pani leżącą na stole.

– Mam rodzinę. To przecież najważniejsze.

– Możesz u nas mieszkać, jak długo chcesz – pani Halina zerknęła dyskretnie w stronę leżącej na stole gazety.

– Wiem, ciociu – powiedziała Martusia, mając jednak w pamięci wszystkie wybryki ciotki, którymi

zdążyła ją uraczyć przez zaledwie miesiąc jej pobytu w Sosenkach.

– I ja... – zawahała się starsza pani, gdy jakaś ogromna gula ugrzęzła jej w gardle – ...powinnam cię za to wszystko przeprosić. Zachowywałam się głupio, chcąc cię wykurzyć stąd jak najprędzej. Przyznaję, to było dość słabe. Ale musisz wiedzieć, że chodziło mi przede wszystkim o wasze dobro. Chciałabym, żebyś to wiedziała, naprawdę. Chciałam was tylko chronić przed złem. Przed plotkami i gadaniem żądnych sensacji ludzi.

Dziewczyna kolejny raz się uśmiechnęła. Tym razem o wiele cieplej. Szczere słowa ciotki zrobiły na niej naprawdę ogromne wrażenie. W życiu nie spodziewała się, że usłyszy je od twardej jak skała i władczej jak największy dyktator kobiety, od której mogłaby się tych cech uczyć nawet sama Żelazna Dama. (A może to dyktator powinien być twardy, a skała największa?)

– W porządku – zdołała tylko wydusić i wróciła do herbaty, chcąc zmienić tę przytłaczającą atmosferę, która zapanowała w kuchni.

Nie potrzebowała teraz dodatkowo się rozklejać. Wystarczająco dużo wypłakała przez ostatnie dni, oglądając leżące w szkatułce pamiątki, i czas było wykrzesać w sobie typowy dla jej usposobienia optymizm i zacząć patrzeć na świat przez różowe okulary.

– Więc mówisz, że masz zamiar zostać u nas do wiosny – postanowiła zmienić temat pani Halina.

– Znalazłam nawet kilka fajnych mieszkań. Właściciel jednego nawet mi odpisał i na uparte go stać by mnie było, żeby wyprowadzić się tam już teraz.

– No nie!

– Co nie?

– No teraz to ja na pewno nie dam ci się wyprowadzić! Daj mi trochę czasu, żeby się z tą myślą oswoić, a nie rzucasz mnie na głęboką wodę. Przecież przeprosiłam! – słysząc jej słowa, oburzyła się starsza pani.

Martusia popatrzyła na nią, starając się nie rozeźmiać.

– To znaczy, że będzie nas ciocia tolerować jeszcze do wiosny?

– A mam wyjście?! Mówię przecież, że przeprosiłam! Czego ty jeszcze ode mnie oczekujesz, że na twarz przed tobą padnę i oddam pokłon?

– To mogło by być ciekawe... – zaśmiała się Martusia, ale szybko wróciła do poprzedniego tonu, widząc złowrogą minę pani Haliny. – Myśli ciocia, że do wiosny ktoś zechce kupić dom babci?

– Dom jak dom, prędzej samą ziemię, bo o domu to tu praktycznie mówić nie można. Stara chałupa i tyle. Ziemia u nas droga. Ale jak dasz dobrą cenę, to kto wie? Pewnie jakiś chętny się znajdzie. Stara Hubertowa ostatnimi laty całą swoją wyprzedala, więc pewnie i tobie się uda.

– To dobrze. Uspokoiła mnie ciocia trochę. Trzeba będzie do tego kogoś zatrudnić, co?

– A po co?! – ponownie uniosła głos starsza pani. – Zanim zaczniesz wydawać pieniądze na pośrednika, to się zastanów, czy warto. Wywiesi się na razie ogłoszenia na wsi. Do gazety da, a dopiero jak to nie pomoże, to się odwołamy do ostateczności. Nie ma się co spieszyć.

Martusia upiła łyk herbaty, ponownie zerkając na kolorowe marcinki stojące w wazonie.

– No tak. Pewnie ma ciocia rację. Powinnam zapisać Marysię do zerówki.

– Ano! Co prawda, to prawda. Pół roku piechotą nie chodzi. Żeby na ciebie jakiejś kary jeszcze nie nałożyli, jak jej nie pošlesz.

– No właśnie... – skinęła głową. – Mogłaby ciocia zagadnąć Iwonkę, czy to się w ogóle da o tej porze roku?

– No matko kochana, a co by się miało nie dać? Dyrektor to teraz Iwonki przyjaciel, więc wszystko się da! – ożywiła się starsza pani.

– Świetnie. Więc podpytałaby ciocia?

– A co ja tam będę pytać. Zadzwońię do Iwony, niech dyrektora uprzedzi, że pójdziesz dzisiaj dziecko zapisać i tyle. Tu nikogo o zdanie pytać nie trzeba! – zarządziła pani Halina z typową dla siebie energią, czując, że w końcu jest do czegoś potrzebna. Ta świadomość od razu postawiła ją na nogi mimo kolejnej nieprzespanej nocy.

– Nie wiem tylko, czy tak wypada...

– O dziecko twoje chodzi, tak czy nie?

– No tak.

– W takim razie załatwione. Dzwonię do Iwony, niech dyrektora uprzedzi. A ty tu czekaj! – huknęła na całe gardło i wyszła do salonu, zostawiając ją samą w pachnącej chlebem kuchni, do której wpadały przez okno pierwsze promienie jesiennego słońca przebijające się przez zasnutę chmurami niebo.

Martusia myślała przez chwilę o rozmowie z ciotką. Pierwszy raz wypowiedziała na głos słowa opisujące jej plany i trochę sama była zszokowana ich prawdziwością. W pierwszych chwilach pomysł sprzedania domu babci wydawał jej się niewłaściwy. Czuła, jak gdyby miała porzucić swoje korzenie i wyrzec się historii. Z drugiej jednak... Martusia czuła, że już dawno stała się kimś innym. Nie było już małej dziewczynki przeżywającej bolesny dramat. Była silna i twarda kobieta, która nie miała skrupułów, by wysłać na odwyk niebezpiecznego mężczyznę i kolejny raz zacząć nowe życie. Może ten symboliczny gest, jakim byłaby ta sprzedaż, miał przełamać pulę nieszczęść, którą przesycone było jej dotychczasowe życie?

I kiedy pogrążała się w przemyśleniach, deska za plecami Martusi zatrzeszczała niepewnie pod czyimiś stopami. Sprawiała, że dziewczyna aż podskoczyła na taborecie.

– Spokojnie, spokojnie. To tylko ja – dobiegł jej uszu dźwięczny głos ubranej w fartuszek, gotowej do robienia śniadania Michaliny.

– O, to pani – Martusia odetchnęła z ulgą, łapiąc się za bijące szybko serce. – Dzień dobry.

– Dobry, dobry. Aż tak bardzo się mnie przestraszyłaś? – Michalina łypnęła na nią wzrokiem.

– Nie, nie. W porządku. Po prostu myślałam, że to ciocia wróciła.

– A nie! Halinka rozmawia przez telefon w salonie, żywo przy tym gestykulując i drąc się wniebogłosy. Zaraz resztę domowników pobudzi!

– Dzwoni do Iwonki.

– To by wyjaśniało, czemu aż tak się emocjonuje. Wiesz może, w jakiej sprawie?

– Żeby uprzedzić dyrektora, że dzisiaj idę Marysię zapisać do zerówki.

– A w niej przecież nasza Iwonka teraz uczy!

– Tak? – zdziwiła się Martusia.

– Ano tak! Nie wiedziałaś? Na zastępstwie jest do końca roku.

– Pierwsze słyszę – zainteresowała się i odwróciła w stronę tłukącej garami Michaliny.

– No tak. Dyrektor Iwonce w wakacje pracę zaoferował. Znaczący... Nie, to nie było tak! Starsza pani jej posadę znalazła, Iwonkę wysłała, a ten gnojek zaczął ją podrywać i inne takie. Ale w końcu dostała tę pracę i bardzo jest zadowolona. Tyle lat biedulka w domu siedziała i wychowywała dzieci, to się chociaż trochę rozerwie, nie? – spojrzała na nią gospoia i zabrała się za krojenie ogórka.

– No tak, tak – skinęła w odpowiedzi, starając się ułożyć sobie słowa Michaliny w głowie.

Do kuchni wparowała jej ciotka.

– Załatwione! – obwieściła z typowym dla siebie impetem. – Dyrektor czeka na ciebie o dziesiątej.

– Tak szybko?

– A na co ty chcesz czekać? Aż rok szkolny się skończy? Im szybciej, tym lepiej!

– Pewnie ma ciocia rację...

– No, to co tak siedzisz? Śniadanie zaraz będzie. Idź się jakoś ubierz i doprowadź do porządku. Te

wory pod oczami zatuszuj, żeby nikt nie posądził mnie o to, że cię głodzę.

Martusia popatrzyła na nią spode łba.

– No co? Aha! I zabierz Marysię. Iwonka mówiła, że możesz zajrzeć z nią do niej, żeby zobaczyła klasę i poznała dzieci, zanim rzucisz ją na głęboką wodę. Jakaś klimatyzacja czy coś. Nie wiem, o co chodzi – ciotka podrapała się po głowie. – Może to miało znaczyć, że powinnaś ją lżej ubrać?

Martusia parsknęła śmiechem, domyślając się, że Iwonie chodziło raczej o aklimatyzację, ale skoro miała się pospieszyć, postanowiła nie wyprowadzać starszej pani z błędu.

– No właśnie. Czemu ciocia nie mówiła, że Iwonka uczy w zerówce? – zapytała więc tylko.

Starsza pani zrobiła zdziwioną minę i przechyliła w bok głowę.

– Nie mówiłam ci?

– Nie.

– Pewnie mi z głowy wypadło. Stara jestem, to wiesz. W moim wieku już się wszystkiego można spodziewać! – machnęła ręką w stronę Martusi i zaczęła pomagać gosposi. – No idź już! – ponagliła. – Świat na ciebie czekać nie będzie, wypadaloby się nieraz do niego dostosować.

– Idę, idę – powiedziała Martusia, po czym odstawiła kubek do zmywarki i ruszyła na górę. Trafiała akurat na koncert swojego zapłakanego, młodszego dziecka, które trzeba było przewinąć i nakarmić.

– Miałam cię właśnie zawołać – siadając na łóżku w swojej różowej piżamie, oświadczyła jej Marysia.

Posłała dziewczynce pełen wdzięczności uśmiech.

– W takim razie dobrze, że przyszłam.

Marysia wskazała ręką na domagającego się jedzenia Krzysia, niespokojnie wiercącego się w łóżeczku.

– Czemu on tak ciągle płacze?

– Bo jest głodny.

– Też jestem, a ja nie płaczę. Już mnie od tego bolą uszy, wiesz? Mam dość!

– No bo ty jesteś duża i umiesz już mi o tym powiedzieć – uśmiechnęła się, słysząc stwierdzenie córeczki.

– On też będzie kiedyś umiał?

– No pewnie.

– Za ile?

– Podejrzewam, że za jakieś dwa lata to nie będzie mu się wcale zamykała buzia.

Marysia zasepiła się na chwilę.

– W takim razie sama nie wiem co gorsze – stwierdziła niewinnie, doprowadzając Martusię do śmiechu.

– Wiesz co, mądralo? Idź do łazienki się umyć, a potem zmykaj na dół na śniadanie. Michalina na pewno zrobiła już dla ciebie płatki czekoladowe, a czeka nas dzisiaj ciężki dzień.

– Tak? – Marysia ożywiła się, słysząc jej słowa. – A co?

– Pójdziemy dziś do cioci Iwonki, żeby zapisać cię do szkoły.

– Do szkoły? Przecież ja chodzę jeszcze do przedszkola. Nie uważasz, że jestem trochę za mała?

Martusia kolejny raz zaśmiała się, słysząc mądre słowa córeczki.

– No tak, ale wiesz, tutaj na wsi przedszkole znajduje się w szkole. Po prostu w tym samym budynku. Niby szkoła, a jednak nie. Takie dwa w jednym.

– Aha... – pokiwała głową ze zrozumieniem.

Martusia łypnęła na nią wzrokiem.

– Podoba ci się ten pomysł? No... ze szkołą? – zapytała, z lekką obawą w głosie. Dobrze wiedziała, że

po doświadczeniach z Danielem Marysia nie przepada za obcymi ludźmi.

– Tak! – ucieszyła się jednak dziewczynka i pognęła boso do łazienki, żeby umyć twarz i zęby, a potem, nadal w piżamie, zbiegła na dół na śniadanie, dzieląc się z domownikami radosną nowiną tak głośno, że Martusia słyszała jej każde słowo, będąc na górze.

– Idę dzisiaj do szkoły, wiecie?! – pisnęła, stając w drzwiach.

– Jejku, naprawdę? – zainteresował się jej słowami wuj Henryk, który siedział właśnie przy stole, rozwiązując krzyżówkę, i głowił się nad inną nazwą jamnika. Na cztery litery, gwoli wyjaśnienia. I nie: pies.

– No! – zaklasnęła w dłonie Marysia. – Mama mi tak powiedziała. W dodatku nie do przedszkola, ale do SZKOŁY – zaakcentowała ostatni wyraz wyjątkowo mocno i dumnie.

– No ja jestem pod wrażeniem, a wy? – popatrzył na żonę starszy pan, robiąc teatralną, zdziwioną minę.

– No my też jesteśmy w szoku. Będiesz chodziła do szkoły, nasza wielka dziewczynko!

– I będę miała książki i plecak. I nowych przyjaciół, wiecie?! Bo teraz to za bardzo nie mam się z kim bawić...

– No jak to nie masz. A bliźniaki cioci Iwonki i Agatka?

– E tam. Agatka jest dla mnie trochę za stara.

– No ale Antoś i Antonina? Z nimi chyba wszystko w porządku.

– Ale to jest rodzina! – Marysia popatrzyła na ciotkę jak na głupią, tak że starsza pani o mało nie parsknęła śmiechem.

– Aha. No tak, rzeczywiście – teatralnie puknęła się w głowę. – O tym nie pomyślałam.

– Oni nie mogą być moimi przyjaciółmi, skoro to jest rodzina.

– Teraz rozumiem, kochanie – pani Halina popatrzyła rozbawiona na męża i pogłaskała dziewczynkę po głowie. – No ale siadaj, bo zaraz ci wszystko zjemy, a skoro dziś czeka cię ważny dzień, to musisz mieć siły, żeby stawić mu czoła, prawda?

– No! – klasnęła w dłonie dziewczynka i wpakowała się na jedno z krzesel, a potem w błyskawicznym tempie zjadła śniadanie, żeby zdążyć do szkoły na dziesiątą.

– Poczekasz teraz chwilę u cioci – powiedziała Martusia, podprowadzając ubraną w kwiecistą sukienkę dziewczynkę pod kolorowe drzwi zerówki, zza których dały się słyszeć głośne krzyki dzieci.

Marysia pokiwała głową i z zapałem nacisnęła klamkę, a potem weszła do środka. Gdy tylko to zrobiła, głowę Martusi przeszył przeraźliwy pisk bawiących się w najlepsze dzieci.

– Jesteście w końcu! Ale się cieszę! – powitała je natomiast niewzruszona zachowaniem swoich podopiecznych Iwonka i przykucnęła, schylając się w stronę twarzy ożywionej dziewczynki. – Cześć, młoda damo. Chcesz się z nami dzisiaj trochę pobawić? – zapytała wyjątkowo ciepłym głosem i widząc rozradowaną buzię Marysi, uśmiechnęła się jeszcze bardziej niż do tej pory.

– No pewnie! – wykrzyknęła, nie patrząc na mamę, i od razu pobiegła do szalejącej w piankowych klockach grupy.

Iwonka popatrzyła na Martusię z rozbawieniem.

– I ty mówiłaś, że ona jest nieśmiała?

– W kontaktach z dorosłymi owszem.

– Mam nadzieję, że obu wam się u nas spodoba.

– Widzisz sama, jaki zachwyty wywołuje myśl o szkole w mojej córce.

– A w tobie?

– Jeśli jej się podoba, to mnie na pewno też. Masz bardzo słoneczną klasę – uśmiechnęła się serdecznie Martusia, rozglądając się po kolorowych malowidłach zdobiących ściany i skosy pomieszczenia, które

znajdowało się na poddaszu. – Czy to kadr z „Królowny Śnieżki”? – zapytała, wodząc wzrokiem po magicznym lesie, w którego centrum stał maleńki domek otoczony przez siedmiu krasnoludków.

– Aha. A tam mamy „Rybaka i złotą rybkę”.

– Prawdziwe dzieła sztuki... – wyszeptała z zachwytem, przyglądając się precyzyjnym kreskom i wyrazistym barwom wesoło mrugającym do niej ze ściany. Od razu widać było, że nie wyszły one spod ręki kogoś przypadkowego, ale utalentowanej osoby.

– Pomyślałam dokładnie to samo, kiedy przyszłam oglądać klasę pierwszy raz. Nie mogłam sobie odmówić przyjemności podejścia do nich i pogłazenia ich ręką – powiedziała Iwonka, uchylając się przed złotą, gumową piłką lecącą niebezpiecznie w jej kierunku.

– Widzę, że masz tutaj kilkugodzinną gimnastykę – roześmiała się Martusia, patrząc na przerażoną twarzyczkę jakiejś małej dziewczynki, która zaczęła usilnie przeproszać swoją ukochaną panią.

– Nie narzekam. Może uda mi się w takich warunkach chociaż trochę schudnąć?

– Jak ci się uda, to zapiszę się do ciebie na jakiś staż – nachyliła się do niej konspiracyjnie i obie wybuchły gromkim śmiechem, który zdawał się tonąć gdzieś w odgłosach dziecięcej radości.

– Proszę pani! – pociągnął nagle Iwonkę za rękę jakiś ubrany w ogrodniczkę chłopiec. – A Felek pije piwo!

– Jak to pije piwo? – zdziwiła się i popatrzyła na dziecko zdezorientowanym wzrokiem.

– Normalnie. Niech pani go zapyta!

– Felku, czy ty pijesz piwo? – krzyknęła na cały głos i w klasie natychmiast zapanowała idealna cisza.

– Aha – skinął głową chłopiec, odrywając od ust zielony bidon ze smoczkiem.

– Pokaż mi to lepiej – wyciągnęła w jego stronę rękę.

Chłopiec natychmiast podał jej butelkę.

– Bo mój tata pił wczoraj piwo.

– No! A mój ostatnio kupił całą skrzynkę! – wtrąciła na cały głos jakaś uczesana w dwa warkoczki dziewczynka.

– Piwo śmierdzi.

– I wygląda jak siki.

– Dość! – ucięła w końcu tę dyskusję Iwonka i powąchała bidon. – To nie jest żadne piwo tylko herbata – powiedziała, oddając napój chłopczykowi, i wróciła do zanoszącej się śmiechem Martusi stojącej przy drzwiach.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała do niej. – Ja mam to na co dzień. Żałuj, że nie słyszałaś, jak kilka dni temu dyskutowali o tym, że wujek jednego z chłopców jest gejem.

– A jest?!

– No pewnie, że nie jest – roześmiała się głośno i obie zaczęły rechotać w głos jak kilkuletnie dziewczynki.

– No dobrze, my tu się śmiejemy, a ja jestem przecież umówiona z dyrekcją – popatrzyła w końcu na zegarek Martusia.

– To będzie czysta formalność, wierz mi.

– Tak się tylko mówi.

– Oj nieprawda – spojrzała w jej fiołkowe tęczęwki Iwonka. – Dyrektor to naprawdę wspaniały człowiek i chociaż momentami bywa... uciążliwy, to dużo zyskuje przy bliższym poznaniu, naprawdę.

– Jest aż tak źle?

Tym razem to ona parsknęła śmiechem. Wspomnienie kwiecistego dyrektora i jego dość bezpośredniego podrywu, którego doświadczyła w wakacje, kiedy starała się o pracę, nadal budziły w niej lawinę gwałtownych emocji.

– Nie masz się czym martwić – starając się zapanować nad śmiechem, powiedziała do Martusi. – Po prostu... – zawahała się na chwilę. – A zresztą wiesz co, co ja ci będę opowiadać? Poznasz go, to sama się przekonasz.

– W końcu nie taki diabeł straszny, jak go malują, prawda?

Iwonka popatrzyła na kuzynkę, przyznając w myślach, że to określenie pasuje do barwnego Krzysztofa aż za bardzo.

– Odbiorę Marysię, jak tylko skończę spotkanie – powiedziała jeszcze Martusia, wycofując się powoli w stronę drzwi. Jednocześnie uważała, żeby nie potknąć się o żadną z pałętających się pod jej stopami kolorowych zabawek.

– Ale po co? Widzisz przecież, że jej tu u nas bardzo dobrze! – Iwonka popatrzyła to na nią, to na zajętą zabawą dziewczynkę. – Podwiozę ją do was, jak skończymy zajęcia. Mam do mamy kilka spraw, więc będzie mi to nawet po drodze, a Marysi dobrze zrobi taki dzień na aklimatyzację. Co ty na to?

– No cóż... – uśmiechnęła się, widząc rozpromienioną buzię swojej ożywionej córeczki. – Skoro będzie ci tak wygodniej, to dobrze. O której kończycie?

– O trzynastej dziesiąt.

– Super. W takim razie do zobaczenia.

– Ach Martusia! – krzyknęła jeszcze za wycofującą się z zerówki kobietą Iwonka. – Gabinet dyrektora jest piętro niżej.

– Przecież ja sama chodziłam tutaj do szkoły. Mam swoje lata, ale takie rzeczy to jeszcze pamiętam! – roześmiała się głośno.

– No tak... – usłyszała za sobą jeszcze głos Iwonki i zamknęła drzwi. Stukając obcasami, skierowała się w stronę gabinetu dyrektora.

W korytarzu unosiła się mało przyjemna woń różnorodnych środków czystości, którymi panie woźne szorowały właśnie drzwi i łazienkowe kafelki.

– Pani do dyrektora? – zagadnęła ją, wycierając parapet, jedna z ubranych w zielony fartuszek pań.

– Aha.

– Wszedł gdzieś. Ale niech pani wejdzie do sekretariatu i chwilę poczeka. Pewnie to nie potrwa długo.

– Dziękuję – popatrzyła na kobietę, zdezorientowana jej wyjątkową uprzejmością, i zapukała w końcu do drzwi, poprawiając przy tym niesforny kosmyk włosów, który opadł jej bezładnie na twarz i zarumienione policzki.

– W czym mogę pomóc? – powitała ją wyłaniająca się zza zawałonego papierami biurka młodzianka, czarnowłosa sekretarka. Jej czerwone szpilki i krótka spódniczka raziły Martusią już z daleka.

– Ja do pana dyrektora. Byłam umówiona na dziesiątą.

– Ach tak. Pan dyrektor musiał pilnie wyjść na moment, ale proszę usiąść. Herbatki? – piskliwym głosem zapytała sekretarka.

– Nie, nie. Dziękuję – Marta potrząsnęła głową i usadowiła się na jednym z ustawionych pod ścianą krzeseł. Wbiła wzrok w stojącą pod ścianą doniczkę, z której wyrastał sięgający zegara kwiat, a raczej zielone drzewko.

– Dracena – wyrwało jej się.

– Słucham? – sekretarka spojrzała na nią pytająco.

– Bardzo ładny kwiat – odpowiedziała, uśmiechając się pod nosem. Miała w głowie tłumaczenie tej nazwy w sekretnym języku kwiatów. „Wpadniesz w sidła”, zdawała się mówić do niej roślina i dziewczyna nie mogła ukryć rozbawienia. Zwykle wierzyła w to, co mówiły do niej kwiaty, ale tym razem była to chyba przesada. Niby w czyje sidła miałyby tutaj wpaść?

– Ach, dziękuję. Dyrektor go niedawno przywiózł i szkoda było wyrzucać – poprawiając swoją minispódniczkę, przerwała jej strumień myśli sekretarka.

– Rozumiem – Marta uśmiechnęła się, jeszcze raz uważnie przyglądając się kontrastującym ze ścianą zielonym liściom, gdy nagle wpadł do pomieszczenia ubrany w kwiatową koszulę mężczyzna z czarnymi okularami na głowie.

– Jestem – rzucił niskim, gardłowym głosem, zerkając na mizdrzącą się do niego sekretarkę. – Kawę poproszę – powiedział władczym tonem i dopiero popatrzył na siedzącą pod drzwiami Martusię.

Natychmiast go rozpoznała.

– To pan – wykrztusiła, nieumiejętnie starając się ukryć wyraz wstrętu, który chciał zagościć na jej twarzy.

– Fiołkooka – odsłaniając swoje śnieżnobiałe zęby w szerokim uśmiechu, powiedział natomiast dyrektor. – Bardzo miło mi panią znów spotkać. Mam nadzieję, że zamienimy teraz więcej niż jedno słowo – dodał nieco bezczelnie.

– Przychodzę w sprawach służbowych – Martusia oznajmiła wyjątkowo twardo.

– Tak, tak – zdawał się nie zważać na jej ton i pchnął przed nią drzwi do swojego gabinetu.

Popatrzyła na niego zdziwiona, ale w końcu weszła do środka.

– Ma pani na coś szczególną ochotę? Kawa, herbatka?

– Nie, dziękuję – powiedziała, siadając na jednym z foteli naprzeciwko potężnego biurka.

W pomieszczeniu czuć było aromatyczną woń jakiejś porządnej kawy, która idealnie komponowała się z drewnianymi meblami, kontrastując tym samym z mało eleganckim wizerunkiem dyrektora.

– Więc cóż panią do mnie sprowadza? – zlustrował Martusię wzrokiem od dołu do góry, rozbawiony tym zaskakującym spotkaniem. Usiadł za biurkiem, odchylając się do tyłu tak, by lepiej widzieć jej fiołkowe tęczęwki.

– Myślałam, że Iwona uprzedzała pana o mojej wizycie.

– Bo uprzedzała.

– Ach tak – powiedziała tylko, czując się skrępowana jego bezczelnym wzrokiem i stylem bycia. – Więc na pewno wie pan, że chciałabym zapisać dziecko do waszej zerówki. Z tym że tylko do wiosny – zaznaczyła.

– Rozumiem i jestem na tak – bez wahania odpowiedział jej dyrektor. Pochylając się do przodu, oparł łokcie o blat. Teraz jego wzrok padł na dekolt kobiety.

– Tak po prostu? – zdziwiła się. – A jakieś formalności?

– Wystarczy mi numer pani telefonu.

Potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem.

– No chyba jakoś będziemy musieli się umówić na kawę, prawda?

– Jaką kawę?

– Droga pani... – zaśmiał się dyrektor. – U nas takie rzeczy załatwia się raczej mało formalnie.

Martusia poczuła, jak potężna fala irytacji zalewa ją i wgniata w fotel. Co też ten bezczelny typ spod sklepu sobie myślał? Że ona jest jakaś łatwa i wystaje godzinami pod latarnią?!

– Chyba muszę pana rozczarować – powiedziała powoli, wypuszczając głęboko nabrane powietrze, i uniosła się z fotela. – Nie należę do tego typu kobiet. Jeśli nie chce pan przyjąć mojego dziecka do szkoły, to rozumiem i poszukam innej. W dzisiejszych czasach to żaden problem.

– Ależ pani Marto... – uniósł się na nogi również i dyrektor. – Przecież ja z sympatii do pani to mówię, nie mam nic złego na myśli.

– Ja wolę nie wiedzieć, co ma pan na myśli. A za przyjęcie dziecka do szkoły serdecznie dziękuję! –

nie patrząc na niego, uniosła głos i stukając obcasami o lakierowaną podłogę, którą wyłożony był gabinet, wymaszerowała na zewnątrz. A raczej wybiegła, nie zapominając o majestatycznym trzaśnięciu drzwiami, chociaż marzyło jej się trzasnąć czymś innym gdzie indziej.

Dyrektor stał jeszcze przez chwilę dezorientowany, niepewnie zerkając na zatrzaśnięte drzwi, i zastanawiał się, co też takiego znów tej wyjątkowej kobiecie nie odpowiadało w jego zachowaniu.

– Palant! – wymamrotała natomiast Martusia, mijając dezorientowaną sekretarkę i patrzący na nią spod ściany ironicznie kwiat, a potem wybiegła ze szkoły, nie chcąc wyżyć się na żadnym napotkanym po drodze dziecku. Chociaż należała do wybitnie spokojnych osób, ten mężczyzna drugi już raz zadziałał na nią jak płachta na byka, doprowadzając ją po prostu do szewskiej pasji. Już sam jego widok... te kolorowe kwieciste koszule. Co to ma być, przedszkole?! Tak ubiera się porządny człowiek na wysokim stanowisku?

– Idiota! – trzasnęła jeszcze drzwiami od samochodu i pojechała do domu wujostwa, stanowczo za mocno naciskając po drodze na gaz.

– Matko kochana, co się stało?! – powitała ją stojąca na ganku ciotka. Zaniepokoiła się podejrzanym zachowaniem spokojnej jak dotąd Martusi.

– Ten dyrektor to jakiś zupełny świr!

– Ach, tak – jak gdyby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie, powiedziała pani Halina. – Podrywał cię, co?

– Skąd ciocia wie?! – Martusia oburzyła się, stając naprzeciwko starszej pani, i machnęła w jej stronę kluczykami od samochodu.

– A no bo on Iwonę też podrywał.

– Mówiła mi ciocia, że to jest porządny człowiek!

– Bo jest. Po prostu w pierwszym kontakcie często bywa...

– Palantem?! – wyrwało się dziewczynie.

Starsza pani roześmiała się głośno, słysząc jej słowa.

– Ano może być i tak, ale chciałam raczej powiedzieć, że nieco trudny jest w kontaktach z kobietami, ale potem mu przechodzi. Był tu u nas kiedyś nawet na obiedzie. Oj kochana, mądry i czuły człowiek, mówię ci. Dyrektorem to ty się nie przejmuj.

– Łatwo cioci powiedzieć – burknęła do niej urażona całym tym zajściem. – To nie od cioci chciał numer telefonu, żeby umówić się na kawę. Zamiast załatwiania formalności! Dając przy tym do zrozumienia, że wcale nie o kawę mu chodzi.

– Ano to trzeba było mu dać ten numer! – ożywiła się pani Halina, słysząc słowa Martusi. – Rozerwałabyś się może, wyszła gdzieś, zamiast tylko w domu siedzieć!

– Niech ciocia się nie wygłupia. Z nim?!

– Jakim nim? Przecież to swój chłop, Martusiu, swój chłop! – ujęła dziewczynę pod ramię i pociągnęła ją do kuchni. – To bardzo przystojny i czarujący mężczyzna. Ja powiem Iwonce, żeby mu przekazała, że ty ten numer...

– Co to znowu za knucie? – wyratował Martusię z opresji siedzący w jadalni z rozłożoną gazetą Henryk.

– Ciotka chce mnie swatać – wypaliła na cały głos.

– Ale jakie tam swatać... – oburzyła się starsza pani.

– Halinko? – spojrzał na żonę groźnie Henryk.

– No co, no co Halinko? Dobrze chciałam, a ona ma jakieś opory. Dyrektor to dobry człowiek i oboje to wiemy!

– Może i dobry, ale Martusia ma chyba prawo decydować o tym, z kim się spotyka, prawda?

– No właśnie wujku! Dziękuję! – popatrzyła na niego z wdzięcznością, nadal poirytowana, i czym prędzej uciekła przed władczą ciotką na górę, do śpiącego sobie w najlepsze Krzysia.

– Witaj maluchu – szepnęła, nachylając się nad jego łóżeczkiem, i lekko pogłaskała jego zaczerwieniony policzek, a potem odwróciła się w stronę okna i obrzuciła wzrokiem podwórze.

Tuż obok budynku gospodarczego, który pełen był jabłek czekających na wywiezienie do skupu, przechadzał się Andrzej. Martusia uśmiechnęła się lekko na jego widok. W jej wyobraźni wymalowała się jego ciepła, chłopięca twarz. Po jeszcze jednym spojrzeniu na śpiące dziecko nie zdołała oprzeć się usilnej chęci zamienienia z Andrzejem chociaż kilku słów i zbiegła na dół, narzucając na siebie tylko cieniuchną kurtkę.

– O, cześć! – ożywił się na jej widok. Jego oczy natychmiast rozbłysły. – Dobrze cię widzieć.

– Ciebie też – odpowiedziała i przysunęła się nieco bliżej. – Co tu robisz?

– Spisuję ostatni raz jabłka. Wiesz, ile ich jest i jakie. W skupie chcą wiedzieć takie rzeczy, a im bardziej jest się przygotowanym, tym lepiej można będzie negocjować cenę – nie odrywając oczu od fiołkowych tęczówek, wytłumaczył jej zwięźle.

– Duża sprawa – skinęła głową.

– Nie da się ukryć. W końcu to przecież kilka ton – odpowiedział i popatrzył na trzymaną w dłoni teczkę z dokumentami. – Wiesz co? – powiedział po chwili milczenia. – Odłożę to tylko do samochodu i możemy się przejść wzdłuż rzeki, w stronę lasu. Co ty na to?

– Dobry pomysł – skinęła, oddychając głęboko wilgotnym, jesiennym powietrzem pachnącym deszczem i skoszoną trawą. Spacer był w wypadku jej szalejących emocji doskonale wyciszającym rozwiązaniem.

– Więc jak ci minął dzień? – zagadnął ją, gdy ruszyli piaskową ścieżką wzdłuż szumiącej niegłośno rzeki i porastających jej brzegi szuwarów.

– Robisz potężny błąd, zadając to pytanie, mój drogi.

– Aż tak źle czy aż tak dobrze? – roześmiał się, słysząc jej odpowiedź.

– Zdania na ten temat są podzielone – powiedziała, zerkając na niego z rozbawieniem, a potem objęła się ramionami. Od wody powiewało chłodem.

– No cóż... Więc może twoją wersję poproszę.

– Właśnie wróciłam ze szkoły. Byłam zapisać Marysię do zerówki.

– Ooo! To znaczy, że jednak tutaj zostajesz? – Andrzej ożywił się jeszcze bardziej i popatrzył na nią wyczekująco.

Pokiwała głową.

– Tylko do wiosny. Góra do wakacji.

Andrzej jakby posmutniał.

– Ach tak... – westchnął.

– Mam zamiar sprzedać ziemię po babci i kupić mieszkanie w jakimś miasteczku.

– Masz już coś upatrzone?

– Nie, jeszcze nie – pokręciła głową.

– Gdybyś potrzebowała pomocy, to pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję – uśmiechnęła się ciepło, przypadkowo dotykając przedramienia Andrzeja.

– No ale wracając do wizyty w szkole... Patrząc na twoją minę, wnioskuję, że nie poszło zbyt dobrze?

– Dobrze? To naprawdę mało powiedziane. Marysia została od razu przyjęta!

– No to co jest nie tak?

– Ten dyrektor szkoły to jakiś kompletny palant.

– Krzysztof? Nie jestem z nim w żadnych wyjątkowo dobrych relacjach, ale ma raczej miano porządnego człowieka.

– Tak, właśnie on – skinęła głową. – Podrywał mnie po chamsku, dając wyraźnie do zrozumienia, że z nim spraw służbowych nie załatwia się na takiej właśnie drodze, ale raczej...

– Dobra, nie mów. Rozumiem – wszedł jej w słowo Andrzej. – Chcesz, żebym dał mu za to w zęby?

– Co? – roześmiała się ze zdziwieniem, zatrzymując się na chwilę, i popatrzyła mu w oczy. – Poważnie?

– Obraża wspaniałą kobietę. Chyba mu się należy, co?

– Daj spokój – machnęła w końcu ręką, zastanawiając się, czy mówi poważnie, czy raczej się z niej nabija. – To tylko nieszkodliwy palant.

– No ale serio! Gdybyś tylko chciała, żebym komuś przyłożył, to pamiętaj: do mnie możesz walić jak w dym.

– Że niby jesteś taki bitny, co? – melodyjny głos zarumienionej Martusi zmieszał się z szumem przepływającej obok nich rzeki.

– Raczej tylko wtedy, kiedy trzeba – Andrzej błysnął zębami, unosząc wysoko kąciki ust. Jego opalona twarz lśniła teraz w popołudniowym słońcu przebijającym się między chmurami.

– Uff. Kamień z serca, bo przez chwilę zaczynałam się ciebie bać. No wiesz, jesteśmy sami na jakimś pustkowiu, nikt nie usłyszałby moich krzyków...

– Hola, hola. Ja tylko proponuję, że stanę w twojej obronie, a ty robisz ze mnie pełnokrwistego zabójcę – oburzył się i nadąsał, czym naprawdę rozbawił Martusię. Z tą uroczą miną wydawał jej się jeszcze bardziej chłopięcy, niż gdy spotkali się pierwszy raz.

– Przyglądasz mi się w jakiś dziwny sposób – przerwał chwilę milczenia, gdy Martusia kontemplowała w zamyśleniu jego gładką twarz.

– Co? – potrząsnęła głową oderwana od swoich myśli. Jej kasztanowe włosy zakołysały się lekko.

– Patrzysz na mnie jakoś dziwnie – wpatrując się w jej fiołkowe tęczęwki, powtórzył Andrzej. – Jestem brudny czy coś?

– Nie, nie wydaje mi się.

– To o co chodzi? Coś ze mną nie tak? – chciał wiedzieć.

Martusia roześmiała się w głos, widząc jego zakłopotanie.

– Nie wiem, czy mogę ci powiedzieć, bo mężczyźni nie traktują zwykle takich rzeczy jako komplement.

– Teraz to ja zaczynam się ciebie bać. Mów i to natychmiast!

– Dobrze, oj dobrze. Po prostu wyglądasz teraz... Ale proszę, nie obraż się! Wyglądasz jak taki mały chłopiec. Naprawdę do twarzy ci z tą rozbawioną, niepewną minką.

– Jak chłopiec? Poważnie?

– Aha – popatrzyła mu prosto w oczy. Jej fiołkowe tęczęwki wydały się Andrzejowi wyjątkowo tryskać radością.

– No cóż... Odbierasz mi męskość i godność i inne takie – wzruszył beztrąsko ramionami. – Ale jestem ci chyba to w stanie wybaczyć – dokończył, nie odrywając oczu od jej twarzy, i na moment zapadła między nimi niezręczna cisza.

– Robi się zimno – pierwsza oderwała od niego wzrok Martusia. – Zbiera się na deszcz, powinniśmy już chyba wracać – powiedziała, rozcierając dłońmi zmarznięte ramiona.

Andrzej uśmiechnął się do niej ciepło i rozpiął swoją kurtkę, a potem zsunął ją z ramion, pozostając w samej ciemnej bluzie, i nakrył nią ramiona Martusi.

– Co ty robisz? Przecież zmarzniesz – zaprotestowała.

– Och, może nie jestem męski, ale wychowałem się na wsi, a kondycję mam dobrą. Powinnaś raczej martwić się o siebie. Zero tkanki tłuszczowej.

– To obelga? – zmrużyła oczy, wkładając ręce w ciepłą kurtkę Andrzeja. Od razu ogarnął ją zapach

jego perfum. Ten sam, którym rozkoszowała się, gdy pierwszy raz siedzieli razem, czekając na nadchodzącą pomoc.

– Myślałem, że kobiety szczycą się tym, że są szczupłe.

– A więc komplement!

– Tak mi się zdawało – uśmiechnął się.

– W takim razie dziękuję! – zachichotała, ukazując swoje urocze dołeczki w policzkach. – Wyglądam w niej jak mały górnik.

– Och, moja droga. Gdyby w kopalniach pracowały takie kobiety jak ty, to gwarantuję ci, że Śląsk byłby po prostu przeludniony – roześmiał się, odgarniając z jej twarzy opadające na policzki niesforne pasma włosów.

Ruszyli powoli w stronę domu jej wujostwa.

– Mogę cię jeszcze o coś zapytać? – zagadnął ją po chwili milczenia. Szum rzeki zdawał się stawać coraz głośniejszy z każdym ich krokiem, a zielone tataraki ocierały się chciwie o ich uda i kolana.

– Pewnie – skinęła głową, przesuwając dłonią po jednym z nich.

– Czy czujesz się już lepiej niż wtedy, kiedy znalazłem cię na skarpie?

Martusia słysząc pełen troski głos Andrzeja, poczuła, jak jej dłonie robią się jeszcze bardziej zimne.

– Cóż... – zaczęła niepewnie, nie odrywając wzroku od krętej ścieżki wijącej się wśród tataraku.

– Jeśli to jest dla ciebie zbyt bolesne albo...

– Nie, nie! – złapała jego przedramię. – Już jest w porządku.

– Na pewno?

– Dobrze... – westchnęła w końcu, wiedząc, że należy mu się szczerść. – Pewnie kiedyś powiedziałabym ci, że to jest moja prywatna sprawa, i naskoczyłabym na ciebie, żebyś przestał mnie męczyć. Ale teraz... – zawahała się na chwilę, gdy jej głos zaczął się łamać. – Myślę, że każdy ma sprawę, której mimo upływu lat nie przeboleał. Mimo że się z nią pogodziłam, nie umiem tego zrozumieć. Nie potrafię zapomnieć, zwłaszcza temu u góry, który pozwolił, żebym przeżyła to, co przeżyłam.

Martusia popatrzyła na milczącego Andrzeja, którego twarz stała się nagle wyjątkowo poważna. Fakt, że on rozumiał ją, dodawał jej sił, żeby mierzyć się ze swoimi demonami i w pewnym stopniu rozliczyć się w końcu z przeszłości.

– Nie umiem tego wybaczyć, wiesz? – powiedziała, czując, że pod jej powiekami wzbierają łzy. – Nawet nie wiem, komu miałabym wybaczać. Sobie? Im, a może Bogu? Nikt z ludzi nie jest w stanie zrozumieć, jak bardzo wpłynęło to na moje dalsze życie, na moje wybory i decyzje. Na to, jaka teraz jestem. Świat odebrał mi w dzieciństwie to, co dla każdego dziecka jest przecież najważniejsze, i mimo usilnych prób szukania tego, szukania poczucia bezpieczeństwa, ja chyba nadal nie umiem go odnaleźć. Boję się, że już nigdy nie będę umiała, wiesz?

Andrzej głośno przełknął ślinę, czując, jak słowa Martusi poruszają też fragmenty jego rozerwanego na strzępki serca, które niegdyś pobieżnie pozszywał.

– Myślałam, że powrót do Sosenek będzie dobrą decyzją. Że wracając tutaj, stworzę w chatce babci prawdziwy dom dla siebie i moich dzieci. Ale to tak nie działa, wiesz? Mam wrażenie, że dopiero tutaj ożyły bolesne wspomnienia. Wszystkie. Tamten wieczór, słowa babci, słowa tamtego mężczyzny, że zdarzył się potworny wypadek... Powrót do Sosenek miał udowodnić mi, że tutaj jest mój dom. Przywrócić utracone poczucie bezpieczeństwa. A zamiast tego, wiesz co sprawił? Uświadomił mi, że w każdym miejscu na świecie będzie mi lepiej niż tutaj. A ja nie chcę już uciekać. Nie mam już sił...

Martusia nie myśląc o tym, że kolejny raz się przy Andrzeju rozkleja, po prostu zaczęła płakać. Dała upust narastającym w jej sercu i głowie emocjom. Powrót do Sosenek, zamiast być tworzeniem nowej, pełnej ciepła przyszłości, okazał się regresją do czasów, które minęły, a z którymi ona nigdy nie zdołała

się jeszcze rozliczyć, bo za bardzo ją one bolały.

– Csi – widząc jej wielkie łzy, Andrzej przyciągnął ją do siebie natychmiast i otoczył ramieniem w nadziei, że ciepło jego ciała i rytmiczne uderzenia serca chociaż na moment sprawią, że poczuje się lepiej. – Ja to wszystko rozumiem, wiesz?

Martusia zaszłochała tylko, w odpowiedzi przytulając się bardziej do jego klatki piersiowej.

– Ja też tamtej nocy kogoś straciłem... – wyszeptał niemalże bezgłośnie tuż nad jej uchem. Wzdłuż jego kręgosłupa rozlał się przeraźliwie zimny dreszcz towarzyszący mu zawsze na wspomnienie tamtej burzowej nocy, w której jedno z przydrożnych drzew przewróciło się niespodziewanie, miażdżąc dwa wymijające się właśnie samochody.

Martusia tego nie wiedziała, ale podczas tamtej burzy zginęli nie tylko jej rodzice, ale i jego matka. Andrzej miał świadomość tego, że wypadek nie był niczyją winą, jednak jego ojciec nigdy nie pogodził się z tym faktem. Przez wszystkie te lata obwiniał o to nieszczęście ojca Martusi, chociaż było to zupełnie irracjonalne. Przecież na walące się drzewo w żaden sposób nie wpłynął fakt, że ojciec dziewczyny zaczął właśnie wyprzedzać jadącą powoli mamę Andrzeja. Żaden pęd powietrza, jak spekulował jego ojciec, ani nic innego. To był po prostu wypadek. Nieszczęśliwy wypadek, w którym zginęły trzy osoby, osierocając Martusię, ale po części również i jego.

– Wracajmy już – głos Andrzeja przeszył zimne powietrze i Martusia odsunęła się od mężczyzny.

– Ty też nie możesz przejść nad tym do porządku dziennego, prawda? – zapytała go jeszcze, doskonale znając odpowiedź.

Skinął tylko głową, nawet na nią nie patrząc. Jego wzrok błędził gdzieś między majaczącymi w oddali drzewami, z których każde mogło kiedyś potencjalnie się na kogoś przewrócić.

Martusia westchnęła cicho, gdy z nieba zaczęły spadać krople październikowego deszczu. Podczas pierwszego spotkania z chłopakiem nie miała pojęcia, że tym drugim pokrzywdzonym dzieckiem był właśnie Andrzej.

Wracając do domu w jego kurtce, dziewczyna biła się z myślami. Czy los postawił ich na wspólnej drodze, żeby po latach pomogli sobie nawzajem się z tym wszystkim pogodzić? Czy ta przyjaźń spadła na nich jak grom z jasnego nieba, bo właśnie nadszedł czas rozgrzebywania starych ran, a samemu nie mogli ich sobie pozszywać i raz na zawsze je zabiłnić? Czy wszystkie wydarzenia rozgrywające się w Anglii i desperacki przyjazd dziewczyny do Sosenek miały służyć właśnie gojeniu ran?

Martusia obrzuciła wzrokiem szemrzącą u jej boku rzekę. Zawsze w życiu starała się płynąć pod prąd. Nie cofała się nawet na moment, ale pobyt w Sosenkach był jej osobistą terapią, podczas której, żeby pójść naprzód, musiała na chwilę wejść do wody i dać porwać się nurtowi. Chociaż na chwilę wrócić do przeszłości.

Westchnęła, patrząc na zielonkawą, spienioną wodę. Musiała wrócić do źródeł, aby móc płynąć dalej wolna od całego brudu, który przypałał się do niej po drodze.

Martusia zatrzymała się na chwilę, wbijając wzrok w ganiające się nad rzeką ptaki. Sosenki i Andrzej były jej prywatnym katharsis, bez którego nie dało się pójść dalej. Były jej chwilową przystanią, w której miała ostatecznie rozliczyć się z dawnymi sprawami. Nie mogła przecież całe życie uciekać.

Następnego dnia, po burzy, Martusia wybrała się do domu babci razem z Andrzejem. Chłopak wspaniałomyślnie zaproponował jej pomoc w spakowaniu przed sprzedażą ziemi rzeczy, które chciałyby zatrzymać na pamiątkę, na co zgodziła się z entuzjazmem. Nie chciała być tam sama.

– Czy to nie dziwne, że mieszkam tutaj tyle lat, a jeszcze nigdy nie byłem na terenie tej tajemniczej

posesji? – Andrzej spojrział na ubraną w granatową kurtkę Martusią, siłując się ze spróchniałą bramą.

– To przecież tylko stara chata, nic więcej. Mam wrażenie, że zbyt wiele nie straciłeś, nie zaglądając do środka – odpowiedziała mu z sentymentem, patrząc na kryty strzechą dom, a potem weszła za chłopakiem na zarośnięte podwórko, po którym spacerowała z wujem Henrykiem.

Od razu uderzyła ją obezwładniająca wilgoć kryjąca się gdzieś między krzewami, osiadająca lekko na bujnie rosnących w górę gałęziach.

– Na pewno dobrze się czujesz? – podszedł do niej, gdy przez moment stała nieruchomo, kontemplując nienaruszoną przez rękę człowieka naturę pochłaniającą chylący się ku ziemi dom.

– Tak, tak. Wszystko w porządku. Wypłakałam się ostatnio i starczy. Jednak coś w tym jest, że jak człowiek wyrzuci z siebie wszystko na zewnątrz, to potem mu łatwiej.

– To dobrze – musnął lekko jej przedramię, a potem popatrzył w kierunku domu.

– Na rozbiórkę pewnie pójdziesz. Nie szkoda ci?

Martusia obrzuciła spojrzeniem porastający mchem drewniany dom i głośno westchnęła.

– Już nie. Zdecydowanie więcej przeżyłam tutaj tych złych chwil niż tych dobrych. Nie chcę już dłużej o tym pamiętać. Idziemy?

– Tak – skinął głową, biorąc w ręce stojące pod bramą pudła, i ruszył za Martusią wąską ścieżką.

– Tylko uważaj na głowę. Strop jest naprawdę nisko – uprzedziła go, otwierając drzwi chaty.

Tym razem również uderzył z niej zapach wilgoci i kurzu.

– Mrocznie tu – wszedł do środka Andrzej.

– Jak byłam mała, to wierzyłam, że mieszkają tu duchy.

– Poważnie?

– Aha – skinęła. – Nawet jak mieszkałam u cioci po śmierci babci, to przychodziłam tutaj, żeby się z nimi spotkać. Wierzyłam, że wracają tutaj duchy moich rodziców. Nie wchodziłam wtedy do środka, ale siadałam na ganku i godzinami płakałam w ich obecności. To nie było przyjemne, chociaż oczyszczające. Dla całej wsi byłam wtedy sierotą, której trzeba było współczuć. Chyba nigdy nie czułam się tak bardzo samotna jak wtedy.

– Teraz jest lepiej?

– Teraz mam dzieciaki. Nawet gdybym chciała, już nigdy nie będę sama.

– Brzmi mądrze.

– Zrozumiesz, jak sam będziesz miał dzieci – uśmiechnęła się do niego lekko, a potem podeszła do zakurzonego okna i wyjrzała na dziko rosnący park.

– Zostawić cię samą?

– Nie, nie – potrząsnęła głową. Jej włosy nieśmiało musnęły przy tym jej zaróżowione policzki.

Andrzej podszedł bliżej i stanął pod oknem tuż za nią. Jego zmysły od razu uderzył słodkawy zapach perfum, którymi rano obficie się spryskała.

– Stałam przy tym oknie w dniu wypadku i wyglądałam, kiedy samochód taty pojawi się na podjeździe, a potem babcia wyjęła z pieca placek i posadziła mnie do stołu. Burza tamtego dnia była wyjątkowo przerażająca – powiedziała smutno, obejmując się przy tym ramionami.

Andrzej popatrzył na jej gładką szyję i głośno nabrał w płuca powietrza.

– A ja oporządzałem wtedy z ojcem gospodarstwo. Pamiętam, że padał rześisty deszcz i mocno grzmiało. Konie były wyjątkowo niespokojne i nie dawały nam się nawet wyszczotkować. Wiesz, jak patrzę na to z perspektywy czasu, to zastanawiam się, czy one czegoś nie przeczuwały. Mówi się przecież, że zwierzęta mają jakiś wyjątkowy zmysł... – zamyślił się, wracając do wydarzeń tamtego wieczoru, które zaważyły również i na jego życiu.

– Może masz rację...

– Po wypadku mój ojciec zaczął dużo pić. Wielokrotnie wracałem do domu ze szkoły, a on leżał kompletnie zalany pod stołem albo na podwórku. Ty straciłaś wtedy oboje rodziców, a ja matkę, ale w pewnym sensie jego też. On nigdy nie otrząsnął się po tym wypadku. Nadal go to męczy.

– Doskonale go rozumiem.

– Z tym że w tobie mimo wszystko są nieopisane pokłady ciepła, a w nim tylko zawiść i złość – westchnął Andrzej i oboje zamilkli na chwilę, każde spotykając się z własnymi duchami.

– To co, zabieramy się za pakowanie? Co chciałabyś wziąć? – pierwszy otrząsnął się on.

– Myślałam o zastawie. Babcia miała naprawdę piękne talerze i filiżanki. Podejrzewam, że one gdzieś tu są.

– A gramofon? – spojrzał w stronę zakurzonego sprzętu.

– Pewnie już nie działa – wzruszyła ramionami i podeszła do szafek, żeby dokładnie je przeszukać.

– Sprawdźmy?

– Przecież tu nawet nie ma prądu.

– Naprawdę?

– Tak. Wujek mówił mi ostatnio, że odcięli go strażacy po tym, jak zmarła moja babcia. Wiesz, żeby nic się nie spaliło.

– Rozumiem... – zamyślił się Andrzej. – W każdym razie wielka szkoda... Chociaż! Mógłbym podłączyć go do wtyczki w samochodzie i zobaczyć, czy działa.

– Po co tyle zachodu? Nawet jeśli kiedyś działał, teraz na pewno w każdy jego zakamarek wdarł się kurz.

– Jesteś pesymistką – wydał wargi.

– Ja? – uśmiechnęła się. – Ja po prostu trzeźwo patrzę na życie, a ty?

– A ja jestem sentymentalny. I wiesz co? Zabierzemy stąd ten gramofon, a ja postaram się go naprawić.

Co ty na to?

– Jeśli chcesz marnować na niego swój czas...

– Ej, bądź chociaż trochę romantyczna!

– Romantyczna? Ja? – zaśmiała się, odnajdując w końcu serwis babci. – Myślałam, że dla was, mężczyzn, to słowo jest co najmniej obelgą.

– Jeśli rozumiesz przez nie romantyczne zachody słońca i piękne wyznania miłości, to owszem.

– Rozczarowujesz mnie... – uniosła brew, a w jej policzkach pojawiły się urocze dołeczki, które Andrzej miał przed oczami niemalże przez cały czas od ich pierwszego spotkania.

– Wybacz. Mówię, jak jest – patrząc jej prosto w oczy, uśmiechnął się niewinnie.

– To znaczy, że twoja przyszła kobieta zamiast romantycznych oświadczeń dostanie suche: może się pobierzemy, co?

Roześmiał się głośno.

– Nie, aż tak, to raczej nie – powiedział, przejeżdżając dłonią po głowie, a potem oboje wrócili do pakowania pamiątek po babci Martusi, których mieli już prawie dwa wypełnione po brzegi pudła.

– Dużo tego – mruknęła, zamykając jedno z nich.

– Kto by pomyślał, nie?

Zanim Martusia zdołała mu odpowiedzieć, rozdzwonił się jej telefon.

– Słucham? – odebrała, podchodząc do okna.

– To ja! – natychmiast obwieściła jej podenerwowana pani Halina.

– Stało się coś?

– Tylko tyle, że twoje dziecko chciało podpalić mi dom!

– Co?! – dziewczyna zrobiła wielkie oczy. – Marysia?

– A tak! – ciotka jęknęła boleśnie.

Martusi jakoś trudno było w to uwierzyć.

– Ale specjalnie?! Jest ciocia pewna, że to ona? – zapytała z przejęciem.

– A bo ja wiem, czy specjalnie? Znając ciebie, to tak, bo wszystkich przeciwko mnie buntujesz! – bez owijania w bawełnę wypaliła ciotka, czym skutecznie podniosła Martusi ciśnienie.

– Ale...

– Żelazko postawiła na podłodze włączone do gniazdka, no ale ty masz to gdzieś, bo się wolisz wozić po wsi... z tym swoim Andrzejkiem!

– Ona na pewno się bawiła, a ciocia odstawia jakiś dramat – Martusi przypomniało się, jak razem z Iwonką zrobiły kiedyś dokładnie to samo. Może słabość do zabawy żelazkiem była w jej rodzinie dziedziczna?

– Czarna plama mi na podłodze po tej jej zabawie została. No pewnie, ale dla ciebie to przecież nic! Wracaj tutaj natychmiast i nie pyskuj mi więcej! – powiedziała jeszcze tylko ciotka i jak to miała w zwyczaju, rozłączyła się bez pożegnania, pozostawiając skonsternowaną Martusię z telefonem przy uchu.

– Stało się coś? – odchodząc od największego kartonu, z troską zapytał ją Andrzej.

– Tak... Nie... To znaczy... – zająknęła się i potrząsnęła głową. – Ciotka twierdzi, że moja córka chciała podpalić jej dom.

– A chciała?

– No przecież, że nie!

Andrzej podszedł bliżej niej i musiał mocno walczyć z chęcią przytulenia jej do siebie.

– No to w czym problem? – zapytał, odchrząkując.

Martusia uśmiechnęła się do niego blado.

– Może w tym, że znów zacznie nas głodzić? – bezgłośnie szepnęła sama do siebie, a potem, nie zważając na Andrzeja, wzięła na ręce jeden z kartonów i skierowała się z nim do samochodu.

Teraz to już na pewno ciotka jej nie odpuści.

Koniec października przyniósł Martusi koszmary senne przerywane okresami męczącej bezsenności. Kręcąc się w łóżku, w którym spała też pochłonięta szkołą do granic możliwości Marysia, kobieta aż złościła się sama na siebie za to, że kolejną noc nie może spać, a jeśli już, to zrywa się po kilkunastu minutach. Nie pomagały tabletki nasenne. W Martusi tlił się jakiś podświadomy strach, nad którym nijak nie mogła zapanować.

Na dodatek za oknami zaczęło robić się zimowo. Pierwszy śnieg spadł jeszcze przed nadejściem listopada, zaskakując tym samym wszystkich mieszkańców nie tylko Sosenek, ale i całego regionu.

– Zima znów zaskoczyła kierowców! – mówiła z ubolewaniem ciotka Halina, gdy razem z Henrykiem zabierali się za odśnieżanie swojego samochodu po każdej kolejnej nocy, niosącej za sobą coraz więcej białego puchu.

– Odśnieżaj, odśnieżaj! – uciszał tylko jej biadolenie starszy pan, nieco złoszcząc się tym, że zaśnieżyło okolicę jeszcze przed dniem Wszystkich Świętych. Trzeba było kupić kilka ton węgla wcześniej niż zwykle oraz przeczyścić piec, a w tym domu to właśnie na niego spadały te obowiązki.

Ale nawet biały puch piętrzący się na parapecie za oknem Martusi nie był w stanie wpłynąć na jej samopoczucie. Wyjątkowo cieszył natomiast jej córeczkę, która z typowym, dziecięcym zapałem wkładała tylko kurtkę i rękawiczki, a potem wybiegała na dwór razem z pojawiającą się coraz częściej

w domu wujostwa Agatką oraz jej chłopakiem. Godzinami biegała z nimi po dworze, żeby rzucać się śnieżkami i wozić na sankach.

– Co się dzieje, kochanie? – pytała natomiast pojawiająca się bladym świtem w kuchni pani Halina, ubrana w swój cieputki szlafroczek i wielkie kapcie.

– Po prostu nie mogłam spać – Martusia uśmiechała się do niej, upijając kolejny łyk ciepłej herbaty i patrząc za okno, za którym jeszcze niedawno kwitły w najlepsze kolorowe marcinki.

– Może powinnaś wybrać się do starej zielarki, co? Ona nam wszystkim pomaga przewyciężyć choroby i drobne ustrojstwa. Co prawda nie wiem, czy ma coś na lęki, ale może też...

– Bardzo dziękuję cioci za troskę, ale chyba poradzę sobie bez usług... zielarki – Martusi z trudem przechodziło przez gardło to ostatnie słowo, ale było tak tylko do czasu.

Krzyś zaczął bowiem cierpieć na okropne napady kolki, które nie tylko odbierały kobiecie resztki snu, ale spędzały go z oczu wszystkim domownikom. A uspokajał go tylko szum włączonej suszarki. I to też nieznacznie.

– Mamo, niech on przestanie już w końcu tak płakać – gdy Krzyś zaczynał kilkugodzinny, pełen bólu koncert, Marysia kuliła się na łóżku i zatykała uszy.

– Ja cię błagam Martusia, ty weź go ze sobą i idź w końcu do tej zielarki! – stojąc w drzwiach, powtarzała z uporem pani Halina. Ją samą aż skręcało na dźwięk przerażającego płaczu Krzysia, ryjącego bezsilnie paznokciami dekolt i szyję Martusi.

– Męczycie się oboje – mówiła. – Ty to ty, jak chcesz, to cierp, ale popatrz, jak jego to boli.

Martusia pocałowała czule malutką główkę zwijającego się z bólu synka i popatrzyła w końcu na ciotkę znacząco. Dała jej tym samym do zrozumienia, że dla dziecka jest w stanie to zrobić.

– No to świetnie – ucieszyła się pani Halina, chociaż na jej twarzy nie wypłynął nawet cień uśmiechu, bo płacz małego chłopca rozczulał ją do granic możliwości. – Powiem Henrykowi, niech pożyczycy od kogo konia i pojedziemy.

– Konno? – tuląc do siebie prężącego się chłopca, zdziwiła się Martusia.

– No a jak ty myślisz? Śniegu napadało, to samochodem nie dojedziemy. Zaprzęgniemy konie i wóz i do przodu. Idę poszukać Henryka. Jak dzisiaj podzwoni po chłopach i dogada się w sprawie konia, to jutro będziemy mogli już jechać – wytłumaczyła jej szybko pani Halina, oddalając się na dół. Martusia wraz z zapłakaniem dzieckiem przeszła do łazienki i włączyła suszarkę, żeby choć trochę go uspokoić.

Plusem całej sytuacji było tylko to, że pani Halina przestała nałogowo wyłączać co wieczór prąd, bo w żaden inny sposób niż za pomocą suszarki nie dało się uciszyć Krzysia. Chociaż przestała dręczyć Martusię, gdy tylko dowiedziała się o jej zupełnie niezwiązanych z Sosenkami planach na przyszłość, to wyciąganie korków weszło jej w nawyk.

– Tak, dla zacieśniania rodzinnych więzi – zwykła mawiać, gdy poruszał ten temat niepokieszony Henryk. Starszy pan nie mógł oglądać kolejnego już meczu przez nowy, genialny pomysł swojej żony, którego za nic nie mógł jej wyperswadować.

– Ja już jestem gotowy – oznajmił następnego dnia po obiedzie, otupując buty ze śniegu na leżącej w korytarzu wycieraczce.

Z racji tego, że spędził na dworze kilkadziesiąt minut, zaprzęgając do wozu konie, jego ręce i twarz miały teraz krwisty kolor momentami podpadający też pod oberżynę.

– No to wspaniale! – słysząc jego słowa, zaklasnęła w dłonie pani Halina. Poderwała do góry stojący na stole wiklinowy koszyk wypchany po brzegi jedzeniem. Aż biło od niego zapachem aromatycznej, wędzonej przez Henryka szyneczki i słodkawą wonią keksu, który wczorajszego wieczoru ukreśliła Michalina.

– Gotowa jesteś? – zapytał natomiast Martusię starszy pan.

– Tak – skinęła głową. – Ale nadal nie jestem pewna, czy zabieranie ze sobą prawie trzymiesięcznego dziecka w taką pogodę jest dobrym pomysłem.

– Zahartuje się tylko, a ubrałaś go przecież tak grubo, że ledwie może się poruszyć. Nakryjemy go jeszcze kocami i nic mu się nie stanie – odpowiedziała jej pani Halina, owijając się szczelnie grubym szalikiem, a na głowę wkładając futrzaną czapkę.

– Skoro ciocia tak mówi... – popatrzyła na nią niepewnie i w końcu wzięła z kanapy nosidło z Krzysiem. Córeczkę zostawiła pod czujnym okiem Michaliny. Wyszli na dwór, gdzie przy koniach czekał nie kto inny, jak Andrzej.

– Miło cię widzieć – powiedziała, podchodząc do niego.

Podał jej rękę i pomógł wdrapać się do wozu.

– Ciebie też – odpowiedział z uśmiechem, odbierając od dziewczyny nosidło z dzieckiem, a potem stawiając je tuż obok niej. – To Krzyś, prawda?

– Tak! – wtrąciła się do rozmowy pani Halina. – Ale jak o tym komukolwiek powiesz, to gwarantuję, że nie zawaham się ani chwili, żeby uderzyć cię młotkiem w łeb! Pamiętaj! – wypaliła, gramoląc się do wozu.

Andrzej zrobił zdezorientowaną minę i popatrzył pytająco na Martusię.

– Ciocia robi jeszcze z Krzysia wielką tajemnicę, chociaż wyczytała ostatnio, że to modne, i chce go ujawnić. Czeka tylko na dobry moment.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

– I co jeszcze? Może kod do karty bankomatowej ci podać? – warknęła na niego ubrana w futra od góry do dołu ciotka. W tym okazałych rozmiarów stroju wydała się Martusi rodem wyjęta z „Ogniem i mieczem”.

– W takim razie nie będę pytał – uśmiechnął się Andrzej i zeskoczył z wozu, żeby usadowić się za lejcami. – Gotowi? – dodał, gdy dołączył do niego Henryk.

– No pewnie! – krzyknęła w odpowiedzi pani Halina i konie ruszyły, doprowadzając Martusię do śmiechu.

– I czego się tak szczerzysz, co? – ciotka popatrzyła na nią, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Po prostu już tak dawno nie jechałam wozem w taką pogodę, że czuję się znów jak mała dziewczynka. Wolna i beztroska.

Starsza pani uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– A jednak nie tak źle na tej naszej wsi, co?

Martusia popatrzyła kątem oka na odwracającego się do niej na moment Andrzeja.

– Chyba ma ciocia rację. Wcale nie jest tutaj tak źle. Powiedziałabym nawet, że przez te kilkanaście lat z dala od Sosenek tęskniłam za takimi chwilami jak ta – wtuliła szyję i policzki w gruby szalik, którym owinęła się przed wyjściem, i zapatrzyła się w las, do którego właśnie wjeżdżali.

Większość drzew przy leśnej drodze stanowiły sosny i świerki, ale trafiały się także czarne topole, które Martusia rozpoznała od razu, mimo że szczelnie oblepiał je śnieg.

– Odwagi... – szepnęła sama do siebie, gdy jej wzrok błądził między tymi drzewami, a ciszę przesywał miarowy stukot końskich kopyt. Czarne topole dodawały jej siły w zbieraniu się samej w sobie i walce ze swoimi demonami, które czaiły się na nią nawet teraz, bezszelestnie wyłaniając się zza konarów drzew.

Martusia z uwagą obserwowała rozpościerający się wokół las. Mimo wczesnopołudniowej pory było w nim dość ciemno. Hałdy śniegu kłębiły się między drzewami niczym leciuchne obłoczki, od których wesoło odbijały się wątle promienie wyglądającego zza chmur słońca. W pewnym momencie dziewczynie udało się dostrzec w oddali nawet kilka zagubionych sarenek, penetrujących teren

w poszukiwaniu wystających z ziemi pędów krzewinek.

Powietrze pachniało świeżością, żywicą i szczypiącym mrozem, który zarumienił jej policzki. Dziewczyna nie zorientowała się kiedy, ale w którymś momencie wuj Henryk przypiął do wozu małe, dźwięczne dzwoneczki, które dawały o sobie znać podczas każdego kroku koni. Ich dźwięk przeszywał siarczyste powietrze.

– Fajnie, co? – widząc jej rozanieloną minę, zapytała pani Halina i potarła dłonią o dłoń, żeby poprawiać sobie krążenie.

– Czuję się trochę jak w bajce – rozmarzyła się Martusia. – Prawie jak Anastasia albo Piękna i Bestia. Bella też jeździła konno w zimę, chociaż w zupełnie innych warunkach – roześmiała się, wspominając szczęśliwe chwile swojego dzieciństwa, które po śmierci babci spędziła w domu wujostwa na ciągłym oglądaniu z Iwonką tych dwóch bajek.

– Zawsze z Iwonką oglądałyście je na kasetach wideo i doprosić się was o nic nie można było. Byłyście jak w transie – powiedziała z przekąsem starsza pani, gdy wóz podskoczył na jakiejś nierówności, ale Martusia widziała radosne chochliki tłące się gdzieś w jej oczach.

– Oj ciociu, ale za to jakie piękne wspomnienia!

– Dobrze, oj dobrze. Oficjalnie wam już to lenistwo wybaczyłam, o ogromie pieniędzy wydawanych na książki z bajkami nie wspominając.

– Halinka! – wtrącił się do ich dyskusji rozmawiający do tej pory z Andrzejem Henryk.

– No co? Ja tylko mówię.

– Dobrześmy dziewczyny wychowali, nie ma co sobie żałować.

– No ty to w tym wychowywaniu zbyt wielkiego udziału nie brałaś – ogłosiła wszem i wobec pani Halina, na co pozostali uczestnicy wyprawy wybuchnęli gromkim śmiechem, idealnie komponującym się z dźwiękiem dzwoneczków.

– Jesteśmy już na miejscu – dał się po kilku minutach słyszeć ciepły głos Andrzeja i konie zwolniły, wjeżdżając na niedużą polanę gdzieś na skraju lasu, w centrum której stał niewielki drewniany domek obsypany śniegiem.

– Świetnie – ożywiła się Martusia, z niepokojem patrząc na śpiące w najlepsze dziecko.

– Nic mu nie będzie! – uprzedziła jej komentarz pani Halina i zeskoczyła z wozu.

– To ja może poczekam na zewnątrz, żeby konie się nie spłoszyły – powiedział natomiast Andrzej.

– Poczekam z tobą, a one niech idą – dołączył do niego wuj Henryk.

– Postaramy się szybko uwinąć.

Martusia wzięła na ręce niebieskie nosidło i powędrowała za brodzącą w śniegu po kolana ciotką, która z determinacją sunęła w stronę drzwi wejściowych chatki.

– Udała nam się ta Martusia, co? – gładząc grzywę jednego z koni, zagadnął Andrzeja Henryk.

– Co ja mogę panu powiedzieć. Wspaniała kobieta.

– Bierz się za nią mój drogi, póki nie jest za późno – poklepał go po plecach starszy pan, dokładnie w tym samym momencie, w którym kobiety z małym Krzysiem weszły do wnętrza pachnącej ziołami chatki.

– Fusy mi dziś rano mówiły, że będę miała gości, i proszę! – powitała ich serdecznie stara zielarka, wychodząc z głównej izby do korytarza po tym, jak usłyszała dźwięk końskich kopyt uderzających o ziemię i rozemocjonowane głosy.

– Miło cię widzieć, kochana – powiedziała pani Halina i wręczyła zielarce obficie wypchany smakołykami koszyk.

– A to za co?

– Sprawę do ciebie mamy.

– No to co tak stoją? Niech wchodzą! – zawróciła do pełnej ziół izby zielarka i stanęła przy niedużym stole. – Piją co?

– Nie, nie. Nie mamy za dużo czasu, bo chłopcy na dworze zostali. Przyjechaliśmy wozem.

– Widzę – skinęła głową. – No to w czym problem?

– Problemy to właściwie są dwa – natychmiast odpowiedziała jej pani Halina, popychając do przodu onieśmiałą Martusię, która nie do końca była przekonana, by wierzyć w te leśne gusła. – Dzieciak ma kolkę. Trzeba mu pomóc.

– A drugi?

– Martusia spać nie może, bo ciągle się czegoś lęka. Masz coś na strach?

Zielarka zamyśliła się na chwilę, bacznie przyglądając się kobiecie o fiołkowych oczach trzymającej na ramieniu nosidło.

– Niech siada! – wskazała w końcu na krzesło, widząc, że Martusi coraz trudniej trzymać śpiącego Krzysia. – Zioła na to będą – dodała i wyszła do innej izby, zostawiając dziewczynę samą z ciotką.

Przez przysypane śniegiem okno do środka pokoiku wpadało niewiele słońca, a unosząca się w powietrzu ziołowa woń nadawała domkowi zielarki jakiejś dziwnej, tajemniczej aury, która sprawiała, że na skórze Martusi pojawiła się gęsia skórka.

– Oj ty się nie bój, tylko siadaj! – huknęła na dziewczynę pani Halina. Władczo odsunęła jej krzesło i sama oparła się o blat stolika w oczekiwaniu na powrót zielarki.

– Trochę tu strasznie – Martusia szepnęła do ciotki, siadając posłusznie.

– Słyszałam! – oznajmiła zielarka, powracająca do izby z kilkoma woreczkami w ręku.

Martusia spuściła wzrok.

– Przepraszam – bąknęła, czując się jak skarcona dziewczynka.

– Ale za co? Zielarstwo nie dla każdego, ale nie ma się co bać. Ja tutaj tylko leczę.

– No i co kochana, masz coś na te dolegliwości? – ponagliła zielarkę ciotka.

– A jakby inaczej – kobieta podeszła do stolika. – Na lęki mam korzeń z kozłka. Spokój przyniesie, umysł wyteży, a i na żołądek dobry. Jedną łyżkę utartego korzenia zalać szklanką zimnej wody, na noc odstawić i trzy razy dziennie po łyku wypijać – powiedziała, kładąc na stole pierwszy z białych woreczków.

Martusia skinęła głową, czując na sobie wzrok kobieciny.

– Ale to nie wszystko! – powiedziała zielarka, unosząc kolejny woreczek. – Rumianek. W niepokojach pomaga, złe sny odgania i dobre przynosi.

– To znaczy, że nie będę miała koszmarów sennych, jak będę to piła?! – zdziwiła się Martusia.

– Mówię przecie, że złe sny odgania i dobre przynosi – spojrzała na nią zielarka. – Osiem tygodni wystarczy, żeby głowę z koszmarów oczyścić, ciemne myśli zabrać i światło dostarczyć. Na nerwy też dobry – położyła na stół kolejny woreczek. – Suszone kwiaty rumianków do zielonej herbaty najlepiej dodawać i pić regularnie, to zupełny spokój w nocy przyniesie. A i na kolkę dla dziecka pomoże!

– Tak?!

– Napar z rumianku dla dziecka na kolkę nada się najlepiej, a drugi koper włoski. Łyżkę ziół szklanką wrzątku zalać, odstawić na godzinę i kilka razy do picia podawać – powiedziała, kładąc ostatni woreczek na stole. – Ale najlepiej, żeby w kolce dziecku ulżyć, to mu głowę majtkami matki przed snem przetrzeć. Lekarstwa lepszego nie wymyślono.

– Słucham? – Martusia zaśmiała się w głos, słysząc te nedorzeczne słowa.

– To, co słyszała.

– No ale chyba nie mówi pani poważnie!

Ciotka natychmiast spiorunowała ją wzrokiem.

– Jak zielarka mówi, tak ma być! – zganiła chrześniaczkę, uśmiechając się uspokajająco do starszej kobiety.

– No ale ciociu...

– Chce, żeby dziecku przeszło, czy nie?! – zapytała ją twardo zielarka.

– No chcę.

– To niech potrze.

– Ale...

– Oj Marta! – nie wytrzymała w końcu tej wymiany zdań ciotka. – Zioła dostałaś, to okaż trochę wdzięczności, zamiast nosem kręcić!

– Młode to nierozumne – dodała jeszcze zielarka, wydając się całym tym protestem zupełnie niewzruszona.

– Ano masz rację, kochana. Człowiek chce dobrze, to się buntują – wstała od stołu ciotka, zgarniając do torby woreczki z ziołami. – Bóg ci zapłać, kochana – zwróciła się wprost do zielarki. – W koszyku ci szynki przyniosłam, keksu i konfitur tegorocznych. Niech ci służą na zdrowie.

– Nie musiała przecież.

– Oj trzeba było, trzeba! – uściskała ją serdecznie i ruszyła do wyjścia, a za nią nadal rozbawiona Martusia.

– Niech lepiej na siebie uważa – złapała ją jeszcze za rękę stara zielarka, zanim wyszła na zewnątrz, i pociągnęła do tyłu tak, że o mało się nie przewróciła.

– Ale na co mam uważać? – zapytała zaniepokojona dziwnym zachowaniem zielarki, które w otoczeniu ziołowej aury wydało jej się co najmniej mroczne.

– Niech lepiej na siebie uważa – powiedziała jeszcze raz, bardziej dobitnie starsza kobieta i puściła jej rękę, pozwalając wyjść na dwór, a potem kręcąc głową, szczelnie zamknęła drzwi i wróciła do mówienia różańca przy kaflowym piecyku na drewno.

Martusia popatrzyła na ciotkę zupełnie zdezorientowana.

– Czy ciocia coś z tego w ogóle rozumie? – zapytała, idąc po kolana w śniegu w stronę wozu, którego pilnowali wuj Henryk z Andrzejem.

– Ano nie bardzo. Ale ja ci powiem, Martusia, że jak ona mówi coś takiego, to oznacza to tylko, że nie jest dobrze.

– Ale...

– Żeby jakiego nieszczęścia nie było! – popatrzyła w górę pani Halina i zrobiła na czole znak krzyża, a potem zostawiając Martusię nieco w tyle, ruszyła do wozu.

– I jak poszło? – zapytał Andrzej, ponownie pomagając jej się usadowić. Jego opalona twarz była już mocno zaczerwieniona od mrozu.

– Dziwna jakaś ta zielarka.

– Może i dziwna, ale tyle osób już wyleczyła, że powinni jej pomnik w tej wsi postawić.

– I ty wierzysz w to, co ona mówi?

Andrzej popatrzył na nią jak gdyby nigdy nic i wzruszył ramionami.

– A co, mam nie wierzyć? Sam do niej po zioła przychodzę.

– Ale czy w to, co ona w fusach widzi, wierzysz?

Zawahał się na chwilę.

– Ona się raczej nie myli. Możesz być spokojna – ucisnął lekko jej rękę i zeskoczył z wozu nieświadomy, że tylko wzmocnił narastający w jej głowie niepokój wywołany przez podejrzaną słowa zielarki.

– No przecież ja na siebie uważam – szepnęła sama do siebie, usadawiając się wygodnie, i ponownie

wtuliła policzki w gruby szalik.

Podczas drogi powrotnej las nie wydawał jej się wcale wyglądać majestatycznie i spokojnie jak wówczas, gdy jechali w tamtą stronę. Zza drzew zdawał się czaić na nią jakiś trudny do opisanego lęk i każde skrzyknięcie czy szum sprawiały, że aż podskakiwała.

– No i czego się boisz? Mówiła przecież, żebyś na siebie tylko uważała. Uważaj, to nic złego ci się nie stanie! – widząc podenerwowanie Martusi, pochyliła się do niej pani Halina.

– Łatwo cioci mówić.

– Sama gadałaś, że w gusła nie wierzysz, to co się zamartwiasz – ofuknęła ją jeszcze, a potem obie zamilkły aż do powrotu do Sosenek.

– I jak, i jak? – powitała je gorąco przepasana fartuchem Michalina.

Martusia popatrzyła na nią blado.

– Muszę iść się położyć – powiedziała, wymijając kobietę, i razem z Krzysiem poszła na górę.

Michalina popatrzyła na swoją pracodawczynię.

– Zielarka jej kazała na siebie uważać i ta się przejęła.

Gospośia złapała się za serce.

– A to niedobrze, co?

– No ja wiem, że niedobrze, ale na co ją straszyć?! Ziółka dla niej dała. Chodź do kuchni, to jej na dobry sen zaparzymy. I dla Krzysia też! Trzeba dziecku w bólu ulżyć. W końcu – podwijając rękawy, pani Halina ruszyła do kuchni.

Jej też udzieliło się napięcie płynące z proroczych słów zielarki. Przepowiadając powrót Martusi w czarnych barwach, wcale się nie pomyliła. Dlaczego więc miałyby się mylić tym razem?

Martusia natomiast położyła się do łóżka zaraz po tym, jak uśpiła Krzysia, ale kolejny raz nie mogła spać. Miała wrażenie, że jej głowa jest niemalże fizycznie ciężka od natłoku krążących w niej myśli, gdy ktoś zapukał do drzwi sypialni.

– Proszę – odpowiedziała cicho, nie chcąc budzić synka, i uniosła się lekko na łokciu.

– Ziółka ci tylko przyniosłam – pani Halina weszła do błękitnej sypialni i postawiła na etażerze przy łóżku kubeczek z aromatyczną esencją. – Wypij na zdrowie.

Martusia uśmiechnęła się blado do ciotki.

– Dziękuję – powiedziała tylko bezgłośnie i starsza pani wycofała się z pokoju, zostawiając ją samą.

Dziewczyna ponownie opadła na poduszkę i wtuliła w nią swoją zarumienioną twarz, nie mogąc przestać rozważać słów zielarki. Czy w jej życiu nie mogło chociaż raz zadziać się coś wyjątkowo dobrego? Chociaż jedna rzecz?

Martusia upiła pierwszy łyk ziółek, które przepisała jej zagadkowa kobieta, i zasnęła po kilkunastu minutach, wsłuchując się w miarowy oddech śpiącego w łóżeczku Krzysia. Świat wyobraźni wydawał jej się w tym momencie jedyną ucieczką od niebezpieczeństwa, które przepowiedziała zielarka.

Pierwsze kilka mroźnych, listopadowych dni zamiast poprawić Martusi nastrój, obniżyło go jeszcze bardziej i nie pomagały na to nawet zabawne zagrywki jej kilkuletniej córeczki.

– Oglądałam kiedyś taki film, że zmarli mogą straszyć jako duchy – powiedziała na cały głos Marysia, gdy wybrały się drugiego listopada na cmentarz, żeby odwiedzić grób babci Czeremchowej i zmarłych rodziców Martusi.

– Co za głupoty – Marta popatrzyła na nią, zgarniając z lodowatego nagrobka nagromadzony na nim śnieg. Przykrył wszystkie znicze i sztuczne kwiaty, które zdążyły uzbierać się na nim przez te kilka

pełnych zadumy dni.

– No ale naprawdę mamusi. Kiedy człowiek chce spać, to one wtedy przychodzą i stają w nogach łóżka. Czekają, aż zaśniesz, i potem cię straszą.

– Tyle lat żyję, kochanie, a jeszcze żaden duch w taki sposób do mnie nie przyszedł.

– Tak? – zdziwiła się dziewczynka. – A w jaki?

– W żaden. Nie ma czegoś takiego jak duchy.

– To czemu ksiądz w kościele mówił, że trzeba się modlić za dusze?

– Za dusze, nie duchy.

– Czym to się różni?

– Co czym się różni? – odezwał się przysłuchujący się całej ich rozmowie Andrzej, który tego popołudnia też wybrał się, żeby odwiedzić grób matki. Ponieważ pogrzeby odbyły się zaraz po sobie, znajdował się on tuż obok nagrobka rodziców Martusi.

– Marysia chce wiedzieć, czym się różnią dusze od duchów – Marta uśmiechnęła się do niego, nie przestając otrzępywać ze śniegu coraz to wymyślniejszych zniczy.

– O, to jest bardzo dobre pytanie.

– A ty wiesz, wujek, czym? – popatrzyła na niego ciekawa świata Marysia.

Andrzej spojrział na nią, robiąc dumną minę.

– No pewnie – powiedział.

– Tak?! To super! – ucieszyła się dziewczynka. – Powiesz mi?

– Po prostu... – tym razem popatrzył na nią bardziej niepewnie. – Duszę ma każdy człowiek, a duch jest jego wymysłem.

Marysia przechyliła głowę w bok.

– Nie rozumiem. Co to jest dusza?

– Dusza to taka częśćka człowieka, której nie widać, a która sprawia, że on żyje po śmierci – pomogła mu Martusia.

– Naprawdę?

– No pewnie. Jak twoje ciało kiedyś umrze, to część ciebie pójdzie do nieba i nadal będzie żyć.

– A ty też masz duszę? – popatrzyła na mamę dziewczynka.

– No pewnie, że mam. Tak samo jak ty i wujek Andrzej. Wszyscy mają duszę, a duchy to tylko wymysł człowieka, żeby straszyć ludzi w książkach i filmach.

– Zwierzęta też mają duszę?

– No, chyba nie do końca – pokręciła głową.

– Jak umrze człowiek, to inny patrzy na niego i myśli sobie: aha, na pewno pójdzie do nieba tak samo jak ja, bo też kiedyś umrę. A jak umrze kot, to inny kot patrzy na niego i myśli sobie: aha, ten kot zdechł i idzie dalej – chciał wytłumaczyć Andrzej, ale tylko bardziej zamącił jej w głowie.

– Ale ja oglądałam kiedyś taki film, w którym jak umarł słoń, to inne słonie nad nim płakały.

– Tak? – zdziwił się.

– No to w takim razie ludzie i słonie mają duszę – odrywając się w końcu od pomnika, odezwała się Martusia, a potem uśmiechnęła się do rozbawionego całą tą teologiczną dyskusją Andrzeja.

Marysia natomiast zainteresowała się zdjęciem wiszącym na jednym z nagrobków, wokół którego stali zadumani ludzie.

– Ej, wiecie co?! – wskazując palcem na interesujący ją nagrobek, podbiegła po chwili do Martusi. – Na tamtym zdjęciu jest bardzo młody pan.

– Młodzi ludzie też umierają. Nie tylko ci starzy.

– Tacy młodzi jak ja też? I starzy jak wy?

Martusia popatrzyła na Andrzeja z uśmiechem i złapała dziewczynkę za rękę, żeby powoli kierować się w stronę cmentarnej bramy.

– No. Myślę, że tak.

– A na co on zdechł, co? – zapytała jeszcze na cały głos Marysia, ściągając na nas pełne dezaprobaty spojrzenia modlących się ludzi.

– Marysiu, nie można mówić tak brzydtko.

– No ale przecież wujek powiedział, że ten kot zdechł...

– O świadkach Jehowy tak się wyrażać! Wierzący ludzie! – skomentowała słowa dziewczynki jakaś starsza pani.

Martusia zaczerwieniła się w mgnieniu oka i popatrzyła na Andrzeja.

– Chodźmy stąd – mruknęła.

– Tak. To bardzo dobry pomysł – odpowiedział, zostawiając kwiaty na grobie matki, a następnie ruszył z Martusią i jej córeczką w stronę bramy.

– Podwieziesz nas? – zagadnęła go jeszcze Marysia, kiedy znaleźli się przy jego samochodzie.

– Maria...

– No pewnie. Was? Zawsze – roześmiał się i otworzył przed dziewczynką drzwi do samochodu.

– Przepraszam cię bardzo... – szepnęła niemalże bezgłośnie Martusia, kiedy otworzył drzwi także przed nią. – Pewnie miałeś inne plany i...

– Daj spokój. Cieszy mnie, że mała czuje się przy mnie swobodnie. I naprawdę chętnie was podwiozę.

Wsiadasz czy mam zawieźć do domu tylko Marysię?

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– No pewnie, że wsiadam!

– I to mi się podoba – zamknął za nią drzwi i udali się w drogę do domu wujostwa Martusi, wsłuchując się w wesołe podśpiewywanie Marysi.

– Tu mam oczka, tu mam buźkę, a tu mam serduszko...

– Serduszko? – przerwał jej piosenkę Andrzej.

– No! – pochyliła się do przodu dziewczynka. – Każdy ma serduszko. Ja mam. Ty masz. Ale moja mama nie.

Martusia odwróciła się w stronę dziewczynki, posyłając jej pytające spojrzenie. Andrzej chichotał pod nosem.

– No przecież sama mówiłaś kiedyś cioci Amelii, że chyba jesteś bez serca, bo zamykasz drzwi przed Danielem – wypaliła na cały głos dziewczynka.

– Dobrze wiedzieć – Andrzej kątem oka dostrzegł, że Martusia się czerwieni.

Posłał jej rozbawione spojrzenie.

– No. A potem ciocia Amelia powiedziała, że mama traktuje Daniela gorzej niż psa, ale przecież mu się należy...

– Maria! – Martusia podniosła w końcu głos. Jeśli nawet miała zamiar dzielić się z Andrzejem szczegółami ze swojego życia, to wolałaby poinformować go o nich osobiście, a nie za pośrednictwem dziecka.

– No co? – Marysia zdziwiła się, słysząc ton matki.

– Wujek nie chce wiedzieć takich rzeczy! Nie możesz wszystkim opowiadać o tym, co mówiłam cioci Amelii.

– Nie chcesz, wujek? – mała nachyliła się w stronę Andrzeja.

– Skoro twoja mama mówi, że nie, to raczej nie chcę.

– Pantofel – Marysia dosadnie skomentowała jego słowa i opadła głośno na tylne siedzenie.

Andrzej z Martusią popatrzyli na siebie rozbawieni, próbując się nie roześmiać. Mówi się, że małe dzieci to mały kłopot. Ciekawe jaki będzie, kiedy te pyskate maluchy jeszcze trochę podrosną!

– Wyglądasz jeszcze gorzej niż kilka dni temu. Może ty się po prostu rozchorowałaś, co? – gdy razem z Marysią dotarły w końcu do domu, zagadnęła Martusią ciotka Halina.

Trafiły akurat na rodzinną kolację, na której zjawiła się również Iwonka z Jarkiem i dzieciakami.

– Może to jakiś wirus? – podchwyciła temat siedząca u boku matki Iwonka.

– No! U nas pół klasy przed wolnym było chore! – ożywiła się również Agatka.

– Tylko niech to lepiej nie będzie zaraźliwe! – przeraził się nie na żarty najstarszy syn Iwonki, Łukaszek, zerkając kątem oka na swoją ciężarną dziewczynę, Magdę.

– O cioci rozmawiamy, przewrażliwiony tatusiu! – rzuciła mu piorunujące spojrzenie. – Jak chcesz panikować, to idź to robić gdzie indziej.

– Dzieci! – zganiła ich natychmiast Iwonka.

– Nie krzycz, Iwonka. Martusia naprawdę źle wygląda, a ty się drzesz – spiorunowała swoją córkę wzrokiem pani Halina.

Martusia uśmiechnęła się ciepło, nie chcąc prowokować rodzinnych sprzeczek czy kłótni, które w wykonaniu tej rodziny często kończyły się trzaskaniem drzwi.

– Widać pobyt w Sosenkach po prostu mi nie służy...

– U nas?! – natychmiast oburzyła się pani Halina. – No ale jak tak może być? Zdrowe jedzenie, powietrze czyste.

– Ciociu, nie o to mi chodzi – powiedziała, odkładając sztućce na talerz. – Chyba za dużo wrażeń. To wszystko siedzi mi w głowie i mocno mnie męczy. Te wycieczki na cmentarze naprawdę prowokują mnie do przemyśleń do tego stopnia, że boli mnie głowa. Przepraszam was, powinnam się chyba położyć – wstała od stołu, nie zważając na zawiedzione spojrzenia biesiadujących gości i domowników. Powędrowała na górę i przysiadła na parapecie w sypialni.

Śnieg sypał z nieba jeszcze bardziej intensywnie niż przez kilka ostatnich dni i Sosenki tonęły już pod grubą pierzynką z miękkiego puchu do tego stopnia, że linie przewodzących prąd czy internet zostały przerwane.

Patrząc przez okno, Martusia robiła wszystko, żeby oderwać się od swoich myśli. Przez ostatnie dni ponownie rozpamiętywała utratę rodziców. Zaczęła analizować całe swoje dotychczasowe życie pod kątem braku poczucia bezpieczeństwa. Przecież po wypadku mamy i taty wciąż tułała się po świecie. Mieszkała u babci, potem u ciotki, w Warszawie, uciekła do Anglii i znów powróciła w rodzinne strony. Nigdzie jednak nie czuła się jak w domu.

– Przez to, że twoi rodzice zginęli w dzieciństwie, to sobie nigdy życia porządnie nie ułożysz. Należysz do tych kobiet, które ze stu porządných zawsze wybiorą tego jednego ze skazą, ale to przecież nie twoja wina – powracały w jej głowie słowa Amelii i kiedy zaczęła się ostatnimi dniami nad tym zastanawiać, doszła do wniosku, że przyjaciółka miała świętą rację.

Brak stabilizacji i niewykształcenie wzoru mężczyzny w dzieciństwie sprawiły, że teraz miała wypaczone spojrzenie na relacje damsko-męskie. Związki, które tworzyła, nigdy nie miały solidnych podstaw, a każdy partner w pewnym momencie okazywał się po prostu dupkiem. Jej życie i pod tym względem było jednym wielkim dramatem, który zwykle kończył się dla niej gorzej niż źle.

Mimo szczerzej chęci oderwania się od własnych wspomnień Martusia była teraz gdzieś w angielskiej kamienicy. Tam przez kilka lat toczyło się jej życie, a raczej próby tworzenia czegoś, co przypominałoby dom. Nawet ciężkie, duszące powietrze, które z uporem maniaczki starała się zabarwić odcieniami mięty pieprzowej, według sekretnego języka kwiatów oznaczającej ciepło uczuć, zdawało się teraz powracać do jej pamięci i brać w posiadanie każdy zmysł.

Martusia bała się tych wspomnień. Nie, one nie były bolesne jak te wyniesione z dzieciństwa, z którymi męczyła się przez lata aż do przyjazdu tutaj, do Sosenek, i rozgrzebania tego wszystkiego na nowo. Wspomnienia z Londynu były dla niej naprawdę przerażające i choć pozbawione fizycznego bólu, wypełnione wyjątkowym cierpieniem. Ich powodem był pewien mężczyzna, który przez dobrych kilka lat doprowadzał dziewczynę do szału tysiące razy.

Z trudem wstała z parapetu. Podeszła do łóżeczka synka. Z przeszłością i tamtym mężczyzną łączył ją tylko Krzyś. Chłopiec jakby wyczuwając nastrój matki, zaczął cicho popłakiwać. Dziewczyna wzięła go w ramiona.

– Zobaczysz, damy sobie radę – uspokoiła malca.

– *Nie!* – Martusia obudziła się z głośnym krzykiem którejś listopadowej nocy.

Jej czoło zraszał pot, a serce biło tak, jak gdyby miało wyrwać się zaraz z piersi.

– Mamo? – słysząc krzyk, obudziła się także Marysia i z niepokojem popatrzyła na matkę.

– Śpij kochanie – starając się opanować drżenie rąk, pogładziła ją po głowie i wygramoliła się z łóżka. Jej mięśnie trzęsły się jak galareta, utrudniając tym samym każdy ruch.

– Matko kochana, Marta! – wpadła do sypialni pani Halina. – Stało się coś?

Dziewczyna popatrzyła na nią z wymalowanym na twarzy przerażeniem.

– Miałam zły sen – powiedziała, starając się, żeby jej głos się nie załamał.

Starsza pani przyglądała jej się przez chwilę.

– Chodź na dół. Porozmawiamy – przerwała w końcu chwilę ciszy i starając się nie pobudzić śpiących w najlepsze domowników, sprowadziła Martusię do kuchni. – Chcesz pić?

– Nie, dziękuję.

– Zaparzę ci coś na uspokojenie – powiedziała, widząc, w jakim stanie jest dziewczyna, i nasypała do wysokiego kubka kilka łyżeczek mocno pachnących ziół. – Co ci się śniło? – zapytała, siadając na taborecie obok nadal drżącej ze strachu Martusi, po tym, jak wstawiła wodę na gaz.

Dziewczyna westchnęła głośno i schowała twarz w dłoniach.

– Ja zrobiłam w Anglii coś, przez co może grozić mi niebezpieczeństwo, ciociu – przyznała w końcu po kilku minutach walki ze sobą. – Nie chcę o tym mówić, ale boję się, że ktoś zechce mnie tutaj szukać. Po prostu czuję ostatnio jakiś irracjonalny strach przed tym. Nie wiem... nie umiem cioci tego dokładnie wytłumaczyć. Ja po prostu... Nie wiem, co mam robić – popatrzyła na ciotkę wielkimi oczami, kręcąc przy tym nerwowo głową i błędząc wzrokiem gdzieś po kuchennych szafkach.

– Matko kochana, Marta! – przeraziła się, słysząc jej słowa ciotka. – Co to znaczy, że może grozić ci niebezpieczeństwo?!

– Ciociu...

– Czy ten człowiek jest niebezpieczny?!

– Ja... – zawahała się i spuściła wzrok. – Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia.

– Dziecko drogie, czy ty mogłabyś jaśniej?!

– Powinnam chyba skontaktować się z moją przyjaciółką z Londynu. Muszę dowiedzieć się kilku rzeczy, wtedy będę mogła cioci to dopiero wyjaśnić. Amelia wszystko mi rozjaśni.

– Nie rozumiem. Czy grozi ci jakieś niebezpieczeństwo? Na litość boską, Marta! Chcę wiedzieć!

– Ciociu... – popatrzyła na nią dziewczyna. Jej twarz była wyjątkowo blada, a z kilkudniowego niewyspania pod jej oczami powstały fioletowe sińce. – Najpierw muszę skontaktować się z Amelią. Potem cioci wszystko wyjaśnię, dobrze?

– Ja wiedziałam, że ta zielarka będzie miała rację. Po prostu tak czułam... – zaczęła panikować pani Halina.

– Ciociu! – ujęła jej dłoń. – Nic złego się nie dzieje. Strach to tylko myśl.

– Mówisz tak, a sama nie śpisz od kilku dni i krzyczysz w nocy!

– No dobrze – potrząsnęła głową. – Powiem cioci. Ale nie będzie mnie ciocia oceniać – wyszeptała w końcu i popatrzyła na nią wyczekująco.

Starsza pani dynamicznie skinęła głową.

– A więc było tak... – Martusia zaczęła niepewnie i opowiedziała całą swoją historię.

– Matko kochana! – pani Halina złożyła dłonie, gdy opowieść dobiegła końca. – Pójdę zadzwonić do Iwony. Ona na pewno ma internet. Pojedziesz do niej jeszcze dzisiaj i skontaktujesz się z tą twoją Amelią. Musimy się dowiedzieć, czy to o nim mówiła zielarka, kiedy usilnie chciała cię ostrzec – zarządziła, chociaż strach zaczął kotłować się także w jej głowie. Pognała do salonu po telefon i natychmiast zadzwoniła do swojej córki.

Iwonka słysząc rozemocjonowany głos matki, zgodziła się przyjąć Martusię najszybciej, jak się da.

– Jedź ostrożnie, kochanie – uściśnęła dziewczynę przed jej usadowieniem się za kierownicą. – I nic się nie martw. To na pewno po prostu jakieś twoje złe przeczucia. Nie wiem, może naoglądałaś się czegoś w telewizji albo chodzenie po cmentarzach tak na ciebie zadziało. Jedź i przekonaj się, że wszystko będzie dobrze.

– Dziękuję cioci bardzo. Niech ciocia pamięta o herbatce na kolkę dla Krzysia.

– Będę, będę! Jedź ostrożnie!

– Postaram się – uśmiechnęła się Martusia i wsiadła do niebieskiej mazdy wujka Henryka, a potem zaczęła sunąć w stronę siedliska Iwonki po zaśnieżonych drogach, starając się bardziej skupić na prowadzeniu samochodu niż na swoich lękach.

Martusia ze względu na fatalne warunki pogodowe dotarła do siedliska po ponad półtorej godziny jazdy. Dzięki uprzejmości Iwonki natychmiast zasiadła do komputera, skąd wysłała pełnego pytań e-maila do Amelii.

– Jeszcze raz bardzo serdecznie dziękuję ci, że pozwoliłaś mi skorzystać ze swojego internetu – powiedziała, siadając do skromnie zastawionego stołu w siedlisku Iwonki. – Musiałam pilnie skontaktować się z przyjaciółką, a w Sosenkach przez ten śnieg nic nie działa.

Iwonka uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi, obrzucając wzrokiem zarumienione policzki dziewczyny, a potem obie z Martusią popatrzyły w buzujący w kominku ogień. Płomienie rzucały setki, a może nawet tysiące tańczących cieni na drewnianą podłogę i przestronny salon.

Zima zdążyła zadomowić się na dobre również w siedlisku, pomimo że był dopiero listopad. Myśląc o tym, Iwonka westchnęła. To pierwsza zima, którą całą rodziną spędzą na Mazurach. Już teraz obawiała się odśnieżania i problemów z dojazdem do pracy, tym bardziej że śnieg nie zamierzał ich oszczędzać. Sypał jak szalony kolejny już dzień, zawalając okoliczne drogi, a przede wszystkim ich oddalone od wsi podwórko.

Martusia natomiast, nie dość, że myślała o sypiącym za oknem śniegu, który z chwili na chwilę coraz bardziej napawał ją niepokojem, to jeszcze patrząc w ceglany kominek, starała się wyprzeć złe przeczucia, które męczyły ją od kilku dni, a którym miał przynieść ulgę dopiero e-mail zwrotny od Amelii.

– Chcesz jeszcze czegoś do picia? – pierwsza oderwała się od przemyśleń Iwonka, zerkając na stojącą przed gościem filiżankę herbaty zdobioną pięknym, złotym wzorem. – Na pewno zdążyła ci już porządnie wystygnać – wskazała palcem na zimną esencję.

Martusia zawahała się przez chwilę, a potem popatrzyła na wiszący na ścianie w salonie pokaźny

zegar. Było już wpół do szóstej. Odrywając się od złych przeczuc, kobieta natychmiast wyprostowała się, wracając do rzeczywistości. Miała ochotę popukać się w głowę. Jak to się stało, że spędziła w siedlisku już tyle czasu?!

– Ojej, dziękuję ci bardzo, ale robi się późno. Mam przecież jeszcze taki kawał drogi do Sosenek. I tak będę jechała po ciemku, a drogi są przecież porządnie oblodzone – z niepokojem popatrzyła przez okno. – W dodatku sama widzisz, że ciągle pada śnieg... – powiedziała, uśmiechając się, chociaż na każdą myśl o drodze powrotnej do Sosenek w takich warunkach robiło jej się co najmniej gorąco, a potem zimno i znów gorąco. I tak w kółko!

Jazda w takich ekstremalnych warunkach z pewnością nie była jej marzeniem, tym bardziej że dopiero w Sosenkach zaczęła prowadzić tak duży samochód, jakim była mazda wuja Henryka, i nadal nie czuła się w niej zbyt pewnie. Mieszkając w Londynie, przywykła do komunikacji miejskiej. Poza tym, w mieście wszystko było na miejscu i nie trzeba było jeździć zimą do odległej o prawie godzinę drogi wsi, żeby skorzystać z powolnego łącza.

– Może nie powinnaś wracać sama w taką pogodę? Skoro nie przestało padać ani na chwilę, na drogach może być prawdziwa tragedia – widząc pobladłą twarz gościa, zaniepokoiła się Iwonka.

Martusia pokiwała jednak przecząco głową.

– Dziękuję ci bardzo, w innej sytuacji na pewno chętnie przenocowałabym w tak urokliwym miejscu jak wasze siedlisko, ale dzieci czekają w Sosenkach, trzeba nakarmić Krzysia... Sama rozumiesz.

Tym razem to Iwonka skinęła głową.

– Tak, też jestem klasyczną matką Polką, mimo upływającego wieku dzieci nadal jednak uwiązaną przy swoim potomstwie – powiedziała, przypominając sobie swoje pierwsze wyjazdy bez dzieci, kiedy to, zamiast się relaksować, jedynie panikowała, trzęsąc się z niepokoju, czy też na pewno nie dzieje im się krzywda.

– Także widzisz – uniosła się z krzesła Martusia. – Dziękuję za gościnę, a przede wszystkim za możliwość skorzystania z internetu, ale będę już wracać – powiedziała, ostatni raz zerkając na buzujący w kominku ogień pożerający łąpczywie kolejne drewnka, a potem skierowała się do drzwi.

– Jedź ostrożnie! – ostrzegła ją jeszcze Iwonka i podała Martusi płaszcz, który nie zdążył nawet porządnie obeschnąć.

W pewnym sensie było jej dziewczyny szkoda. Wyglądała jak cień człowieka i wydawała się wyjątkowo zmęczona. W jej oczach dostrzegła coś dziwnego, co sprawiało, że zdawała się Iwonce wyglądać trochę jak spłoszona sarna uciekająca przed kłusownikiem, która nie miała nawet bezpiecznego kąta, żeby się w nim schować.

– Postaram się. Mam nadzieję, że ta pogoda tylko tak straszy i na drogach wcale aż tak źle to nie wygląda – uśmiechnęła się, chociaż wcale nie było jej wesoło. Nogi trzęsły się, jakby były z galarety, i aż strach pomyśleć o tym, jak poradzi sobie z płynnym wciskaniem pedałów.

– Oby, oby – uściskała ją jeszcze Iwonka, a potem przekreśliła klucz w potężnych, wyjściowych drzwiach i otworzyła je na oścież.

Mroźne powietrze, które wpadło do środka razem z ciężkim śniegiem, sprawiło, że w domu momentalnie zrobiło się zimno.

– Chowaj się, bo ta pogoda jest okropna – pomachała jej jeszcze tylko Martusia i ruszyła w stronę samochodu, który na szczęście zaparkowała pod drewnianą wiatą znajdującą się na podwórku przed siedliskiem. Inaczej byłby teraz zupełnie zasypany. Zamiast wracać do domu, kobieta musiałaby go odśnieżać, co w zaistniałych warunkach mogło przypominać co najmniej walkę z wiatrakami.

– Boże, dopomóż – szepnęła więc tylko, wsiadając za kierownicę, zapięła pasy i zapaliła silnik. A potem, starając się wymanewrować wielkim autem między fałdami śniegu, wyjechała z podwórka

Iwonki i pełną drogą udała się w podróż do Sosenek, która, z chwili na chwilę, malowała się przed Martusią coraz bardziej mrocznie.

Śnieg walił w przednią szybę samochodu tak intensywnie, że nawet szybko pracujące wycieraczki nie były w stanie całkowicie go odgarniać. Nie wspominając o tym, że przez to widoczność Martusi była ograniczona niemalże do minimum. Potężne tunele śnieżne rozpościerające się po obu stronach drogi również nie pocieszały kobiety, a nawet przeciwnie.

Martusia jechała więc z duszą na ramieniu w zawrotnej prędkości trzydzieści kilometrów na godzinę, a momentami nawet o połowę mniej. Wyteżając wzrok, odmawiała w duchu pacierz i tłumaczyła Bogu, że ma przecież jeszcze małe dzieci, które potrzebują matki. I chociaż przyznała otwarcie, że w życiu porządnie nagrzeszyła, to przecież nie był to jeszcze powód do tego, żeby wystawić ją na pastwę losu! (No, chociaż właściwie to chyba lepiej by było powiedzieć teraz, że na pastwę śniegu...)

Jakkolwiek by było, Bóg nie mógł pozwolić jej zamarznąć gdzieś pośrodku głuszy, a potem kazać czekać tak do roztopów, aż w końcu ktoś odnajdzie jej zakonserwowane przez mróz ciało. Tak. Ta wizja nie wydała jej się zbyt pociągająca, ale, jak okazało się piętnaście minut drogi później, miała duże szanse się sprawdzić, ponieważ koła mazdy zabuksowały tylko parokrotnie, natrafiając na rozmiękły śnieg z porządną lodową podkładką i samochód utknął na drodze, odmawiając dalszej współpracy.

– Niech to szlag! – uświadamiając sobie, co zaszło, uderzyła w kierownicę i oparła o nią czoło. Po okolicy rozszedł się głośny dźwięk klaksonu.

– No pięknie!

Zgasiwszy silnik, rozejrzała się dookoła. Poza ciemnością i sypiącym śniegiem nie było widać wokół nic. Ani jednej żywej duszy, która mogłaby ją poratować, co tylko spotęgowało narastający w głowie Marty strach. Śnieg sypał jak szalony, rozkładając się na szybach auta grubymi płatkami, a z jej nosa i ust przy każdym oddechu zaczęły buchać rozgrzane obłoczki pary.

– Spokojnie. Tylko spokojnie – szepnęła sama do siebie, po czym wyciągnęła z leżącej na siedzeniu pasażera torebki swój telefon komórkowy i nerwowo popatrzyła na znaczek oznaczający zasięg. Tak. Był! Dwie kreski!

Ożywiając się natychmiast, wybrała numer ciotki Haliny i przyłożyła telefon do ucha. Każdy kolejny sygnał sprawiał, że powoli traciła nadzieję na cudowne uratowanie.

– Halo? – rozległ się w końcu po trzecim sygnale głos pani Haliny, który sprawił, że mało nie podskoczyła na siedzeniu.

– Ciocia! – wydusiła z ulgą. – Jak dobrze, że ciocię słyszę!

– Gdzie ty jesteś dziecko? Zawierucha na dworze jak mało kiedy, a ty wycieczki sobie po świecie urządzasz. Krzyś ma kolkę i uspokoić go nie mogę, a ciebie nie ma i nie ma. Wyjechałaś chociaż z siedliska?

– Tak...

– No to świetnie! – ucieszyła się pani Halina. – Kiedy będziesz?

– Właśnie widzisz, ciociu... – zaczęła niepewnie. – Chodzi o to, że utknęłam gdzieś w drodze.

– Matko kochana. Co!? Znowu?! – przejęła się nie na żarty pani Halina, a potem rozległ się w słuchawce jej pełen emocji krzyk. – Henryk, chodź no tu, Martusia utknęła gdzieś w drodze do Sosenek. Chodź szybko. Dam na głośnik.

– Nie trzeba – powiedziała cicho Martusia, co jednak zostało obcesowo zignorowane przez jej działającą szybciej niż myślącą ciotkę.

– Mów teraz, co się dzieje – zarządziła natomiast pani Halina, kładąc telefon na stole w jadalni, i nachyliła się do słuchawki razem z mężem.

– Utknęłam w śniegu gdzieś po drodze.

– Ale gdzie?! – rozległ się uniesiony głos ciotki.

– Nie wiem. Gdzieś między Sosenkami a siedliskiem. Jechałam może z dwadzieścia minut. Jestem już na głównej drodze, ale ona wcale nie wygląda na taką główną. Nic tu nie jeździ. Dookoła tylko śnieg... – starając się nie rozkleić, wytłumaczyła pobieżnie.

– Matko kochana... – rozległo się w słuchawce głośne westchnienie ciotki Haliny.

– I kto cię teraz stamtąd uratuje? – zapytał natomiast wuj Henryk.

Martusia niespokojnie potarła palcami czoło.

– Liczyłam na to, że...

– Matko kochana, Henryk! Nie stój tak. Trzeba ją przecież stamtąd wyciągnąć. Jeszcze nam tam zamrznie! Ratować ją trzeba, natychmiast! – przerwała jej jednak ciotka Halina, zaczawszy targać męża za ramię.

– Ale co ja mogę... – wymamrotał tylko wuj Henryk. – Samochód jeden mamy. Ewentualnie do Iwony by można zadzwonić, żeby ją ściągnęła do siebie czy coś.

– Tak! – natychmiast podchwyciła pomysł starsza pani. – Skoro do nas drogi nieprzejezdne, to musisz zawrócić, Martusia. Do Iwonki! – krzyknęła nachylając się do telefonu tak, że dziewczyna musiała odsunąć komórkę od ucha z obawy o swój słuch.

– Tak, tylko jak mam to zrobić, skoro nie mogę jechać ani do przodu, ani do tyłu?! – zapytała, rozpaczliwie starając się kontrolować zbierające się pod powiekami łzy.

W słuchawce zapanowała krótka chwila ciszy.

– No ma dziewczyna rację – rozległ się w końcu głos Henryka. – Jak nie może jechać, to co ma zrobić? Ewentualnie wysiąść i na piechotę, ale...

– Jak na piechotę?! Chcesz, żeby zamarzła gdzieś w polu! – natychmiast warknęła na niego pani Halina. – Nigdzie nie idź, Martusia, nie słuchaj go dziecko. Ja zadzwonię do Iwony i może coś z nią uradzę. Nie ruszaj się nigdzie. I bądź pod telefonem! – zadyrgowała rozemocjonowana i rozłączyła się, zostawiając Martusię samą, w ciemności, na pastwę losu i syjącego nieustannie śniegu.

Czas płynął, telefon milczał, a trzęsąca się z zimna coraz bardziej Martusia zaczynała powoli tracić nadzieję, gdy zamknięty szczelnie samochód namiętnie przykrywał śnieg, do tego stopnia, że przez przednią szybę nie widziała już zupełnie nic. Niepokój związany z Londynem powoli wypierany był przez autentyczny strach przed zamrożeniem gdzieś w polach pod grubą warstwą śniegu.

I kiedy miała już zupełnie się załamać, w oddali dostrzegła drobne światełko. Nie zastanawiając się, natychmiast wyskoczyła z samochodu na padający śnieg, który zaczął otulać teraz także jej wymarznęte ciało.

– Pług! – szepnęła sama do siebie, gdy sunący w jej stronę pojazd zbliżył się do niej jeszcze bardziej. Poczwała ulgę. Odsnieżą drogi, była uratowana.

Nie czekając na nic, strzepała śnieg z kaptura i wsiadła do samochodu, odliczając minuty do czasu, kiedy pług przejedzie, umożliwiając jej dalszą drogę. Miała już dzwonić do ciotki, że jest uratowana, kiedy dostrzegła, że szyby samochodu pokryły się jeszcze grubszą warstwą, a huk, który niósł za sobą pług, oddalił się dużo dalej.

Przerażona pchnęła drzwi w nadziei, że może jeszcze pobiegnie za nim i kierowca ją dostrzeże, ale jej próby na nic się zdały, bo drzwi nie chciały nawet drgnąć mimo jej usilnych starań.

– No błagam... – poddała się i zaczęła głośno płakać. – Tylko nie to! – powiedziała sama do siebie i ocierając nos, ponownie sięgnęła po milczący telefon komórkowy.

– Ciocia? – szepnęła zrezygnowana i zrozpaczona, gdy pani Halina odebrała telefon.

– No właśnie miałam do ciebie dzwonić! Ty wyjdź z samochodu na dwór i opisz nam dokładnie, gdzie jesteś, bo właśnie odsnieżyli drogę główną. My, ani Iwona, co prawda nie mamy jak po ciebie wyjechać,

bo ich też zupełnie od świata odcięło, ale kawał drogi za Sosenkami mieszka znajomy Iwony. Nawet go znasz... Ale nieważne! On ma samochód terenowy, Iwonka już z nim wszystko ustaliła. Jedzie po ciebie. Dzisiaj przenocujesz u niego. Tylko wyjdź na dwór z tego samochodu, żeby cię nie przegapił! – poinformowała Martusię podekscytowana ciotka.

Dziewczyna pociągnęła tylko nosem.

– Ale ja nie mogę wyjść na dwór! – zaszlochała do telefonu.

– Jak to?!

– Bo ten pług... on przysypał mnie śniegiem. Przywalił nawet. Nie mogę otworzyć drzwi – zapłakała, zupełnie się rozklejając.

W słuchawce rozległo się głośne westchnienie ciotki Haliny.

– Zadzwońię do Iwony. On na pewno ma ze sobą jakąś łopatę. Niech powie mu tylko, żeby nie szukał samochodu, ale potężnej masy śnieżnej zawalającej drogę – zarządziła ciotka, rozłączając się bez pożegnania. Martusia zaczęła płakać jeszcze bardziej przeraźliwie i ponownie spróbowała pchnąć drzwi.

Niestety, bezskutecznie. Śnieg ani myślał drgnąć. Dziewczyna siedziała w zupełnej ciemności odgradzona od świata grubą warstwą zamarzającej, białej masy. Skuliła się więc tylko, odsunęła siedzenie jeszcze bardziej w tył, naciągnęła kaptur na głowę i zaczęła trząść się z zimna w oczekiwaniu na swojego wybawiciela.

Mijały kolejne minuty. Komórka zaczęła dawać znak, że bateria jest bliska rozładowania, gdy z oddali do uszu Marty dobiegł stłumiony przez śnieg szum, a potem kilka głośnych trzasków i uderzeń. Dziewczyna poruszyła się na siedzeniu niespokojnie, gdy usłyszała niski, męski głos.

– Halo, jest tam kto?!

– Tak, tak! – odkrzyknęła, ocierając z policzków ostatnie łzy. – Jestem! – krzyknęła.

– Znalazłem panią. Zaraz panią uwolnię! – oznajmił jej tylko głos i po kilku minutach oślepił Martusię blask reflektorów terenowego samochodu zaparkowanego naprzeciwko niej, a chwilę później ktoś szarpnął za drzwi i otworzył je gwałtownie.

– Uff – mężczyzna odetchnął z ulgą. – Nic pani nie jest? – zapytał, nachylając się do wycieńczonej ze strachu Martusi.

Przez wielki kaptur, który zasłaniał jego twarz, dziewczyna nie mogła rozpoznać w nim nikogo znajomego. Chociaż jego głos coś jej przypominał. Ale co?

– Nie – pokręciła głową. – Tylko trochę zmarzłam.

– Wspaniale – ucieszył się. – W takim razie szybko, proszę wysiadać, bo wali ten śnieg i wali. Szkoda, żeby zasypał i moje auto, bo wtedy utkniemy tu oboje i pewnie nikt nie uratuje nas przez kilka dni. Ta droga, chociaż główna, nie jest zbyt często uczęszczana. Pomóc pani coś zabrać?

Martusia pokręciła głową i złapała tylko leżącą na siedzeniu obok torebkę.

– Jestem gotowa – oznajmiła bez wahania, wyciągnęła ze stacyjki kluczyki i wysiadła z samochodu. – Co z nim? – zapytała, nadal nie widząc twarzy swojego wybawcy.

– Starsza pani powiedziała, że może tu zostać. W taką pogodę holowanie jest dość ryzykowne. Zamkniemy go, a potem ktoś po niego przyjedzie. Kiedyś skończy przecież sypać, prawda? – zażartował.

– Tak – bez entuzjazmu skinęła głową i posłusznie zamknęła samochód.

– Zapraszam do auta – oznajmił natomiast mężczyzna, zsuwając z twarzy kaptur.

Martusia stanęła jak wryta.

– To pan – wydusiła słabym głosem, nieufnie patrząc w jego stronę.

– W rzeczy samej. Nie wiem, czy się już pani przedstawiałem – dyrektor odsłonił zęby w idealnym uśmiechu, a potem wyciągnął do niej rękę. – Krzysztof.

– Tak, pamiętam – westchnęła, nie podając mu dłoni. Tak samo jak mój syn, dopowiedziała sobie

w myślach.

Dyrektor popatrzył na nią zdezorientowany.

– No to wsiada pani czy będziemy tak stać?

Martusia obrzuciła go pełnym odrazy, powątpiewającym spojrzeniem. Że też ze wszystkich mężczyzn na świecie musiał ją ratować akurat on!

– Jedźmy już – powiedziała jednak po chwili, orientując się, że przez cały czas rozciera swoje zmarznięte dłonie.

– Wspaniale! – ucieszył się dyrektor, schował do samochodu łopatę i łom, a potem, jak to dżentelmeni mają w zwyczaju, podbiegł do drzwi pasażera i otworzył je przed kobietą. – Proszę.

Martusia uśmiechnęła się do niego blado.

– Dziękuję – odpowiedziała tylko i wsiadła do pachnącego leśnym odświeżaczem powietrza terenowego auta, zapięła pas i zamilkła w oczekiwaniu na dyrektora.

– Włączyć podgrzewanie pani fotela? – zapytał ze szczerą troską, gdy usadowił się już za kierownicą i odpalił silnik. – Musiała pani niezłe wymarznąć, siedząc tutaj sama.

– Poproszę – skinęła głową, niewzruszona jego empatią, i z miną męczennicy zapatrzyła się w potężne hałdy śnieżne rozciągające się niczym wysokie ściany wokół drogi.

Ten dzień po prostu nie mógł skończyć się dla niej gorzej. No po prostu nie mógł!

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Krzysztof, kiedy ciemną nocą, wśród prószącego z nieba śniegu zajechali na wielkie podwórko rozciągające się wśród pokrytych białym puchem pól. – Może pani wysiąść tutaj albo w garażu. Chciałbym schować samochód, bo nie wiadomo, ile ten śnieg będzie sypał. To, że jutro sobota, nie oznacza przecież, że nigdzie nie będzie trzeba jechać. Podejrzewam zresztą, że będę musiał panią jutro odwieźć.

Martusia skinęła głową w odpowiedzi.

– Tak. Lepiej wysiądę tutaj, żeby niechcący nie uderzyć drzwiami w ścianę i nie uszkodzić panu lakieru. Ten samochód na pewno kosztował niemałe pieniądze – powiedziała sucho, po czym otworzyła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz, zamykając je z cichym trzaskiem.

Krzysztof patrzył za nią jeszcze przez chwilę, a potem odetchnął ciężko i wjechał do garażu. Zapowiadała się długa noc.

Marta tymczasem rozkoszowała się przenikliwym, zimnym powietrzem i obrzucała wzrokiem całkiem pokaźny ogród dyrektora, który rozciągał się przed jego posesją. Choć drzewa i krzewy spowite były białym puchem, oczyma wyobraźni dziewczyna widziała, jak wiosną, a potem latem, mienia się tysiącami barw i zapachów. Wiele z nich mogła rozpoznać po kształtach. Była na przykład pewna, że tuż przy wejściu do domu dyrektora rosła kalina, która wiosną kusiała słodkim, drażniącym nozdrza zapachem białych, drobnych kwiatków, a latem i jesienią wyjątkową czerwienią zwisających ciężko owocowych gron.

Uśmiechnęła się pod nosem na samą myśl o tym, jak przyjemnie musiałyby być przechodzić obok niej w porze kwitnienia za każdym razem, gdy wracałyby do domu, i wsłuchiwać się w dźwięczne bzyczenie buszujących wokół niej owadów. To wyobrażenie sprawiło, że jej humor poprawił się niemalże od razu i nie zważając na okropną, pogodową aurę, odrzuciła głowę do tyłu, wyciągnęła na boki ręce i kilka razy beztrudnie obróciła się w sypiącym obficie śniegu, rozkoszując się śnieżynkami padającymi na jej twarz.

– Widzę, że poczuła się pani lepiej – skomentował jej zachowanie wyłaniający się z mroku garażu dyrektor.

Martusia zmieszała się nieco jego nagłym przybyciem i opuściła ręce, zerkając na niego niepewnie.

– Cóż. Ma pan bardzo ładny ogród – powiedziała, czerwieniąc się po uszy. Jej policzki i tak zaróżowione były od siarczystego mrozu.

– Tak, nie będę ukrywał, że tak samo pracowity jak ładny.

– Zawsze jest coś kosztem czegoś – odpowiedziała ściszym głosem, gdy zbliżył się do niej jeszcze bardziej.

– To co, wejdzie pani do środka czy ma pani ochotę jeszcze sobie potańczyć wśród wirujących płatków?

Martusia się zaśmiała. Pierwszy raz widziała z bliska jego błyszczące oczy.

– Może innym razem.

– Zapraszam o każdej porze dnia i nocy – uśmiechnął się dwuznacznie, po czym ruszył pokrytą śniegiem alejką prowadzącą do drewnianych schodów. Ścieżkę oświetlały małe latarenki.

Martusia jeszcze przez chwilę przyglądała się wyłaniającemu się z ciemności, pokrytemu śniegiem ogrodowi, po czym sama dała za wygraną i powędrowała za swoim przewodnikiem.

– Mieszka pan w młynie? – zdziwiła się, kiedy jej oczom ukazał się pokryty cegłą dom Krzysztofa.

Pokiwał głową.

– Tak. Z tyłu jest nawet stare koło młyńskie. Zostawiłem je dla ozdoby. W innych warunkach zaproponowałbym pani, żebyśmy poszli zobaczyć, ale w tych chyba nie jest to dobry pomysł. I tak trzęsie się pani z zimna. Proszę – otworzył przed nią drewniane drzwi i wypuścił przodem do środka.

Martusia posłusznie weszła na nieduży korytarzyk. Czekwała spokojnie w ciemnościach przepełnionych zapachem suszących się na zwisających ze ścian sznurkach jesiennych grzybów, dopóki właściciel starego młyna nie zapalił światła.

– I oto stała się jasność – powiedział Krzysztof, przekręcając klucz w drzwiach. – Śmiało, proszę się rozebrać – odwrócił się do dziewczyny.

Martusia uniosła jedną brew, nie kryjąc poirytowania.

– Nie, nie! Nie miałem na myśli, że zupełnie... – widząc jej minę, zaczął się tłumaczyć.

– Ach tak – westchnęła w odpowiedzi i zsunęła z ramion ciężki, przemoczony płaszcz, a następnie podała go właścicielowi domostwa.

– Musi mi pani wybaczyć, ale nie mam żadnych kapci – powiedział, biorąc od niej płaszcz. – Rzadko miewam gości płci przeciwnej. Chyba że są to moje koleżanki z pracy, a raczej podwładne, które wpadają na chwilę w jakiejś służbowej sprawie.

– Nic nie szkodzi. Przywykłam do chodzenia bosą, choć to szkodzi na nerki i kilka razy w roku mocno to odchorowuję – powiedziała, przebierając palcami u stóp. Jej skarpetki mimo ciepłych butów były zupełnie przemoczone, co nie umknęło uwadze Krzysztofa.

– Zielarka powinna coś na to zaradzić.

Martusia uśmiechnęła się blado na samą myśl o kobiecie mieszkającej na skraju lasu, której zawdzięczała swój podły nastrój.

– Coś nie tak?

– Nie, nie. Wszystko w porządku. Ma pan rację, zielarka na pewno będzie miała na moje nerki jakiś sposób.

Krzysztof kolejny raz przyjrzał jej się uważnie.

– Musi mi pani wybaczyć ten niestosowny komentarz, ale ciśnie mi się na usta, że jest pani dziwna.

Mimo frustracji, jaką odczuwała w jego obecności, zaśmiała się figlarnie, słysząc te słowa. Założyła za ucho opadający na twarz kosmyk kasztanowych włosów. Jej fiołkowe oczy rozbliły w przygaszonym świetle tłące się nad ich głowami jarzeniówki.

– Pan również będzie musiał mi wybaczyć, bo muszę powiedzieć, że nie mniej niż pan sam – odrzekła nieco złośliwie.

Krzysztof przyglądał się chwilę jej twarzy, ale ruszył w końcu ku drzwiom, a następnie pchnął je

mocno do środka.

– Zapraszam.

Oczom Martusi ukazał się długi, wyłożony drewnem hol przyjemnie pachnący żywicą, na końcu którego znajdowały się kręte schody. Naturalnego, dębowego parkietu nie przykryto najmniejszym nawet dywanem i zakrywał go jedynie cień rzucany przez stojącą pod lustrem komodę, na której stał wazon z bukietem jesiennych liści. Kobieta weszła do środka i niemalże z czcią przesunęła po meblu dłonią. Sama przed sobą musiała przyznać, że dom Krzysztofa miał w sobie coś magicznego.

– Mogę pani zaproponować coś do picia? – dyrektor wyrwał ją z zachwyty, przechodząc do kuchni mieszczącej się po lewej stronie.

Martusia potrząsnęła głową, wracając do świata żywych.

– Coś ciepłego – uśmiechnęła się, a potem zajrzała do kuchni urządzonej w tym samym charakterze co drewniany korytarz i roztarła dłońmi wyziębione ramiona.

– Najlepszy na zimowe wieczory jest oczywiście grzaniec. Mam wspaniałe czerwone wino, do tego goździki, miód i kardamon. Co pani na to?

Kąciki jej ust natychmiast uniosły się jeszcze bardziej na samą myśl o przepysznym trunku. Samo wyobrażenie jego smaku i słodko-gorzkiego zapachu rozgrzało jej zmysły do czerwoności. Udało jej się dzięki niemu nawet wypchnąć ze świadomości beczelne zachowanie dyrektora, którego doświadczyła aż dwukrotnie.

– Przepraszam – potrząsnęła jednak głową. – Nie piję alkoholu od pewnego czasu – powiedziała, zerkając dyskretnie na mężczyznę. Nie byli jeszcze w na tyle zażyłej relacji, żeby czuła się zobowiązana do tego, by mówić mu, że karmi piersią małe dziecko. – Ale chętnie wypiłabym mleko z miodem i masłem, jeśli to oczywiście nie kłopot.

Dyrektor kolejny raz tego wieczoru zlustrował ją wzrokiem od stóp do głów.

– Może to niewskazane, żebym i ja pił dzisiaj alkohol. Piękna kobieta i śnieg padający za oknem... – uśmiechnął się i zajrzał w jej fioletowe tęczęwki. – Nie ma co kusić losu, prawda? – zaśmiał się i wyjął z lodówki mleko.

Ona oparła się natomiast o futrynę kuchennych drzwi i przestąpiła z nogi na nogę, dziękując w duchu za to, że Krzysztof nie ma na podłodze płytek, lecz drewno. Chociaż nie znosiła chodzić w kapciach, musiała przyznać, że stopy zmarzły jej podczas czekania na swojego wybawcę.

– Może chciałaby się pani odświeżyć? – zaproponował, nalewając mleko do rondelka. – Powinienem dać pani coś cieplejszego, a przede wszystkim suche skarpetki – raczej stwierdził, niż zapytał.

Dostrzegła jego zatroskaną twarz. Niechęć powoli ustępowała nowemu „pierwszemu” wrażeniu.

– Jestem w takiej sytuacji, że nie wypada odmówić.

– Może w takim razie przypilnowałaby pani tego mleka, a ja skoczyłbym na górę po jakiś sweter i coś suchego na stopy? – Krzysztof zwrócił się do niej ponownie.

Skinęła twierdząco w głowę.

– Nie ma sprawy – powiedziała i podeszła do kuchni gazowej, a potem wzięła z dłoni dyrektora łyżkę i zaczęła powoli mieszać mleko, gdy ten oddalił się na górę.

Korzystając z okazji, rozejrzała się po przestronnej, przepełnionej drewnem kuchni, której centrum stanowił nieduży, rzeźbiony stół z czterema krzesłami do kompletu. Leżał na nim haftowany bieżnik. Unoszący się znad rondelka zapach podgrzewanego mleka przez chwilę sprawił, że Martusia poczuła się, jak gdyby nadal była dzieckiem. Jej myśli wróciły do momentu, kiedy w pełnym napięcia oczekiwaniu siadała na kafelkowy piecyk w babcinej kuchni, czekając, aż ta przyrządzi dla niej ciepłe, słodkie mleko.

– Jestem – oderwał ją od wspomnień Krzysztof. Przyniósł kilka swetrów i położył je na kuchennym blacie. – Musi pani sobie coś wybrać. Na pewno utonie pani w każdym z nich, ale chociaż nie będzie tak

zimno – dodał, podchodząc do kuchenki, i wyjął z szafki dwa gliniane kubki, a potem napełnił je ciepłym mlekiem, podczas gdy Martusia wciągała przez głowę jeden ze swetrów i podwijając długie rękawy.

– Miał pan rację. To nie mój rozmiar – stwierdziła, siadając na krześle, żeby zmienić przemoczone skarpetki.

Krzysztof odwrócił się w jej stronę.

– E, nie jest tak źle. Jak to się teraz mówi: over size czy jakoś tak – uśmiechnął się szeroko na widok ubranej w jego sweter Martusi.

Mięśnie w jego ciele napięły się lekko, gdy spojrzał na jej zarumienioną twarz, na którą beztrudno opadały ścięte do ramion włosy.

– Skoro pan tak mówi – oderwała się w końcu od swoich stóp. – Chciałabym powiesić je gdzieś na grzejnik, żeby wyschły – powiedziała, unosząc w górę swoje przemoczone skarpetki.

– Na prawo jest salon z kominkiem. Proszę tam iść, ja skończę tylko z tym mlekiem i zaraz do pani dołączę. Nie zdążyłem wygasić ognia przed akcją ratunkową, zasunąłem tylko szybkę, więc drewno na pewno jeszcze się tli.

– Dobrze – skinęła głową, ciekawa, jak może wyglądać salon w tym rustykalnie urządzonej budynku.

Poszła we wskazanym przez Krzysztofa kierunku. Kiedy dotarła do pomieszczenia, powiesiła skarpetki na schowanym za firanką grzejniku.

Tak jak się spodziewała, wewnątrz utrzymane było dokładnie w takim samym stylu jak cały parter. Sękata podłoga trzeszczała pod ciężarem jej stóp, a beżowe ściany ożywiały kominek z czerwonej cegły, obok którego stał wielki, czarny świecznik. W salonie pachniało świeżą żywicą. Kompozycja drewna, ciepłych barw i tego zapachu od razu sprawiły, że Martusi zrobiło się po prostu błogo.

– I jak? – dołączył do niej po chwili dyrektor.

– Jeszcze się pali.

– Pytałem raczej, jak się pani podoba mój salon.

– Ach – zmieszała się. – Bardzo ładny.

– Lubię drewno – powiedział, stawiając kubki z ciepłym mlekiem na niskiej ławie, a potem podszedł do kominka i dołożył do niego kilka drewek.

– Nie da się ukryć – odpowiedziała, podchodząc trochę bliżej niego.

Gdy tylko dyrektor otworzył zamkniętą szybkę w kominku, od razu buchnęło w jej stronę przyjemnym ciepłem, a ogień wesoło zaskwierczał.

– Proszę siadać – podnosząc się, wskazał na białą sofę.

– Boję się, żeby czegoś nie ubrudzić.

Usta Krzysztofa drgnęły w lekkim uśmiechu.

– Bez obaw – powiedział i podał swojemu gościowi dziergany na drutach wełniany koc z długimi frędzlami. – Proszę się nakryć i pić już to mleko. Od razu robi się pani cieplej. Może dać pani jeszcze witaminę C na wzmocnienie? – zapytał, zbliżając się do jednego z foteli.

– Nie, nie. Wierzę w swój organizm. Mam nadzieję, że nie zmoże mnie szalejąca na dworze zima i trochę śniegu.

– Trochę to w tym wypadku mało trafne określenie.

– Nie da się ukryć, że ma pan rację – uśmiechnęła się i usiadła w końcu, nakrywając się szczelnie mięciutkim kocem.

Po jej ciele rozszedł się pierwszy tego wieczora przyjemny dreszcz. Cisza i spokój, jakich zwykle nie doświadczała od momentu, kiedy po raz pierwszy została matką, uderzyły ją wręcz fizycznie. Może to dziwne, ale w tym przytulnym miejscu pierwszy raz od kilku dni poczuła, że jej głowa robi się wolna od problemów.

– Wygląda pani na zrelaksowaną – po kilku minutach milczenia przerwał ciszę dyrektor i upił łyk ciepłego mleka. Rozgrzany kubek nadal przyjemnie ogrzewał jego palce.

– Rzadko zdarzają mi się momenty takie jak ten. Ma pan dzieci?

– Nie – pokręcił głową. – Ale rozumiem, do czego pani pije. Mam sporą rodzinę, co prawda w Warszawie, a poza tym, jak pani doskonale wie, pracuję w szkole. Dzieciaki potrafią dać mi w kość, mimo że nie przebywam z nimi dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Uśmiechnęła się na samą myśl o obleganym przez dzieci dyrektorze i jakoś nie do końca potrafiła oswoić tę wizję i przyjąć ją do świadomości.

– Nawiązując do dzieci... Jak pani córka odnalazła się w naszej szkole? Nie ma żadnych problemów, o których powinienem wiedzieć?

– Nie, nie. Marysia bywa skryta, ale tylko do momentu, gdy naprawdę się gdzieś nie zaaklimatyzuje. W Sosenkach od razu znalazła nowe koleżanki i żyć bez siebie nie mogą. Jestem bardzo z tego zadowolona. Nawet nie wie pan, jak to przyjemnie patrzeć, jak dziecko rozkwita w nowym miejscu mimo ogromu obaw rodzica.

– Cieszę się, że jest pani zadowolona. Przepraszam, może będę niedyskretny, ale pani przyjechała do Sosenek z Londynu, prawda? Miałem tę informację w podaniu o przyjęcie dziecka do szkoły.

– Ach, żadna tajemnica – machnęła ręką, uśmiechając się szeroko. Na jej policzki wypłynął delikatny rumieniec. – Mieszkałam w Anglii przez ostatnie ponad pięć lat.

– Daleko panią poniosło.

– Czasem człowiek po prostu nie ma wyjścia. Zna pan takie powiedzenie, że nieszczęścia chodzą parami? W moim przypadku to już chyba stada. Moi rodzice zmarli, wyjechałam na studia do wielkiego miasta, mając nadzieję, że tam sobie wszystko poukładam. Dostałam się na wymarzone studia, znalazłam miłość swojego życia... – uśmiechnęła się gorzko. – No. A przynajmniej tak mi się wtedy zdawało. No i wpadliśmy. Nie planowałam dziecka, a już na pewno nie wtedy. Był to dla mnie ogromny szok. Ledwo starczało mi na życie, facet zwiął, a ja zostałam sama i w ciąży. Chociaż bardzo chciałam studiować, w tej sytuacji po prostu się nie dało. Jedna z koleżanek załatwiła mi pracę za granicą, a ja wtedy bardzo potrzebowałam pieniędzy, więc rzuciłam wszystko i wyjechałam do Anglii.

– Nie było pani łatwo.

– Łatwo? Mnie było co najmniej pod górę! I to nie jakąś tam, ale Mount Everest i to zimą! – zaśmiała się, ale szybko wróciła do poprzedniego tonu. – Na początku było ciężko, wiadomo. Nowy kraj, nowa praca i Marysia... Ale spotkałam życzliwych ludzi i jakoś daliśmy radę – dodała, zaskoczona swoją szczerością. – Tam urodziłam też drugie dziecko. Chłopca.

Krzysztof zrobił zdziwioną minę.

– Myślałem, że ma pani tylko córkę – powiedział.

– Tak, moja ciotka skutecznie zadbała o to, żeby każdy we wsi tak myślał – Martusia bąknęła pod nosem. – Nie, nie – potrząsnęła głową, mówiąc o wiele głośniejszym głosem. – Mam też kilkumiesięcznego Krzysia – wyjaśniła zdawkowo.

Krzysztof pokiwał głową. Dziecko to dziecko. Nie zamierzał jakoś nadzwyczajnie drażnić tego tematu.

– A jednak zatęskniła pani za domem rodzinnym? – zagadnął. – Ludzie na wsi mówili, że pochodzi pani z Sosenek.

– Tak, mieszkała tutaj moja babcia i urodziłam się w Sosenkach. Dom po starej Czeremchowej, tak mówią o jej drewnianej chatce stojącej na końcu wsi, zaraz za kapliczką. Jest nieco wsunięty od drogi w las.

– Ach. Kojarzę! Zaniedbana posiadłość, co? Planuje pani tam zamieszkać?

Martusia westchnęła ciężko.

– Na początku owszem, miałam plan, żeby przyjechać i go odremontować. Wie pan, jak w bajce. Wraca emigrantka, która zarobiła trochę pieniędzy i ma ambitne plany. Niestety, dom jest w opłakanym stanie i chyba cała ta gra nie do końca warta jest świeczki. Poza tym, przywykłam do życia w mieście. W Sosenkach owszem, jest wspaniale, ale... – zawahała się, zerkając na dyrektora. Nie chciała zdradzać mu zbyt wiele i postanowiła trzymać się jednak argumentu dotyczącego jej przyzwyczajenia do innego życia. – Oczywiście proszę nie zrozumieć mnie źle, życie w mieście też ma wiele swoich minusów i...

– Niech się pani nie tłumaczy – wszedł jej w słowo. – Ja natomiast urodziłem się w Warszawie i mieszka tam cała moja rodzina. Znam uroki życia w biegu i tłumie – zaśmiał się.

Martusia się zamyśliła. W jej rozmówcy było coś wyjątkowo intrygującego, czego nie zauważyła podczas ich poprzednich nieudanych spotkań.

– A jednak coś przywiodło pana do tej głuszy, co? – postanowiła kontynuować rozmowę.

– Długa historia – odpowiedział, a ona wyczuła w jego głosie coś niepokojącego.

– Przepraszam, nie chciałam poruszać niewygodnych tematów.

– Nie, nie! Skąd mogła pani wiedzieć. Zresztą, to nic takiego – popatrzył w okno, a raczej na wiszące w nim długie firanki. – Po prostu zawód miłosny.

– Skoro gryzie to pana do tej pory, a na wsi mówią, że jest pan dyrektorem już dobrych kilka lat, to pewnie nie taki po prostu.

Krzysztof uśmiechnął się łagodnie, słysząc jej ciepły ton. Podobało mu się, że była taktowna, a nie nachalna, jak większość jego koleżanek z pracy, które najchętniej zażądałyby od niego całego życiorysu. I to na wszelki wypadek na piśmie.

– Ma pani rację. Uciekłem do tej głuszy, jak to pani pięknie określiła Sosenki, żeby o czymś zapomnieć.

– I udało się panu?

– Prawdę powiedziawszy, od pewnego czasu odnoszę wrażenie, że tak. Chociaż sama pani widzi, że mimo upływu czasu nie jest to dla mnie łatwy i przyjemny temat.

Martusia doskonale go rozumiała. Jej wzrok padł na stojącą w samym kącie salonu dracenę. Taką samą jak ta, która stała w sekretariacie.

– Tak. Wiem coś o tym – powiedziała jednak tylko i wypila ostatni łyk mleka, które zdążyło już wystygnąć. – Chyba każdy musi przeżyć swoją wielką historię miłosną, a potem dojrzeć i wygoić rany – dodała, patrząc w ogień, chociaż w głowie znów tliło jej się tłumaczenie nazwy draceny.

– Ma pani w sobie coś z literatki. Z ogromną finezją mówi pani o miłości i rodzicielstwie – zauważył.

– Ja? Z literatki? – uśmiechnęła się.

Kolejna osoba robiła z niej artystkę!

– Co prawda w młodości uwielbiałam polski, ale musiałam gdzieś w ciągu życia minąć się ze swoim powołaniem w tym kierunku. Chociaż uporczywie powtarzałam jako dziecko, że zostanę polonistką.

– Niesłychane.

– Trochę tak.

– Będę bardzo wścibski, jeśli zapytam, którego z poetów lubiła pani najbardziej?

– Ja też pana biorę na spytki, więc chyba nie. Byłam wielką miłośniczką Petrarke. Kiedyś w liceum powiedziałam nawet na lekcji, że pokocham każdego mężczyznę, który napisze dla mnie chociaż jeden sonet z motywem *donna angelicata* – odpowiedziała, a jej fiołkowe oczy natychmiast rozbłysły na wspomnienie tamtej sytuacji.

Kąciki ust Krzysztofa uniosły się natomiast delikatnie na samo wyobrażenie czytającej poezję Martusi.

– I co, znalazła pani swojego Petrarke? – zapytał, zerkając w jej stronę z ukosa. Ta kobieta kryła w sobie jakąś niesamowitą magię i emanowała tajemniczością.

– Niestety, nie. I powiem panu, że żaden nawet nie spróbował. Może to dlatego, że mało kto o tym wie.

– Stawia pani kandydatom na tego jedyne dość wygórowane oczekiwania.

– Wygórowane? – prychnęła. – Kiedy przechodziłam fascynację Nicholasem Sparksem, to dopiero stawiałam wymagania! Pewnie nie kojarzy pan historii ze „Szczęściarza”, ale była to pierwsza powieść tego autora, którą przeczytałam. Główny bohater znalazł podczas swojej ostatniej wojskowej misji zdjęcie kobiety zagrzebane w piasku. Po powrocie do Stanów przeszedł na pieszo prawie cały kraj, żeby ją odnaleźć!

– Niech zgadnę, kazała pani swoim kandydatom chodzić setki kilometrów?

– A tam setki! – pochyliła się do przodu, a jej twarz wręcz promieniała. – Wystarczyłoby tylko, żeby przeszedł dla mnie cały kraj – zaśmiała się, wypełniając ciepłą przestrzeń salonu swoim głośnym śmiechem. – A pan? Ma pan swojego ulubionego poetę czy nie czytuje pan poezji?

– Jakżeby śmiać nie czytać! Przecież jestem pedagogiem! – zachnął się, jakby został posądzony o co najmniej świętokradztwo. – Jak to mówił poeta, poezja łagodzi obyczaje. Ja najchętniej czytuję księdza Jana – powiedział i łypnął na nią wzrokiem.

Kąci jej ust uniosły się nieznacznie.

– Niech zgadnę, „Bliscy i oddaleni”?

– Ciepło, ciepło – tym razem to on się roześmiał. – Ale najchętniej „Ankieta”.

– Strzelałabym w to w drugiej kolejności.

– No i trafiłaby pani idealnie. Lubię białe wiersze. Dopiero w nich potrafię znaleźć coś więcej. Rymy mnie nudzą, chociaż tworzenie ich jest niewątpliwie wielką sztuką. Ale skoro nie jest pani poetką, to czym się pani zajmuje?

– Jak już powiedziałam, musiałam przerwać swoje studia...

– Co pani studiowała?

– Psychologię. Zawsze marzyłam o tym, żeby pracować z dziećmi, a to wydało mi się ciekawą opcją. Myślę, że byłam w tym całkiem dobra. Niestety – uśmiechnęła się gorzko. – Nie miałam zbyt dużo czasu, by się o tym przekonać. No a w Anglii, żeby się jakoś utrzymać, zrobiłam kurs florystki. Przez ostatnich kilka lat pracowałam w kwiaciarni.

– Kwiaty to też w pewnym sensie poezja – stwierdził, nie mogąc przestać z zaciekawieniem przyglądać się jej twarzy, a raczej wyrazistym rysom, które kogoś mu przypominały.

– Szczególnie ich sekretny język. Wiedział pan, że kwiaty też do nas mówią?

Zrobił zaciekawioną minę.

– Musi mi to pani kiedyś dokładniej wytłumaczyć.

W jej głowie ponownie pojawiła się dracena.

– Niech mi pan wybaczy, że będę nieprzyjemna, ale nie posądzałabym pana o zamiłowanie do poezji – postanowiła zignorować jego propozycję i powrócić do poprzedniego wątku rozmowy.

Pochylił się w jej stronę nieco bardziej.

– Miała pani na myśli, że w pierwszym kontakcie okazuję się sukinsynem? – zapytał, ściszej głos.

Aż ją zatkało.

– Ja....

– Niech się pani nie martwi, nie pierwsza mi to pani mówi. Psycholog, do którego niegdyś chadzałem, nazywał to mechanizmem obronnym przed kolejnym... – zamyślił się w poszukiwaniu dobrego słowa. – ...zawodem miłosnym. Jakkolwiek żałośnie to nie zabrzmiało, nieświadomie zachowuję się tak, żeby nie zostać skrzywionym. To taka moja... naleciałość.

– Powinam więc pana za to przeprosić.

– Żeby miała pani za co, skoro to ja byłem nieprzyjemny! Po prostu udajmy, że wcale się to nie stało – zaproponował ugodowo.

Skinęła głową. Uznała jednak, że nie powinna teraz mówić mu o swoich nieudanych kontaktach z mężczyznami. Nie było sensu psuć sobie tego wspaniałego wieczoru przykrymi wspomnieniami.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się jej dłuższym milczeniem.

– Tak, tak. Dziękuję – popatrzyła na wiszący obok kominka zegarek, który wskazywał już prawie północ.

– Późno się zrobiło – widząc, w którą stronę powędrował jej wzrok, powiedział Krzysztof i uniósł się z fotela. – Pościelę pani na górze.

– Nie trzeba. Mógłby mi pan po prostu dać pościel i ja...

– Jest pani moim gościem – wpadł jej w słowo. – Nie przyjmuję tu ludzi zbyt często, a już tym bardziej takich kobiet jak pani. Pościelić dla pani to będzie dla mnie prawie jak zaszczyt. Niech mi pani tego nie odbiera.

Martusia podeszła do niego i dopiero z tej odległości dostrzegł, jak bardzo intensywny kolor mają jej fiołkowe tęczęwki. Mógłby patrzeć w nie ciągle...

Nagle poczuł, jak jego dłoń dotyka delikatnych pasm jej kasztanowych włosów. Były miękkie jak aksamit, a do tego pachniały tak przyjemnie, że...

Gwałtownie cofnął rękę, wracając do rzeczywistości.

Popatrzyła na niego zmieszana, a potem odchrząknęła nerwowo.

– Skoro tak, to chociaż panu pomogę – zaproponowała, odgarniając z twarzy włosy.

Krzysztof skinął głową. Był nie mniej zmieszany niż ona.

– Skoro tak, powinniśmy przejść na ty. Będę czuł się co najmniej dziwnie, wchodząc do sypialni z kobietą, z którą jestem per pan.

Zaśmiała się głośno i wyciągnęła w jego stronę dłoń. Chociaż wypowiedziane przez niego słowa były dość odważne, tym razem nie uznała ich za bezczelne.

– Marta.

– Krzysztof – uścisnął jej rękę, a potem zbliżył ją do ust.

Gdy tylko jego wargi dotknęły aksamitnej skóry Martusi, jej ciało przebiegł krótki, rozkoszny dreszcz, którego nie doświadczała od bardzo dawna.

– Ale, jak słusznie zauważyłaś podczas naszej wspólnej drogi do mojego domu, już to wiesz – zaśmiał się, widząc jej reakcję.

Powędrowali drewnianymi schodami na górę, żeby przygotować dla niej jakieś wygodne poślanie.

– Mam nadzieję, że tutaj będzie ci wygodnie. Z okna rozciąga się widok na rzekę i stare koło młyńskie – powiedział, otwierając jedne ze znajdujących się przy korytarzu drzwi.

Ten pokój też cały wyłożony był drewnem i Martusia przez chwilę poczuła się jak w jakimś górskim pensjonacie.

– A ja mam nadzieję, że nie policzysz mi drogo za ten nocleg – powiedziała, rozglądając się po małej, przyjemnej sypialni, w której królowały delikatne dodatki w odcieniach błękitu i beżu. Podobnie jak w sypialni, którą przygotowała dla niej ciotka Halina.

Czy im wszystkim kojarzyła się z lodową księżniczką?

Uśmiechając się sama do siebie, popatrzyła na twarz dyrektora. Podczas rozmowy przy kominku zyskał jej wielką sympatię, której za nic w świecie nie potrafiła racjonalnie wytłumaczyć. Nie wspominając o przedziwnym, wręcz magnetyzującym przyciąganiu, jakiego doznała, gdy musnął jej rękę.

– Jakoś się dogadamy – roześmiał się gardłowo, chociaż w jego głowie wymalowała się mało przyzwoita wizja Martusi tonącej w jego objęciach. Do tego ta jej lśniąca, gładka skóra, będąca na wyciągnięcie ręki, i oczy. Już niemalże słyszał w głowie jej urywany oddech, gdy...

– Chciałabym jeszcze skorzystać z łazienki – wyrwała go ze świata fantazji.

– Tak, tak – odchrząknął. – Ostatnie drzwi na lewo. Idź, a ja nałożę poszewki – wskazał tylko drzwi, skutecznie unikając jej spojrzenia. Kiedy wyszła, wyjął z szafy wyprany w kwiatowym płynie do płukania komplet białej pościeli w niebieskie kwiatki i ubrał w nią poduszkę i kołdrę, a potem przysiadł na jednym z foteli, wpatrując się w padający bez przerwy śnieg.

Obecność Martusi w jego osamotnionym domu wydawała mu się jak najbardziej na miejscu i nieco przerażała go ta spontaniczna myśl. Poza tym, mimo usilnych starań nie mógł przestać wyobrażać sobie jej drobnej sylwetki leżącej w tym łóżku i ...

– Jestem – wracając do pokoju, obwieściła Martusia.

– Tak – znowu odchrząknął i zerwał się na równe nogi. – No to zostawiam cię tutaj i dobrej nocy – powiedział, sprawnie wycofując się w stronę drzwi.

– Krzysztof? – usłyszał jeszcze za sobą jej głos i momentalnie odwrócił się na dźwięk swojego imienia.

– Chciałabym podziękować ci za tę gościnę i bardzo miły wieczór. Dawno tak nie odpoczęłam – wydusiła na jednym oddechu, nerwowo przeczesując palcami swoje krótkie włosy.

Tak bliska obecność Krzysztofa sprawiała, że po jej ciele rozchodził się przyjemny dreszczyk. Przez jej głowę przemknęła szalona myśl, że może by jeszcze tego wieczoru nie kończyć.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Czy ty mógłbyś mi jeszcze powiedzieć, gdzie jest twoja sypialnia? – wypaliła bez zastanowienia, lustrując jego twarz wzrokiem.

Myśl, że jego policzki też były zaróżowione jak jej, odbiła się głośnym echem po całym jej ciele.

Popatrzył na nią lekko zmieszany.

– Na końcu korytarza, ale po prawej.

– Dziękuję.

– Masz zamiar mnie odwiedzić? – powiedział nieco bezczelnie, a jego oczy rozbliły.

Zaśmiała się.

– Raczej nie dziś. Po prostu nie zawsze czuję się bezpiecznie w nowych miejscach i...

– Wolisz wiedzieć, do kogo uciec w razie koszmarów. Rozumiem – dokończył za nią, przesuwając się nieco do przodu.

Martusia nerwowo przełknęła ślinę i przestąpiła z nogi na nogę, a potem uniosła twarz tak, by stać na wprost niego. Oczy w oczy. Twarz w twarz. I te jego miękkie wargi, które...

Aż zachłysnęła się chwilą, w której poczuła jego oddech na swojej szyi, a potem delikatne muśnięcie jego ust w tamtym miejscu.

– Ja... – szepnęła niemalże bezgłośnie, ale on nie dał szans wypowiedzieć jej niczego więcej, bo już za moment jego wargi znalazły się na jej wargach i szaleńczo wyciskały na nich swoją obecność.

Martusia zadrzała, czując, jak napiera na nią całym ciałem, i wsunęła palce w gęste włosy Krzysztofa. Zupełnie zatraciła się w jego smaku i oszałamiającym zapachu. Obecność tego mężczyzny paraliżowała ją całą i sprawiała, że zaczęło jej się kręcić w głowie. Świat zawirował w szaleńczym tempie. Chciała, żeby ten pocałunek trwał w nieskończoność i...

– Ja też... – Krzysztof odsunął się od niej w końcu, delikatnie gładząc jej zaróżowione policzki.

Gwałtownie otworzyła oczy i popatrzyła wprost w jego błyszczące tęczówki. Na jej usta wypłynął pełen kokieterii uśmiešek.

– To miało znaczyć, że życzysz mi dobrej nocy? – zapytała po chwili, nie przestając się uśmiechać, i mocniej przytuliła policzek do jego dłoni.

– Tak – odpowiedział, nachylając się do niej jeszcze raz. – To miało znaczyć kolorowych snów.

I pocałował ją jeszcze raz, a potem jeszcze i gdy już prawie leżeli na łóżku, Martusia w końcu

oprzytomniała.

– Wybieraj tego właściwego mężczyznę – pojawiły się w jej głowie uciążliwie powtarzane przez przyjaciółkę słowa.

– Powiniennem już chyba iść, prawda? – popatrzył na nią, gdy odsunęła się na kilka centymetrów, chcąc dać mu do zrozumienia, że ma swoje granice.

– Nie gniewaj się, ja po prostu...

– Csi... – zamknął jej usta, ale potem zabrał dłonie z jej ciała i odsunął się trochę. – Jeszcze raz dobrej nocy – powiedział, wychodząc w końcu z sypialni, i szedł na dół, żeby wygasić ogień w kominku.

Martusia natomiast zgasła światło i położyła się spać w ciepłym swetrze pachnącym Krzysztofem. Jego zapach działał kojąco na jej rozszalałe po całej tej sytuacji zmysły. Gdy tylko przyłożyła policzek do wykrochmalonej pościeli, od razu odpłynęła w błogą krainę nieświadomości, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, że z powodu jej osoby Krzysztof nie mógł spać i siedział przez całą noc w salonie, wpatrując się w miejsce, w które wpasowała się idealnie podczas ich długiej, wieczornej rozmowy.

Krzysztof westchnął kolejny już raz tej nocy, patrząc na zegarek.

Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz spędził wieczór z kobietą. Chociaż miał w Sosenkach opinię Casanovy, prawda była taka, że od pamiętnego zawodu w młodości unikał ich jak ognia. Nie wdawał się w żadne poważne relacje, wolne związki, a nawet przelotne romanse. Podrywał kobiety, odzywał się do nich w chamski sposób i tyle. Wszystko to było jednak tylko maską ukrywającą jego prawdziwą twarz, która stanowiła rodzaj obronnego muru. Krzysztof wiedział, że róże zwykle mają kolce, a pokrzywy, choć pięknie kwitną, potrafią poparzyć. Mimo że kobiety pociągały go, i to bardzo, nie zamierzał przed żadną z nich już nigdy się otworzyć. Przeżył swoją wielką miłość? Przeżył. Wystarczy.

Świadomość, że pokazał jej się w tak intymnej sytuacji, jaką była szczerza rozmowa, znaczyła dla niego o wiele więcej niż pocałunki. Ta kobieta miała w sobie coś wyjątkowego. Z jej oczu biła trudna do opisanego magia owiana nutką tajemnicy. Miał wrażenie, że ona była taka sama jak on. Skrzywdzona i zdystansowana wobec świata, a przede wszystkim ostrożna w zdradzaniu informacji o sobie. Choć rozmawiali ze sobą cały wieczór, on nadal wiedział o niej tyle, co nic.

Martusia była dla niego nie tylko jak fiołek, ale i begonia. Skromna wartość idealnie komponująca się z ostrożnością. Oszłamiająca mieszanek spędzająca z powiek sen.

Przymknął oczy i jeszcze raz wrócił myślami do tych pocałunków. Jego oddech przyspieszył i choć mocno starał się nad nim zapanować, nic z tego nie wyszło. Choć jemu samemu wydawało się to dosyć banalne, poczuł, że w jednej chwili stracił głowę dla tej kobiety. I że to już nigdy się nie zmieni.

Martusia obudziła się przed wschodem słońca w pachnącej mięętą kamienicy, w której mieszkała od prawie pięciu lat. Leniwie sączące się do środka przez odsłonięte zasłonki słońce rzucało na niedużą sypialnię swoje jasne promienie, czule muskając jej ręce i czoło. Marysia spała spokojnie w swoim pokoju, który połączony był bezpośrednio tylko z sypialnią, podobnie jak zaledwie kilkudniowy Krzys, choć ten drugi leżał w łóżeczku obok łóżka matki.

Marta po cichu podeszła do drzwi, starając się nie obudzić noworodka, i niemalże bezszelestnie przekręciła klucz, który spędził w zamku całą noc. Potem ostrożnie wyjrzała do salonu. Tak jak się spodziewała, na kanapie zastała śpiącego Daniela.

– Wróciłem na noc, nie martw się – powiedział cicho, otwierając jedno oko.

Podeszła do niego niepewnie i przyjrzała się jego muskularnej sylwetce przykrytej zielonym kocem.

– Piłeś?

– Tylko trochę – wymamrotał słabo i nakrył twarz kocem jeszcze bardziej.

– Świetnie – skomentowała jego zachowanie.

– Jak dzieciak?

– W porządku – zostawiła go w końcu i podeszła do aneksu kuchennego, żeby zaparzyć sobie kawę.

Niby karmiła Krzysia, ale bez kofeiny nie wyobrażała sobie życia i lekarz pozwolił jej pić jedną słabiutką dziennie.

– Będiesz tak hałasować? – usłyszała donośny głos wydobywający się spod koca.

– Jak chcesz, to idź spać do sypialni.

– Nie mam ochoty.

– A ja mam ochotę na kawę. Nie będę cię za to przepraszać.

– Suka – jęknął, przekręcając się na drugi bok.

Martusia zmrużyła tylko oczy i na moment zacisnęła pięści, żeby wbijając w dłonie paznokcie, rozładować narastającą w niej złość, a potem wzięła głęboki wdech i wróciła do parzenia kawy, gdy rozdzwoniła się jej komórka.

Odebrała, nie zważając na starającego się spać mężczyznę.

– Amelia?

– To ja – usłyszała po drugiej stronie ożywiony, mimo porannej pory, głos przyjaciółki, która była właśnie w drodze do pracy.

– Coś się stało? – zapytała spokojnie, nalewając sobie aromatycznego wrzątku do białej filiżanki i podeszła do stojącego pod oknem stołu.

– To ja dzwonię, żeby cię o to spytać. Wrócił na noc?

– Tak.

– Czy on...

– Nie. Było naprawdę spokojnie – Martusia doskonale wiedziała, o co Amelia chce spytać.

– Posłuchałaś mnie i zamknęłaś drzwi na klucz, tak jak ci radziłam?

– Aha – skinęła głową, sama nie do końca rozumiejąc, dlaczego jej głos brzmi tak beznamiętnie.

– Zobaczymy się po południu, żeby pogadać?

– Po południu nie dam rady.

– W takim razie może lunch. Masz z kim zostawić dzieci?

– Poproszę sąsiadkę.

– Wspaniale! – ucieszyła się Amelia. – W tej restauracji naprzeciw mojego biurowca?

– Może być – upiła łyk kawy Martusia.

– Nie spóźnij się.

– Będę na czas.

– Na pewno wszystko jest dobrze? – zapytała jeszcze przyjaciółka.

– Na pewno. Do zobaczenia – rozłączyła się i w spokoju wypić kawę, obserwując przy tym życie toczące się za wysokim oknem, aż do momentu, gdy obudził ją płacz głodnego dziecka, a potem wstała Marysia.

– Ucisz w końcu to dziecko – stanął w drzwiach sypialni. Martusia obrzuciła go wzrokiem pełnym obrzydzenia.

– Dzieci płaczą – powiedziała wyjątkowo spokojnie, wracając do Krzysia i siedzącej obok niej Marysi, dzielnie podtrzymującej mu na brzuszku pieluchę.

– Robisz mi to na złość.

– Trzeba było nie pić przez całą noc. Nie miałbyś później kaca i nie wkurzałoby cię twoje własne dziecko – odpowiedziała, patrząc prosto w jego przekrwione oczy.

Przez chwilę mierzył się z nią wzrokiem, ale w końcu odpuścił i do jej uszu dobiegł tylko trzask zamykanych z wielkim hukiem drzwi wyjściowych.

– Daniel jest zły? – popatrzyła na nią Marysia.

– Trochę.

– Przez nas?

– Nie słońko, to nie nasza wina – uśmiechnęła się do córeczki. – Po prostu jest dzisiaj zły.

– Miał ciężką noc?

– Aha. Miał ciężką noc – powiedziała, wstając z Krzysiem w objęciach, i położyła maluszka do łóżka.

– Zjemy jakieś śniadanie? – zaproponowała natomiast Marysia.

– No pewnie. Co sobie życzysz?

– Naleśniki! – zawołała radośnie.

– Jesteś prawdziwym naleśnikowym potworem – Marta roześmiała się do niej i biorąc ją za rękę, przeszła do kuchni.

– Co będziemy dziś robić? – zagadnęła ją, siedząc na blacie, dziewczynka.

– Muszę zobaczyć się z cicią Amelią. Zostaniesz z Krzysiem u pani Dorotki?

– Super! Zawsze razem układamy puzzle – machnęła nogami, z hukiem uderzając nimi w szafkę.

Martusia popatrzyła na nią surowo, ale nie trwało to długo, bo zobaczywszy radosną minę dziewczynki, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Nawet w jej podłej sytuacji.

Po śniadaniu i odprowadzeniu dzieci do sąsiadki wsiadła do metra. Wysiadła z niego tuż pod biurowcem, w którym mieściła się siedziba gazety Amelii.

– Dzień dobry – powitał ją kelner, gdy weszła do ulubionej restauracji swojej i Amelii, w której mogłyby przesiadywać nawet godzinami, gdyby nie to, że ta druga ciągle spieszyła się do pracy.

– Miło pana widzieć – skinęła do niego z uśmiechem.

– To co zawsze?

– Poproszę.

– Pani koleżanka jeszcze nie przyszła. Stolik też ten co zawsze?

– Tak – roześmiała się i ruszyła w stronę najmiłszego zakątka w całej restauracji, w której o tej porze pachniało kawą i świeżymi, maślanymi rogalikami.

– Jestem! – dołączyła do niej po chwili zmachana przyjaciółka. Powitała ją typowym dla siebie cmoknięciem w policzek, a potem ściągnęła z szyi kolorową apaszkę, zdjęła płaszcz i rzuciła bez troski swoje rzeczy na niewysoki parapet.

– Wyglądasz, jakbyś co najmniej przebiegła maraton, a musiałaś przejść aż przez drogę.

– Miałam ważne spotkanie. Myślałam, że się spóźnię.

– Jesteś punktualnie.

– Ulga! – zaśmiała się Amelia. – Chociaż raz!

– Takie uroki bycia bizneswoman.

Amelia była redaktorką naczelną psychologicznego czasopisma. Otworzyła je zaraz po ukończeniu dwóch kierunków studiów, dzięki którym posiadała odpowiednie kwalifikacje. W przeciwieństwie do Marty, należała do tego typu kobiet, które dążą po trupach do celu i po prostu muszą osiągnąć w życiu sukces.

– No więc co nowego? – odezwała się w końcu Amelia, gdy kelner postawił przed nimi ich ulubioną kawę i koszyczek pełen maślanych rogalików, będących specjalnością tego miejsca.

– Zdecydowałam się.

– Dzięki Bogu! – zaklasnęła w ręce, sięgając po pierwszy maślany rogalik i poprawiła kręcone włosy, które plątały jej się gdzieś w okolicach ust. – Ale na co właściwie? – wbiła pytające spojrzenie we fiołkowe tęczęwki Martusi.

– Że od niego odchodzę.

– Mądra dziewczynka! Wiedziałam, że w końcu pójdiesz po rozum do głowy.

– Dzięki.

– Oj przepraszam, miałam na myśli raczej to, że facet, z którym się związałaś, okazał się ćpunem i hazardzistą, a nie, że jesteś głupia – z typową dla siebie bezpośredniością wypaliła Amelia, rozkoszując się przy tym pierwszym kęsem ciepłutkiego rogalika. – A co z odwykiem? Myślałaś już o tym, żeby go na niego wpakować?

– To, że postanowiłam od niego odejść, nie znaczy, że mam zamiar wysłać go na leczenie zamknięte, a potem pakować do więzienia.

– Czyli jednak nie zmądrzałaś... – opuściła rękę na stół.

– Dzięki... – ponownie mruknęła Martusia i zerknęła przez okno, za którym całowała się jakaś para nastolatków.

– Czy do ciebie nie dociera, że ten facet może w pewnym momencie okazać się niebezpieczny? Matko kochana, masz dwójkę małych dzieci, śpisz w swoim własnym domu zamknięta przed nim na klucz. To wydaje ci się normalne? Naprawdę?

– Nie wydaje mi się, ale zniszczyć komuś życie to jedno, a odejść od niego to drugie.

– Jak on przegrywa wszystkie twoje pieniądze i sprasza ci do domu bandę ćpunów, to nie niszczy ci życia?

Martusia patrzyła chwilę na obściskującą się parę, a potem odwróciła się w końcu do przyjaciółki.

– Co według ciebie mam zrobić?

– Mówiłam ci już, jakie są procedury. Idziesz na policję, mówisz, jak jest, zabierają go na przymusowe leczenie, a potem trafia za kratki na kilka długich lat za to, że się nad tobą znęcał. W dodatku narobił ci długów, niezgodnie z prawem. Bez problemu udowodnię mu oszustwo. Podobno z tamtej strony rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej.

– Po pierwsze, dobrze wiesz, że to wcale nie takie łatwe, jak powiedziałaś, bo takie sprawy ciągną się latami, a po drugie... Mam na niego tak po prostu donieść? – ściszyła głos, bacznie wpatrując się w twarz przyjaciółki.

– To nie będzie donoszenie, ale ochrona samej siebie. I dwójki małych dzieci – z uporem maniaczki powtórzyła Amelia, wodząc palcem po haftowanym obrusie, którym przykryty był ich ulubiony stółik.

– Nie jestem pewna, czy...

– Kiedy chcesz od niego odejść? – weszła jej twardo w słowa.

– Nie wiem jeszcze.

– Matko kochana! Myślałam, że już to wszystko obmyślałaś! W takim wypadku trzeba mieć konkretny plan, a nie działać spontanicznie!

– Dla ciebie to wszystko jest proste.

– A nie jest? – patrząc na Martusią spod byka, zamrugała rzęsami. – No dobrze, wiesz chociaż, dokąd chcesz uciec?

– Wracam do Polski.

– Poważnie?!

– Tak. Mam tam przecież dom po babci. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebym na jakiś czas wróciła w rodzinne strony.

– Wspominałaś kiedyś Danielowi o tym domu?

– Nie. Raczej nie – potrząsnęła głową. Krótko ścięte włosy musnęły lekko jej zaróżowione policzki.

– Chociaż z tym będzie dobrze. Nie będzie wiedział, gdzie ma cię szukać.

– Amelia...

– No co, no co? Staram się myśleć racjonalnie, skoro ciebie to przerasta.

– Wcale mnie to nie przerasta, po prostu...

– Mówiłam ci już, że jest taki typ kobiet, które ze stu porządnych zawsze wybiorą tego, który ma w sobie jakąś poważną zadrę – powiedziała jak rasowy psycholog Amelia, odrywając palcami kolejny kawałek rogalika, który miał trafić do jej ust. – To nie jest twoja wina tylko tamtego wypadku. Nie masz prawidłowego wzorca ojca. Odkąd tylko pamiętasz, twoje poczucie bezpieczeństwa było zachwiane i usilnie chwytasz się byle jakich mężczyzn, żeby mieć chociaż jego namiastkę.

– Kiedy ty to mówisz, to brzmi to wszystko raczej jak obelga.

– Staram się nie nazywać cię głupią, mogłabyś współpracować – uśmiechnęła się szeroko.

– Doceniam to. Naprawdę doceniam. Ale z tą wiedzą wcale nie jest mi łatwiej. Ona nie sprawia, że wiem, co mam robić i nagle mądrzeję.

Amelia zaśmiała się, widząc nieporadną minę Martusi.

– Pomogę ci z tym wszystkim – zapewniła.

Marta ściągnęła brwi.

– Nie rozumiem.

– Skoro ty nie masz zamiaru tego robić, to ja pójdę i zgłoszę go na policję.

– Co? – zrobiła wielkie oczy. – Ty chyba nie mówisz poważnie.

– Najpoważniej jak umiem. Skoro ty nie umiesz zadbać o siebie i swoje dzieci, ja poczuwam się do obowiązku, żeby to zrobić.

Martusia westchnęła cicho i popatrzyła na stojący na parapecie eukaliptus.

– Co się tak uśmiechasz?

– Według wiktorjańskiego słownika kwiatów eukaliptus oznacza ochronę.

– No widzisz! – Amelia zaklasnęła w dłonie. – Nawet kwiaty ci mówią, że nie masz się o co bać.

Wszystko będzie dobrze.

– Obyś miała rację – szepnęła.

– No pewnie, że mam. I z ogromną przyjemnością pójdę na policję. Nie mogę już patrzeć na tę jego zaćpaną mordę.

– Amelia... – zaprotestowała, słysząc język przyjaciółki.

– No co? Nie jest tak?

– Zapominasz o tym, że ja go kiedyś kochałam.

– Ale teraz go nie znosisz. Poza tym okazał się być dupkiem. No i zaczniemy od tego, że to nie była żadna wielka miłość, ale najzwyczajniejsze w świecie zauroczenie.

– Spłycasz.

– Może i tak. To ty masz duszę romantyczki, nie ja. Ja żyję w świecie realnym.

– Nie da się ukryć... – bąknęła Martusia.

Amelia uśmiechnęła się szeroko.

– No to zgadzasz się na to czy nie? Nie zrobię nic wbrew twojej woli.

Martusia westchnęła kolejny raz i lekko przejechała palcami po rosnącym w doniczce eukaliptusie, który zdawał się mówić do niej bezgłośnie, że nie ma się czego obawiać, bo w gruncie rzeczy to wszystko wyjdzie jej tylko na dobre.

Przymknęła na moment oczy i wygrzebała z pamięci obraz nieprzytomnego Daniela, gdy pierwszy raz zastała go w mieszkaniu po zażyciu narkotyków. Poczowała, jak żołądek wędruje jej do gardła. Potem przypomniała sobie, jak otworzyła list z banku, który obwieszczał jej, że na jej nazwisko został zaciągnięty potężny kredyt i...

– Zgadzam się – usłyszała nagle własne słowa.

Amelia niemalże podskoczyła na krześle.

– Naprawdę?!

– Tak. Pójdę tam z tobą. A potem będę przeciw niemu zeznawać. Może ja nie, ale moje dzieci zasługują na bezpieczne życie.

– Tak się cieszę! – słysząc jej słowa, Amelia zerwała się z krzesła i nie zważając na innych gości restauracji, wzięła przyjaciółkę w ramiona. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyła za nią Martusia i w spokoju dojadły lunch, a potem każda poszła w swoją stronę.

Amelia wróciła do biura i od razu rzuciła się w wir pracy, a ona przespacerowała się powoli ulicą i z przewietrzonym umysłem wróciła do kamienicy. Na policję poszły następnego dnia, a potem obie z niecierpliwością czekały na rozprawę. Daniel trafił na odwyk, Martusia nie musiała już zamartwiać się spłatą kredytu, bo wszystko przeszło na niego, i mogła w spokoju zorganizować swój powrót do Polski.

– Uważaj tam na siebie! – żegnała ją na lotnisku ubrana w czarną sukienkę Amelia.

– Będę, na pewno będę.

– I nie zakochuj się w pierwszym lepszym facecie, na którego wpadniesz.

Martusia popatrzyła na nią rozbawiona.

Amelia roześmiała się, trzymając nosidło z Krzysiem.

– No co? Tam już ci nie pomogę. Chociaż... – teatralnie przyłożyła palec do ust. – Jak będzie trzeba komuś walnąć w łeb, to ja chętnie.

– Ta, może od razu młotkiem!

– A czemu nie? – podchwyciła pomysł Amelia. – Dobry i młotek. No ale tak na poważnie, to dzwoń do mnie i pisz. Chcę wiedzieć o wszystkim. Dosłownie wszystkim.

Martusia pokiwała głową, nie przestając się śmiać.

– Tak mam.

– Mówię serio.

– Wiem przecież. Na pewno będę się odzywać. Możesz być o to spokojna. Dnia bez ciebie nie przeżyję!

– To właśnie chciałam usłyszeć. I pamiętaj...

– Tak wiem. Wybieraj z setki facetów nie tego, który od razu wpadnie ci w oko, bo bla bla bla – zażartowała, wyginając się na boki.

– Po prostu się o ciebie martwię.

– Ja o ciebie też, moja kochana pani bizneswoman. Na urlop przyjeżdżasz do mnie, postanowione!

– Jaki urlop? – Amelia rozłożyła ręce i obie wybuchnęły śmiechem.

– Powinniśmy już chyba iść – stwierdziła w końcu Martusia, zerkając na zegarek i prawie śpiącą na lotniskowym fotelu Marysię.

– Jest mi strasznie przykro, że mnie tutaj zostawiacie – Amelia uściskała ją serdecznie.

Martusię od razu ogarnął zapach jej duszących perfum idealnie pasujących do wizerunku kobiety sukcesu.

– A myślisz, że mnie nie? Skończ już się ze mną żegnać, bo nie wytrzymam i w końcu zacznę płakać.

– Ja już mam łzy w oczach.

– Kochana... – pogładziła ją po plecach i w końcu się od siebie oderwały.

– Spokojnego lotu – Amelia pomachała jej jeszcze, gdy razem z bagażami i dziećmi oddalali się w stronę wydłużającej się kolejki.

– Kochamy cię!

Tak właśnie skończyła się przygoda Martusi z Danielem, którego poznała zaraz po przylocie do Anglii.

Ale chyba właściwiej byłoby powiedzieć, że Martusi zdawało się wtedy, że ta część jej życia dobiega końca, bo strach przed zemstą Daniela towarzyszył jej w pewien sposób przez cały czas. Ostatnimi dniami wręcz obsesyjnie tłukł się w jej głowie.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że dziewczyna nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Czy to za sprawą podejrzenia brzmiących słów zielarki? Czy to właśnie jego miała na myśli, ostrzegając ją przed zbliżającym się niebezpieczeństwem?

Martusia obudziła się z prawdziwym mętlikiem w głowie, nie do końca rozumiejąc, dlaczego rozmowa z Amelią przyśniła jej się właśnie teraz. Właśnie dziś. Jeśli sny były prorocze, może ten miał ją przestrzegać przed wpakowaniem się w kolejny wielki błąd swojego życia?

Czy sen związany z Danielem miał coś wspólnego z pobytem u Krzysztofa? I dlaczego słowa Amelii wypisały się teraz w jej głowie jeszcze bardziej wyraźnie niż zwykle?

– Mogę? – zapukał do drzwi dyrektor, ubrany w kwiecistą koszulkę i spodenki o zbliżonym wzorze.

– Proszę! – odpowiedziała, słysząc jego głos, i podciągnęła kołdrę nieco bardziej, odrywając się przy tym od wspomnień aktywizujących się w jej głowie na hasło „Londyn”.

– Przyniosłem ci śniadanie.

– Naprawdę?! – zdziwiła się, gdy wszedł do środka z drewnianą tacką, na której stała szklanka soku pomarańczowego i naleśniki z bitą śmietaną.

– Wybacz. O tej porze nie mogłem dostać nigdzie żadnego kwiatka, który mógłbym ci tutaj położyć – uśmiechnął się, podchodząc do łóżka, i postawił śniadanie na jej kolanach.

Odgarnęła z twarzy niesforne pasma kasztanowych włosów, które przez noc zdążyły zacząć żyć własnym życiem.

– Mogę? – nachylił się w stronę łóżka i wskazał ręką na jego brzeg.

– Pewnie.

– Jak ci się spało? – zapytał, usadowiając się wygodnie na miękkiej kołdrze tuż obok nóg Martusi. – Podobno pierwszy sen w nowym miejscu jest proroczy.

– Ale czy to nie dotyczy miejsc, do których się przeprowadzamy?

Zamyślił się na chwilę.

– Może i dotyczy.

– Uff. Oby!

– A co, było aż tak źle?

– Nie po prostu... – popatrzyła na niego, biorąc do ręki sztucce. Starła się usilnie dostrzec w nim coś niepokojącego. – Po prostu wolałabym, żeby to, co mi się śniło, raczej nie miało żadnego odzwierciedlenia w przyszłości.

– To znaczy, że spało ci się źle.

– Nie! – zaprotestowała, uśmiechając się szeroko. – Po prostu to nie był dobry sen. To nie była dobra noc.

– Czy to jakiś sekret, czy powinienem zapytać? – popatrzył na nią z ukosa.

– Wolałabym na razie nie poruszać tego tematu – odpowiedziała wymijająco, nie chcąc zagłębiać się w swoje negatywne przeczucia co do jego osoby.

– No tak. Rozumiem.

– A tobie jak się spało? – zapytała, wkładając do ust pierwszy kęs naleśnika.

Ciasto było wyjątkowo pulchne i wydawało jej się, że wkłada do ust jedną z pianek, jakimi delectowała się w przeszłości Marysia.

– Też nie miałem zbyt dobrej nocy.

– Pyszne! – skomentowała śniadanie, przełykając kęs naleśnika, i popatrzyła na twarz Krzysztofa. – No

ale wracając do twojej nocy... Co było z nią nie tak?

– A będziesz się śmiać?

– No skąd! – ożywiła się.

– Nie mogłem spać.

– To przeze mnie?

Pachnącą żywicą sypialnię wypełnił gardłowy śmiech mężczyzny.

– W pewnym sensie tak...

– O nie... – Martusia zrobiła zmartwioną minę. – Przepraszam, naprawdę!

– Ale za co? To była bardzo przyjemna bezsenność – patrzył przez chwilę w fiołkowe oczy Martusi, aż ta pokręciła w końcu głową i wróciła do śniadania.

– Dawno nikt mnie tak nie rozpieszczał – stwierdziła, delektując się kolejnym kęsem słodkich naleśników.

– Musisz wpadać częściej.

– Bardzo chętnie, ale wolałabym w bardziej sprzyjających warunkach pogodowych. I może nie od razu na noc – roześmiała się, ignorując to, co zdawała się mówić do niej głowa.

– Czemu nie?

– Bo to trochę zbyt szybkie tempo?

– Skoro tak twierdzisz... Ja nie narzekam – zmrużył oczy. – Tak czy siak, musisz zobaczyć mój ogród, kiedy nie będzie tonął w śniegu.

– No właśnie, à propos śniegu. Wiadomo już, czy droga do Sosenek jest przejezdna?

– Tak. Dzwoniłem dzisiaj w tej sprawie do wójta i zapewniał mnie, że do południa będziesz już mogła dostać się do domu.

– Naprawdę?! – ucieszyła się.

– Aż tak ci u mnie źle? – popatrzył na nią z ukosa, mrużąc przy tym lekko oczy.

– Nie po prostu...

– Dzieci, rodzina, obowiązki.

– Dzieci i wujostwo – uśmiechnęła się szeroko.

– Dzwoniłem też do twojej ciotki, żeby przekazać jej radosną nowinę. Kazała ci powiedzieć, że z dziećmi wszystko w porządku, a samochodem też masz się nie martwić, bo gdy tylko drogi będą przejezdne, pojedzie po niego twój ojciec z Andrzejem, kimkolwiek ten drugi by nie był.

– To przyjaciel rodziny. Ale bardzo się cieszę. Podjedzie tu po mnie?

– A nie wolałabyś wrócić do domu ze mną? I tak będę jechał do szkoły w sprawach służbowych. Po co miałby nadkładać drogi?

Martusia patrzyła przez chwilę w jego błyszczące oczy.

– No dobrze, to ma jakiś sens.

– Wspaniale! A teraz wiesz co?

Martusia popatrzyła na niego pytająco, odstawiając na bok tackę ze śniadaniem, które pochłonęła w zawrotnym tempie.

– Może wybierzemy się na zimowy spacer, żebyś mogła zobaczyć mój ogród za dnia. Co ty na to?

– Czemu nie.

Skoro miała spędzić z nim jeszcze jakiś czas, wydało się to dobrym pomysłem. Nawet pomimo że trzęsa się na samą myśl o wystawianiu nosa poza jego ciepły, pachnący drewnem domek.

– Ach i jeszcze jedno! – puknął się w głowę.

Martusia przechyliła głowę na bok, przyglądając się uważnie, gdy jego dłoń powędrowała do jej twarzy, i kciukiem delikatnie otarł jej usta. Potem nachylił się, by lekko je pocałować.

– Miałaś tu coś – powiedział po cichu, odsuwając się od niej na kilka milimetrów.

Zaśmiała się.

– To naprawdę bardzo ciekawe – zdołała tylko wydusić, bo potem znowu zaczęli się całować.

Tak samo zachłannie jak wczoraj, chociaż o wiele bardziej odważnie.

– Ja też mam do ciebie jeszcze jedną sprawę – powiedziała, gdy w końcu oderwali od siebie swoje wargi.

– Zamieniam się w słuch.

– Chciałabym skorzystać z twojego komputera, jeśli to nie byłby problem. Muszę pilnie sprawdzić swoją skrzynkę mailową.

– No pewnie, nie ma problemu. Przyniosę ci laptop – powiedział, wstając z łóżka, i wyszedł do sypialni, zostawiając ją sam na sam z jej zaróżowionymi z pożądaniami policzkami.

Patrzyła jeszcze ułamek sekundy w stronę drzwi, a potem opadła do tyłu, wyrzucając w górę ręce. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak beztroska i szczęśliwa. Nawet niepokój związany z Londynem przy Krzysztofie odpływał gdzieś w cień.

– Och, widzę, że prawdziwie się u mnie rozgościłaś – skomentował jej pozycję Krzysztof, gdy ponownie pojawił się w sypialni.

– Masz bardzo wygodne łóżko. To dlatego.

– Musisz kiedyś wypróbować to w mojej sypialni. Ono jest dużo bardziej wygodne.

Martusia uniosła znacząco brew, słysząc jego śmiałe słowa.

– Och, nie patrz tak na mnie. To tylko luźna propozycja – roześmiał się i podał jej laptop. – Jest włączony. Korzystaj ile trzeba, poczekam na dole – powiedział tylko i już za moment usłyszała, jak stawia nogi na drewnianych schodach.

Kiedy wchodziła na skrzynkę mailową, na moment przestała oddychać i wsłuchiwała się w swoje bijące jak oszalałe serce. Przez panujące na zewnątrz warunki pogodowe strona ładowała się kilka minut. Oddech Marty z chwili na chwilę stawał się coraz płytszy, ciśnienie krwi wzrastało, a ręce zaczęły jej drżeć złowieszczo, uderzając lekko o brzeg laptopa.

Po wyrzuceniu kilku reklam dziewczyna dotarła jednak w końcu do rzucającego się w oczy maila od Amelii i najechała na niego kursorem, a potem kliknęła i z niecierpliwością wpatrywała się w ekran.

Chwila, podczas której ładowała się wiadomość, była chyba jedną z najdłuższych w życiu Martusi.

List od Amelii nie był długi, ale za to zwięzły i konkretny. Kobieta pisała, że policja udzieliła jej informacji o tym, że Daniel nadal przebywa na leczeniu zamkniętym, po którym bezzwłocznie zostanie umieszczony w więzieniu za handel narkotykami, zaciągnięcie na Martusię kredytu i przemoc psychiczną, której dopuszczał się wobec dziewczyny.

Wszystko było dobrze. Wszystko było pod kontrolą.

Ciałem Martusi wstrząsnął urwany szloch.

– Dzięki Bogu – wyrwało się jej na głos, kiedy skończyła czytać wiadomość i odetchnęła głęboko, nabierając w płuca ciepłego powietrza, po czym schowała twarz w dłoniach i zaczęła głośno szlochać. Czuła napływające, obezwładniające uczucie ulgi.

– Mówiłaś coś? – zajrzał do sypialni Krzysztof.

Martusia popatrzyła na niego pełnymi łez oczami. Przez zbierające się w nich słone kropelki jej tęczyówki wydawały się teraz jeszcze bardziej fioletowe.

– Matko kochana, ty płaczesz! – rzucił się do niej natychmiast i siadając na łóżku, wziął ją w ramiona.

Zapach jego perfum natychmiast musnął jej nos. Przyłgnęła do jego klatki piersiowej, zanosząc się szlochem. Stanowczo za często zdarzało jej się ostatnio zalewać łzami, nie wspominając już o wypłakiwaniu się w męskie ramiona.

– Wszystko jest dobrze – kołyszając ją lekko, szeptał do jej ucha Krzysztof.

– Tak. Wszystko jest dobrze – pociągnęła nosem i oderwała się w końcu od jego kwiecistej koszulki.

Na tkaninie została wielka, mokra plama.

– Nie przejmuj się tym – machnął ręką, widząc jej przepraszające spojrzenie. – Bardziej martwi mnie to, dlaczego płaczesz.

Uśmiechnęła się do niego przez łzy.

– To wyda ci się głupie, ale chyba ze szczęścia.

– Cóż... – popatrzył na nią zdezorientowany. – Chyba nie rozumiem kobiet.

– Ha! Nie martw się. To podobno przez macicę.

– Co?

– Starożytni Grecy wierzyli, że wszystkie emocjonalne anomalie u kobiet, a raczej objawy hysterii, wynikają z wędrówki macicy po ich ciele.

– Tak zupełnie poważnie? – zrobił rozbawioną minę.

– Najzupełniej! Jeśli usadowi się w wątrobie, to powoduje bezgłós i takie tam.

– Kobiety...

– Raczej mężczyźni. Tę głupotę wymyślił Hipokrates! – roześmiała się, ocierając łzy. – To co, idziemy oglądać ten ogród?

– Okej. Muszę się tylko przebrać. Potrzebujesz czegoś?

Pokręciła głową.

– Nie, dziękuję.

– W takim razie poczekaj na mnie moment – powiedział jeszcze i oddalił się do swojej sypialni. Za oknem nadal prószył śnieg. Jego płatki były o wiele lżejsze i mniejsze niż chociażby wczoraj.

– Jestem gotowy – zjawił się po kilku minutach.

W odczuciu Martusi ubrany był nieco bardziej przystępnie. Na nogach miał brązowe spodnie, a górną część jego garderoby stanowił czarny golf.

– Elegancko – powiedziała, robiąc kilka kroków w jego stronę.

– Elegancko dla eleganckiej kobiety.

– Biorąc pod uwagę fakt, że jestem ubrana w twój wielki sweter, to mało trafne określenie – zachichotała, gdy ruszyli schodami w dół, a potem włożyli kurtki i wyszli na mroźne powietrze.

– To co, spacer? – popatrzył na nią, gdy jej policzki zaróżowiły się jeszcze bardziej, a w kasztanowych włosach zaczął osadzać się śnieg.

– Pokaż mi, co masz w tym ogrodzie za cudeńka.

– Już się robi, madame. Tutaj na przykład mam okazałą kalinę.

– Pewnie pięknie pachnie wiosną i latem. Za każdym razem, kiedy wchodzisz do domu, musi czarować cię jej wyrazisty zapach.

– I bzyczenie buszujących w niej pszczoł. Nie sposób się z tobą nie zgodzić.

– Właściwie to wygląda wtedy podobnie. Też jest biała, tyle że zamiast kołderki ze śniegu pokrywają ją białe płatki.

– Twoja wiedza o roślinach jest naprawdę zadziwiająca – pochwalił ją.

– Może to bardziej sprawa rozbuchanej wyobraźni niż wiedzy? Ja raczej widzę rośliny oczami wyobraźni w czasie kwitnienia. Te wszystkie zapachy i barwy. W kwiatach jest coś magicznego. Nieraz mówią o ludziach więcej, niż oni sami chcieliby o sobie powiedzieć.

– Żeby je widzieć, musisz je znać.

– No dobrze, przyznaję. Może oboje mamy rację – uśmiechnęła się, a jej oczy błysnęły w słońcu, wspaniale kontrastując z białym puchem przykrywającym każdą powierzchnię znajdującą się wokół niej,

co niemalże odebrało głos Krzysztofowi.

– A tam? – wskazała dłonią na niewielkie drzewko rosnące wśród przykrytych śniegiem tawułów. – To judaszowiec?

– Południowy – skinął głową, dotrzymując jej kroku.

– Przecież to chyba najpiękniejsze drzewo świata!

– Ma wiele wspólnego z kolorem twoich oczu. Czy ty lubisz wszystko, co fioletowe? – uśmiechnął się, widząc jej niepohamowany entuzjizm.

Podeszła do drzewka i mimo ujemnej temperatury przejechała dłonią po jego oblepionym śniegiem pniu. W jej ruchach było coś magnetycznego i tajemniczego, co sprawiało, że zdawała się wyglądać teraz jak prawdziwa leśna wróżka uprawiająca swoje ogrodowe czary.

– Coś w tym jest – rozpromieniła się, słysząc jego słowa. – Wiesz, co zawsze wydawało mi się magicznego w tych drzewach? Że one kwitną nie tylko na gałęziach, ale wypuszczają kwiaty też z konarów drzew. Nie dość, że piękne, to jeszcze wyjątkowe. Rzadkie połączenie, prawda? Zwykło się przecież mawiać, że brzydkim można być na wiele sposobów, ale pięknym tylko na jeden.

– Musisz kiedyś zobaczyć go w okresie kwitnienia, kiedy wznosi się do góry nad białymi tawułami.

– Niesamowity widok, co?

– Nieraz mam ochotę walnąć się na trawę pod nim i nie przestawać na niego patrzeć.

– Ale wiesz, że to jego piękno bywa zdradzieckie? – uniosła brew.

– Ach, no tak. Judaszowiec. Zdrada.

– Imponujesz mi – zachichotała.

– To akurat nie było trudne. Zachwycasz się zdradzieckim drzewem?

– Moja przyjaciółka usilnie twierdzi, że mam słabość do zdradzieckich mężczyzn, więc pewnie też i do drzew.

– Ach tak. To brzmi bardzo ciekawie – popatrzył na nią i nie mogąc się powstrzymać, złapał Martusię za rękę i przewrócił ją w śnieg.

– Ej! – oburzyła się natychmiast. – Co ty robisz?! Puszczaj! – pisnęła i zaczęła się niebezpiecznie szarpać, kiedy Krzysztof runął obok niej, zanosząc się gromkim śmiechem.

– Korciło mnie, żeby zobaczyć cię leżącą w śniegu od wczoraj, kiedy to tańczyłaś w spadających z nieba płatkach. Twoje oczy aż gryzą się z tą bielą i wydają się jeszcze bardziej hipnotyzujące.

– Super. Ale puść mnie już.

– Jeszcze chwilę. Oj nic ci się nie stanie – uśmiechnął się szerzej i nachylił się, by ją pocałować. Dziewczyna sypnęła mu w oczy śniegiem, piszcząc przy tym głośno i kręcąc głową na boki jak szalona.

– Będę cała mokra. Chcę się już podnieść! Nie bądź dzieckiem!

– To ty piszczysz jak dziecko!

– Bo jak dziecko przewróciłeś mnie w śnieg.

– Nie ma w tobie za grosz szaleństwa!

– W tobie za to aż nadmiar – odcięła się, gdy udało jej się w końcu usiąść.

– I tak jesteś zachwycona tym, że leżysz teraz ze mną w zaspie.

– Jesteś bezczelny.

– Owszem. Ale nie możesz powiedzieć, że ci się to nie podoba – zaśmiał się tylko i zamknął jej w końcu usta śnieżnym pocałunkiem.

– Wracajmy już. Jesteś cała mokra.

– Dzięki komu?

– Przyznaję. Dzięki mnie – uśmiechnął się szeroko i zabrał ją do kuchni na obiad. Gdy jedli, rozdzwonił się jego telefon.

– Odbierz – spojrziała w kierunku brzęczącej komórki.

– To może być twoja ciotka.

– Tym bardziej powinieneś odebrać – popatrzyła mu prosto w oczy. W końcu odebrał telefon, wychodząc przy tym z kuchni.

– I co, kto to był? – zapytała po jego powrocie.

– Twoja ciotka.

– Drogi są już przejezdne?

– Tak. Kazała ci powiedzieć, że znaleźli w domu zapasowe kluczyki. Zgarnęli już z drogi mazdę pana Henryka i jedzie tu po ciebie niejaki Andrzej.

– To dobrze – Martusia uśmiechnęła się, słysząc jego słowa.

– Aż tak ci u mnie źle?

– Nie, raczej chodzi o to, że stęskniłam się za dziećmi. Od niepamiętnych czasów nie zostawiałam ich samych na noc. To mógł być horror dla obu stron.

– Na pewno nie było tak źle – stwierdził lekko, jak gdyby to, co powiedziała Martusia, nie miało dla niego większego znaczenia.

– Oby – odrzekła tylko i wróciła do obiadu, który po mistrzowsku przyrządził dla niej dyrektor.

– Pobyt u ciebie był dla mnie jak weekend w spa – odezwała się po chwili, gdy mężczyzna zebrał ze stołu talerze i wstawił je do zlewu.

– To komplement?

– Żyjesz trochę poza światem. Można się u ciebie zaszyć przed nim na jakiś czas, ale rzeczywistość domaga się, żeby wrócić do swoich problemów.

– Zawsze możesz tu przecież wrócić – popatrzył wprost w jej oczy Krzysztof.

Zawahała się.

– Twoje życie to bajka. Nie wiem, czy to do końca dla mnie. Przeraza mnie zarówno spokój, jaki tu tworzysz, jak i twoje dziecięce szaleństwo.

– Nie rozumiem.

Nie skomentowała jego słów, walcząc z natłokiem myśli, który pojawił się nagle w jej głowie.

– To znaczy, że na tym jednym dniu się skończy? Naprawdę? Nie dasz mi nawet szansy zaprosić się po ludzku na kawę w jakieś ustronne miejsce? Nic?

Patrzyła na niego przez chwilę. W oczach Krzysztofa było coś dziwnego, co sprawiało, że słowa tak bardzo uwielbiane przez Amelię powracały jej do głowy jeszcze głośniejsze niż zwykle. Na pewno był wspaniałym mężczyzną i to nie ulegało żadnym wątpliwościom, ale był niesamowicie dynamiczny i zachłanny. Całowała się z nim po zaledwie kilkudziesięciu minutach znajomości, a do tego ten jego cięty język i...

To zdecydowanie nie był bezpieczny mężczyzna, z jakim powinna spotykać się matka dwójki dzieci. Znając skłonność Martusi do zakochiwania, wpadłaby w jego sidła natychmiast, a życie u jego boku byłoby istnym szaleństwem pełnym wzlotów i upadków. Amelia nazwałaby go jednym ze stu, nie mówiąc już o tym, że każdy z kwiatów, którym się otaczał, zdawał się ostrzegać przed nim Martusią. Wszystkie one mówiły o szybkiej fascynacji, zdradzie i szaleństwie, a żaden o prawdziwej, długiej miłości. Przez lata pracy z roślinami nauczyła się ufać im bezgranicznie.

– Nie wiem, Krzysztof. Nie wydaje ci się, że ten dzień miał raczej mało wspólnego z rzeczywistością? Czy jest sens ciągnąć coś takiego? Jesteś wyjątkowym mężczyzną, ale wydaje mi się, że ty nie traktujesz kobiet do końca poważnie. Ten twój styl bycia... – nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

– To znaczy, że dajesz mi kosza już na starcie?

Popatrzyła na niego niepewnie z przyzwyczajenia, robiąc krok w tył. Tak na wszelki wypadek.

– Żyjemy w dwóch innych światach. Moje serce mówi „tak”, ale głowa powinna powiedzieć „nie”. Zawieranie znajomości w tak szybki i intensywny sposób już kilka razy mocno mnie zawiodło.

– Skąd wiesz, że między nami byłoby tak samo? Skąd wiesz, że ja też bym cię zawiódł?

– Nie wiem tego. Ale obawiam się, że z moim szczęściem do mężczyzn mogłoby być właśnie tak. Nie zrozum mnie źle. Tutaj nie chodzi o ciebie.

– Czy jest ktoś inny?

– Nie – pokręciła głową.

– A gdybyśmy trochę zwolnili?

Popatrzyła na niego i się zawahała. Jego propozycja brzmiała naprawdę mądrze i rozsądnie, chociaż Amelia z pewnością nie pochwaliłaby jej pchania się w nurty namiętności pod piękną przykrywką przyjaźni.

– To w takim razie o co chodzi? – chciał wiedzieć więcej, nie słysząc odpowiedzi na swoje pytanie.

– O moje doświadczenia z poprzednich związków – powiedziała w końcu. – Każdy z nich zaczynał się właśnie tak jak z tobą. Dziko i namiętnie. Jeden wielki wybuch emocji. Nie chcę przeżywać czegoś takiego kolejny raz. Mam dwójkę dzieci i potrzebuję stabilizacji.

– Dam ci ją... – zrobił krok w jej stronę.

– Krzysztof, ja nie... – zdołała tylko powiedzieć, kiedy podszedł do niej i niespodziewanie ujął dłońmi jej twarz, a potem mocno pocałował.

W jego pocałunku krył się niewyartykułowany żal, który poruszył do granic serce, ale jej głowa i cichy głosik Amelii mimo to mówiły coraz głośniej, żeby tym razem postąpiła inaczej niż zwykle.

– To niczego nie zmienia – cofnęła się bardziej.

Bała się, że jeśli pozwoli mu całować się jeszcze choćby przez chwilę, w końcu podda się i straci dla niego głowę.

– Nawet jednej randki?

Popatrzyła na niego smutno.

– Nawet każdy kwiat, którym się otaczasz, wskazuje na twoją niestałość – powiedziała, patrząc na niego. – Sam przecież mówiłeś, że nadal boli cię zawód miłosny z przeszłości i przez niego nie umiesz prawdziwie pokochać żadnej kobiety. Poranimy się tylko.

– A więc nic z tego.

– Przepraszam. Cudownie się z tobą bawiłam, ale ten dynamizm nie jest dla mnie. Muszę myśleć o dzieciach, a ten związek nie wyszedłby na dobre również i tobie. Jestem kobietą z przeszłością. Wydaje mi się, że zasługujesz na kogoś lepszego.

– „Jeśli to nie jest miłość – cóż ja czuję? A jeśli miłość – co to jest takiego? Jeśli rzecz dobra – skąd gorycz, co truje? Gdy zła – skąd słodycz cierpienia każdego?”^[1]

Uśmiechnęła się blado, słysząc, kogo cytuje.

– Nie pomoże tu nawet sonet, prawda?

– Jesteś świetnym mężczyzną, Krzysztof. Ale to szaleństwo i ono nie mogłoby się udać. Nie w prawdziwym świecie.

– Twoje argumenty zdają się brzmieć racjonalnie.

– Daliśmy się ponieść emocjom.

– To przez tę śnieżycę i kominek...

– Tak – uśmiechnęła się ciepło. – To na pewno ich wina.

– Myślisz, że kiedyś się jeszcze spotkamy? – zapytał już bez cienia żalu, gdy na jego podwórko zajechał nieznanemu mu dotąd samochód.

– Jesteś dyrektorem w szkole mojej córki, a to wskazuje na to, że na pewno.

– Chciałbym jeszcze kiedyś zobaczyć te twoje fiołkowe oczy. Są naprawdę magiczne.

– Mam nadzieję, że będziesz miał ku temu wiele okazji – uśmiechnęła się szeroko, zdejmując jego sweter.

– Możesz go zatrzymać.

– Czułabym się wtedy zobowiązana z tobą spotykać.

– No tak – westchnął, podając jej płaszcz, i odprowadził ją do drzwi.

– Nie wychodź. Jest naprawdę zimno. – Wspięła się na palce, żeby pocałować jego gładki policzek, a potem, nie odwracając się, pobiegła do samochodu, w którym czekał na nią Andrzej.

– Dobrze cię widzieć – przywitał ją.

– Ciebie też.

– Słyszałem, że miałaś szaloną noc – zaśmiał się, włączając radio, i wyjechał z podwórka Krzysztofa na oblodzoną drogę.

– O, nawet nie wiesz jak! – powiedziała, zapinając pas.

– Na szczęście już wszystko odśnieżone i możemy wracać do domu.

– Nie wiesz może, jak zniosły rozłąkę ze mną moje dzieci?

– O ile wiem, pani Halina spała w twoim łóżku z Marysią, a Krzys nie miał silnego napadu kolki, więc twoi rodzice jakoś sobie z nimi poradzili.

– Jesteś naprawdę kochany, że pomyślałeś o tym, żeby się tego dla mnie dowiedzieć.

– Zawsze do usług. Byłem pewien, że będziesz chciała wiedzieć – odsłonił w uśmiechu swoje białe zęby. – Wyglądasz jakoś markotnie. Coś nie tak?

– Nie, nie. Po prostu nie mogłam dziś spać – potrząsnęła głową, ale on nie przestawał jej męczyć. – No dobrze – westchnęła w końcu. Śnił mi się Londyn.

– To nie wróży dobrze?

– Sama nie wiem.

– Ach, właśnie! A jak mail od Amelii? Rozjaśniła ci sytuację? Wszystko okej?

– Tak. W Anglii wszystko w porządku. Nie mam o co się martwić.

– No to kamień z serca. Twoja ciotka mówiła, że naprawdę byłaś czymś przejęta. Cieszę się, że jest już dobrze.

– Ja też – zerknęła na chłopięcą twarz.

Na jego policzkach wciąż malowała się wyraźna opalenizna, która idealnie kontrastowała z ciemną, pikowaną kurtką i jasnymi włosami. Z pewnością wiele kobiet odwróciłoby się na jego widok i pisnęło z zachwytem. Dobrze zbudowana sylwetka Andrzeja nawet mimo grubej warstwy ubrań niemalże boleśnie kusila wzrok płci przeciwnej.

– No ale powiesz mi w końcu, co cię trapi, czy nie? – nalegał z uporem maniaka, chcąc poznać prawdziwe przyczyny smutku Martusi. Widok jej ponurej twarzy sprawiał, że jego serce zaczynało bić w jakimś nieznanym mu dotąd tempie.

– Po prostu ten Krzysztof... – zawahała się na moment. – On bardzo przypomina mi mężczyznę, od którego w pewien sposób uciekłam – powiedziała niepewnie, a potem Andrzej pociągnął ją za język i jemu również opowiedziała swoją historię związaną z powrotem do Polski.

– Beznadziejna sprawa. To właśnie dlatego kontaktowałaś się z Amelią? Żeby dowiedzieć się, co się z nim dzieje, tak?

Skinęła głową. Musiała przyznać, że Andrzej był o wiele lepszym słuchaczem niż jej ciotka, a jego obecność działała na nią po prostu uspokajająco. Jemu mogła powiedzieć po prostu wszystko, nie bojąc się oceny i zbędnej krytyki. Był zupełnie inny od mężczyzn, których do tej pory spotykała.

– Tak. To właśnie dlatego pisałam do Amelii.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? Mogłabyś przecież wysłać tego maila ode mnie, a nie jeździć po Polsce w poszukiwaniu sieci.
- Nie przyszło mi to do głowy.
- W takim razie z następnym niech przyjdzie! Martwiłem się o ciebie, kiedy zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem twoja ciotka. Gdyby nie to, że te drogi były naprawdę nieprzejezdne, to wsiadłbym w auto i sam po ciebie pojechał. A tak... musisz narażać się na stresy związane z jakimś tam Krzysztofem.
- Dobry z ciebie przyjaciel – powiedziała, słysząc jego szczere zaangażowanie i kończąc tym samym rozmowę na temat przeszłości.
- A z ciebie wyjątkowa przyjaciółka. Mimo że opowiadasz mroczne historie, dobrze się ciebie słucha.
- Wolałabym opowiadać ci bajki. Ciepłe i moralizatorskie, a do tego fikcyjne – zaśmiała się głośno.
- Twoja historia jest w pewien sposób moralizatorska – słusznie zauważył Andrzej. – Wiesz dzięki niej, jakich mężczyzn unikać, i unikasz ich.
- Niby tak, ale wcale nie jest to takie łatwe. Sytuacja z dyrektorem jest tego najlepszym dowodem. Chyba mam coś nie tak z genami. Może to już jakieś zaburzenie?
- Wiedziałaś, kiedy powiedzieć sobie „nie”, a to już naprawdę sporo.
- Pewnie masz rację. Wejdiesz na herbatę? – zapytała, gdy zaparkował samochód na podwórku jej wujostwa.
- Czemu nie – rozpromienił się w odpowiedzi i wysiadł z samochodu, żeby otworzyć jej drzwi. Potem udali się na gorący poczęstunek, który z powodu wyczekiwanego przez wszystkich powrotu Martusi przygotowała dla nich pani Halina.
- No, nareszcie jesteś. Schadzki to sobie urządza w innych warunkach, a nie jak ja tutaj od zmysłów odchodzę! – przywitała ją już w progu przewiązana fartuszkami ciotka.
- Ale jakie schadzki?
- Dyrektor to ciasteczko, każda we wsi ci to powie.
- Co? – roześmiała się, słysząc jej słowa. Określenie „ciasteczko” jakoś nie bardzo pasowało jej do wizerunku ciotki Haliny, a tym bardziej jej wieku.
- Ciotka chciała powiedzieć, że dobrze znów cię widzieć, kochanie – wyratował ją z opresji wuj Henryk i rodzinnie zasiedli do suto zastawionego stołu.

Martusia siedziała przy stole w jadalni, rozkoszując się wyjątkowo błogim momentem ciszy, których w Sosenkach nie było jej dane przeżywać zbyt często. Bujając zasypiającego Krzysia w wózku otrzymanym w prezencie od Iwonki, patrzyła przez okno na padający w najlepsze śnieg, który widać postawił sobie za cel jeszcze bardziej okryć okolicę. Z kuchni dolatywał do jej nozdrzy słodki zapach drożdżowego ciasta, pieczonego właśnie przez Michalinę, i nawet ciotka Halina, wraz z jej władczyim charakterem, zdołały się gdzieś ulotnić, zostawiając Martę sam na sam z myślami.

Jak to jednak bywa w sytuacjach, kiedy jest się matką, ta drobna chwila rozkoszy, która przytrafiła się dziewczynie, wcale nie trwała długo. Wejściowe drzwi do domu starszych państwa otworzyły się z wielkim hukiem i korytarz wypełnił się podniesionymi głosami trójki młodych ludzi. No dobrze, dwoje z nich było młodymi ludźmi, a trzecie dzieckiem, w dodatku weszli do domu oblepieni śniegiem z każdej możliwej strony, żywo przy tym gestykulując.

– Krzysiek śpi! – natychmiast wyjrzała na korytarz i od razu stanęła jak wryta, widząc Marysię, Agatkę i jej chłopaka Melchiora, którzy wyglądali jak trzy śniegowe bałwany. Ich kurtki, czapki i szaliki były

kompletnie oblepione białymi, śniegowymi kuleczkami, które powoli zaczynały się rozpuszczać, pozostawiając na podłodze coraz bardziej pokaźne kałuże.

– Przepraszamy, będziemy ciszej – pierwsza ugryzła się w język blondwłosa Agatka, przestając szarpać Melchiora za rękę. Byli tak dobrze dobraną parą, że Martusię aż uderzyło bijące od nich szczęście. Dziewczyna wiedziała od ciotki, że Agatka spotykała się z Melkiem w wakacje, ale bardzo szybko się wtedy rozstali. Po Melchiorze byli w jej życiu jeszcze inni chłopcy, lecz po pewnym czasie uświadomiła sobie, że to z Melchiorem chce być. I chociaż Agatka miała zaledwie kilkanaście lat, w mniemaniu Martusi była to naprawdę dobra decyzja.

Wracając jednak do tematu...

– Matko kochana, a co wam się stało? – Martusia zdołała wydusić, patrząc na czerwone jak buraki ręce i twarze całej oblepionej śniegiem gromadki.

– Mieliśmy kulig! – entuzjastycznie odpowiedziała jej Marysia, podskakując w górę jak piłeczka. Natychmiast wokół jej stóp powstała kałuża z roztopionego śniegu, co Martusia skwitowała tylko głośnym westchnieniem.

Dobrze, że pani Halina nie była świadkiem tego dramatu, bo młodzieży zaraz dostałoby się za wylewanie brudów na świeżo umytą podłogę, którą razem z Michaliną pucowały od samego rana.

– Kulig?

– No!

– Nie wiem, jak wy mogliście na kuligu tak obkleić się śniegiem! Przecież podczas kuligów jeździ się na sankach, a nie tarza w zaspach!

– No ale my mieliśmy taki superkulig, mamó! Melchior przyjechał do nas quadem i przywiózł na nim sanki!

– To wtedy się tak obkleiliście?

– Nie! – natychmiast odpowiedziały Martusi trzy rozentuzjasmowane głosy.

– Ach tak. Więc?

– No bo jak Melchior już do nas przyjechał z sankami, to musieliśmy je jakoś podczepić, więc postanowiliśmy przywiązać je do błotnika od jego quada – powiedziała Agatka. – Ale że to był jakiś dziadowy plastik, no to już na pierwszym zakręcie pękł i razem z Marysią poleciałyśmy w śnieg.

– Aha, więc to wtedy – pokiwała głową, wyobrażając sobie tę niebezpieczną dla jej córki sytuację.

– Nie! – natychmiast wyprowadził ją z błędu chór uniesionych głosów.

Martusia popatrzyła na nich niepewnie.

– Bo jak już nam się błotnik złamał, to postanowiliśmy przyczepić sanki za oparcie quada – tym razem pospieszył z wyjaśnieniami Melchior. – No i tak udało nam się dojechać do lasu, ale na tym ostrym zakręcie, na pewno wie pani którym, pękła nam linka i dziewczyny znowu poleciały w śnieg.

– Rozumiem. To było wtedy.

– Nie! – znów odpowiedział jej żywo podekscytowany chór.

– Bo jak już nam linka pękła, to przyczepiliśmy sanki na hol. Zawsze go na wszelki wypadek wożę pod siedzeniem, bo nie wiadomo, co się może zdarzyć, nie? A taki hol swoją wytrzymałość ma, no i co dwie takie kruszynki...

– Oj Melek – Agatka trąciła chłopaka w ramię, słysząc te słowa, widocznie będąc żywo połączona jego rzuconym mimochodem komplementem.

– No ale to wtedy się tak oblepiliście? – męczyła ich dalej Martusia, podczas gdy lodowe kulki rozpuszczały się z coraz bardziej zawrotną prędkością.

– Nie!

– A więc kiedy?

– Jak już jeździliśmy na holu, to w końcu podskoczyliśmy na jakimś dołku tak, że urwała się pierwsza deska od sanek i wtedy to tak porządnie spadliśmy... – powiedziała Agatka, a Martusię aż zabolalo, gdy wyobraziła sobie, jak jej córeczka spada z jakiejś horrendalnej wysokości, mocno waląc pupą o ziemię.

– Matko kochana...

– No ale to jeszcze nie koniec! Bo jak one tak spadły i wyrwała się ta deska, to najechał na nas jakiś traktor. Znaczy, no nie, że na nas wjechał, ale jechał tak szybko, że musieliśmy uciekać w las, a wie pani, ile teraz w nim zwierząt i jak niebezpiecznie – powiedział uniesionym głosem Melchior, a Martusi aż serce podeszło do gardła.

Jej dziecko miało dopiero sześć lat, a oni ciągną ją po jakiś ciemnych lasach na niepewnym sprzęcie! A gdyby im się coś stało? Przecież tam nawet nie było zasięgu!

– No właśnie, i jak uciekaliśmy, to sanki nam się połamały do końca i musieliśmy razem z Marysią zapakować się na quada.

– W trójkę? Na quadzie? Czy wyście pogłupieli?!

– Oj ciociu, a miałyśmy taki kawał iść z buta? W każdym razie jak jechaliśmy już do domu, to odpadło nam koło, quad się przewrócił i wtedy wpadliśmy w śnieg.

– Matko kochana, przewróciła się na was taka wielka maszyna? Toć to waży tyle, co słoń! – nie na żarty przejęła się Martusia i padła na kolana przed Marysią. – Nic ci nie jest, kochanie?! – zaczęła oglądać ją z każdej strony w poszukiwaniu jakichś cielesnych obrażeń. – Wszystko w porządku?

– Mamo, nie panikuj! – odsunęła się od niej już nie zaśnieżona, ale mokra dziewczynka. – To było naprawdę zabawne pchać ten quad do wsi razem z Agatką i Melchiorem.

– Pchaliście taką masę?!

– No a co mieliśmy zrobić, jak nam koło odpadło?

– Trzeba było zadzwonić.

– A tam zadzwonić!

– Przecież ty, mamusiu, zawsze mówisz, że trzeba być samowystarczalnym – błysnęła trudnym słówkiem Marysia, ściągając w końcu z głowy przemoczoną czapkę, z której ciurkiem pociekła woda.

– Ale ja jestem dorosła, a wy jesteście dziećmi!

– No właśnie mamusiu, właśnie. Ty już nie pamiętasz, jak super jest być dzieckiem! – podsumowała całą panikę swojej matki Marysia i zdjęła kurtkę.

Martusia nie mówiła nic przez chwilę.

– No coś w tym jest, ale ja w młodości nie miałam takich niebezpiecznych przygód. Przecież gdyby ten quad was przygniół albo przejechał was ciągnik? Co by było?!

– Oj ciociu, nie bądź nudziarą! Sama przecież zawsze opowiadasz, jak mama przejechała ci łyżwą po nodze i kazałaś się jej nieść z lodowiska do Sosenek. Wasze zabawy też nie były bezpieczne – postanowiła ukrócić panikę Martusi Agatka i pociągnęła w końcu Melchiora w stronę schodów.

– A wy dokąd?! – wparowała nagle na korytarz pani Halina, ubrana w swój wyjściowy kostium. – Matko kochana i co te kałuże robią na mojej podłodze?! Agata, czy ty możesz mi to jakoś wyjaśnić?! – uniosła głos starsza pani, złowieszczo biorąc się pod boki.

– Idziemy do łazienki, trzeba się przecież przebrać i wysuszyć – jak gdyby nic wzruszyła ramionami Agatka i razem z Melchiorem pobiegli na górę.

Wzrok pani Haliny przeniósł się natomiast na Martę klęczącą przed Marysią, która zdejmowała teraz buty.

– Niech ciocia tak na mnie nie patrzy. Nie będę tego cioci nawet opowiadać, bo już mi ciśnienie podnieśli. Urządzają sobie jakieś niebezpieczne zabawy i jeszcze wciągają w nie moje dziecko – burknęła w stronę ciotki, odbierając od córeczki przemoczone ubrania.

– Pewnie kulig sobie za quadem robili! Ja ci mówię, Martusia, raz z nimi byłam i jest przy tym tyle śmiechu, że aż trudno sobie wyobrazić! Linki pękają, paliwa braknie... Boki zrywać – zaśmiała się natomiast pani Halina. – Musisz kiedyś spróbować!

Martusia popatrzyła na nią, robiąc wielkie oczy.

– Ciotka też?!

– Oczywiście! Sama im kupuję sanki! No, ale tutaj trzeba Michalinę zawołać, niech posprząta. Ach, powiem ci, Martusia, tyle śmiechu z tymi dziećmi! Dobrze, że one są – uśmiechnęła się szeroko starsza pani.

Co jak co, ale o zamiłowanie do mocnych wrażeń to ciotki nie posądzała. Przecież jak człowiek w jej wieku by się połamał, to już go nie poskładają! Masochistka ta ciotka czy co?!

Szczelnie opatulona szalikiem Marta szła chodnikiem w pobliskim miasteczku i skupiała się na wręzonej przez ciotkę liście zakupów.

– Chleby są, mleko jest, sos pieczeniowy i pieczeń też – upewniała się na wszelki wypadek, wykreślając ołówkiem kolejne punkty z kartki. Podczas wizyty w supermarkecie kupiła już prawie wszystkie spisane przez panią Halinę produkty. Pozostały tylko warzywa i owoce. Pomidory, ogórki, winogrona i dwa kilogramy marchewki.

– Tylko pamiętaj, nie kupuj w żadnym podrzędnym supermarkecie, tylko jedź po nie specjalnie na targ! Te ze sklepów to witamin na oczy nie widziały. Nie będziemy się truć chemią – przed wyjściem kilka razy uczuliła ją ciotka, w wyniku czego Martusia zaparkowała właśnie samochód na parkingu niedaleko miejskiego targowiska i szła teraz w stronę kolorowych straganów.

– O, proszę! Co za spotkanie! – oderwał ją od ściskanej w dłoni listy znany męski głos. – Na zakupy?

Martusia podniosła wzrok i dostrzegła przed sobą zatrzymującego się na jej widok Krzysztofa. Mimowolnie się uśmiechnęła. W granatowej, pikowanej kurtce wyglądał naprawdę dobrze.

– Tak, na zakupy – odpowiedziała, rumieniąc się pod wpływem jego intensywnego spojrzenia, i uniosła do góry listę. – Ciotka wysłała mnie do miasta, żebym nie siedziała całe dni w domu. Podobno to dla mojego zdrowia.

Krzysztof pokiwał głową.

– Ma rację. Nie można zamykać się przed światem.

– A ty co tu robisz? – zapytała Martusia i nabierając w płuca mroźnego powietrza, wsadziła ręce do kieszeni.

– To samo co ty. O tej porze w miasteczku można robić chyba tylko to.

– Ach, no tak... – spuściła wzrok.

Krzysztof jednak nie chciał jeszcze kończyć tego ich przypadkowego spotkania.

– Więc idziesz na targ? Dużo masz na tej liście? – zapytał bez ogródek.

Marta pokręciła głową.

– Niedużo.

– Dużo czy nie, taka drobna kobieta jak ty na pewno potrzebuje tragarza. Potowarzyszę ci.

– Ale... – bąknęła niepewnie. Miała przecież nie spędzać z nim zbyt wiele czasu!

– Żadne ale – Krzysztof nie pozwolił jej na protesty. – Nie mógłbym potem spać przez świadomość, że zostawiłem cię samą z ciężkimi zakupami. Postanowione.

Martusia jeszcze przez chwilę miała ochotę coś powiedzieć, ale w końcu poddała się i uśmiechnęła do niego z wdzięcznością. Przecież to nie miała być randka sam na sam, ale przyjacielska pomoc w niesieniu

zakupów. Na to mogła się chyba zgodzić, prawda?

– Więc co u ciebie nowego od czasu naszego ostatniego spotkania? – gdy razem ruszyli w stronę targu, jak gdyby nigdy nic zagadnął Krzysztof. – Rzadko widuję cię w szkole.

– Bo ostatnio prawie tam nie bywam. Wuj Henryk odbiera Marysię. Mówi, że przez to czuje się młodszy. Nie mogę protestować.

– No tak, w takiej sytuacji chyba nawet nie powinnaś. Ale szkoda. Nie miałbym nic przeciwko widokowi twoich oczu na szkolnym korytarzu.

Martusia poczuła, jak wzdłuż jej kręgosłupa rozchodzi się przyjemny dreszcz. To, że nie powinna wchodzić z Krzysztofem w jakiegokolwiek relacje, nie oznaczało, że jej się nie podobał. Wręcz przeciwnie, przez jej głowę przemknęła myśl, że teraz, gdy był zakazanym owocem, mógłby smakować jej jeszcze lepiej...

Nie chcąc za bardzo przywiązywać się do tej myśli, Martusia potrząsnęła głową. Jej wzrok padł na wystawę mijanej właśnie kwaciarni, a dokładnie na okazały bukiet, w którym królowały wiosenne żonkile.

– No pięknie! – wyrwało jej się na ich widok. Że też nawet kwiaty muszą w tym momencie przypominać o pożądaniu, które wzbudzał w niej ten mężczyzna!

Krzysztof spojrzał na nią pytająco.

– Nic, nic – odpowiedziała wymijająco, rumieniąc się przy tym po uszy, i wtuliła policzki w gruby szalik. – A co słyhać u ciebie? Wszystko w porządku?

– Praca, praca i jeszcze raz praca.

– Zero czasu na przyjemności? – zapytała, zanim zdołała się ugryźć w język.

Krzysztof roześmiał się gardłowo, słysząc jej słowa, i dość jednoznacznie spojrzał w fiołkowe oczy.

– Tak. Żebyś wiedziała.

Zakupy zrobili dość szybko. Martusia skłonna by była kupić wszystko już przy pierwszym lepszym straganie, żeby mieć to z głowy, ale Krzysztof uparł się, aby poszli kawałek dalej.

– Zaufaj mi – powiedział. – Tutaj kobieta wepchnie ci wszystko jak leci, a tam dostaniesz świeżutkie warzywa. I w dodatku zapłacisz mniej. Mogę za to ręczyć.

Marta uniosła brew, ale posłusznie podreptała dalej po asfaltowej alejce.

– A więc przesiąkłeś tą okolicą tak bardzo, że masz już nawet swoje przyzwyczajenia, jeśli chodzi o to, gdzie robić zakupy? – zagadnęła.

Dyrektor nachylił się do niej konspiracyjnie.

– Powiem ci w sekrecie, że właściciel mojego ulubionego stoiska ma u mnie dług wdzięczności. Zatrudniłem w sekretariacie jego córkę i teraz robi dla mnie specjalne upusty.

– Czyli nawet u was na wsi wiodą prym jakieś szemrane interesy? No pięknie! – zachichotała Martusia.

– Oj, jakie tam szemrane! – Krzysztof machnął ręką. – Po prostu dobre uczynki wracają i tyle. Nie ma w tym nic tajemniczego.

– No dobrze, może coś w tym jest – Martusia przytaknęła jego słowom, a potem zrobili w końcu te zakupy.

– To wszystko? – zapytał, unosząc do góry trzy nieduże siateczki.

Dziewczyna wyciągnęła z kieszeni listę i wykreśliła z niej co trzeba.

– Tak – oznajmiła z radością, lustrując wzrokiem pogniecioną karteczkę, i ruszyli w drogę powrotną. – Mamy to.

– No to co, teraz gorąca herbata dla rozgrzania? Ja stawiam!

Już pod wpływem intensywnego spojrzenia, którym świdrował ją, składając tę propozycję, Martusi zrobiło się gorąco. Przecież miała się z nim nie spotykać!

Szkoda tylko, że całe jej ciało mówiło co innego...

– Cóż... – westchnęła niepewnie, czując na sobie jego wzrok. – To chyba nie jest najlepszy pomysł.

Powinnam wracać – powiedziała niechętnie.

Krzysztof natychmiast wyczuł w jej głosie wahanie.

– Ale przecież to tylko krótka, przyjacielska herbatka – spróbował je wykorzystać.

Martusia pokręciła głową. Nie powinna się na to zgadzać, ale wydawał jej się w tej granatowej kurtce tak bardzo pociągający...

– Ja... – zaczęła więc, patrząc mu w oczy, i już miała powiedzieć, że chętnie spędzi z nim czas, ale rozdzwonił się jej telefon. – Przepraszam na moment – mruknęła zdawkowo i wyciągnęła z kieszeni komórkę. – Tak?

– Gdzie ty jesteś, na litość boską! – po drugiej stronie rozległ się rozentuzjasmowany głos ciotki. – Krzyś drze się wniebogłosy i od pół godziny nie możemy go z Michaliną uspokoić. Dużo ci jeszcze zostało do kupienia z tej listy?!

Martusia poczuła, jak nagle uchodzi z niej powietrze.

– Nie, ciociu. Wszystko już kupiłam. Zaraz wracam – powiedziała, zerkając przepaszająco na Krzysztofa.

Słyszając jej słowa, spochmurniał.

– No i dobrze. Więc wsiadaj do auta i do domu. W te pędy! – rzuciła natomiast uszczęśliwiona ciotka i rozłączyła się bez pożegnania.

Martusia spojrzała dyrektorowi w oczy.

– Chciałabym, naprawdę, ale sam słyszysz, że nie mogę.

Krzysztof pokiwał głową.

– Jasne. Obowiązki wzywają – spróbował się uśmiechnąć. – No to o czym my wcześniej rozmawialiśmy? – wysilił się na entuzjazm i rozmowa wróciła do poprzedniego tematu. Gawędzili beztrudnie jeszcze przez kilka chwil, chociaż oboje czuli, że nie jest już tak przyjemnie, jak wcześniej.

Gdy dotarli do samochodu, pożegnali się szybko, Krzysztof przytulił ją na do widzenia i Martusia wróciła do Sosenek. Dopiero kiedy zaparkowała na podjeździe przy domu wujostwa, poczuła, że od myślenia o Krzysztofie aż cała drży.

– To nie jest odpowiedni facet dla ciebie – wyciągając kluczyki ze stacyjki, kilka razy głośno powtórzyła, a potem wzięła z bagażnika zakupy i pobiegła do domu, żeby zająć się Krzysiem.

W następných dniach w Sosenkach, a raczej domu wujostwa Martusi, panował chaos związany z nieoczekiwanym przybyciem nowych domowników.

– Pękł nam piec – stając w drzwiach razem z gromadką dzieci, zwierząt oraz walizek, obwieściła Iwonka.

– Ty nie mów, że pękł nam piec, ale że nawrzucałaś do niego jakichś opakowań po dezodorantach i coś w nim wybuchło – wtrącił się Jaruś, wciągając do środka największą walizkę, i głośno zamknął drzwi.

– A skąd ja miałam wiedzieć, że coś takiego się stanie, co? – kobieta posłała mu lodowate spojrzenie.

– Tak to właśnie jest, jak baby biorą się za coś, o czym nie mają bladego pojęcia. Chyba logiczne, że jak wrzucisz...

– Słucham?

– Mamo! – Agatka złapała matkę za rękę.

Jaruś skwitował to gromkim śmiechem.

– Masz rację, kochanie. Nie ma sensu wchodzić z kimś takim w dyskusję – starając się wyrównać bicie serca i oddech, wyszarpnęła córce rękę Iwonka, a potem, ignorując rozbawionego Jarusia, zwróciła się do pani Haliny, która w niespotykanym spokoju obserwowała tę krótką wymianę zdań. – Możemy zostać?

– A co mi do tego? Pół piętra odłogiem stoi, to się wprowadźcie – wzruszyła ramionami starsza pani.

– Świetnie! – ucieszyła się na cały głos stojąca w różowej kurtce Antonina. – Możemy mieszkać z Marysią? Będziemy jak siostry!

– Ależ naturalnie kochanie – trzymając w objęciach najedzonego Krzysia, uśmiechnęła się do niej Martusia.

– Super! – ucieszyła się też Marysia i chwyciła za ręce oboje bliźniaków. Od razu pobiegli na górę, żeby przepaść w pełnym zabawek pokoju na resztę dnia.

– Na długo zostajecie? – Marta zagadnęła natomiast Iwonkę.

– Jarek mówi, że trzeba wymienić piec i kilka dni to potrwa. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

– Ja? To wy tutaj jesteście u siebie. Zrobimy sobie jakąś herbatkę?

– O, my bardzo chętnie! – dołączył do rozmowy najstarszy syn Iwonki, Łukasz, pociągając lekko za rękę swoją ciężarną Magdę, która już niedługo miała urodzić mu dziecko. – Prawda Madzia?

– Prawda – dziewczyna skinęła nieśmiało głową, wprawiając przy tym w ruch burzę swoich rudych loków.

– No to wspaniale. Zapraszam was wszystkich do stołu! – ucieszyła się na głos pani Halina i pognąła do kuchni, by czym prędzej nastawić wodę na herbatę i nakroić ciasta. W korytarzu został siłujący się z walizkami Jaruś i rozgadana (przez telefon, rzecz jasna) Agatka. Po chwili dołączyli do reszty towarzystwa, przynosząc Martusi dobrą wiadomość.

– Uważaj Marta, mam dobre wieści! – oznajmił Jaruś, odsuwając sobie krzesło tuż obok Iwonki. – Znalazł się kupiec na ziemię twojej babci.

– Naprawdę?! – zapytały równocześnie pani Halina z Martusią.

– No – skinęła głową Iwonka. – Wiedzieliśmy o tym już wcześniej, ale kazałam Jarkowi zadzwonić do gościa po ostateczną decyzję, żeby nie zapeszać, nim wszystko będzie pewne.

– O matko kochana, ależ to przecież wspaniała nowina! Zwykle przecież kupcy nie znajdują się zimą, a tu bach!

– No ale powiedzcie nam więcej! – pochyliła się do przodu zniecierpliwiona dziewczyna, ściągając przy tym lekko haftowany obrus, na którym pojawił się właśnie apetyczny serniczek.

– To jest mój kolega, z którym razem byliśmy w szkółce policyjnej. Żona go męczy, żeby przenieść się na wieś, mieli odłożone pieniądze i kiedy tylko dowiedzieliśmy się z Iwoną o tym, że chcesz sprzedawać swoją ziemię, to pozwoliłem sobie do niego zadzwonić. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

– No pewnie, że nie mam!

– On nie jest zainteresowany domem, bo mówiłem mu, że to chałupa raczej w nędznym stanie, ale samą ziemią. Położenie jest dla niego idealne. Kawałek za wsią, pod lasem... Pytanie tylko, ile ty byś chciała za tę ziemię wziąć, bo oni na pieniądzach nie śpią i to dla nich sprawa priorytetowa.

– Nie no, skoro jest kupiec, to jakoś się przecież dogadamy. Czy mógłbyś dać mi do niego numer telefonu?

– Pewnie, ale on chce tutaj na dniach przyjechać i wszystko obejrzeć!

– W zimę? – zdziwiła się dla odmiany pani Halina. – Toć to trzeba rozumu nie mieć.

– On chce żonie zrobić niespodziankę. Rocznicę ślubu mają w Boże Narodzenie i im szybciej, tym dla niego lepiej.

Martusia nie mogła ukryć swojego entuzjazmu.

– No ale to przecież fantastycznie! Nie sądziłam, że do wiosny w ogóle ktoś się tym zainteresuje!

– Prawda? – uśmiechnęła się do niej Iwonka.

– Muszę w takim razie zacząć rozglądać się za czymś swoim!

– Ale po co? Mogłabyś zamieszkać u nas na stałe!

– Ciociu, już to przerabialiśmy... Mówiłam cioci, że to miejsce wywołuje we mnie zbyt wiele bolesnych wspomnień – Martusia popatrzyła na nią nieco pretensjonalnie. – Mam całe życie dziecko w domu ukrywać, bo ciocia tak chce?

– Zima jest, to nie ma co go ciągać po dworze! – przypomniała jej stanowczo pani Halina.

– Pamiętam.

– No ale wracając do tematu... sama mówiłaś, że czujesz się już lepiej.

– Bo uspokoiła mnie Amelia, ale to nie oznacza, że chcę tu zaraz mieszkać.

– No właśnie! Daniel siedzi na odwyku. Nie będzie cię tutaj szukał. Twoje dziecko do szkoły tu chodzi, męża też ci jakiegoś znaleźć z Iwoną możemy, prawda?

– Ciociu!

– No co ciociu, no co? Życie ci się w końcu stabilizuje, a ty chcesz stąd uciekać.

– To wcale nie tak, dobrze ciocia wie.

– Wmawiasz sobie jakieś urojone lęki.

– Wcale nie wmawiam!

– Ja tam w tą całą psychologię nie wierzę. Wszystko są w stanie człowiekowi wmówić.

– Tak? A słowami zielarki jakoś się ciocia przejęła, chociaż to już w ogóle nie nauka!

– No właśnie – zamyśliła się starsza pani. – Może ona chciała cię przed wyjazdem z Sosenek ostrzec, skoro nie przed Danielem?

– No nie wiem... – Martusia zawahała się, układając sobie w głowie te słowa.

– Ale mogło tak być, prawda? Mogło? – ciotka usilnie chciała postawić na swoim.

– Ja tam już w te jej słowa nie wierzę. Nic się nie dzieje od kilku dni, a ja wystarczająco mocno się przeraziłam. Jak widać, niepotrzebnie.

– Wiesz co, Martusia, ty to jesteś taka powsinoga jak nasz dyrektor – powiedziała po chwili milczenia starsza pani. – Ty nie myślałaś o tym, żeby się z nim jakoś tak bliżej poznać? – zapytała niewinnie, w odpowiedzi na co Martusia zaczęła dusić się właśnie przełykaną herbatą.

– A widzisz! – uradowała się starsza pani. – Toć to znak!

– Ja ciocię błagam, każdy, ale nie dyrektor.

– A co z nim nie tak?

– Po prostu...

– Halina, dałabyś jej spokój – wtrącił się do rozmowy siedzący do tej pory pokornie Henryk. Chyba przeczuwał, co też Martusia chce powiedzieć. Dla niego było wręcz oczywiste, że dyrektor dla dziewczyny się po prostu nie nadawał. Szalone toto. Bezczelne i nie wiadomo skąd, w przeciwieństwie do takiego Andrzeja, który swój chłopak i w dodatku znajomy.

– No ale źle mówię? On też miastowy chłopak. Mądry, przystojny. Co o nim myślisz, Martusia?

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy wyrwana znienacka do tak trudnej odpowiedzi.

– No wiecie... – odchrząknęła, nadal czując gorącą herbatę nie tam, gdzie trzeba. – On jest bardzo miły i uprzejmy, ale chyba aż nader szalony jak dla mnie.

– Co? Nasz Krzysiek dla ciebie za bardzo szalony? Sama po świecie się włóczysz, to nie jest szaleństwo?

– Może ona ma rację, mamó? – odezwała się po chwili zadumy Iwonka. – Krzysztof to takie duże dziecko. Niby on na poziomie i elegancki, ale z daleka czuć, że swoje za uszami ma, a Martusia już

w Anglii trochę przeszła. Poza tym pamiętasz, jak się za mną uganiał? Niby go lubię, ale jakoś do końca mu nie ufam. Z takim to się wchodzi w romanse, a nie tworzy rodzinę. Może by jej kogo spokojniejszego poszukał, co? Ułożonego i z wartościami...

– I najlepiej przywiązanego do Sosenek, żeby jej uciec od nas nigdzie nie dał! – podchwyciła ten pomysł pani Halina.

– Ciociu... – kolejny raz wyrwało się Martusi.

– No co? Swoje lata w końcu masz. Wiecznie młoda nie będziesz. Cellulit pod oczami zaraz ci się zrobi i kto cię wtedy zechce?

– Co? – parsknęła śmiechem Agatka.

– Cellulit, chyba mówię!

– Ale pod oczami?!

– Mnie też swatała, nie martw się – nachyliła się do Martusi Iwonka, przerywając salwę śmiechu.

– I nieźle na tym wyszłaś! – huknęła na nią pani Halina.

– No pewnie mam, ja nie mówię, że nie! – roześmiała się głośno Iwonka, gładząc po policzku Jarusia.

– Ale może nie męczmy Martusi, skoro za bardzo nie chce?

– Ty też nie chciałaś Jarka żony udawać, a dobrze na tym wyszłaś! Zostaw takie rzeczy przeznaczeniu.

– No właśnie mam. Przeznaczeniu!

– Jak ja mu trochę pomogę, to świat tylko na tym zyska – zakończyła twardo dyskusję pani Halina i oddaliła się na górę do bawiących się wnuków.

– Ona to mówiła poważnie? – zapytała cichutko Martusia, mając pewność, że starsza pani jej nie usłyszy.

– Babcia? A czy ona potrafi żartować z takich spraw?! – zachnęła się Agatka, zabierając kawałek sernika na górę, i znów wybrała czyjś numer przez telefon.

– No niestety... – westchnęła tylko Iwonka i wszyscy zabrali się za kosztowanie lekkiego jak pianka serniczka, który wyszedł spod nieziemskich rąk Michaliny.

– Mamooo! – przerwał ten wyjątkowy moment rozlegający się po chwili głośny pisk czteroletniej Antoniny. Poprzedził go dźwięk jakiegoś uderzenia. Dziewczynka biegła na dół, głośno tupiąc nóżkami o drewniane schody.

– Co się stało, kochanie? – słysząc jej krzyki, zareagowała Iwonka.

– Agatka wypadła przez okno! – robiąc wielkie oczy, krzyknęła na całe gardło Antonina i pobiegła ponownie w stronę schodów.

– Matko kochana, gdzie?! – słysząc jej słowa, zerwała się natychmiast Iwonka, a za nią również Jaruś i cała reszta, zostawiając za plecami przewracane krzesła.

– Boże, pewnie przez telefon przy oknie rozmawiała i wypadła! – przejęła się nie na żarty ciężarna Magda i wszyscy jak jeden mąż natychmiast pobiegli na górę, żeby ratować poszkodowaną Agatkę, co z perspektywy czasu nie było takie znów rozsądne, skoro Agatka leżała rozkrzyżowana pod oknem.

– Błagam, żeby nic jej się nie stało! – lamentowała Iwonka. – Dzwońcie na pogotowie, natychmiast! – wrzeszczała na cały głos, o mało co nie przewracając się na schodach.

– Gdzie ona wypadła? – pytał natomiast starający się trzeźwo myśleć Jaruś pędzący jako pierwszy za Antoniną.

– W moim pokoju.

– Matko kochana. To przecież tak wysoko – zaczęła płakać Iwonka. – Połamała się na pewno! Dziecko mi się zabiło!

– Iwona, myśl trzeźwo! – przywołał ją do rozsądku Henryk. – Może wcale nic jej nie jest. Może zawisła tylko na balustradzie i tyle.

– Jarek, błagam, rób coś! – wrzasnęła na cały głos Iwonka, czując się niczym lwica, której młode znalazło się właśnie w niebezpieczeństwie.

Gdy całą procesją dotarli w końcu do pokoju, w którym bawiły się dzieciaki, za Antoniną rzucili się do otwartego na oścież okna i wyjrzel na płytki, na których nie widać było żadnej Agatki.

– Poszła sobie? – zapytał zdezorientowany Łukasz, wychylając się i patrząc w dół.

– No przecież jest tam! – pisnęła głośno Antonina.

– Gdzie?!

– No tam! – wychylając się z okna, dziewczynka wskazała paluszkami na jakiś niewyraźny punkt leżący na płytkach.

– Agatka? – wydyszała Iwonka powoli, odzyskując kontrolę nad własnym oddechem.

– No wypadła mi! – rozplakała się Antonina. – Ratujcie ją, bo zamarnie! – zaczęła szlochać i rzuciła się w objęcia bladej jak ściana Iwonki, do twarzy której powoli zaczynała ponownie dopływać krew.

– Matko kochana, chodziło ci o lalkę – wyszeptowała tylko cicho, przytulając się do zapłakanej dziewczynki, co większość przejętych domowników skwitowała głośnym westchnieniem ulgi.

– Wypadła mi! – pisnęła jeszcze raz Antonina, nie widząc, że nikt nie rwie się do przeprowadzenia akcji ratunkowej.

– Pójdę po tę lalkę – widząc jej przerażoną minę, zaproponował w końcu rycersko Łukaszek, co spotkało się z pełnym podziwu spojrzeniem Madzi.

– A ja lepiej zamknę to okno. Żeby nikt więcej przez nie nie wypadł – powiedziała natomiast Martusia i zatrasnęła otwarte na oścież okno, przez które zdążyło się już porządnie wychłodzić na całym pięttrze.

– Bawcie się grzecznie! – zwróciła się jeszcze do dzieci Iwonka, zanim ponownie zeszli na dół.

– I żadnego otwierania okien! – pogroziła palcem Martusia.

– Nuda... – wyrwało się Antosiowi.

– Może i nuda, ale gdybyś to ty wypadł, na pewno skończyłbyś gorzej niż ta lalka – dodała jeszcze tylko Iwonka i zeszła na dół. Potem całą rodziną urządzili sobie wieczór filmowy przed telewizorem w salonie i poszli spać po tym pełnym wrażeń dniu.

– Jak Iwonka z dziećmi przyjedzie, to jakoś tak od razu weselej, prawda? – szepnęła do Henryka pani Halina, kiedy oni również położyli się do łóżka.

– Krzyczą, drą się... Sama radość – uśmiechnął się do niej starszy pan.

– Żeby tak jeszcze tylko tę Martusię wyswatać... Przychodzi ci ktoś do głowy? – zapytała pani Halina, unosząc się lekko na łokciu wśród szeleszczącej pościeli.

– Właściwie to tak.

– Dyrektor?

– Uczepiłaś się tego dyrektora, a ona go nie chce!

– No to kto? – popatrzyła na męża z ukosa.

– Oj Halinka, ty wcale niedomyślna jesteś... No Andrzej!

– Andrzej? – zamyśliła się, przywołując z pamięci obraz młodego chłopaka. – Ale to by było takie poprawne? Witold do tej pory nie może wybaczyć rodzinie Martusi śmierci jego żony, a ty chcesz ich swatać?

– No a nie widzisz, jak Andrzej na nią patrzy? Zakochany kundel miał mniej pełne miłości spojrzenie niż on.

– Ale Andrzej?

– Swój chłopak. Bywa u nas często. Lubią się. Porządny jest. I stąd!

– Hmy... – starsza pani zastanowiła się jeszcze raz. – Że też ja wcześniej na to nie wpadłam. No pewnie, że Andrzej! – ucieszyła się, cmoknęła męża w pomarszczony policzek i ułożyła się do snu

z uśmiechem na ustach.

Martusia i Andrzej. Idealna para. To nawet brzmi tak jakoś pełnie i majestatycznie. Martusia i Andrzej. Sześć sylab w pełni angażujących język i podniebienie. Idealna kompozycja zwięzłe brzmiących dźwięków. Dźwięcznych i bezdźwięcznych, której aż nie chce się przestawać wymawiać. Jej fiołkowe tęcza aż prosiły się o jego zielone oczy. Idealna feeria dźwięków i barw...

Jak mogło jej to umknąć?! No jak?!

– Idziesz dziś na randkę – wchodząc rano do pełnej ludzi jadalni, obwieściła ubrana w swój ulubiony fartuch pani Halina.

– Kto? – popatrzyły na nią jednocześnie wszystkie kobiece oczy zgromadzone w pachnącym maślanymi bułeczkami pomieszczeniu.

– Jak to kto, Martusia?!

Martusia zakrztusiła się kawałkiem naleśnika.

– Ja?

– A czy ja mam jakąś wadę wymowy? – pani Halina spojrzała na nią wymownie.

– Nie no, nie ma ciocia...

– No i wspaniale.

– Ale z kim?

– Idziesz na randkę w ciemno i nie zwracaj mi więcej głowy.

– Ale ciociu...

– Boli mnie dzisiaj głowa i nie jestem w nastroju na jęki. Zamiast mnie maltretować, lepiej się gdzieś przejdź, a jak to nie pomoże, to nie wiem, porób na szydełku. Masz być gotowa punkt siedemnasta w korytarzu i nie toleruję spóźnień.

– Ale...

– Iwona, powiedz jej coś, bo inaczej w tym domu po prostu zwariuję – jęknęła dość głośno starsza pani, bezsilnie patrząc na swoją córkę.

– Co ja mogę... – szepnęła natomiast Iwonka do czerwonej ze wstydu Martusi. – Chociaż się rozerwiesz. Może być dość śmiesznie.

– Na pewno będzie – mruknęła niezadowolona i wróciła do naleśników, licząc na to, że chociaż cukier poprawi jej humor, który zdążyła przed chwilą zniszczyć jej ciotka.

Martusia nie lubiła niespodzianek, nie wspominając już o tym, że miała trzymać się przecież z daleka od pochopnie zawieranych związków, burzliwych romansów i nieprzemyślanych decyzji.

– Dzień dobry! – przerwał jej smęcenie Andrzej z typowym dla siebie ciepłym uśmiechem, zaglądając do jadalni od strony kuchni.

– O, mój drogi, jak dobrze, że jesteś! – powitała go wylewnie pani Halina.

– Dzwoniła pani, żebym wpadł.

– A no bo Henryk potrzebuje twojej pomocy.

– Tak, tak – pokiwał głową starszy pan, ocierając usta serwetką. – Ale to może chodźmy do garażu, to ja ci wszystko pokażę.

– Wpadniesz później? – zawołała jeszcze za Andrzejem Martusia, wyraźnie spragniona towarzystwa kogoś innego niż władczej ciotki i hałaśliwego towarzystwa z dziećmi na czele.

– Później? – zawahał się. – Przepraszam cię, ale chyba nie będę mógł. Mam już plany na wieczór.

– Ach tak – popatrzyła na niego i aż się zdziwiła, że na tę wiadomość zrobiło jej się jakoś smutno.

– Może innym razem?

– Pewnie, czemu nie – skinęła tylko głową i wstała od stołu, by odnieść talerz do kuchni.

– Ciężki dzień, co? – zagadnęła ją krzątająca się wśród naczyń Michalina.

– Zapowiada się źle.

– Niech się Martusia nie martwi tą randką! Może nie będzie tak źle?

Dziewczyna tęsknie spojrzała w stronę drzwi, zastanawiając się, czy właściwie bardziej zmartwiona była wiadomością o randce, czy świadomością, że Andrzej spotyka się z kimś tego wieczoru.

– Może nie będzie – przytaknęła więc tylko uśmiechniętej gosposi i poszła na górę, żeby pobawić się trochę z Krzysiem. Chciała też napisać maila do Amelii i opowiedzieć jej o szalonym pomysle ciotki, ale zamiast tego stanęła na chwilę przy oknie i oparła się o parapet.

Zainicjowana przez ciotkę randka sprawiła, że jej myśli pobiegły kilka lat wstecz, do momentu, w którym jej życie kolejny raz bardzo się zmieniło. Do dnia, w którym zaczęła się historia jej burzliwego związku z Danielem. Takiej powtórki za wszelką cenę chciałaby teraz uniknąć.

To zdarzyło się w lipcu. Martusia zostawiła zaledwie kilkumiesięczną Marysię u swojej ulubionej sąsiadki, żeby móc w spokoju wybrać się na zakupy. Powietrze było parne, a jego temperatura z pewnością przekraczała trzydzieści stopni Celsjusza. Na niebie nie dało się dostrzec żadnej chmurki. Martusia wędrowała przez nieduży park rozciągający się w okolicy kamienicy, w której od kilku tygodni wynajmowała mieszkanie, i czuła, że zakupy zaczynały ciążyć jej w dłoni coraz bardziej, a popołudniowe słońce niemiłosiernie grzało w plecy. Jedynym plusem tej męczącej wędrówki był kojący widok otaczających ją z każdej strony drzew, w których koronach chowały się przed upałem rozszalałe ptaki.

Martusia zmrużyła oczy i spojrzała nad rozpościerającą się przed nią drogę. Miała teraz trochę czasu na to, aby pozwolić myślom błądzić gdzieś w przestworzach. Tęskniła za Polską. Chociaż nie czuła się jak w domu ani w Sosenkach, ani tym bardziej w Warszawie, zdążyła już przyzwyczać się do klimatu tego ostatniego miasta, a w Londynie czuła się nieco samotna.

Kiedy jeszcze w Warszawie powiedziała swoim przyjaciółkom o wyjeździe do Anglii, wszystkie zgodnie uznały ten pomysł za kompletne szaleństwo. Odradzały jej go żarliwie, ale ona któregoś dnia po prostu poczuła, że dusi się w stolicy i musi zmienić coś w swoim życiu. Kolejny raz podjąć desperacką próbę poszukiwania poczucia bezpieczeństwa, które, o ironio, wiązało się w jej wypadku z wejściem w zupełnie nowe środowisko. No i potrzebowała pracy, więc oferta jednej z koleżanek spadła na nią jak grom z jasnego nieba. W dniu wyjazdu była sama z rozwijającym się pod jej sercem dzieckiem.

Teraz co prawda trochę odbiła się od dna, a Marysia znacznie podrosła, ale Anglia, mimo upływu lat, nadal nie była jej domem. Przyzwyczała się do tego kraju, owszem, ale to wszystko. Może ona nigdzie nie poczuje się jak u siebie? Może po prostu nie jest do tego zdolna?

– Daj, pomogę ci – rozmyślania dziewczyny przerwał niski, męski głos dobiegający gdzieś zza jej pleców. – Przecież nie będziesz niosła sama takich ciężarów. Do kamienicy jeszcze kawał drogi – dodał z uśmiechem, niemalże wyrywając jej torbę z zakupami z dłoni.

Martusia popatrzyła na mężczyznę z wdzięcznością. Prawda była taka, że gdyby musiała taszczyć tę torbę przez jeszcze kilka metrów, to usiadłaby na poboczu i zaczęła płakać.

– Dzięki... – uśmiechnęła się szeroko, jednocześnie mrużąc oczy przed jasnymi promieniami słońca padającymi na jej twarz, a potem wymownie spojrzała na torby z zakupami, które teraz to on niósł w dłoniach.

Daniel też obrzucił ją wzrokiem. Najpierw dokładnie zlustrował jej zarumienioną od słońca twarz, później całe drobne ciało, a na końcu stopy, na które przed wyjściem pośpiesznie włożyła żółte sandałki na koturnach.

– Przestań – zaśmiał się znów, zerkając na jej twarz – Byłbym naprawdę nietaktowny, gdybym pozwolił w takich butach nieść ci torby z zakupami. Chyba że naprawdę mocno się upierasz, wtedy ci je oddam i zaczekam na moich kumpli, którzy z pewnością wloką się teraz gdzieś w tyle.

Od razu rzuciło mu się w oczy, że próbowała makijażem ukryć zmęczenie. Nic dziwnego. Każdy w pewien sposób tego próbował.

Była naprawdę ładna. Chociaż nie należała do tego typu kobiet, które widuje się na okładce magazynów, w jej fiołkowych oczach było coś magnetyzującego, co nie pozwalało mu oderwać od niej wzroku. Była krucha. Inna od wszystkich kobiet, z jakimi wchodził w przelotne romanse gdzieś w klubach i dyskotekach. Nie starała się nikogo grać. Daniel zauważył to już dawno. Była naturalna w byciu indywidualistką i od kilku dni wykorzystywał każdy, nawet najgłupszy pretekst, by tylko znaleźć się obok niej. Specjalnie wychodził z mieszkania wtedy, kiedy słyszał, jak zbiega po schodach. Miała taki charakterystyczny, rytmiczny chód. Tak wyjątkowo kołysała biodrami na prawo i lewo.

Specjalnie siadał obok niej na stołówce znajdującej się na dole kamienicy, w której mieszkańcy jadali wspólne śniadania, i wyrywał z dłoni dzbanek z gorącym kompotem, co często kończyło się interwencją kogoś siedzącego obok, gdy stali i mącąc ciszę towarzyszącą zazwyczaj posiłkom, sprzeczali się o to, kto powinien nalewać napoju do szklanek. Sam do końca nie wiedział, dlaczego robi wszystkie te rzeczy. Podobała mu się, to prawda, ale nigdy nie posądziłby się o słabość do kobiet w jej typie.

– Opowiedz mi coś o sobie – zupełnie nieoczekiwanie przerwała jego rozmyślenia Martusia. Z jej głosu zniknęło rozbawienie, pojawiła się natomiast nutka nieukrywanego zainteresowania.

– Więc... – zaczął niepewnie, nie bardzo wiedząc, co ma jej powiedzieć – ...co chciałabyś konkretnego wiedzieć?

– Lubię słuchać o rodzinie, zainteresowaniach. O czymkolwiek – powiedziała, a potem ukradkiem zerknęła na zamyśloną twarz mężczyzny. Na jego skroni dostrzegła drobne kropelki potu. Widać, upał wszystkim dawał się we znaki.

Daniel był naprawdę przystojny. Miał ciemną karnację, która w stu procentach urzekła Martusię, bo przecież w dzieciństwie zwykła mawiać, że marzy jej się poślubienie czarnoskórego mężczyzny. Był wysoki i dobrze zbudowany. Nawet przez jego koszulkę widać było zarys wypracowanych na siłowni mięśni. Dałaby głowę, że stanowił obiekt westchnień niejednej dziewczyny.

Nie chcąc przyglądać się Danielowi zbyt natarczywie, odwróciła twarz w drugą stronę, by podziwiać otaczającą ich zielen. Liczne gatunki mijanych przez nich drzew i krzewów były już zupełnie wyschnięte. Widać, nawet florę męczył już tak długi okres suszy i upałów.

– Więc mam dużą rodzinę – uśmiechnął się w końcu, delikatnie zerkając w jej stronę. – Mam cztery młodsze siostry i starszego brata. Moja mama jest pielęgniarką w małym szpitalu i często ledwie wiążemy koniec z końcem...

– A tata? – miała na końcu języka, ale nietaktownym wydało jej się zadawanie tego pytania. Widocznie miał powody, aby o tym nie mówić.

– A taty nie mam – uprzedził jej niewyartykułowane pytanie. – Wiesz, że z twojej twarzy można wyczytać dosłownie wszystko? – praktycznie wyszeptał w jej stronę.

Martusia zarumieniła się delikatnie, słysząc jego trafną uwagę i odwróciła wzrok.

– Lubisz czytać książki? – zapytała go, chcąc zmienić temat.

– Kiedyś lubiłem – odpowiedział po chwili namysłu.

– Skoro lubisz, to dlaczego się zastanowiłeś? – uśmiechając się, rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Bo teraz zwykle nie mam czasu na to, żeby czytać. Odszedłem od tego typu atrakcji – dodał nieco tajemniczo, nie chcąc zdradzać jej mrocznych szczegółów ze swojego życia. – A dziewczyny raczej mnie o to nie pytają – dodał, żeby nadać swojej wypowiedzi mniej tajemniczy charakter.

– Może masz rację, ale ja raczej nie jestem taka jak wszystkie inne – odpowiedziała.

Taka właściwie była prawda. Martusia ponad wszystko ceniła sobie indywidualność i umiejętność bycia sobą w każdej sytuacji. Chociaż zwykle nie do końca ufała ludziom, uwielbiała wchodzić w nowe

relacje, co zwykle kończyło się dla niej raczej dość smutno. Była wieczną poszukiwaczką, która miota się gdzieś między nurtami strumyków i leśnymi ścieżkami, co można było wyczytać chociażby ze sposobu jej ubierania się. Każda część jej garderoby rzucała się w oczy, nie wspominając już o fiołkowych tęczęwkach wspaniale połyskujących w letnim słońcu.

– Wiem – powiedział łagodnym tonem i dostrzegając w jej oczach niechęć do rozmowy o uczuciach, powrócił do tematu książek. – Lubiłem książki historyczne i obyczajowe... – dodał stanowczo, dzięki czemu ich rozmowa wróciła na poprzedni tor.

Ogarnęła go nagle fala nietypowego dla niego romantyzmu. Przymykając na moment oczy, wyobraził sobie, jak obejmuje Martusię ramieniem i delikatnie szepcze do jej ucha jakieś czułe słówka. Jak wdycha jej słodkawy zapach, który opanowywał jego zmysły za każdym razem, gdy tylko się do niej zbliżał.

Próbował wyobrazić sobie jej dotyk. To, w jaki sposób wtula się w jego ramiona. Jej głos i jej ruchy. Sposób, w jaki podnosi na niego wzrok, zanim ich usta się spotkają.

Daniel spojrział na dziewczynę niepewnie, nie zważając na to, że znów zapadło między nimi milczenie. Tak bardzo pragnął trzymać ją teraz w ramionach. Ten spacer był dla niego istną torturą, bo będąc tak blisko niej, czuł jednocześnie, że jest daleko. Znajdowała się na wyciągnięcie jego dłoni i gdyby tylko się odważył, mógłby dotknąć teraz jej mieniącej się w słońcu, rozpalonej skóry.

– Hej, możesz już oddać mi zakupy. Jesteśmy na miejscu – usłyszał nagle jej łagodny głos, który natychmiast wyrwał go z zamyślenia. A było tak pięknie.

Daniel odwrócił się powoli w stronę Martusi.

– Jak by to wyglądało z mojej strony, gdybym nie doniósł ich aż pod drzwi twojego pokoju? – udając rozbawienie, spróbował ukryć przed nią swoje myśli. Z jednej strony tak bardzo chciał, aby wiedziała, co do niej czuje, ale z drugiej nie był pewien jej reakcji.

– No, skoro tak wolisz... – wzruszyła ramionami i skierowała się ku schodom, a on posłusznie poszedł za nią.

– Dalej nie powinieneś już wchodzić – powiedziała cicho, stając na schodach jakby z żalem w głosie, a on niechętnie oddał jej torbę z zakupami. – Jeszcze raz, bardzo ci dziękuję – dodała nieco radośniej, zabrała od niego zakupy i zniknęła za drzwiami swojego mieszkania, pozostawiając Daniela samego ze swoimi niespełnionymi fantazjami.

Zamykając za sobą drzwi, Martusia poczuła, jak coś pali ją w środku i nie było to palenie spowodowane upałem. To prawda, było jej gorąco i z pewnością przydałby jej się zimny prysznic, ale jej stan był związany z czymś zupełnie innym. Ten chłopak pociągał ją do granic możliwości. Jeszcze chyba nigdy w życiu czegoś takiego nie czuła.

Podeszła do stojącej na środku salonu kanapy i rzuciła na równiutko złożony w kostkę koc torbę z zakupami. Podeszła do szafy i wyjęła z niej czystą koszulkę i bieliznę, a potem odetchnęła głęboko na samą myśl o chłodnym prysznicu, którego potrzebowało jej ciało.

Wychodząc z pokoju, chwyciła jeszcze wiszący na kaloryferze ręcznik i charakterystycznym dla siebie krokiem ruszyła do łazienki, aby spokojnie dać się ukoić strumieniom zimnej wody. Gdy tylko poczuła na rozpalonej skórze chłodne kropelki, jej ciałem wstrząsnął dreszcz, który za krótką chwilę odszedł jednak w zapomnienie.

Relaksowała się odgłosem wody rozbijającej się o wyłożoną glazurą ścianę. Szum skutecznie zagłuszał szalejące w jej głowie myśli. Czuła się zdecydowanie lepiej. Woda wymywała wszystkie uczucia związane z dzieciństwem i poprzednimi związkami, które niepotrzebnie ożyły podczas rozmowy z Danielem, i zasklepiła wszystkie dziury, przez które mogłyby znów wydostać się na światło dzienne.

Kiedy poczuła się nieco lepiej, powoli zakręciła kurek i wyszła z kabiny, owinięta grubym ręcznikiem przyjemnie otulającym jej schłodzone ciało. Bosymi stopami stanęła na malutkiej wycieracze

i dokładnie się wytarła, a potem wklepała w siebie świeżą warstwę kremu z filtrem i włożyła czystą bieliznę i koszulkę. Rzeczy pachniały jej ulubionym płynem do płukania tkanin, co jeszcze bardziej ją odprężyło.

Martusia złapała leżące na szafce kosmetyki do pielęgnacji włosów i stanęła przed sporym lustrem wiszącym w pokoju. Jeszcze tylko delikatny makijaż i znów będzie czuła się dobrze.

W pokoju panował półmrok, a firanki miarowo kołysały się na delikatnym wietrze wpadającym do kamienicy przez jedno z uchylonych okien. Kończąc się malować, oparła głowę o ścianę i przez chwilę starała się nie myśleć kompletnie o niczym, a po upływie kilku minut podniosła się i z mokrą głową usiadła na parapecie okna, tak jak robiła to zawsze, kiedy chciała pomyśleć.

Teraz z kolei oparła głowę o szybę otwartego okna, czując, jak woda zaczyna spływać po jej plecach chłodną, wąską strużką. Było to niezwykle przyjemne uczucie, bo pomimo odprężającego prysznica upał znów dawał o sobie znać. Na moment przymknęła oczy. Było jej tak dobrze. Takiej ciszy ostatnio prawie nie doświadczała.

Martusia miała z okna doskonały widok nie tylko na tętniącą życiem ulicę i zabieganych ludzi, ale i na drewnianą altankę, stojącą w ogrodzie należącym do mieszkańców kamienicy. Było to jedno z jej ulubionych miejsc, gdzie razem z dzieckiem siadała popołudniami i wsłuchiwała się w śpiew szalejących w koronach drzew ptaków, które opowiadały sobie o swoich pierwszych miłościach, pierwszych rozczarowaniach.

Nagle nieskazitelną ciszę, w którą się wsłuchiwała, przerwał gardłowy śmiech grupki mężczyzn wychodzących z kamienicy do ogrodu. Słyszając go, dziewczyna gwałtownie otworzyła oczy i spojrzała w dół. Od razu dostrzegła wśród nich Daniela. Z tego miejsca doskonale widziała wszystko, co działo się na dole, i jednocześnie nie ryzykowała, że ktoś ją dostrzeże. Mogła pozostać niezauważona i przyglądać się niczego nieświadomym ludziom.

Usiedli przy stole i zaczęli grać w karty. Było za gorąco na robienie czegokolwiek bardziej konstruktywnego.

Martusia lekko zmrużyła oczy i starała się dostrzec dokładniej twarz Daniela. Tę niesamowitą twarz, którą od pewnego czasu widziała za każdym razem, gdy tylko przymykała oczy.

Po kilku chwilach trwania w zawieszeniu zauważyła, jak mężczyzna wstaje od stołu i powoli kieruje się do wejścia do budynku. Sama nie wiedziała dlaczego, ale jej serce zabiło mocniej, kiedy uświadomiła sobie, że jakimś cudem musiał dostrzec, że siedzi w oknie i go obserwuje.

Zamknęła oczy i starała się uspokoić przyspieszający oddech i coraz szybsze bicie rozrentuzjowanego serca. Starła się o niczym nie myśleć i skupić się tylko na zaciskaniu powiek oddzielających ją od rzeczywistości.

Po pełnej napięcia chwili stało się jednak to, czego się spodziewała. Drzwi do jej mieszkania uchyliły się cicho i ktoś wszedł do środka.

Martusia nie chciała jeszcze otwierać oczu, ale instynktownie poczuła, że był to on. Poczwała zapach jego wyrazistych perfum zmieszanych ze świeżym zapachem mydła, a potem usłyszała odgłos przekręcanego w drzwiach klucza.

Daniel podszedł do niej pewnie, ale ona nadal nie chciała otwierać oczu. Walczyła ze sobą. Toczyła zaciętą walkę między sercem a rozumem. Z jednej strony pragnęła utonąć w jego ramionach, z drugiej zaś wiedziała, że wchodzenie w relacje właśnie w taki sposób było najgłupszą z rzeczy, jakie mogła teraz zrobić, znając swoją skłonność do podejmowania błędnych decyzji w sprawach damsko-męskich. Pod jej powiekami zaczęły wzbierać łzy. Niemalże fizycznie czuła na swojej twarzy jego wzrok, kiedy stał obok niej i po prostu na nią patrzył. Jej ciało drżało z każdym jego oddechem, który z chwili na chwilę stawał się coraz płytszy i coraz bardziej gorący...

Nagle poczuła na swoim przedramieniu jego dłoń i jej ciało przeszedł przyjemny dreszcz, sprawiając, że nadal nie otwierając oczu, przycisnęła głowę do szyby jeszcze bardziej, gdy on po prostu delikatnie gładził drobne ramię. Jego dłoń przyjemnie drażniła zmysły Marty, sprawiając, że wszelkie opory pryskały jak mydlane bańki. Trwając w tym przyjemnym zawieszeniu, skupiała się tylko na jego obezwładniającym dotyku, który pobudzał jej wyobraźnię do tego stopnia, że odwróciła w końcu głowę w jego stronę i powoli otworzyła oczy.

Daniel stał przed nią zamyślony i z uwagą śledził każdy ruch dziewczyny, rozkoszując się dotykiem jej skóry. Patrzył na zarumienioną twarz Martusi jak zahipnotyzowany. Nie chciał przestać jej dotykać.

Uśmiechnęła się lekko pod wpływem tego dotyku. Przez chwilę czuła się jak na pograniczu jawy i snu. Jak bohaterka jej ulubionych książek. Tych nierealnych, nieprawdopodobnych romansów, w których namiętnie zaczytywała się już od pewnego czasu, marząc o wielkiej miłości. Było jej niesamowicie dobrze, chociaż wiedziała, że nie powinna być tu teraz z tym mężczyzną. Wiedziała, że z jej szczęściem, a raczej jego brakiem, będzie przez niego później tylko cierpiała, ale nie mogła już dłużej tłumić w sobie wzbierających jak fala uczuć, dlatego powoli odsunęła od siebie jego dłoń i z gracją przekręciła się tak, aby siedzieć teraz przodem do niego. Bose stopy postawiła na zimnej podłodze i uśmiechnęła się szeroko. Tak delikatnie, tak wyjątkowo, jak nie uśmiechała się jeszcze do nikogo.

Daniel patrzył teraz prosto w jej fiołkowe oczy i próbował odczytać z nich, co myśli, co czuje. Nie chciał zrobić nic, czym mógłby ją skrzywdzić. Od Martusi biło jednak coś, czego nie umiał zwalczyć. Budziła w nim jakiś dziki instynkt albo magnetyczne przyciąganie, które sprawiało, że miał ochotę po prostu do niej lgnąć.

Nie mógł oprzeć się pokusie. Znow musnął jej ramię i zrobił krok do przodu tak, że teraz ich ciała niemalże się dotykały, a potem przeniósł dłoń na rozgrzany policzek i delikatnie gładził ją po twarzy.

Odchyliła głowę do tyłu. Chociaż rozsądek krzyczał co innego, po prostu nie umiała się już opierać. Nie miała już wewnętrznej woli wycofania się i walki z samą sobą, dlatego przymknęła powieki i już za moment poczuła, jak jego twarz przysuwa się do jej twarzy, a potem po jej wargach rozlał się przyjemny smak męskich ust.

Daniel całował odważnie, chociaż delikatnie, jak gdyby nie chciał jej skrzywdzić. Był wyjątkowo czuły i sprawiał, że każdy mięsień w ciele Marty napinał się i drżał. To działało się naprawdę. Jedną ze scen, które po tysiąc razy wyobrażała sobie, siedząc na kamiennym płocie w Sosenkach, puszczając wodze fantazji, teraz działała się w realnym świecie. Daniel całował tak, jak gdyby nad ich głowami zaraz miały wybuchnąć fajerwerki, i Martusi aż zakręciło się w głowie, gdy odsunął się od niej, żeby złapać oddech, i spojrzał prosto w jej fiołkowe oczy.

Martusia ponownie odwróciła się twarzą do otwartego okna, a on przylgnął do niej od tyłu i objął ją w tali. Położyła dłonie na jego dłoniach i odchylając głowę, oparła się o muskularne ramię.

– Co my robimy? – szepnęła cicho, zamykając oczy i wtulając się w niego jeszcze bardziej.

Jej głos drżał i Daniel wyczuł w nim nutkę strachu, ale jednocześnie nieopisanego pragnienia bliskości. Przez dłuższą chwilę nie wiedział, co ma jej odpowiedzieć. Nie rozumiał, co tak właściwie robi, ale od dawna nie pragnął niczego innego. Nigdy nie spotkał tak wyjątkowej dziewczyny, dla której byłby w stanie rzucić wszystko. Nigdy nie spotkał dziewczyny, przy której chciał naprawdę być. Martusia ciągnęła go jednak do siebie jak lep. Chciał trzymać ją w ramionach jak najdłużej i nie puszczać już nigdy. Tutaj, z dala od wszystkich. Z dala od rzeczywistości, która miała prawo mu ją odebrać, gdy na jaw wyszłyby wszystkie jego sekrety.

Tuląc ją do siebie jeszcze mocniej, Daniel poczuł, że Martusia drży.

– Nie bój się – powiedział więc tylko, starając się zepchnąć w cień wszystkie swoje mroczne strony.

Martusia przytuliła się do niego jeszcze bardziej, nieświadoma wtedy, że jego słowa nie będą miały

żadnego pokrycia już w najbliższej przyszłości. Przyniosą tylko bolesną pustkę i przenikliwy strach, którego nie będzie w stanie opanować mimo usilnych chęci.

Siedząc na parapecie w Sosenkach, wróciła do tych wspomnień. Obawiała się, że podczas zorganizowanej przez ciotkę randki znów niebezpiecznie się zakocha, a potem będzie musiała ponownie wrywać się z czyichś zdjęć, wspomnień i życia. Tak, były to obawy na wyrost, ale ona miała słabość do pakowania się w nieprzemysłane związki. Niejeden raz w życiu się o tym przekonała. Teraz zastanawiała się, czy najrozsądniej nie byłoby po prostu trzymać się z dala od jakichkolwiek mężczyzn. Pisanie swojej historii na nowo wcale nie było takie łatwe, na jakie wyglądało, i choć z fotografii można się było wyciąć, z pamięcią nie szło już tak łatwo, o czym przekonała się w życiu wielokrotnie.

Była kochliwa i to nie ulegało wątpliwości. Zresztą... Może nawet już nie tylko kochliwa, bo ona po prostu rzucała się w odmęty jakiejś nieokiełznanej namiętności, co zwykle przysparzało jej kłopotów. Chociaż nie była desperatką, zmiany, które zaszły w jej psychice w dzieciństwie, popychały ją do szukania bliskości w bardzo bezpośredni sposób, a także w stronę szaleństw, nad czym nie do końca umiała zapanować.

Ta myśl ekscytowała ją i zarazem przerażała.

– Nie wybieraj tego jednego na sto – przeglądając swoje odświeżone sukienki, słyszała w głowie głos Amelii nawracający jak mantra.

Westchnęła, odrywając się od szafy, gdy usłyszała płacz Krzysia, który właśnie się obudził.

No przecież nie zamierzała nikogo wybierać! Tym razem to los miał wybrać za nią, więc może chociaż teraz jej się poszczęści, skoro sama nie potrafiła nigdy wybrać tego odpowiedniego?

No dobrze. Może nawet nie tyle los, ile jej nadgorliwa ciotka desperacko pragnąca dla niej miłości. Ale czy to miało jakieś większe znaczenie?

– Tym razem będzie chociaż na kogo zrzucić winę za niepowodzenie – zaśmiała się, coraz bardziej ekscytując się myślami o tajemniczej randce w ciemno. Podeszła do synka i wzięła go na ręce, odkładając na moment wybór idealnej kreacji.

To wszystko mogło okazać się tak naprawdę przyjemnym doświadczeniem. Może wcale nie będzie tak źle, jak na początku jej się wydało?

Podczas gdy Martusia z uśmiechem szykowała się do randki, Andrzej wychodził właśnie spod prysznicą, denerwując się z chwili na chwilę coraz bardziej.

– A dokąd to się wybierasz, co? – zaczepił go siedzący przy stole ojciec, kiedy chłopak w samym ręczniku paradował po domu, szukając swojego ulubionego krawatu.

– Mam dziś randkę – postarał się jak najbardziej naturalnie odpowiedzieć mu Andrzej. Wcale nie miał zamiaru chwalić się przed ojcem tym, że stresuje się spotkaniem z kobietą.

Ale jak tu nie stresować się randką z kimś takim jak Martusia?! Te jej fiołkowe tęczówki i nieziemski uśmiech... Każdy miesiąc w ciele Andrzeja drżał od samego myślenia o nich, nie wspominając o wizji spędzenia z nią kilku godzin sam na sam. Bez dzieci, jej przewrażliwionej ciotki, poczciwego Henryka czy nawet koni, jak podczas pamiętnej wyprawy do zielarki.

– A z kim? – słysząc odpowiedź syna, ożywił się Witold i odłożył na bok trzymane w ręku pęto kiełbasy, które do tej pory namiętnie maczał w musztardzie.

– Nie zna ojciec.

– Ta? I to dla jakiejś nieznajomej tak się pindrzysz przed lustrem, jak jakaś panna na wydaniu?

Andrzej nie odpowiedział na zaczepkę ojca, męcząc się z zapięciem guzika u mankietu koszuli, co,

biorąc pod uwagę jego drżące palce, okazało się zadaniem poważnie przerastającym jego chwilowe możliwości.

– Mnie się wydaje, żeś ty z Martusią Czeremchówną się umówił, tylko nie chcesz się do tego przyznać.

– Co? Skąd taki pomysł? – słysząc zaczepne słowa ojca, obruszył się Andrzej.

– Na wsi byłem. Stary jestem, ale słuch jeszcze mam dobry.

– Nie rozumiem.

– A co tu wiele rozumieć? Taki ponoć kształcony, a ciemny jak tabaka w rogu! Cała wieś gada, że ty się wokół niej kręcisz jak głupi i ona przez ciebie nawet dyrektora w kąć rzuciła, a oczy mi mydlisz, że niby jakaś nieznajoma!

– Nie wiem, o czym ojciec do mnie mówi – Andrzej stanowczo odwrócił się w stronę Witolda i posłał mu pełne wyższości spojrzenie. – To nie jest ojca sprawa, z kim ja się spotykam.

– A więc to prawda?

– Tak. Wychodzę dzisiaj z Martą na kolację. Zabieram ją do miasteczka. Ale nie powinno to ojca w ogóle interesować, bo jestem dorosły i wiem, co robię. Ja się ojcu do kobiet nie wtrącam i nie życzę sobie, żeby ojciec to robił.

– Do mnie tak gówniarzu mówisz?!

– Nie wiem, dlaczego tata się tak wścieka. Jakoś w ręce innych to sam by mnie pchał, a jak o Martę chodzi, to tworzy jakieś problemy – powiedział spokojnie Andrzej, wracając do guzika przy mankiecie, który udało mu się w końcu zapiąć.

– Bo ona z przekłętą rodzi się! Czeremchowscy od zawsze naszej rodzinie zagrażali, a ty się chcesz z nią spotykać? Rodzina za nic, tradycja za nic! Ojciec za nic!

– Po pierwsze, to ojciec sam wykreował ten konflikt, a po drugie ona niczemu niewinna.

– Tak? A drzewo może samo się na samochód twojej matki przewrócić, co?! – wrzasnął w stronę chłopaka Witold, aż ten pierwszy w końcu nie wytrzymał i zrobił krok w jego kierunku.

– A żeby ojciec wiedział, że samo. Była burza i wiał wiatr. Mijały się właśnie dwa samochody. To nie była niczyja wina, ale wypadek! Równie dobrze one mogłyby się w ogóle na tej drodze nie spotkać, a drzewo i tak by runęło. Stworzył sobie ojciec jakąś chorą teorię spiskową, której tak naprawdę nie ma. Mama zginęła w wypadku, rozumie to ojciec? W wypadku! One chodzą po ludziach i nikt nie jest im winny, a już na pewno nie rodzice Marty, którzy też w nim zginęli. Niech się z tym ojciec w końcu pogodzi, a nie pozwala na to, żeby złość rozlewała się w nim jak jad. A teraz przepraszam bardzo, ale wychodzę – Andrzej mówił, patrząc Witoldowi prosto w oczy. Gdy skończył, chwycił swój wyjściowy płaszcz i kluczyki do samochodu, nie zapominając przy tym o bukietie frezji, który kupił dla Martusi, i wyszedł na mroźne powietrze.

– Jeszcze tego pożałujesz – wycedził natomiast przez zęby Witold, kiedy drzwi wejściowe do jego domu zamknęły się z głośnym trzaskiem. – Jeszcze tego pożałujesz – powiedział, a potem jak gdyby nigdy nic schował jedzenie do lodówki, ubrał się i wyszedł do garażu.

Andrzej był już w drodze do domu pani Haliny, w którym szykowała się do wyjścia podekscytowana Martusia.

– A jak mu się nie spodobam? – patrzyła niepewnie na siedzące w salonie Iwonkę, Magdę oraz panią Halinę, odrywając się na moment od pokaźnego lustro wiszącego nad drewnianą komodą. – Nie znam go przecież. A jak okaże się, że nie jestem w jego typie i ta randka będzie po prostu nieudana?

Zielona sukienka, którą wybrała dla niej Iwonka, twierdząc, że czarny wkłada się na pogrzeb, idealnie opinała drobną figurę Martusi, kontrastując przy tym z błyszczącymi, fiołkowymi tęczęwkami.

– Nie jojcz – skomentowała słowa dziewczyny pani Halina, opierając się przy tym o zagłówek mięciutkiej kanapy.

– Ale ciociu...

– Oj Martusia, będzie dobrze. Ustaliliśmy to już tysiąc razy. Wyglądasz jak bóstwo, jesteś wspaniała, miła, ciepła i wartościowa. Każdy chciałby się w tobie zakochać – wymieniając tajemnicze spojrzenie z matką, po raz setny uspokoiła ją Iwonka.

– Ale na pewno ta sukienka?

– Na pewno!

– Bo mogę jeszcze włożyć przeciw tę czarną...

– Weź ją Iwona potrząchnij, bo ja zaraz nie wytrzymam! – weszła jej w słowo ciotka, łapiąc się przy tym za głowę. – Czy tobie rozum odebrało? Zamiast się kręcić, to usiądź na dupie i siedź, bo zaraz zacznę żałować, że cię w ogóle na wieczór umówiłam.

– Pierwszy raz idę na randkę w ciemno. Nie wiem, jak mam się zachować.

– A nie mogłabyś tego przeżywać jakoś bardziej wewnątrz? Czy my wszystkie musimy o tym słuchać? – popatrzyła na nią spode łba coraz bardziej sfrustrowana ciotka. – Zawsze myślałam, że Iwona jest trudna, ale ty po prostu bijesz ją na głowę.

– No bardzo cioci dziękuję – Martusia zrobiła nadąsaną minę i odwróciła się do lustra, żeby jeszcze raz obrzucić wzrokiem swoje odbicie. Błyszczące, srebrne kolczyki, którymi ozdobiła uszy, idealnie pasowały do jej zaróżowionych policzków.

– A nie ma za co – mruknęła pani Halina, wstając przy tym z kanapy, ponieważ w tym samym momencie, w którym Marta przeglądała się w lustrze, zadzwonił dzwonek do drzwi.

Na jego dźwięk wszystkie zebrane w salonie kobiety o mało nie podskoczyły.

– Matko kochana, to już! – Martusia zaczęła nerwowo machać rękami. – Na pewno wszystko jest dobrze? – zwróciła się jeszcze w stronę Iwonki, która idąc w ślady matki, też wstała z kanapy.

– Wyglądasz przepięknie. Na pewno będziesz miała udany wieczór.

– Tak?

– Tak. Jestem tego pewna. To wyjątkowy mężczyzna i zdradzę ci, że wpadłaś mu w oko już jakiś czas temu – Iwonka nachyliła się do niej i poprawiła zabłąkany kosmyk jej kasztanowych włosów, który zahaczył się o wytuszowane rzęsy dziewczyny.

– Jesteś kochana – Martusia uśmiechnęła się do niej ciepło.

– Wiem – odpowiedziała jej Iwonka. – Ale teraz skup się na tym, żebyś to ty za jakiś czas była równie kochana jak ja – dodała takim tonem, że Martusi od razu zrobiło się cieplej na sercu.

– Będzie dobrze.

– Gwarantuję ci, to taki facet, że inaczej po prostu być nie może. No! A teraz wyprostuj się, weź głęboki wdech i idź do niego, bo moja mamusia zagada go zaraz na śmierć i nic z tej randki nie będzie – zaśmiała się jeszcze Iwonka i zrobiła krok w tył, umożliwiając Martusi przejście do przedpokoju, w którym ciotka Halina w najlepsze gawędziła z jakimś mężczyzną, skutecznie go przy tym Martusi zasłaniając.

– No! Jest w końcu i nasz Kopciuszek! – wypaliła na cały głos, słysząc za sobą kroki Martusi, i odwróciła się w jej stronę, łapiąc się przy tym pod boki.

Marta zachwiała się niepewnie w swoich króciutkich kozaczkach na szpilkach i robiąc krok w przód, odgarnęła do tyłu włosy, gdy jej oczom ukazał się nie kto inny jak odświętnie ubrany...

– Andrzej? – rozpromieniła się, widząc znajomą, chłopięcą twarz, i przyspieszyła kroku, stukając przy tym głośno o posadzkę.

– Niespodzianka – odpowiedział uśmiechem i objął ją ramieniem, a potem lekko pocałował jej zaróżowiony policzek.

– Nie spodziewałam się cię tutaj widzieć! Jestem zaskoczona! – Martusia nie mogła ukryć radości.

– Naprawdę? – zapytał, unosząc brew.

– No! Wyglądasz... jakoś tak inaczej.

– Mam nadzieję, że to pozytywne wrażenie, bo ty wyglądasz naprawdę pięknie.

– Miło dla odmiany zobaczyć mnie dobrze ubraną, co? – zachichotała, nie odrywając wzroku od rozpromienionej twarzy Andrzeja.

– No to ja już może was zostawię – czując nadmiar miłości w powietrzu, wymamrotała niepewnie ciotka Halina. – Wyłączyłam alarm. Możesz wrócić, o której tylko będziesz miała ochotę – dodała, zwracając się do Martusi. – Bylebyś wróciła – rzuciła jeszcze i odmaszerowała do salonu, żeby resztę wydarzeń tego wieczoru śledzić zza uchylonych lekko drzwi, tak jak podekscytowane Magda i Iwonka.

– Cóż... – zaczął niepewnie Andrzej, kiedy w końcu zostali z Martusią sami.

– Cóż... – powtórzyła za nim, nie mogąc przestać się uśmiechać, i oboje wybuchnęli śmiechem.

– To dla ciebie – wyciągnął jej w stronę przepiękny bukiet frezji.

Królowała w nim biel, czerwień i delikatny róż.

– Frezje – niemalże z czią szepnęła, biorąc od niego kwiaty.

– Obdarz mnie miłością.

– Widzę, że jesteś nieźle przygotowany! – uśmiechnęła się jeszcze szerzej na samą myśl o tym, że specjalnie dla niej podszkolił się z sekretnego języka kwiatów.

– Najwięcej jest białych.

– Rozumiem, że to nie przypadek?

– Ależ skąd! Delikatność tylko z tobą.

– No, no. To naprawdę imponujące. Dziękuję – uściśnęła dłoń Andrzeja, odsuwając pięknie pachnące kwiaty od twarzy.

– Zabierasz je ze sobą?

– Może powinnam zostawić? Frezje nie lubią żyć bez wody.

Pokiwał głową.

– Mam poczekać?

– Nie, nie! Zostawię je tutaj – Martusia nachyliła się do niego konspiracyjnie. – Ciotka i tak podgląda przez drzwi. Na pewno zajmie się kwiatami, kiedy wyjdziemy.

– Rozumiem – błysnął swoimi śnieżnobiałymi zębami i sięgnął po płaszcz Martusi wiszący na wieszaku, a potem sprawnym ruchem umieścił go na jej ramionach. – Gotowa?

– Tak.

– W takim razie jedziemy! – uśmiechnął się szeroko i otworzył drzwi, przez które od razu wpadło do środka mroźne powietrze, a potem pędem podbiegli do jego samochodu i wsiedli do środka.

– Dokąd mnie porywasz? – zamrugała rzęsami Martusia, zerkając na Andrzeja ukradkiem.

– Porywam? Hola, hola. Ja nie z tych! Kulturalnie zabieram cię na kolację, a ty snujesz jakieś czarne domysły.

– To poziom wyżej niż pogaduszki na rowie.

– Owszem, postawiłem na rozwój, żeby ci zaimponować – błysnął zębami i zapalił silnik, podczas gdy przestrzeń między nimi wypełnił głośny śmiech Martusi. – Rozumiem, że dobrze się bawisz? – zapytał, zerkając w jej kierunku.

– Nie narzekam. No ale powiedz mi w końcu, dokąd jedziemy! – uniosła głos, zapinając pas, i popatrzyła na niebo, które powoli zasnuwało się ciemnymi chmurami.

– Ach tak, pani ciekawska. Zabieram cię na kolację do mojej ulubionej restauracji w miasteczku. Serwują tam wybitnie dobrą kuchnię staropolską, której po prostu powinnaś posmakować.

– Uff – wyrwało się jej.

– Co uff?

– Ciotka kazała mi się wystroić w tę sukienkę. Przez moment bałam się, że wyjdę na głupią, paradując po jakichś polach w butach na obcasach i wymyślnym makijażu.

Andrzej zaśmiał się, słysząc jej niewinny żart.

– Jeśli naprawdę chcesz, to mogę cię wywieźć na jakieś łąki, ale podejrzewam, że w tym stroju mogłabyś nie poradzić sobie tak dobrze, jak podczas naszego pierwszego spotkania.

– I o ile mnie pamięć nie myli, nie podobał ci się wtedy mój strój.

– Co?! – zrobił zdziwioną minę. – Był wyjątkowy, to prawda, ale od razu zapadł mi w pamięć.

Przykuwałaś wzrok.

– Ach, czyli w odświętnym wydaniu nie przykuwam?

– Łapiesz mnie za słówka. Lubię cię w każdym wydaniu.

– Tak?

– Aha. Polubiłem cię już wtedy, kiedy stałaś niewinnie przy mostku, nie do końca wiedząc, co ze sobą zrobić.

– No proszę. Czego to można dowiedzieć się po czasie na swój temat!

– Nie udawaj, że ty mnie nie polubiłaś już wtedy. Twoje oczy po prostu błyszczały na mój widok.

– Czy ty nie jesteś zbyt pewny siebie? – popatrzyła na Andrzeja z błyskiem w oczach nie mniejszym niż tamtego pamiętnego dnia.

– Nie wiem. Ja się tylko drocę – odpowiedział, zerkając na nią przelotnie, i na jego usta wypłynął jeszcze szerszy uśmiešek. Uświadomił sobie, że nie mógł trafić na bardziej wyjątkową kobietę od niej.

Martusia była po prostu olśniewającą kobietą. Czy mogło istnieć coś piękniejszego od widoku jej pozbawionego skrzepowania uśmiechu?

– Jesteśmy na miejscu – powiedział po chwili ciszy, gdy dojechali na parking znajdujący się tuż przed niedużą restauracją mieszczącą się na obrzeżach miasteczka.

– „Leśny dwór”? – zapytała, odczytując nazwę z szyldu wiszącego nad dwuskrzydłowymi drzwiami.

– Aha. Gdzie indziej mógłbym zabrać taką miłośniczkę natury jak ty? – odpowiedział jej, odpinając pas, i wysiadł z samochodu, by otworzyć przed nią drzwi.

– Dzięki – skinęła głową, wysiadając na mroźne powietrze, a potem pozwoliła Andrzejowi ująć się pod bok i rozglądając się po niedużym ogrodzie mieszczącym się przed restauracją, weszła do ciepłego wnętrza, w którym powitał ich ubrany w garnitur kelner.

– Państwa nazwisko?

– Gryga – powiedział, zdejmując płaszcz z ramion Martusi, a potem oddał go stojącemu obok mężczyźnie.

– Stolik dla dwojga pod oknem.

– Zgadza się.

– W takim razie proszę za mną – uśmiechnął się grzecznie kelner i zaprowadził ich w sam róg restauracji. Na stoliku stały piękne kwiaty i zapalone świece, których promienie żywo odbijały się w zimnej szybie.

Andrzej odsunął krzesło Martusi, pozwalając jej usiąść i w pełni rozkoszować się zapachem kwiatowej kompozycji

– Zapraszam.

– To ty je wybrałaś? – spojrzała na niego, wodząc palcami po delikatnych płatkach białych goździków idealnie komponujących się z herbacianymi różami skąpanymi w maleńkiej gipsówce.

– Tak. Ale nie znam ich znaczeń. Po prostu zamówiłem bukiet i poprosiłem o ustawienie go na stoliku. Coś nie tak?

– Wręcz przeciwnie – patrząc mu prosto w oczy, uśmiechnęła się. – Wszystkie z nich wskazują na nieskończoną miłość, czyste uczucia i to, że bardzo ci się podobam.

– W takim razie kwiaciarka trafiła idealnie.

– Naprawdę?

– Tak – przełknął ślinę. – Spodobałaś mi się już wtedy, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, ale nie miałem odwagi ci tego wyznać, a potem ty powiedziałaś, że byłaś w przeszłości tylko krzywdzona przez mężczyzn... i ten cały dyrektor... – zaczął się plątać.

– Rozumiem – uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła przez stolik rękę, żeby dotknąć jego rozpalonych palców.

– Jesteś rozczarowana tym, że to ja? – zapytał, nie odrywając wzroku od jej fiołkowych tęczywek.

– Szczerze?

– Aha.

– Naprawdę cieszę się, że to ty, chociaż zupełnie się tego nie spodziewałam.

– A więc też nie marzyłaś o dozgonnej przyjaźni ze mną?

W policzkach Martusi pojawiły się urocze dołeczki.

– W pewnym momencie przestałam o tobie myśleć w ten sposób. Dziś rano chciałam cię nawet zagadnąć o to, czy nie spędziłbyś ze mną wieczoru, ale ty powiedziałaś, że masz już plany i...

– Chciałaś zaprosić mnie na randkę? – przeciągnął palcami po jej smukłej dłoni. Dotyk jej miękkiej skóry niemalże palił go od wewnątrz.

– Może niezupełnie na randkę, ale...

– Miło to słyszeć. Ja też cieszę się, że spędzam z tobą czas. Z dala od całego szaleństwa twojej ciotki.

– O tak! – roześmiała się. – Przez chwilę martwiłam się, że umówiła mnie z jakimś nudziarzem, ale myślałam sobie wtedy, że chociaż wyrwę się na chwilę z tych jej wścibskich szponów, którymi oplata mnie tak ciasno przez ostatnich kilka dni.

– W takim razem jestem twoim bohaterem?

Martusia roześmiała się głośno dokładnie w tym momencie, w którym podszedł do nich kelner chcący przyjąć zamówienie.

– O tak, zdecydowanie jesteś moim bohaterem i to nie pierwszy już raz – szepnęła więc tylko bezgłośnie, podczas gdy Andrzej wybrał dla nich posiłek i napoje.

– A więc porozmawiajmy o czymś przyjemnym – powiedział, kiedy kelner przyniósł im jedzenie i ich zmysły podrażniła przyjemna woń wykwinionych, pięknie podanych potraw.

– No właśnie – wrócił do tematu. – Masz już jakiegoś kupca na dom swojej babci?

– To ma być przyjemne? Mój wyjazd z Sosenek?

– A nie? – zdziwił się. – Myślałem, że tego właśnie chcesz.

– Bo chcę! – uniosła w górę rękę. – Ale miałam raczej na myśli jakieś kotki, pieski, czekoladki...

Andrzej przewrócił oczami.

– Kobiety...

– Faceci – odcięła mu się, nie przestając się przy tym uśmiechać, od czego powoli zaczynała boleć ją żuchwa. Jednak wiek już nie ten i mięśnie dawały o sobie znać!

– No więc jak? – nie dał za wygraną i ponowił pytanie.

– Jest pewna rodzina. Jakiś znajomy Jarusia chce wyprowadzić się z miasta na wieś i Sosenki wydają się idealnym pomysłem. Rozmawiałam z nim przez telefon. Chce się zjawić tutaj na dniach i wszystko obejrzeć, ale wysłaliśmy mu już zdjęcia i jak na razie jest oczarowany.

– To dobrze.

– Pewnie, że dobrze. To pierwszy krok do wyrwania się spod władzy ciotki. Nie wiem, jak długo

Krzyś znieś to więzienie w domu.

– No tak – popatrzył na nią. – Rozglądałaś się już za jakimś mieszkaniem?

– Jest kilka ciekawych ofert, ale jeszcze nie podjęłam decyzji. Zastanawiam się, czy zamiast wynajmować teraz byle co, nie poczekać tutaj na pieniądze ze sprzedaży działki i od razu nie kupić czegoś własnego.

– Jak się domyślam, ten pomysł bardzo podoba się twojej ciotce.

– Czytasz w moich myślach. A raczej jej.

Andrzej popatrzył na nią niepewnie.

– Ale wracając do tematu. Czy to oznacza, że zostajesz w Sosenkach jeszcze jakieś pół roku?

– Do wakacji. Chcę, żeby Marysia chodziła tu do szkoły do końca roku.

– Kamień z serca! – ucieszył się.

– Co?

– Mam pół roku, żeby przekonać cię, byś jednak tutaj została.

Martusia przyjrzała mu się uważnie. Lubiła tego faceta, ale czy aż tak, żeby dostosowywać do niego swoje życie?

– Coś nie tak? – zapytał, widząc w jej oczach pewien smutek.

Potrząsnęła głową.

– Nie, wszystko w porządku.

– Widzę.

– Andrzej... Ja nie chcę tutaj mieszkać. Znaczą... – zawiesiła głos na chwilę. – W Sosenkach jest wspaniale. Mam tutaj rodzinę, ciebie. Względnie pogodziłam się z przeszłością. Ale to nadal nie jest mój dom. Ja nie chcę tutaj mieszkać. Tu zawsze będą czaiły się na mnie jakieś lęki i niedopowiedzenia z przeszłości. Nie potrafię być tutaj w pełni szczęśliwa. Mam nadzieję, że chociaż spróbujesz to zrozumieć. Na dłuższą metę życie tutaj po prostu mnie męczy.

Patrzył na Martusię w milczeniu przez kilka chwil, a potem głęboko zaczerpnął powietrza i lekko się uśmiechnął.

– Postaram się. Zmienimy temat?

– Aha – ochoczo skinęła głową.

Dalsza rozmowa między nimi popłynęła już swoim niezwykle płynnym nurtem. Zahaczali o wszystkie możliwe tematy do momentu, aż jedzenie z ich talerzy zniknęło, a zegarek złowieszczo pokazał, że siedzą w restauracji już bite trzy godziny.

– Przejdziemy się jeszcze? – zapytał, wskazując głową na rozciągający się wokół restauracji dobrze oświetlony lasek.

– Pewnie – zgodziła się ochoczo, w odpowiedzi na co ujął jej dłoń w swoją i lekko pociągnął do przodu.

Wśród rozłożystych drzew i ich pokrytych śniegiem gałęzi wiły się kamienne alejki wytyczone specjalnie dla gości restauracji. Latem rosły wśród nich róże i marcinki, które zimą sownicie otulała biała, puchowa kołderka. Alejki były wyjątkowo dobrze podświetlone, dzięki czemu spacerowicze mogli dawać się ponieść romantycznemu nastrojowi i spokojnie rozkoszować się mroźnym powietrzem bez obaw, że zabłądzą.

– Ale tu pięknie – wyrwało się Martusi, gdy przytulona do ramienia Andrzeja spacerowała razem z nim pośród cichego pohukiwania gnieźdzących się w lasku sów.

– Wyjątkowe miejsce z wyjątkową kobietą.

– Wyjątkowy czas. Mogłoby być tak już zawsze. Cisza, spokój. Żadnych większych zmartwień dnia codziennego. Wszystko powoli zaczyna się układać i stabilizować.

- Przeszłość odeszła do przeszłości.
- Tylko mogłoby być cieplej.
- O tak. Gdyby była wiosna, spacerowalibyśmy teraz wśród jaśminów i bzów.
- Byłoby po prostu błogo.
- Z tobą u boku każda pora roku jest błoga. Nawet kiedy policzki szczypie mróz.

Słyszając ostatnie słowa Andrzeja, Martusia powoli oderwała się od jego ramienia i wyprostowała, podczas gdy on odwrócił się do niej przodem i stanęli twarzą w twarz. Ich skąpane w wątłym świetle sylwetki wydawały się jedynymi figurami na ciemnym tle.

– Nawet zima? – zapytała ściszym głosem, kiedy ujął jej twarz w dłonie i delikatnie potarł zaróżowione policzki swoimi ciepłymi palcami.

– Zwłaszcza ona. Jeszcze nikt nie wniósł do mojego życia tyle ciepła, co ty – szepnął, a potem uśmiechnął się lekko i zbliżył swoją twarz do Martusi tak, że poczuła na niej jego rozgrzany oddech.

– Czy to znaczy, że jestem twoim grzejniczką i po prostu mnie wykorzystujesz?

– To znaczy, że mam ochotę wykorzystać cię na tysiąc różnych sposobów, a nie tylko ten jeden, i marzy mi się to od kilku tygodni – wyszeptał z wargami tuż przy jej twarzy, a potem jego ciepłe usta zamknęły się na jej ustach, sprawiając, że świat Martusi w jednym momencie zawirował feerią barw, ziemia się zatrzęsała, a jej nogi stały się jak z waty.

– Czy ty właśnie... – zdołała wyszeptać, kiedy oderwali się od siebie, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Aha – skinął głową.

– A mógłbyś jeszcze raz? – zapytała drżącym z emocji głosem, w odpowiedzi na co on uśmiechnął się szeroko i nachylił się do niej jeszcze raz, tym razem również wplatając palce w jej wyjątkowo miękkie włosy, a potem ponownie zatopił usta w jej ustach, dokładnie w momencie, w którym rozdzwonił się jej telefon.

– Powinnaś odebrać – łapiąc oddech, odsunął się od niej, kiedy telefon rozdzwonił się drugi raz. Martusia zaczęła grzebać w torebce i szukać komórki.

– Słucham? – rzuciła bez entuzjazmu, przykładając telefon do ucha.

– Martusia, ty wracaj natychmiast do Sosenek! – usłyszała zdenerwowany głos ciotki.

– Mówiła ciocia, że mogę wrócić później.

– Tak, tak, ale tu nie chodzi o alarm. Pali się! – wykrzyknęła do telefonu pani Halina tak, że aż zapiszczało jej w uszach.

– Ale jak to się pali? Co?! – przejęła się nie na żarty Martusia, robiąc przy tym wielkie oczy.

– Chałupa twojej babki! Pożar taki, że straż z całej okolicy się zjechała. Starają się go ugasić, ale ogień szaleje jak głupi.

– Matko kochana... – wyrwało się przerażonej Martusi, w odpowiedzi na co Andrzej zrobił krok w jej kierunku i popatrzył na nią pytająco.

– Przyjeżdżajcie tutaj natychmiast! – dodała jeszcze ciotka, przekrzykując wyjące w oddali syreny strażackich wozów.

– Co się pali? – zapytał natychmiast Andrzej, kiedy tylko odsunęła telefon od ucha.

– Dom mojej babci – szepnęła przez zaciśnięte gardło dziewczyna i patrząc na niego z przerażeniem w oczach, złapała go za rękę, po czym zaczęła biec w stronę jego samochodu.

– Nie mam kluczyków! – wykrzyknął natomiast Andrzej, przeszukując swoje wszystkie kieszenie podczas tego szaleńczego biegu przez śnieg.

– Jak to nie masz kluczyków?!

– Nie mam!

Martusia podeszła do niego, głośno oddychając ciężkim powietrzem.

– Mogę?

– Pewnie – uniósł do góry ręce, pozwalając jej się obszukać.

Sprawne dłonie Martusi sprawdzały pospiesznie wszystkie kieszenie i kieszonki w jego kurtce i spodniach. Mimo napiętej sytuacji i lodowatego powietrza oraz tego, że dzielił ich gruby materiał, dotyk jej dłoni sprawił mu niemałą przyjemność.

– Nie ma – stwierdziła w końcu, robiąc krok w tył. – I co teraz?

– Będziemy szukać. Musiały mi gdzieś wypaść.

– Cholera jasna, ale w takim momencie?! – wyrwało jej się, ale natychmiast ją uspokoił i zaczęli ponownie iść trasą swojego spaceru, wpatrując się w wydeptany śnieg, z nadzieją, że coś w nim wypatrzą.

Bez skutku.

– No nie! Przecież to się nie dzieje naprawdę! – zaczęła lamentować, gdy dotarli do miejsca, w którym Andrzej pocałował ją po raz pierwszy, nie znajdując po drodze kluczyków.

– Cichutko – delikatnie dotknął jej wychłodzonego policzka. – Zaraz coś wymyślę, tak? – powiedział, zerkając we fiołkowe tęczówki Martusi, pod którymi zaczynały się zbierać łzy, a potem wyciągnął z kieszeni kurtki telefon i bez namysłu wybrał numer swojego ojca, żeby sprowadzić pomoc. Po chwili stanął jak wryty, słysząc po drugiej stronie linii głos jakiejś kobiety. W dodatku bardzo młodej kobiety.

– Dobry wieczór... e... czy mogę rozmawiać z moim ojcem? – wydukał zszokowany, nie do końca rozumiejąc, dlaczego telefon Witolda miałyby odbierać kobieta, kimkolwiek by nie była. Ojciec aktualnie z nikim się nie spotykał. Zresztą po śmierci matki tylko dwa razy się z kimś związał. I to na bardzo krótko.

– Czy jest pan kimś z rodziny pana Witolda Grygi? – bardzo formalnie zapytała rozmówczyni, chyba nie do końca rozumiejąc sens jego ostatniej wypowiedzi.

– Tak. Jestem jego synem i jeśli to nie problem, chciałbym z nim teraz rozmawiać.

– Przykro mi, to niemożliwe. Pana ojciec jest teraz operowany. Trafił do nas z ciężkimi oparzeniami kończyn i jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. Niestety, nie mogę panu udzielić więcej informacji przez telefon. Czy jest pan w stanie pojawić się u nas jak najszybciej w celu dopełnienia wszelkich formalności? Pana ojciec nie miał przy sobie żadnych dokumentów.

– Nie bardzo rozumiem... – wyszeptał drżącym głosem, czując, że tym razem to z jego twarzy odpływa krew.

– Pana ojciec jest w szpitalu. Z ciężkimi poparzeniami. Proszę tutaj przyjechać jak najszybciej – powtórzyła nieco bardziej dosadnie pielęgniarka służbowym tonem i zakończyła połączenie.

Andrzej natomiast stał jak wryty, wsłuchując się w pikanie dochodzące z głośnika jego komórki. Nie miał siły, by odsunąć ją od ucha.

– Co się stało? – widząc jego reakcję, natychmiast zapytała Martusia.

– Mój ojciec... on jest w szpitalu. Ciężko poparzony.

– Matko kochana. W jakim jest stanie?

– Krytycznym. Pielęgniarka powiedziała mi, że jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. Boże, Marta... – głos Andrzeja załamał się i mężczyzna po prostu zaczął płakać. – Stoimy w jakiejś głuszy, podczas gdy tam...

– Czy to znaczy, że twój ojciec... Czy on? – popatrzyła na przerażonego Andrzeja, powoli składając sobie to wszystko w głowie do kupy, i nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

– Tak. To on musiał podpalić dom twojej babci – powiedział bezgłośnie.

Dziewczyna ani drgnęła.

– On ma do mnie nadal żal, prawda? O ten wypadek... Moich rodziców już nie ma, ale przeniósł go na

mnie.

– Nie mamy czasu teraz o tym rozmawiać – pokręcił tylko głową Andrzej i ponownie puścił się pędem w stronę samochodu.

– Kluczyki! – krzyknęła za nim.

– Poprosimy kogoś, żeby nas zawiózł!

– Nie o to chodzi, znalazłam w śniegu kluczyki! – odpowiedziała, biegnąc w jego stronę. Wyciągnęła przed sobą rękę z objającymi się o siebie kluczami.

– Szczęście w nieszczęściu – chwycił je natychmiast i pospiesznie wsiedli do samochodu, a potem, w milczeniu, dojechali do Sosenek, w których niemalże cała wieś razem ze strażą pożarną gasiła palący się dom babci Martusi oraz otaczające go drzewa. Andrzej czym prędzej udał się do szpitala, do którego został przewieziony jego ojciec.

– Zobaczymy się później? – z nadzieją w głosie zapytała go tylko Martusia, wysiadając z samochodu.

Popatrzył tylko na nią, a potem nie zważając na to, że nie zamknęła jeszcze drzwi, ruszył z miejsca.

Jeszcze przez kilka chwil wpatrywała się w niknący w mroku samochód, aż w końcu odwróciła się ku szalejącemu w najlepsze żywiołowi i ruszyła w stronę zgromadzonego przed furką podekscytowanego tłumu.

– Martusia! – gdy tylko dziewczyna zjawiła się przy posesji, pani Halina porwała ją w ramiona.

– Ciociu... – załkała, dając upust szalejącym w jej głowie emocjom. Wtuliła nos w ciepły szalik ciotki i przytknęła oczy, nie chcąc patrzeć na ogień trawiący dorobek życia jej babci.

– Nie płacz kochanie, nie płacz. Nad rozlanym mlekiem nie ma co. Oni tutaj wszystko ugaszą, naprawdę. To tylko stara ruina. Nic więcej, poza wspomnieniami. Przecież i tak chciałaś ją sprzedać – starsza pani pogładziła ją po kasztanowych włosach i jeszcze mocniej przytuliła do siebie. Tak że mimo całego tego nieszczęścia Martusia poczuła się chociaż częściowo bezpieczna.

– Gdzie Andrzej? – zapytała jeszcze ciotka, gdy dziewczyna w końcu doszła do siebie i stanęła obok niej, przyglądając się sprawnym działaniom strażaków.

– Pojechał do szpitala, do ojca.

– Do Witolda? A co mu się stało?!

– To on podpalił dom babci, ciociu – łamiącym się głosem zdołała tylko powiedzieć, a potem zakręciło jej się w głowie do tego stopnia, że o mało co nie upadła.

– Henryk! Zawieź ją do domu! Wykończona jest i z tych emocji ledwie stoi! – sadzając ją na ławeczce pod płotem, wrzasnęła w stronę starszego pana ciotka Halina.

– Nie, nie! – złapała ją za nadgarstek. – Chcę tutaj być. Po prostu nie czuję się najlepiej – wydusiła i oparła głowę o ledwie stojący, drewniany płot.

Nie pamiętała z wydarzeń z tamtego wieczoru już nic więcej, poza momentem, w którym podeszło do niej dwóch roślących strażaków, i powrotem do domu, gdy żywioł został opanowany.

I tym, jak uporczywie wpatrywała się w telefon, licząc na jakąkolwiek wiadomość od Andrzeja, której finalnie wcale się nie doczekała.

Na trzeci dzień po pożarze pojawił się w domu starszego państwa niespodziewany gość.

– A ten do kogo? – natychmiast nagabnęła go Michalina. – Jak do Martusi, to nie ma. Swoje wczoraj wycierpiała, a teraz ten. Dajcie jej w końcu odpocząć, cholera jasna! Jeden ma ojca podpalacza i znika bez słowa, a drugi proszę, ubrany jak stróż w Boże Ciało!

– Kiedy ja... – zaczął niepewnie Krzysztof i w tym samym momencie zjawiła się przy drzwiach pani

Halina.

– A ten tu czego? – wzięła się pod boki.

Dyrektor nerwowo przełknął ślinę.

– No, do Martusi przyszedłem. Słyszałem o tym pożarze i pomyślałem...

– Cała wieś słyszała, tak wyło! Chyba głuchy by musiał być, żeby nie – wpadła mu w słowo.

– Tak, tak. Ja właśnie w tej sprawie. Pomyślałem, że przyda się jej jakieś pocieszenie. Albo coś.

Pani Halina popatrzyła na niego spode łba.

– Albo coś – powtórzyła i podrapała się po głowie. Chociaż wolała, żeby zamiast tego tu zjawił się teraz u nich Andrzej, lepszy rydz niż nic, prawda?

– Niech wchodzi – ogłosiła w końcu łaskawie. – Przyda się Martusi pocieszenie, oj przyda. Dziś znowu całą noc płakała i oka nie zmrużyła. Ja nie wiem, jak ona teraz tę ziemię sprzedaje? Za co dom kupi? Przecież cena takiej działki po pożarze to od razu spadnie... – wpadła w typowy dla siebie słowotok. – Życie jej się sypie, a tu w nikim poza nami pocieszenia. Tamten też, łachudra jeden, zamiast tu być co dnia, to proszę, z ojcem siedzi. A taki niby był szlachetny, taki do rany przyłóż! A jak co do czego przyszło, to masz, spękał!

Krzysztof nie do końca rozumiał, o co chodzi, dlatego postanowił nie komentować słów pani Haliny. Starsza pani zwróciła się tymczasem do Michaliny.

– Prowadź go do salonu, a ja pójdę po Martę.

Popatrzył na nie oszołomiony, ale w końcu posłusznie udał się do salonu, w którym już po chwili pojawiła się Martusia. Na jej widok natychmiast zerwał się na nogi, choć trzeba było przyznać, że nie wyglądała najlepiej. Podczas gdy wtedy, kiedy widzieli się ostatni raz, tryskała życiem i energią, teraz wyglądała jak zbity pies. Miała zapuchnięte powieki i zaróżowione od płaczu policzki. Mimo wszystko w jego oczach nadal wyglądała ładnie.

– Och, to ty – zdziwiła się na widok czekającego w salonie Krzysztofa. – Gdybym wiedziała, to chociaż zarzuciłabym na siebie coś lepszego – spojrzała na swój puszysty szlafrok i rozciągnięte kapcie.

– Nie, nie. Daj spokój, tak też jest dobrze – powiedział, zgodnie z prawdą. Jak dla niego, mogłaby mieć na głowie worek foliowy, a nadal nie byłby wstanie oderwać od niej wzroku. To wcale nie zmieniło się przez ten czas, kiedy widywali się tylko w szkole, a ich kontakty były dość powierzchowne.

– Napijesz się czegoś?

– Wasza gosposia już o mnie zadbała, dziękuję – wskazał na filiżankę. – Może usiądziemy, zamiast tak stać?

– Ach, tak. Pewnie.

Krzysztof szarmancko odsunął jej krzesło.

– Co cię do nas sprowadza?

– Słyszałem o tej tragedii i pomyślałem, że przyda ci się jakaś pomoc. Albo chociaż wsparcie. Jak ty się czujesz?

Martusia spuściła wzrok i przejechała dłońmi po swoich nieświeżych włosach.

– Prawdę powiedziawszy, nie najlepiej. Chyba nadal do mnie to nie dociera. Miałam ogromny uraz do tego miejsca, ale kiedy go nie ma, wcale nie jest mi lepiej – powiedziała, sama się dziwiąc, że zdobywa się przed nim na taką szczerłość, zamiast po prostu go zbyć.

– Doszły mnie słuchy, że i tak chciałaś go sprzedać.

– Oj chciałam i nadal chcę. Kupiec i tak zamierzał ten dom wyburzyć, więc Witold tylko oszczędził mu pracy.

– Kto?

– Ojciec Andrzeja. To on podpalił dom babci.

Zapadła niezręczna chwila milczenia.

– Przykro mi. Wiem, że Andrzej ostatnio wiele dla ciebie znaczył i...

– Daj spokój, to już nie ma znaczenia. Od tamtej pory nie raczył się do mnie nawet odezwać. Wiem, że siedzi teraz u ojca, ale gdyby mu zależało, pomyślałby przecież o tym, jak ja się czuję, prawda? – poczuła, jak jej oczy zachodzą łzami. – Napisałby chociaż SMS-a, nie? Zachował się jak dziecko. Nie ma sensu nad tym rozpaczać.

Nie odpowiedział.

– Ja nawet nie wiem, co powinnam teraz robić, wiesz? – kompletnie się rozkleiła. – Nie wiem, załatwiać jakieś formalności, uprzątnąć cały ten gruz czy co tam zostało. Na samą myśl o tym po prostu mnie wzdryga. Jak gdyby oni wszyscy... – pociągnęła nosem. – Jak gdyby moi rodzice i babcia umarli po raz drugi.

Widząc, jak jej ciałem wstrząsa bolesny dreszcz, nie wytrzymał i zerwał się z miejsca, żeby ją przytulić.

– To niedorzeczne, prawda? – wydusiła, już w jego ramię. – Nie powinnam się tak czuć, a mimo wszystko tak cholernie mi przykro – powiedziała, sama nie do końca wiedząc, czy czuła się tak bardziej z powodu pożaru czy Andrzeja. W tym momencie była pewna tylko jednego: że niespodziewana obecność Krzysztofa podziałała jak balsam na jej cierpiące serce, choć zupełnie się tego nie spodziewała.

– Nie przejmuj się, Marta – szepnął, z ustami przy jej czole. – Zajmę się, czym będzie trzeba. Uprzątniemy gruzy i raz dwa sprzedasz tę działkę. Musisz się od tego odciąć, a to jedyny słuszny sposób. Zostawisz to za sobą i wszystko się poukłada.

Ciałem Martusi wstrząsnął kolejny szloch.

– Bardzo ci dziękuję – zdołała tylko powiedzieć.

– Csii – pocałował ją w czoło, a ona nie zaprotestowała. – Będzie dobrze. Damy radę.

Podczas gdy w salonie rozgrywał się dramat Martusi, w kuchni szalała pani Halina. Dojrzała właśnie przez uchylone drzwi, co też tam się wyprawia, a mianowicie swoją niewinną chrześniaczkę w ramionach kwiecistego dyrektora.

– No i masz, cholera! – w pierwszej kolejności zwróciła się do Bogu ducha winnego Henryka. – Tak żeś mi gadał o tym Andrzeju, że taki on wspaniały i wierny, a tu wyszło szydło z worka i co do czego przychodzi, to ma ją gdzieś! Ja od razu mówiłam, że nic z tego nie będzie, ale nie! Tak żeście mi z Iwoną głowę suszyli, że się dałam przekonać, no i teraz mam!

– Ale co masz? – Henryk popatrzył na żonę, nie do końca rozumiejąc, co ma na myśli.

– Serce złamane, bo się do niego sama przywiązałam. A co mam mieć?! – huknęła pani Halina. – Tak nas wszystkich oszukać, tak wystrychnąć na dudka! Toć to trzeba Boga w sercu nie mieć, żeby kobietę z dwójką dzieci porzucać i ojca namawiać do podpalenia jej domu! Cholera jasna!

– Ale jaka w tym wszystkim moja wina, Halinko, co?

– A taka, że ty doskonale wiedziałeś, jakie z niego ziółko, a mimo wszystko w jej ramiona go pchałeś, zamiast ostrzegać. Taki z ciebie ojciec?!

Henryk popatrzył na żonę nieprzytomnie.

– Przecież ja nic nie wiedziałem. Zdziwiłem się wczoraj tak samo jak ty.

– Akurat! – wzięła się pod boki pani Halina. – Masz szczęście, że ja mam plan!

Henryk o mało nie zakrztusił się swoją herbatą.

– Idziemy! – zarządziła natomiast starsza pani.

– Ale dokąd?

– Ty się głupio nie pytaj, tylko chodź! Trzeba się dowiedzieć, co ten osioł sobie myśli!

– Ale kto? – Henryk naprawdę nic z tego nie rozumiał.

– Kto, no kto? No Andrzej! Ruchy!

– Halinko, no ale może daj mi chociaż dojeść...

– Schudniesz trochę, to nie zaszkodzi. Już i tak ci spodnie o rozmiar większe kupuję. Jedziemy! Nie wiem, co mu do tego głupiego męskiego łba strzeliło. Ale się dowiem!

Henryk popatrzył na żonę spode łba, podczas gdy ta obmyślała już, gdzie by tu dopaść Andrzeja, tak żeby nikt tego nie widział.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł – wymamrotał, gdy żona ciągnęła go już w stronę drzwi.

– Ale ja wiem. Bierz dupę w troki i jedziemy.

– Tak, tak – poddał się w końcu i wziął z szafki kluczyki. Przez tyle lat życia z panią Haliną pod jednym dachem powinien się przecież do tego przyzwyczać.

Andrzej siedział właśnie w domu i kończył jeść obiad. Miał przespać się chwilę i zaraz znów jechać do ojca, kiedy błogą ciszę przerwało mu uporczywe walenie w drzwi wejściowe. Zostawiając na stole talerz przepełniony pierogami z kapustą i grzybami, ruszył do drzwi.

– Idę, idę! – krzyknął w ich stronę, kończąc przeżuwać ostatnie kęsy, a potem wpuścił do środka gości, których wybitnie się tutaj nie spodziewał.

– O, to państwo – wyrwało mu się, gdy starsza pani z tupetem zamknęła za sobą drzwi.

– We własnej osobie! – huknęła na niego, zdejmując płaszcz. Nie zważając na nietęgą minę chłopaka, wepchnęła mu go w ręce, przechodząc na korytarz. – Ależ u ciebie śmierdzi olejem! – krzyknęła jeszcze, siadając za kuchennym stołem.

Henryk natomiast posłał Andrzejowi przepaszające spojrzenie.

– Nie szkodzi – uśmiechnął się do niego i odwiesił płaszcz. – Zapraszam – wskazał ręką na niedużą kuchnię. – Napiją się państwo czegoś?

– My tu nie przyszliśmy pić, ale rozmawiać!

– Ach, tak – westchnął.

– To może ja poczekam na zewnątrz, a wy tu sobie pogadajcie! – Henryk dostrzegł szansę na uniknięcie pełnych emocji wywodów żony i nie zważając na jej protesty, oddalił się w stronę samochodu.

– No dobrze, a więc my sobie teraz porozmawiamy – starsza pani rozsiadła się natomiast wygodnie i wbiła w chłopaka przeszywający go na wskroś wzrok.

Andrzej popatrzył tęsknie na swój obiad.

– Nie bywasz u nas ostatnio – ignorując jego spojrzenie w stronę talerza, zaczęła w końcu pani Halina, jak gdyby nigdy nic stwierdzając ten jakże istotny fakt. – Nie piszesz, nie dzwonisz.

– Nie mam czasu. Chcę spędzać jak najwięcej chwil z ojcem. Mogłaby to pani zrozumieć. Nadal leży na intensywnej terapii.

– Pewnie, że rozumiem, ale żeby tak wcale?! A Martusia? A dzieci? Oni cię w tym wszystkim nie obchodzą?

– Nie do końca rozumiem – przekrzywił głowę.

– No to chyba nie jest zbyt trudne! – wypaliła w końcu, tracąc cierpliwość. – Serce Martusi zламаłeś zupełnie bez powodu i chciałabym się dowiedzieć dlaczego, a ty mi mydlisz oczy Witoldem. Bardzo męskie. No rzeczywiście, odwaga pierwsza klasa!

– A myśli pani, że mi jest łatwo, kiedy mój ojciec leży poparzony w szpitalu, a ja mam tylko jego?

– Witold podpalił z zemsty dom jej babki i nie usłyszała od was nawet „przepraszam” – nie dała się jednak zbić z tropu pani Halina.

Zawahał się.

– Ja po prostu... Nie chciałem jej skrzywdzić, naprawdę, ale ten pożar... Ojciec jest dla mnie najważniejszy. Straciłem już matkę. Dał mi jasno do zrozumienia, że nie chce, żebym się z nią wiązał. Ja

naprawdę rozumiem, że Marta ma do mnie o to wszystko żal, ale ja w tej sytuacji... – spuścił wzrok. – Po prostu nie mogę.

– Jak ojciec ci mówił, nie idź na studia, to jakoś miałeś odwagę go nie posłuchać!

– To było co innego – pokręcił głową.

– Tak? A mi się wydaje, że ty po prostu Andrzejku jesteś tchórz.

– No jaki tchórz, pani Halino.

– Ja myślałem, że ty jesteś porządny chłop, a ty jesteś dzieciak! – nie wytrzymała i zerwała się z miejsca. – Ona ma za miękkie serce na ten świat, oj za miękkie! Zawsze na tym źle wychodziła, chociaż tyle razy ją uprzedzałam – przerwała na chwilę i ruszyła w stronę drzwi, by odwrócić się jeszcze w jego stronę na pięcie. – Ale ja ci nie odpuszczę. Chociaż sama cię w jej łapy pchałam, to jeszcze popamiętasz. Martusia będzie szczęśliwa, czy tego chcesz, czy nie. I cholera jasna, nie zasłaniaj mi się tu ojcem! – trzasnęła drzwiami.

Andrzej został w kuchni sam i przez chwilę patrzył przez okno na ogród, z którego zniknęła niebieska mazda starszych państwa.

– Oj synu, synu – jak echo wracały do niego słowa Witolda. – Przemyśl to, naprawdę. Sam widzisz, że z tą dziewczyną same nieszczęścia.

– Po prostu nie mogę – powiedział sam do siebie i wyszedł na podwórze, żeby znów do niego pojechać. Nie miał już ochoty jeść ani spać. To wszystko było bardzo trudne, ale w tej sytuacji nie mógł postąpić inaczej. Nie od dziś ojciec był dla niego najważniejszy. Po tym, co zrobił, Andrzej nie mógł nawet patrzeć na kobietę, przez którą porwał się na tak szalony czyn. Zamierzał trzymać się z daleka od Martusi. Tego wymagało od niego życie.

Epilog. Kolejna wiosna na dobre zadomowiła się w Sosenkach i ogród pani Haliny ponownie zaczął tryskać życiem. Sad zakwitł w mgnieniu oka i kiedy się nim przechadzało, słychać było niezwykle głośne bzyczenie pszczół. Kwitły żółciuchne forsycje i wczesne, czerwone pelargonie, których w tym roku Michalina narozstawiała w ogrodzie dwa razy więcej niż zawsze. Buchnął też życiem wielki, rozłożysty bez, który od lat rósł sobie spokojnie pod płotem i cieszył oczy przechodniów. Nawet ptaki na stałe mieszkające pod dachem powoli zaczynały dawać o sobie znać. Z tym że mniej więcej o piątej nad ranem, czym skutecznie doprowadzały do szału wszystkich mieszkańców posesji!

Mieszkańcy Sosenek już dawno zapomnieli o zimie, a przy tym i o pożarze, który strawił dom babci Martusi. Entuzjastycznie przyjęli też Krzysia. Pani Halina postanowiła go w końcu pokazać światu i zaprzyjaźnieni mieszkańcy wsi często wpadali do chłopca z odwiedzinami. Nawet sprawa z Danielem wydała się Martusi zakończona, bo po odwyku trafił do więzienia, gdzie spędzić miał kilka długich lat, co radośnie oznajmiła jej przez telefon Amelia. Życie Martusi zaczęło się więc w końcu powoli zielenić nadzieją na lepsze dni.

Przy pomocy Krzysztofa, który niemalże od razu zorganizował ekipę sprzątającą, pozostałości po domu starej Czeremchowej zniknęły szybciej niż w mgnieniu oka. Kupiec ucieszył się na wiadomość o tym, że nie będzie musiał dodatkowo inwestować w wyburzenie starej ruiny i bez wahania podpisał umowę kupna-sprzedaży. W życiu Martusi zapanował więc niespotykany dotąd spokój. Jej wewnętrzne pogorzelisko również zostało raz na zawsze sprzątnięte, przez co mogła w pełni cieszyć się rozkwitającą w najlepsze wiosną.

Jedyną osobą, która nadal się martwiła, była pani Halina...

– Nie wiem, Martusiu, czy to jest dobry pomysł – zajrzała któregoś wieczoru do wypełnionej

walizkami sypialni, w której przez ostatnich kilka miesięcy mieszkała Martusia wraz z dziećmi, i stając w drzwiach, założyła rękę za rękę.

Przez uchylone okno, oprócz słońca i zapachu kwitnących w ogrodzie kwiatów, wpadał do pokoju też ciepły, wiosenny wietrzyk delikatnie muskający zaróżowione policzki pochylającej się nad bagażami Martusi. Chociaż przyjechała tutaj tylko z jednym plecakiem, przez minione miesiące zdążyła nagromadzić sporo rupieci. Na wiosnę musiała kupić dzieciom też nowe ubranka, więc i walizek przybyło.

– Nie rozumiem – odkładając kolejną gromadkę maleńkich ubranek do zielonkawej torby, podniosła wzrok na ciotkę.

Przez głowę starszej pani przemknęła myśl, że w jej fiołkowych tęczęwkach tli się ostatnio stanowczo za dużo życia.

– No ten wyjazd. Może jednak byście zostali?

– Ciociu. Rozmawialiśmy już o tym kilka razy. Mówiłam cioci, że dobrze mi u was, ale potrzebuję się od tego oderwać. Chociaż na trochę. To chyba nie grzech, prawda?

– Oj Martusia – westchnęła starsza pani i podeszła do łóżka, na którym leżała otwarta torba, po czym przysiadła na jego brzegu. – Nie wiem, czy ty dobrze robisz.

Drewniane deski ugięły się lekko pod jej ciężarem, a materac zaskrzypiał.

– Przecież to tylko kilka dni.

– No tak, no tak. Pewnie, ale...

– Oj ciociu. Niech mnie ciocia nie próbuje odwozić od tego pomysłu. Krzysztof już opłacił wszystkie bilety i wyjeżdżamy bezapelacyjnie! W końcu to weekend majowy, tak? A my z dziećmi od tak dawna nigdzie nie byliśmy – zamyśliła się. – Właściwie, to odkąd tylko wróciłam do Polski, siedzimy u was w Sosenkach. Pozwiedzamy sobie, poleżymy na plaży. Zasługujemy na odpoczynek, prawda? Tym bardziej po tych wszystkich ostatnich wydarzeniach. A ciocia też sobie odpocznie, sił nabierze... Sama ciocia mówiła, nie dalej jak wczoraj, że już ma nas dość!

– No tak, tak – smutno pokiwała głową starsza pani. – Ale w nerwach to powiedziałam.

Dziewczyna popatrzyła na starszą panią pytająco.

– Bo ja po prostu boję się, że ty pakujesz się w jakiś nieprzemyślany związek! I to jeszcze z dziećmi – pani Halina uderzyła dłońmi płasko w materac i wbiła wyczekujące spojrzenie we fiołkowe tęczęwki Martusi.

Ta zaśmiała się głośno, widząc jej minę, i spojrzała przez okno. Na podwórku Krzysztof grał właśnie w piłkę z Marysią, a Krzyś siedział w spacerówce i wygrzewał się w słońku. Był to dla niej widok tak uroczy, że aż rozczulający. A ostatnio także wyjątkowo częsty, ponieważ od kilku miesięcy dyrektor gościł u nich niemalże każdego popołudnia.

No, chyba że ona akurat gościła u niego. Ale tu raczej w grę wchodziły wieczory...

– Tłumaczyłam to cioci dziesiątki razy – odgoniła jednak te myśli i zwróciła się do rozgoryczonej pani Haliny. – Krzysztof to świetny gość.

– Ale ja czuję, że ty nie mówisz mi prawdy.

– Halinka, widziałaś gdzieś mój szampon do włosów? – rozległ się na piętrze donośny głos wuja Henryka, dochodzący bodajże z łazienki.

– A na co ci szampon, jak ty coraz bardziej łysy jesteś?! – wrzasnęła w stronę drzwi ciotka, zła, że mąż raczy przeszkadzać jej w poważnej rozmowie, którą miała zamiar teraz prowadzić.

– Bardzo śmieszne kochanie, ale mogłabyś przyjść tutaj i mi go podać, bo nigdzie nie widzę.

– Niech ciocia idzie, ja mogę poczekać – popatrzyła na nią Martusia.

– Jasne. Bo tobie się w ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Ale ja tutaj wróć! – starsza pani machnęła

w jej stronę wyciągniętym palcem wskazującym, a potem wstała z łóżka.

– Niech się ciocia nie spieszy – zaśmiała się, widząc, jak pani Halina bez życia powłóczy nogami w stronę drzwi.

– Chłopy. Nie dość, że łyse, to jeszcze sobie same poradzić nie umieją! Sieroty Boże, nic więcej – ignorując słowa dziewczyny, skomentowała zachowanie męża w typowy dla siebie sposób, po czym wyszła z sypialni tylko po to, by za kilka chwil do niej wrócić.

Martusia tymczasem jeszcze raz wyjrzała na podwórko i pomachała ręką rozentuzjasmowanej, upačkanej błotem Marysi. Ciotka miała rację. Trochę będzie jej tęskno za tym pachnącym śmiechem domem, w którym obiady obowiązkowo jada się razem, i najchętniej nie opuszczałaby już nigdy błękitnej sypialni, do której ciągle wtykała swój nos ciotka. Mimo że życie tutaj było szalone i dynamiczne, przez ostatnich kilka miesięcy Martusia poczuła się tu jak u siebie. Jak gdyby znalazła w końcu na tym świecie swój prywatny kawałek zieleni.

– No dobrze moje dziecko – ponownie rozsiadła się na łóżku pani Halina. – Powiedz mi teraz, w czym rzecz.

– Mówiłam cioci setki razy.

– Setki razy to ty mi oczy mydliłaś. Gadaj mi tutaj, o co chodzi, bo wieczność na mnie czeka i wolałabym rozwiązać twoje sprawy, zanim będę oglądać ten świat z drugiej strony.

– Co? – zachichotała pod nosem.

– To, co słyszałaś.

– No tak – słysząc niezwykle poważny ton ciotki, natychmiast przybrała taki sam wyraz twarzy jak ona.

– Kochasz tego Krzysztofa czy nie? – bez ogródek wypaliła w końcu starsza pani, wbijając przy tym wzrok w twarz Martusi. Dziewczyna drgnęła lekko, gdy tylko usłyszała jego imię.

– Co?

– Chodźcie na te randki i chodźcie, a teraz jeszcze wspólny wyjazd! Tak ci się wcześniej nie podobał, jak cię do niego wypychałam, a teraz o... Zmiana planów! Czy mogłabyś mi to wszystko wyjaśnić? Bo trochę się gubię. Najpierw Andrzej, potem pożar, a teraz ten...

Martusia musiała mocno się postarać, żeby nie roześmiać się na widok jej przejętej miny.

– A myśli ciocia, że ja planowałam to wszystko? – odłożyła w końcu pakowanie i przysiadła na parapecie. – Sama ciocia wie, że na początku to nawet wydawał mi się dupkiem i dałam mu kosza. Dopiero po tym pożarze... Sama ciocia wie, jak bardzo mi pomagał, chociaż wcale nie musiał. Gdyby nie on, to nigdy byśmy sami tego pogorzelniska nie uprzętnęli. A teraz? Czyściutko, jak się patrzy. A ta cena, którą wynegocjował z kupcem? No przecież ja w życiu nie myślałam, że za kawałek zarośniętej ziemi można dostać tyle pieniędzy!

– No tak, co prawda, to prawda. Poza tym bywa tutaj codziennie i brudzi mi w salonie – pokiwała głową pani Halina. – Ale żeby zaraz się w nim zakochiwać?

Martusia znowu parsknęła śmiechem.

– Oj ciociu! – spojrzała przez okno. – Niech sama ciocia popatrzy, jaki on jest opiekuńczy i troskliwy. Zajmuje się dziećmi jak mało kto, a Marysia to go po prostu uwielbia – co jest dziwne, dopowiedziała sobie w myślach, biorąc pod uwagę jej niechęć do obcych mężczyzn.

– No, podejście do dzieci to on ma, trzeba przyznać – zgodziła się z nią ciotka. – W końcu jest dyrektorem, to do czegoś zobowiązuje.

– Naprawdę mnie zaskoczył tą swoją empatią. I tym, że będzie tak pomocny. Nie spodziewałam się tego po nim, wie ciocia? Zwłaszcza że przecież na początku źle go potraktowałam. Bardzo mi zaimponował.

Starsza pani szturchnęła ją łokciem.

– I tym swoim tyłeczkiem, co? Jest na co popatrzeć.

– Ciociu!

– No co, mówię jak jest. Dyrektor to cukiereczek, każdy we wsi ci powie. Mówiłam, że on jest trochę trudny w obyciu, ale finalnie: złoty chłopak!

Martusia popatrzyła na nią pytająco.

– To w końcu lubi go ciocia czy nie lubi? Bo sama już nie wiem.

– Smutno mi, że mi ciebie i dzieci z domu zabiera, ale to dobry chłopak, nie mogę powiedzieć. A nie przeszkadzają ci te jego kwiatki? Może byś go namówiła na jakieś inne wzorki, co? Paski jakieś albo coś. Jak to ja się później z takim zięciem pokażę...

– Jakim zięciem?! Nie wybiega ciocia za bardzo w przyszłość?!

– Ubrany tragicznie! – nie dała się zbić z tropu pani Halina. – Jak stróż w Boże Ciało. Albo inny przebieraniec.

Martusia przytuliła ją mocno do siebie.

– Oj ciociu, ciociu – pokręciła głową. – Ciocia to istny skarb. Drugiej takiej nigdzie w świecie się nie znajdzie, daję cioci słowo, ale niech się ciocia wstrzyma z tym nieustannym swataniem, bo to trochę męczące. Może tak raz, zamiast chcieć wszystkiego na siłę, powinnam zdać się na to, co los przyniesie?

– Ty mi tu nie cukruj, tylko wracajże z tego Sopotu najszybciej jak się da. Wesele będzie trzeba szykować i koniec.

– Dałaby ciocia spokój z tym weselem. Kto powiedział, że ja chcę za niego za mąż od razu wychodzić? Dobrze jest tak, jak jest. Nie ma się co spieszyć. Dopiero nam się wszystko poukładało, to nie ma potrzeby szaleć, ale w końcu się tym spokojem nacieszyć.

– Oj Martusia, Martusia. On w ciebie wpatrzony jak w obrazek. Ja ci mówię, że ty tutaj z pierścionkiem na palcu wrócisz. Jak nic!

– Zobaczymy.

– Zobaczymy, czy z brylantem. Jak będzie inny, to nie bierz. Trzeba się szanować – zaśmiała się pani Halina i zeszła na dół.

Martusia jeszcze raz wyjrzała przez okno. Teraz Marysia bujała się na huśtawce, a Krzysztof nosił małego Krzysia. Na widok tego obrazka na jej usta od razu wypłynął pełen szczęścia uśmiešek. Musiała przyznać, że wcześniej źle oceniła tego faceta. Był tak samo poharatany przez życie jak ona, przez co rozumiał ją jak nikt inny. Jego dziecięcy urok też okazał się nie aż tak ogromną wadą, jak myślała na początku. Naprawdę świetnie dogadywał się z Marysią.

No i był niezwykle szarmancki, chociaż na to w życiu by nie wpadła, biorąc pod uwagę jego wcześniejsze chamstwo. Krzysztof okazał się prawdziwą skarbnicą niespodzianek. Prawie tak samo jak ona.

– Mamo! – dotarło do jej uszu głośnie wołanie machającej rękami Marysi. – Chodź się z nami pobujac!

– Idę już, idę – odskrzyknęła przez otwarte okno i zbiegła po schodach.

– Zobacz, kto idzie: mama! – ożywił się na jej widok również Krzysztof, za co został uhonorowany soczystym całusem w policzek. – Spakowana?

– Już prawie tak.

Pochylił się do niej i musnął ustami jej ucho.

– Wiesz, że nie mogę się już doczekać, prawda? – szepnął.

– Czego?

– Jak to czego? Naszego wspólnego życia.

– Co? – zdziwiła się.

– Krzyś powiedział, że chce się ciebie w Sopocie zapytać, czy się do niego wprowadzimy! – ryknęła

na cały głos podekscytowana Marysia. – Ja już powiedziałam, że tak, bo powiedział, że będę miała swój własny pokój. Nie to, co u cioci.

Martusia popatrzyła pytająco to na nią, to na niego.

– To by było tyle, jeśli chodzi o tajemnice – mruknął rozbawiony. – I romantyzm.

Martusia rozejrzała się dookoła i przytuliła do siebie córkę.

Siedzieli na huśtawce całą rodziną. Za nimi w najlepsze kwitł sad, w otoczeniu którego czuła się jak w prawdziwym domu. Zresztą... Czuła się tak w całych Sosenkach, ze starym młynem włącznie. To była idealna sceneria, idealni ludzie i czas.

– No cóż... – uśmiechnęła się. Wypadałoby zamknąć mu teraz usta, ale...

– Mamo, czy to znaczy, że ty mówisz mu tak?! – wyrwała ją ze świata marzeń Marysia.

Krzysztof popatrzył na nią z nieskrywanym zainteresowaniem.

– Jak bez brylanta, to nie bierz! – wrzasnęła ze schodów pani Halina. – Kobieta musi znać swoją wartość!

Martusia nie wytrzymała i parsknęła głośnym śmiechem.

– Och, chyba nie mam wyboru, prawda? Widzę, że towarzystwo już porządnie przekupione, panie pedagogu.

– Supeeeeer! – pisnęła Marysia.

Ciotka Halina natomiast dodała głośno:

– A nie mówiłam!

– Zresztą obiecałaś mi przecież, że zgodzisz się zobaczyć w końcu kwitnący w moim ogrodzie judaszowiec. Zdradzieckie drzewo, tak? – uśmiechnął się Krzysztof. – Czyżby sekretny język kwiatów jednak się mylił?

Jej fiołkowe tęczęwki błysnęły, odbijając złociste promienie zachodzącego słońca.

– Wygląda na to, że tym razem nie do końca miał rację.

Kiedy ich twarze zbliżyły się do siebie, Marysia wywaliła na wierzch język, udając, że się brzydzi.

– Boże, czy wy będziecie się teraz całować?! – zapytała z przejęciem.

Oboje parsknęli śmiechem.

– Fuu! – zaczęła piszczeć. – Bakteryjnie, bateryjnie!

– To może ja zabiorę dzieci – zaoferowała się wspaniałomyślnie pani Halina.

– A ten co tutaj robi? – popatrzył na Martusię zdziwiony Krzysztof. W ich stronę pędził bowiem właśnie ubrany w odświętny garnitur mężczyzna z wielkim naręczem polnych kwiatów.

Z daleka rzucało się w oczy, że jego chód jest raczej niepewny.

– Dobrze, że jeszcze panią złapałem! – wyrzucił z siebie, ledwie trzymając się na nogach, kiedy dotarł w końcu do huśtawki. Ciężko dysząc, oparł się ręką o jedno z jej przęseł, robiąc to na tyle niefortunnie, że zamiast przy nim stanąć, jak długi poleciał na ziemię.

– Matko kochana! – wyrwało się Martusi, gdy pan Broniek zaczął wyginać się niesfornie w swoim garniturze, żeby podnieść się na nogi.

– Napruty jak pekaes – skomentował jego zachowanie Krzysztof, nadal za bardzo nie rozumiejąc, co też właściwie pijany pan Broniek tu robi. I to w takiej chwili.

– Tylko nie jak pekaes, wypraszam sobie! Ja już od dawna nie jeżdżę autobusem. Ja mam rentę, drogi panie, stać mnie na samochód! I na wachę też!

– Aha – Krzysztof pokiwał głową, zerkając ukradkiem na Martusię, która walczyła z cisnącym jej się na usta uśmiechem.

– No ale ja do pani – panu Bronkowi udało się w końcu wstać i jak na dżentelmena przystało, poprawił swój garnitur, ulizał włosy, a na koniec wyciągnął w jej stronę okazały pęk polnych kwiatów.

Tak. Tym razem również z korzeniami.

– To co, wyjdzie pani za mnie czy nie? Ostatni raz pytam. Taka okazja może się więcej nie powtórzyć. Ja mam rentę, moja droga. Ty masz dzieci. Razem będzie łatwiej! – wycedził przez zęby, jakoś tak mało pewnie stojąc na nogach, a Martusia odniosła wrażenie, że szybciej od jego słów dotarła do niej alkoholowa woń jego oddechu.

– Tak... – podrapała się po głowie, zerkając na niego spode łba.

– Tak?! – ożywił się natychmiast pan Bronek.

– Tak?! – popatrzył na nią Krzysztof. – Co to, poligamia jakaś? Przyjmujesz jego oświadczenia, naprawdę? – z odrazą popatrzył na pana Bronka, któremu aż świeciły się oczy.

– Nie! – Martusia roześmiała się głośno. – No gdzie?! Ja?! Twoje przyjąłem!

– Nie?! – z przerażeniem zapytał pan Bronek.

– No nie! Przecież mówię. Zresztą jutro wyjeżdżamy! Cokolwiek to ma do tego.

– Ale związki na odległość są trendy! – pan Bronek wyprostował się, słysząc te słowa.

Martusia nie wytrzymała i znowu buchnęła śmiechem.

– Znaczący, no wspaniale... Ale ja chyba nie jestem aż taka nowoczesna. Mówiłam już panu, że z tego związku to raczej nic nie będzie.

Pan Bronek patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, kołysząc się przy tym niebezpiecznie do tego stopnia, że Martusia kilka razy wyciągała w jego stronę ręce, żeby w porę zapobiec upadkowi.

– No trudno – wzruszył w końcu ramionami i popatrzył na polne kwiaty, które po drodze do Martusi zerwał gdzieś w rowie. Chociaż może bardziej odpowiednio byłoby powiedzieć w tej sytuacji: wyrwał.

– Ale kwiaty niech se pani zabierze. Tak, żeby pamiętała pani o mojej miłości. Może jej kiedyś odmieni, nie? Będę żył nadzieją – powiedział i nie zwracając uwagi na protesty dziewczyny, wepchnął jej w dłonie ogromne naręczce, w którym królowały jakieś zielone chwasty, a potem odwrócił się i chwiejnym korkiem ruszył przed siebie.

– Co to było? – szepnął natomiast do jej ucha Krzysztof.

– Aha! Jakby pani zmieniła zdanie, to ja przed sklepem będę czekał! – uprzedził jej odpowiedź donośny głos pana Bronka.

– Tak, tak! – roześmiała się głośno i pomachała mu ręką, a potem zwróciła się do Krzysztofa. – Widać, mam w tej wsi więcej wielbicieli – zauważyła.

– Mam być zazdrosny? – zrobił urażoną minę.

– O pana Bronka? Jeśli masz taką potrzebę, to czemu nie – odpowiedziała ze śmiechem.

Krzysztof wziął ją za rękę, a drugą dłonią uniósł jej podbródek.

– O nie, moja droga. Skoro zdecydowałaś się zamieszkać w moim złowrogim zamczysku, to mam zamiar cię strzec. Na żadne związki z panem Bronkiem się nie zgadzam. Ani z nikim innym – powiedział, z ustami tuż przy jej wargach.

Martusia uśmiechnęła się miękko.

– Aha – mruknęła zalotnie.

– A swoją drogą, czy wiesz, że wiedziałem o tym już od wtedy, kiedy wydobyłem cię ze śniegu i zobaczyłem potem w sypialni w za dużym swetrze? Jakoś tak wyjątkowo pasowałaś do mojego domu.

– Naprawdę?

– Tak. Czekałem tylko na dobry moment, żeby cię do niego zwabić na dłużej. Podobno kobiety nie lubią się spieszyć. Ale skoro mam konkurencję...

– Jesteś perfidny – pozwoliła sobie zauważyć.

Krzysztof wyszczerzył zęby.

– Obiło mi się to kiedyś o uszy – powiedział tylko, a potem ją pocałował.

– Ciociu, czy ty mogłabyś zostać z dziećmi jeszcze godzinę albo dwie? – kiedy w końcu się od siebie oderwali, Martusia wrzasnęła na całe gardło. Chociaż bardzo by chciała, za nic w świecie nie mogła przestać się uśmiechać.

Krzysztof popatrzył na nią pytająco. On dla odmiany o mało nie ogłuchł od tego jej wrzasku.

– Och, chciałabym TERAZ zobaczyć ten zdradziecki judaszowiec – odpowiedziała na jego niewyartykułowane pytanie. – Chyba powinnam sobie z nim wyjaśnić pewne sprawy – ściszyła głos. – I muszę przypomnieć sobie jeszcze kilka innych rzeczy...

– Tak? – spojrzał na nią łobuzersko. – Na przykład jakich?

– No, na przykład to, jak wygląda twoja sypialnia... – szepnęła, znowu zbliżając do jego warg swoje usta...

HAPPY END!

[1] Francesco Petrarca, *Sonet 132*. W tłumaczeniu Jalu Kurka.

Podziękowania

Na zakończenie chciałabym podziękować osobom, które miały swój własny wkład w powstawanie tej książki. Bez Waszego wsparcia i sugestii byłoby mi o wiele trudniej ją pisać. Dziękuję za to, że jesteście.

Przede wszystkim dziękuję całemu zespołowi wydawnictwa Czwarta Strona za ogrom pracy, który włożono w wydanie mojej kolejnej już książki. Nie wyobrażam sobie współpracy z żadnym innym wydawnictwem!

Mojej wspaniałej rodzinie, a w szczególności Kasi, która zawsze wspiera mnie dobrą radą i ma głowę pełną pomysłów, oraz tacie, który podsunął mi pomysł na wydarzenia związane z pożarem. Kocham Was bardzo!

Niesamowitym przyjaciółkom, które kibicują mojemu pisaniu i dzielnie znoszą dłużące się nieraz okresy przebywania przeze mnie bardziej w świecie fikcji niż rzeczywistości. Marlenka, Zuzia, Natalia i Patrycja, bardzo Wam dziękuję.

Dziękuję też wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom, którzy sięgnęli zarówno po „Nieszczęścia chodzą stadami”, jak i „Nie zmienił się tylko blond”. Piszcie do mnie tak często, jak piszecie, albo i częściej. Uwielbiam z Wami rozmawiać! To Wy nadajecie mojemu pisaniu sens!

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Cytat i dedykacja](#)

[* * *](#)

[Podziękowania](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)